

Austin Lynn

Seria Kronik 01

Bogowie i królowie



WYJAŚNIENIE DO WYDANIA POLSKIEGO

W związku z wymiennym stosowaniem w polskich przekładach Pisma Świętego imienia króla Hiskiasza (inaczej stosowane: król Ezechiasz), w dziele tym zastosowaliśmy imię Hiskiasz.

Jako wydawnictwo podjęliśmy tę decyzję podążając za tłumaczeniem angielskiego oryginału, w który imię to brzmi: *Hezekiah*.

Odkrywającej lektury

Wydawca

WYJAŚNIENIE DLA CZYTELNIKA

Krótko po śmierci króla Salomona w 931 r. przed Chrystusem Ziemia Obiecana została podzielona na dwa odrębne królestwa. Izrael, który był większym państwem i leżał na północy, wybrał na swoją stolicę Samarię i nie był już rządzony przez potomków króla Dawida. W państwie południowym, Judzie, w którym rozgrywa się ta historia, nadal rządził - ze swej stolicy w Jerozolimie - królewski ród Dawidowy. Opowieść nasza skupia się wokół wydarzeń z życia dwóch królów Judy: Achaza, który rządził w latach 732-716 przed Chrystusem, oraz jego syna Hiskiasza, który rządził od 716 do 687 r. Wnikliwe studium Pisma i komentarzy pomogło sfabularyzować tę historię. W celu nadania autentyzmu wypowiedziom autorka sparafrazowała słowa przypisane tym postaciom biblijnym. Zastosowano jednak bezpośrednie cytaty z Pisma Świętego tam, gdzie bohaterowie odczytują lub recytują fragmenty Pisma i gdy prorocy głoszą słowa Pana. Jedyna dyspensa, jakiej autorka sobie udzieliła, to zamiana słowa „Pan” na „Jahwe”.

Zainteresowanych czytelników zachęcam do przestudiowania w Piśmie Świętym pełnych relacji wydarzeń opisywanych w pierwszym tomie *Kronik królewskich*. Wybrane fragmenty Pisma Świętego, do których odwołuje się powieść *Bogowie i królowie*:

- 2 Kri 16
- 2 Kri 18,13 -2Krn 28,1-8.19-27
- 2 Krn 29,1-14

Zobacz również:

2 Krn 26,3-5.16-23, Jr 26,18-19, proroctwa Izajasza i Micheasza, Księga Psalmów.

Część Pierwsza

*Achaz w chwili objęcia rządów miał dwadzieścia lat (...).
Nie czynił on tego, co jest słuszne w oczach Pańskich,
tak jak czynił jego praojciec Dawid.*

2 Księga Kronik 28,1

1.

Hiskiasza obudziły głosy i dudnienie tupiących stóp. Usiadł na łóżku i poczuł, jak jego serce łomocze. Pierwszy raz w życiu był przerażony. W ciągu jednej nocy jego bezpieczny, spokojny świat królewskiego pałacu obrócił się w niwecz. Z narastającą paniką słuchał tego, co się dzieje na korytarzu: hałas z każdą chwilą był coraz głośniejszy. Męskie głosy wykrzykiwały rozkazy. Drzwi otwierały się i zamykały. Dzieci płakały ze strachu.

Odwrócił się do swojego starszego brata Eliaba i zobaczył, że on także nie śpi. Zsunął się ze swojego łóżka i wdrapał się po cichu na sąsiednie.

- Eliabie - szepnął. - Co się dzieje? Eliab potrząsnął głową, ściskając pościel.

- Nn... nie wiem.

Skulili się w ciemnościach, patrząc w oczekiwaniu na drzwi.

W oddali ponury dźwięk szofaru grzmiał na trwogę śpiącej Jerozolimie, a na korytarzu słyszeć było odgłos zbliżających się kroków.

- Boję się - wyznał Hiskiasz, połykając łzy. - Chcę do mamy.

Nagle do pokoju wpadli żołnierze uzbrojeni w miecze i włócznie i ściągnęli braci z łóżka. Hiskiasz był wobec nich bezsilny. Jego ciało było sztywne ze strachu, gdy rozbierali go z nocnych szat i siłą założyli mu przez głowę lniane, białe odzie-

nie. Ręce żołnierzy, którzy go ubierali i wiązali mu sandały, były zimne i szorstkie. Słudzy pałacowi zawsze odnosili się do niego łagodnie - pomagając mu założyć odzienie, uśmiechali się do niego i wymyślali różne zabawy. Tymczasem żaden z żołnierzy nie odezwał się choćby słowem, a ich lodowate milczenie sprawiało, że włosy jeżyły mu się na karku. W podobny sposób ubrali Eliaba i bezceremonialnie wyprowadzili braci z pokoju.

W korytarzu tłoczyło się jeszcze więcej żołnierzy, a towarzyszył im tuzin kapłanów w powłóczystych szatach. W migoczącym świetle pochodni Hiskiasz dostrzegł swoich przyrodnych braci, tak samo jak on odzianych w biel. Cicho szlochali. Nad nimi z wyciągniętym mieczem stał jego stryj Maasejasz.

- To wszyscy synowie króla - zwrócił się do kapłanów. - Ruszajmy, moich ludzi czeka długa droga.

- Wszystko gotowe, panie - usłyszał w odpowiedzi.

Ale zanim którykolwiek z nich zdążył się poruszyć, ich uszu dobiegł przeraźliwy krzyk matki Hiskiasza, która biegła korytarzem wiodącym ze skrzydła dla kobiet.

- Nie! Poczekajcie! Stójcie!

Była bosa i w biegu okrywała się wierzchnią szatą. Nieuczesane czarne włosy spływały jej falami po plecach. Hiskiasz próbował się do niej wyrwać, ale jeden z żołnierzy go zatrzymał.

- Co wy robicie?! - krzyczała. - Dokąd zabieracie moich synów?!

- Król Achaz składa specjalną ofiarę przed wyruszeniem wojsk - oświadczył stryj Maasejasz. Wróg zaatakował od północy nasze granice.

- Co to ma wspólnego z moimi dziećmi? Są jeszcze małe - Zadrzała i owinęła się mocniej szatami.

- Achaz chce, by wszyscy jego synowie wzięli udział w ceremonii - mówiąc to stryj Maasejasz dał znak żołnierzom,

a ci szybko przemieścili się przez korytarz, by zagrodzić jej drogę. Hiskiasz zdążył jednak zauważyć, że kobieta pobladła.

- Nie, czekajcie! - krzyknęła. - Jaką ofiarę? Maasejasz obrócił się do niej plecami.

- Idziemy - zwrócił się do swoich żołnierzy.

Z gardła matki Hiskiasza wydobył się niemal nieludzki skowyt. Ten dźwięk przeraził go do głębi. Słyszał, jak bez skutku próbuje przedostać się przez mur mężczyzn.- Mama! - wrzasnęła. - Chcę do mamy!

Zaczął się do niej wrywać, ale jeden z żołnierzy podniósł go tak, jakby Hiskiasz nic nie ważył. Chłopiec chciał walczyć, ale z przerażenia osłabł, a mężczyzna, który go trzymał, był znacznie silniejszy. Krzyk jego matki nikał w oddali, podczas gdy żołnierz niósł go przez labirynt pałacowych korytarzy, a potem schodami w dół, na dziedziniec. Na dworze niebo już się przejaśniało - zza wzgórz Wyżyny Judzkiej powoli wyglądało słońce. Na pałacowym dziedzińcu czekał tłum ludzi, który wylewał się przez wrota na ulice. Żołnierz postawił Hiskiasza na ziemi. Rzeński wiatr targał jego tunikę i smagał nią nogi. Cienka tkanina w najmniejszym stopniu nie chroniła przed porannym chłodem, więc Hiskiasz drżał nie tylko ze strachu, ale i z zimna. Nigdy dotąd nie widział tylu żołnierzy - ustawionych w równych szeregach, z błyszczącymi mieczami, stojących na baczność przed jego ojcem, królem. Król Achaz miał na głowie koronę Judy i był odziany w szaty królewskie wyszywane w symbole domu Dawidowego. Był on wysokim mężczyzną z okrągłym brzuchem, którego głos zawsze brzmiał donośnie i gniewnie. Wszyscy w pałacu przed nim drżeli; Hiskiasz też nauczył się go bać. Nie mógł zrozumieć, dlaczego ojciec wywołał go wraz z braćmi z łóżek o świcie, by stali teraz z tymi wszystkimi żołnierzami. Drżący Hiskiasz stał na wietrznym dziedzińcu, a wyczuwalne

w powietrzu napięcie i uroczysty wyraz wszystkich twarzy napawały go lękiem.

Zgromadzenie ruszyło, prowadzone przez króla Achaza i stryja Maasejasza. Zaraz za nimi podążali przedniejsi obywatele miasta, po nich ruszyła eskorta żołnierzy i kapłanów. Jeden z żołnierzy ścisnął Hiskiasza za ramię i pchnął go razem z pozostałymi królewiczami Judy. Jednak zamiast wspinać się po stromym wzgórzu za pałacem ku Świątyni Jahwe, gdzie król zwykle składał ofiary, orszak zaczął schodzić wąskimi ulicami miasta.

Minęli przestronne rezydencje szlachty budowane z ciosanego kamienia, następnie przeszli przez rynek, teraz cichy i wyludniony, gdzie wszystkie stoiska było pozastłaniane, a kolorowe markizy zwinięte na noc. Hiskiasz widział, że ludzie przyglądają się orszakowi z dachów i zerkają zza krat w oknach. Gdy ulica zwężyła się, żołnierze zbliżyli się do niego przyciskając do jego boku miecze. Dokąd go prowadzili? Co się z nim stanie? Dwukrotnie zmylił stopień na ulicy i potknął się, ale żołnierze szybko chwytali go za ramiona i stawiali na nogi.

Dotarli wreszcie do ogromnej bramy w południowej części Jerozolimy i wyszli nią za miasto. Teraz, wśród ciszy świtu, zaczęło docierać do nich z oddali echo bębnow. Hiskiasz ujrzał poszarpane ściany urwisk, ciemne i złowieszcze, strzegące wejścia do Doliny Hinnom. Gdy orszak skręcił w jej kierunku, przelotnie chłopak zauważył kłębiący się słup dymu, który wzbijał się wysoko w powietrze niesiony wiatrem.

Kapłani, którzy kroczyli obok Hiskiasza, zaczęli śpiewać:

- Moloch, Moloch, Moloch.

Mężczyźni idący w orszaku dołączyli, śpiewając coraz głośniejszy rytm dudnienia bębnow:

- MOLOCH... MOLOCH... MOLOCH!

Nagle ściana żołnierzy rozstała się, a Hiskiasz po raz pierwszy zobaczył na własne oczy Molocha. Wiedział, że nie śni. Wiedział, że potwór ten jest prawdziwy, ponieważ nigdy nie umiałby sobie wyobrazić czegoś tak straszliwego. Moloch patrzył na niego z wysokości mosiężnego tronu, a ogień we wgłębieniu pod pustym posągami płonął z głośnym rykiem. Języki płomieni lizały kąciki ust w jego otwartej paszczy. Wyciągnięte, jakby w oczekiwaniu, ramiona tworzyły stromą pochyłość, która kończyła się w jego otwartej paszczy.

Instynkty Hiskiasza krzyczały, by ten rzucił się do ucieczki, ale nogi ugięły się pod nim jakby były z gąbki. Nie mógł się ruszyć. Jeden z żołnierzy pochwycił go i zaniósł po schodach na podest, który znajdował się przed wyciągniętymi ramionami potwora.

- MOLOCH... MOLOCH... MOLOCH... - tłum nucił w rytm dudnienia bębnow. Czując w uszach pulsowanie serca, Hiskiasz kulił się obok swojego brata Eliaba. Kłęby dymu wyciskały łzy z jego oczu, twarz palił żar ognia.

Główny kapłan stanąwszy twarzą w stronę Molocha, wznosił ręce i błagał bożka, wrzeszcząc szaleńczo, ale śpiew tłumu i huk płomieni zagłuszyły jego słowa. Gdy modlitwa dobiegła końca, opuścił ręce i obrócił się. Hiskiasz na widok zimnego, zdecydowanego wzroku mężczyzny próbował się cofnąć, ale jeden z kapłanów Molocha złapał go mocno za ramiona. Nie mógł uciec.

- Który to pierworodny króla? - zapytał główny kapłan. Sygnet stryja Maasejasza mignął w blasku płomieni, gdy mężczyzna kładł dłoń na głowie Eliaba.

- Ten - odparł mężczyzna. Kapłan chwycił chłopca i uniół go wysoko w powietrze. Hiskiasz z przerażeniem patrzył, jak mężczyzna rzuca jego brata w rozwarte ramiona potwora. Eliab stoczył się po pochyłości ku otwartej paszczy, zaciska-

jąc ręce na mosiężnych ramionach i starając się w ten sposób powstrzymać upadek, ale metal był zbyt gorący i gładko wypolerowany. Nie miał się czego złapać. Przerażający wrzask Eliaba przebijał się przez ryk płomieni i dudnienie bębnow, nawet wtedy, gdy chłopiec wpadł do środka i Moloch go pożarł. Krzyk dochodzący z głębi płomieni trwał tylko przez chwilę, ale wydawało się, że trwa całe życie.

Wtedy nozdrza i gardło Hiskiasza wypełnił potworny smród, jakiego nigdy dotąd nie czuł. Żołądek pozbył się nagle całej swej treści, chłopiec zwymiotował tak gwałtownie, jakby chciał się jednocześnie pozbyć wspomnienia sprzed chwili.

Jednak śmierć Eliaba nie zakończyła koszmaru. Inni szlachetnie urodzeni oraz urzędnicy miejscy ofiarowali swoich synów kapłanowi, a on wrzucał ich po kolei w ramiona Molocha. Wszyscy bezradnie turlali się w płomienie. Hiskiasz zwinął się w kłębek na podeście i zasłonił twarz, by tego nie widzieć. Ale wydarzenia tego dnia zostały wyrzeźbione w jego duszy. Zaczął krzyczeć i wydawało mu się, że nigdy nie przestanie.

Syn Abbiji w końcu zasnął, jego ciepłe ciało spoczywało luźno w jej ramionach. Do tej pory ścisnął ją mocno przez cały dzień. Ale Abbija, siedząc przy oknie i patrząc na wieczorne niebo, dalej mocno obejmowała syna.

Eliab nie żył. Jej syn, jej pierworodny odszedł na zawsze. Jej umysł odmawiał zaakceptowania tej prawdy, wydawało jej się, że ktoś wyrwał jej serce, pozostawiając tylko zimne i puste ciało. Żalność przytłaczała Abbiję, kobieta wiedziała, że ten ból nie ustąpi do końca życia. Jej syn nie powinien był umrzeć. Zbyt wcześnie i zbyt okrutnie odebrano mu życie. I to rodzony ojciec go zamordował.

Jej ramiona objęły mocniej Hiskiasza, chroniąc go instynktownie. Nie pozwoli mu umrzeć tak, jak umarł Eliab. Będzie go chroniła przed Achazem bez względu na wszystko - ale jak? Nie dysponowała ani żadną bronią, ani umiejętnością posługiwania się nią.

Abbija domyśliła się, dokąd żołnierze zabierają dzieci i co się stanie z Eliabem, ale nie miała żadnej możliwości, by go uratować. Strażnicy zignorowali jej krzyki i błagania przytrzymując ją jeszcze długo po tym, jak orszak opuścił już pałacowy dziedziniec. Słyszała w oddali bębny Molocha, ale nie mogła się wyswobodzić, żeby pomóc swojemu dziecku. Gdy ofiara się dokonała, Eliab nie żył, a Hiskiasz wciąż krzyczał, nie mogąc pojąć przyczyny koszmaru, którego był świadkiem. Sama Abbija też nie umiała jej pojąć. Mogła tylko przyłgnąć do syna, którego jej pozostawiono, przysięgając mu, że jest bezpieczny, że będzie go chroniła. Ale nie wiedziała, jak ma dotrzymać tej obietnicy.

- Niech go pani teraz odłoży, Wasza Wysokość. Cały dzień go pani trzyma - rzekła jej służąca, Debora, sięgając po Hiskiasza, by wyjąć go z ramion Abbiji. Ale ta w niemej odpowiedzi tylko jeszcze mocniej go przytuliła.

- Nie. Jeszcze nie. Muszę go trzymać - Abbija przejmująco pragnęła, żeby ją ktoś przytulił i pocieszył, pragnęła poczuć, że obejmuje ją czyjeś kochające ramię, ale otaczały ją jedynie kamienne mury. Ogrzewały je płomienie koksowników i palenisk, ozdabiały gobeliny i kobierce dające wrażenie wygody i ciepła, ale Abbija wiedziała, że to tylko pozory. Pod tymi eleganckimi okryciami mury, tak jak i jej życie, były zimne i twarde jak kamień.

- Proszę, Wasza Wysokość. Musi pani coś zjeść - błagała Debora. - Mam tu trochę owoców i chleba.

Abbija zerknęła na tacę.

- Nie chcę jeść - odparła, kręcąc przecząco głową. Zagryzła wargę, czując na niej słony posmak łez. Jak miałyby jeść, kiedy jej życie roztrzaskało się niczym misa rzucona o podłogę? Nigdy nie będzie już całością.

- Głodzenie się nie zwróci pani Eliaba, Wasza Wysokość. Gdy Abbija usłyszała imię syna, zgryzota znów ją pochłonęła

- Och, Eliab - zapłakała. - Moje piękne dzieciątko. Wszystko, co wiązało się z osobą jej pierworodnego, było

niezapomnianym wspomnieniem - moment, gdy pierwszy raz poczuła jego ruch w swoim łonie, poród, pierwszy raz, gdy trzymała go w ramionach, jego pierwsze kroki, pierwsze słowa... Jej syn, Eliab. Był również pierworodnym synem króla Achaza, przyszłym królem Judy. Jego młode życie pełne było nadziei, tak wspaniale się zapowiadało.

- Nawet go nie ucałowałam na pożegnanie - nachyliła się, by pocałować Hiskiasza, łązy kapały na jej kędzierzawe, kasztanowe włosy.

- Powinna już pani odłożyć go do łóżeczka, Wasza Wysokość - powiedziała służąca. - Musi pani się przebrać i uczesać.

Abbija popatrzyła na przód swojej szaty, którą rozdarła z rozpacz. Nie będzie się czesać, kąpać, używać wonności. Jakżeby mogła po śmierci Eliaba?

- Nie - odrzekła cicho. - Pozwól mi opłakiwać syna.

- Ależ wie pani, że nie wolno pani go opłakiwać. Eliab nie umarł z powodu choroby czy...

- Będę opłakiwała syna - powtórzyła. Nie było jednak płaczek, które płakałyby razem z nią, nie było pogrzebowego orszaku, modlitw, nagrobka wyznaczającego miejsce, gdzie złożono jej dziecko.

- Umarł zaszczytną śmiercią, Wasza Wysokość. Była to chwalebna ofiara, którą należy świętować - upierała się De-

bora. Abbija spojrzała na nią z niedowierzaniem.

- Jaka matka mogłaby świętować śmierć dziecka? I jaki ojciec mógłby zabić dziecko, żeby ratować siebie? Tylko potwór mógł zrobić coś takiego - widziała, że jej słowa wstrząsnęły służącą, ale nie dbała o to. Spojrzała znów na śpiącego syna. -I tylko potwór zmusiłby inne swoje dzieci, by na to patrzyły.

- Powinna pani uważać na to, co pani mówi - Debora ściszyła swój głos prawie do szeptu. - Pani mąż jest królem.

- Och, doskonale zdaję sobie z tego sprawę - odparła gorzko Abbija. - Byłam obiecana królewskiemu domowi Dawidowemu od chwili moich narodzin. Przez całe życie ojciec powtarzał mi, że kiedyś wyjdę za króla - a robił to w taki sposób, jakby czekał mnie wielki zaszczyt. Miałam nosić przyszłych królów w moim łonie. Byłam błogosławiona między niewiastami - przerwała, wskazując palcem rozdartą szatę, -ale popatrz, jaką ceną zapłaciłam za ten zaszczyt. Mój syn nie żyje. A ja jestem żoną człowieka, którego będę nienawidziła do końca życia.

- Niech pani nie mówi takich rzeczy. Ktoś mógłby usłyszeć i...

- Nie dbam o to! Nienawidzę go! Nic tego nie zmieni!

- Nie myśl tak, o pani. To żałoba przez ciebie przemawia. Żyjąc tu w pałacu ma pani wyjątkową pozycję.

- Żyjąc jak królewski więzień.

Jej komnaty należały do najwspanialszych w całym pałacu - z jednej strony wysokie okna wychodziły na dziedziniec, z drugiej, z balkonu, rozpościerał się cudowny widok na miasto. Każdy element wyposażenia komnaty był piękny: stoły i świeczniki pokryte kością słoniową i złotem, kanapy pięknie rzeźbione i wyściełane. Wspaniałe gobeliny zdobiły wszystkie ściany, zaś jej łóżko było perfumowane i okryte jedwabiem. Ale blichtr i przepych tych pomieszczeń został

przygotowany ze względu na króla, nie ze względu na nią. I tak jak złocenie zgniętego drewna, zdobienia nie mogły zmienić nieszczęsnej doli Abbiji.

Nigdy nie kwestionowała swojego przeznaczenia, nigdy nie miała żadnych własnych nadziei czy marzeń. Po co miałyby marzyć, skoro jej życie zostało jasno ułożone już od urodzenia i nie było żadnej możliwości, by mogło przebiegać inaczej? Jej ojciec, Zachariasz, obiecał ją domowi Dawidowemu i jej życie biegło ku temu celowi w uporządkowany sposób, niczym gwiazdy, które przemierzają się po niebie o wyznaczonych porach. Jej ślub z Achazem prowadził do celu, dla którego się urodziła. Narodziny Eliaba wypełniły go.

Abbija pamiętała, że była zadowolona, że opuszcza dom. Pragnęła uciec od melancholii ojca, od codziennego widoku pijaństwa do nieprzytomności, podczas gdy jej matka starała się utrzymywać to w tajemnicy. W ciągu dnia w jakiś sposób był w stanie wykonywać swoje obowiązki - posługiwać w Świątyni, przekazywać uczniom swoją obszerną znajomość Tory, dyskutować o złożonych zagadnieniach Prawa Jahwe. Ukrywał *swoje* pijaństwo tak skutecznie, że ledwie kilka osób zorientowało się, że po śmierci króla Azariasza jego życie rozsypało się w gruzy. Abbija odeszła z domu i przeniosła się do pałacu. Nie miała jednak pojęcia, że wyszła za mąż za bałwochwalcę. I że pewnego dnia ten złoży w ofierze swemu bogu jej syna.

- Żałuję, że wyszłam za Achaza - mruknęła. - Wolałabym...

Przerwała. Obawiała się wyrazić swoje pragnienie na głos. Wiedziała jednak, że jej życie potoczyłoby się inaczej, gdyby wyszła za Uriasza. Arcykapłan Świątyni Jahwe nie złożyłby swojego pierworodnego syna w ofierze Molochowi. Gdy dorastała, Uriasz był stałym bywalcem ich domu, najzdol-

niejszym uczniem ojca przygotowywanym do godności arcykapłana. Gdy teraz go wspominała, zdała sobie sprawę, że zawsze ją kochał, zawsze odnosił się do niej z czułością. Przyjmowała tę miłość jako coś oczywistego, wyobrażając sobie, że Achaz będzie ją kochał w ten sam sposób. Ale w spojrzeniu króla Achaza nigdy nie było niczego prócz pragnienia. Wkrótce po wypowiedzeniu przysięgi małżeńskiej zrezygnowała z wszelkiej nadziei na jakąkolwiek miłość czy przyjaźń. Była własnością Achaza używaną przez niego dla przyjemności i mającą wydać na świat jego następcę - i niczym więcej. Synowie stali się jej całym życiem.

- To moje ciało wydało moje dzieci, Deboro. To mój ból i łzy. Zabierając Eliaba, zabrali część mnie. Mój mąż postanowił zabić mojego syna i nic nie mogłam zrobić. Ale nie pozwolę mu zabrać Hiskiasza - powiedziała, ściskając go mocno. - Obiecałam mu, że będę go chroniła i prędzej umrę, niż złamię tę obietnicę.

Służka uklękła przed nią na podłodze i błagała ją:

- Proszę nie czynić nic, czego- by pani potem żałowała, Wasza Wysokość.

- Już żałuję, że pozwoliłam innym mówić mi, co mam robić, myśleć i czuć. Tym razem sama o wszystkim zadecyduję.

Obróciła się do okna, by przez nie wyjrzeć, ale zapadła już noc a z nią ciemność i lęk. Jeśli nie znajdzie sposobu, by chronić dziecko, to ta noc nigdy się nie skończy, nawet gdy wstanie słońce.

- Musi pani się przebrać, Wasza Wysokość - Debora odezwała się łagodnie, dotykając dłoni królowej. - Nie można pozwolić, by król zobaczył panią w żałobie. Co będzie, jeśli dziś przyjdzie do komnat Waszej Wysokości?

Zabiłaby go. Wystarczająco go nienawidziła. Gdyby Achaz dziś przyszedł, wzięłaby nóż i zanurzyłaby go w jego sercu.

Pozwoliłaby mu poczuć nieco z cierpienia, jakie ona odczuwała. Jednak choć Abbija chciałaby tak zrobić, to wiedziała, że byłoby to głupie. Za śmierć króla zapłaciłaby własnym życiem, a wówczas co by się stało z Hiskiaszem?

- Może mogłabym sprawić, by Achaz mnie znienawidził tak, jak ja nienawidzę jego? - mruknęła półgłosem. - Może wtedy wypędziłby syna i mnie?

- Nie - odparła Debora. - Król ukarałby Waszą Wysokość, zabierając syna. Już nigdy byś go, pani nie zobaczyła.

Abbija wiedziała, że Debora ma rację. A gdyby Achaz odebrał jej Hiskiasza, nie miałyby już po co żyć.

- Niech Wasza Wysokość pozwoli mi uczesać teraz włosy - prosiła Debora - i przebrać w nowe szaty. Jeśli dziś przyjdzie król Achaz...

Abbija wzdrygała się na myśl o spaniu z Achazem po tym, jak zamordował Eliaba. Ale pomyślała jeszcze o czymś. Zamiast zasługiwać na nienawiść Achaza, może mogłaby się postarać zdobyć jego miłość. Jeśli jedyną jej bronią było jej piękno i powab, może mogłaby się nimi posłużyć, by zdobyć zaufanie męża i wpływać na jego decyzje. To mógłby być jedyny sposób, by chronić przed nim Hiskiasza. Tylko jak ma w ogóle udawać, że kocha Achaza, gdy tak wściekle go nienawidzi?

Hiskiasz poruszył się przez sen, wstrząsnął nim szloch. Tylko on jej pozostał. Eliaba już nie było. A Abbija obiecała Hiskiaszowi, że uczyni wszystko, by ochronić jego życie. Jeśli miało to oznaczać symulowanie miłości wobec mężczyzny, którego nienawidziła, uczyni to - dla syna.

- Dobrze, Deboro - odpowiedziała cicho. - Teraz się przebiorę. A ty możesz mnie uczesać.

Zachariasz zaczerwienionymi oczyma patrzył na pusty bukłak. Wypił całą jego zawartość, starając się zapomnieć. Ale nie zapomniał. Jaskrawe obrazy ofiary dla Molocha przesuwają się raz za razem w jego umyśle i zawsze kończyły się tak samo. Niewinne dzieci czekała śmierć w płomieniach, a on nie robił nic, by to powstrzymać. Stał tam, patrzył i nie próbował powstrzymać króla przed złożeniem w ofierze swego pierworodnego syna.

Tego ranka zbudziły go dźwięki szofarów i podążył za orszakiem do Doliny Hinnom. Ale gdy patrzył, jak król i starsi miasta składają swoje dzieci w ofierze Molochowi, tchórzostwo sparaliżowało jego ręce i nogi, zamknęło mu usta. Znał Prawo Boże. Był Lewitą, odpowiadał za pouczanie króla i całego ludu o Prawie. Ale milczał.

Gdy rzeź wreszcie dobiegła końca, oszołomiony wrócił do miasta i trafił na tę gospodę, szukając ucieczki w odrętwieniu, jakie sprowadza wino. Ale wiedział, że nawet gdyby wypił całą jego beczkę, nie wymaże z pamięci wspomnienia tych dzieci - jego rodzzonego wnuka, Eliaba - wrzucanych do bałwochwalczego ognia. Ukrył twarz w drżących dłoniach, ale obraz nie zniknął. Dlaczego to nie na niego spadł sąd Boży? To on był winien. To on powinien być zostać ukarany, nie niewinne dziecko, nie jego ciało i krew.

Zapadła noc, goście przychodzili i wychodzili, ale Zachariasz nie zwracał uwagi na hałas i wesołość wokół siebie. Nikt go nie dostrzegł, był sam ze swoim winem i swoją udręką. Gospoda stopniowo pustoszała, w miarę jak inni biesiadnicy wychodzili do domów. Szynek z kamienną podłogą i zdmuchnął płomień lampek oliwnych. Ostatni gość próbował upić się do nieprzytomności, ale obrazy dzisiejszego ranka stawały się dlań nie mniej, lecz wręcz bardziej wyraźne. Teraz bał się ruszyć. Nie mógł się cofnąć, by naprawić błędy,

jakie popełnił w życiu, a nie chciał też potęgować swojej winy, przez popełnianie kolejnych. Więc siedział załując, że to nie on zginął zamiast Eliaba.

- Zachariaszu! Zachariaszu, przyjacielu!

Podniósł wzrok, by ujrzeć Chilkiasza, który patrząc nań miękko, współczująco, wyciągał do niego rękę.

- Chodź, Zachariaszu. Szynkarz chce już zamykać. Poprosił mnie, żebym odprowadził cię do domu.

Nie dodał „znów”, chociaż mógłby. Od wielu lat, praktycznie każdego wieczora szynkarz posyłał po Chilkiasza, jedyne przyjaciela Zachariasza. Tylko po to, by ten go odprowadził do domu. Zachariasz zaczął pochylać głowę, aż w końcu jego czoło oparło się o stół.

- Zostaw mnie - jęknął.

- Wiesz, że cię tak nie zostawię. Musisz wracać do domu. Chilkiasz chwycił Zachariasza pod ramiona i sapiąc, starał

się go unieść. Kupiec był niski i pękaty, i wyraźnie brakowało mu sił, by postawić Zachariasza. Mimo to próbował. Ten zacisnął dłonie na blacie i usiłował wstać. Pomieszczenie zawirowało i zachwiało się.

- Teraz spokojnie - powiedział kojąco Chilkiasz - powolutku...

Zachariasz zobaczył, jak kupiec zostawia na stole stosik srebra i skinieniem głowy daje znak szynkarzowi. Następnie objął ramieniem kapłana w pasie i wyprowadził go na zewnątrz.

Jedyne światło dawał srebrny księżyc i kilka mdłych gwiazd. Ulice tonęły w cieniu i ciszy, Chilkiasz prowadził Zachariasza przez główny rynek, a następnie pod górę. Kwadratowe kamienne domy stały ściśnięte obok siebie i jeden na drugim tak, że czyjeś drzwi wychodzą na dach sąsiada. Wybudowane z miejscowego beżowego piaskowca w świetle księżyca wyglądały jak złożone. Gdy wspinali się tak jeden obok drugiego,

Zachariasz wsparł się mocno na swoim przyjacielu, choć jego łysiejąca głowa ledwie sięgała kapłanowi do ramion.

- Czemu sobie to robisz? - spytał łagodnie Chilkiasz. - Jesteś sługą Jahwe, błogosławione niech będzie Imię Jego.

Zachariasz zatrzymał się, starając się zrozumieć słowa przyjaciela. Dlaczego został zataczającym się pijakiem? Był sługą w Świątyni Jahwe, odziewał się w święte szaty, sprawował święte ofiary. Był... Wtem, jakby chmura zakryła księżyc, obraz jego samego posługującego jako lewita znikł. Zachariasz cicho jęknął.

- Co się ze mną stało? Byłem świętym mężem, a teraz... teraz...

Pomyślał o życiu, jakie niegdyś wiódł i o tym, które wiódł teraz. Przepaść między nimi wydawała się tak olbrzymia, że dziwił się, jak ją w ogóle kiedykolwiek przekroczył. Nie umiał też wyobrazić sobie, by mógł zrobić to ponownie i stać się, raz jeszcze, świętym mężem. Schylił głowę i szarpnął brodę w rozpacz.

- Nie zasługuję, żeby dłużej żyć. Zasługuję na śmierć! - Echo niosło jego głos pustymi ulicami. Czekał, pragnąc, by Bóg uśmiercił go natychmiast za jego grzechy, ale nic się nie stało. - Dlaczego Bóg mnie nie ukarze, Chilkiaszu? Dlaczego zamiast mnie muszą umierać małe dzieci? To ja na to zasługuję!

Zaczął szczekać jakiś pies, ktoś w pobliskim oknie zapalił lampę. Chilkiasz lekko pchnął Zachariasza naprzód.

- Chodź. Całe miasto obudzisz. Musisz wracać do domu. Ruszyli.

- Służyłem w Świątyni Salomona...

- Tak, wiem, przyjacielu. Chodź.

- Jestem Lewitą. Umiem wyliczyć wszystkich moich przodków w linii prostej aż do Lewiego, syna Jakuba.

- Nie dziś - Chilkiasz poklepał go po ramieniu. - Późno już. Może innym razem.

- Byłem księciem pozostałych Lewitów... Uczyłem świętego Prawa Jahwe... - nagle poczuł potrzebę rozmawiania o swoim wcześniejszym życiu, jakby to właśnie mogło mu pomóc odkryć, w którym momencie znalazł się w innym świecie, gdzie królowie składają bożkom w ofierze niewinne dzieci. - Bóg dał mi mądrość i rozum od wczesnej młodości - mówił bez ładu i składu - i król Azariasz posłał po mnie, gdy chciał uczyć się Prawa Bożego. Po mnie! Nauczyłem go bojaźni Jahwe i...

Nagle zachwiał się na luźnej cegle w bruku, tracąc wątek. Noc wypełniła cisza, którą przerywały jedynie ich ciężkie oddechy, gdy wspinali się stromą ścieżką. Im wyżej wchodzili, tym domy stawały się większe i bardziej wystawne. Zachariasz przypomniał sobie, że jeden z największych należy do Chilkiusza. Jego rodzina dostarczała wysokogatunkowy len na szaty obrzędowe i bogato wyszywane sukna dla wielu pokoleń rodu królewskiego. Ale Chilkiasz poprowadził go obok swojego domu i wspinali się dalej, aż dotarli do wrót pałacu króla Achaza. Tylko Świątynia Jahwe na wzgórzu stała wyżej niż pałac.

Zachariasz zatrzymał się, by złapać oddech. Przypomniał sobie czas, gdy mieszkał w tym pałacu. Był kimś ważnym, miał władze i autorytet. Ile to lat temu? Kiedyś przewodził narodowi, nad nim był tylko król Azariasz.

- Moja córka wyszła za króla - odezwał się nagle.

- Tak. Tak. Wiem - Chilkiasz też usiłował złapać oddech.

- Król Azariasz powiedział mi - obiecał mi - że jeśli kiedykolwiek będę miał córkę, wyjdzie ona za przedstawiciela domu Dawidowego. Wyobrażasz to sobie? Moja córka zanim się jeszcze urodziła... - przerwał. Jego córka była matką Eliaba. Eliab zginął w płomieniach. To wszystko jego wina.

- Jahwe, tak bardzo przepraszam! - jęknął. - Och Eliabie, synku, przepraszam! - Próbował paść na kolana, ale Chilkiasz pociągnął go do góry.

- Nie, nie, przyjacielu. Wstań. Chodź.

Poprowadził Zachariasza dalej, w górę wzniesienia, powyżej pałacu. Ale wspomnienia nie opuszczały zamroczonego alkoholem starca.

- Odwróciłem się od Boga - powiedział z przerażeniem.

- Powoli, powoli... Rok po roku. Jedząc z królem przy jednym stole, pijąc jego wino, słuchając wszystkich tych pochlebstw... Powoli... Aż któregoś dnia - pokręcił głową - aż któregoś dnia Bóg stał się dla mnie obcy.

Właśnie tak przekroczył tę przepaść. Już sobie przypominał. Nie jednym, wielkim skokiem, ale stopniowo, tak, że nie zauważył, iż stacza się, nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo oddala się od Boga, aż było za późno. Przez wszystkie te lata żył po to, by podobać się sobie, a nie Bogu, czyniąc zadość Jego świętym prawom jedynie pustymi słowami. A teraz, gdy krzyczał do Boga, jego niezliczone grzechy pochłaniały jego modlitwy, zanim te dotarły do nieba. Jego wina wypełniała przepaść ziejącą między nim a Bogiem.

- Tak bardzo przepraszam! - jęczał.

- Ćśś... Ćśś... - uspokajał kupiec. - Teraz to nieważne. Jesteś już prawie w domu, przyjacielu. Widzisz? To Świątynia.

- Zostaw mnie tu, Chilkiaszu, znam drogę. Kupiec klasnął językiem.

- Jak mogę cię tutaj zostawić? Nie dojdiesz do domu sam. Chodź.

Przeszli przez bramę Świątyni i przez szeroki, pusty dziedziniec. Świątynia Jahwe wyłoniła się przed nimi, wyraźnie było widać w świetle księżyca białe kamienie, z których była zbudowana. Zachariasz zatrzymał się ponownie, gdyż zaska-

kująco gwałtownie pojawiło się kolejne wspomnienie. Król Azariasz chciał wejść do środka tej Świątyni, do miejsca świętego, gdzie wolno było wchodzić jedynie potomkom Lewiego. „Królowie innych narodów nie potrzebują, by to kapłani składali ich ofiary - upierał się Azariasz. - Dlaczego ja miałbym ich potrzebować?”. Zachariasz zamknął oczy wspominając bezczelność Azariasza i - ze wstydem - swoją własną bezczynność. Powinien był wiedzieć, co odpowiedzieć królowi. Był jego zaufanym doradcą, nauczycielem Bożego Prawa. Ale nie znalazł odpowiedzi na tamte słowa Azariasza, nie próbował go powstrzymać. Pozwolił, by król wziął do dłoni kadzielnicę i wszedł z nią do Świętego Miejsca, gdzie nie wolno mu było wchodzić. Kapłani stawili czoła królowi, krzykiem rozkazali mu je opuścić. Król Azariasz w swej pysze nie ustąpił. Ale Jahwe ujrzał go i Jego wyrok spadł na króla natychmiast. Tam, w Świętym Miejscu, Jahwe przeklął króla Azariasza i poraził go trądem. Król uciekł ze Świątyni i pozostał wyrzutkiem do końca swoich dni.

- To moja wina, że Azariasz umarł jako trędowaty - odezwał się cicho Zachariasz. - Powinienem był go upomnieć, żeby nie wchodził do Świątyni. Powinienem był go powstrzymać...

- To było tyle lat temu - odpowiedział Chilkiasz. - Wszyscy w Judzie znają straszny los króla Azariasza, niech spoczywa w pokoju.

Trącił Zachariasza, który ruszył ponownie, i poprowadził go szerokim łukiem wzdłuż zewnętrznego obwodu dziedzińca Świątyni, z dala od miejsca, zwanego Świętym Świętych. W końcu dotarli do budynków po północnej stronie, gdzie znajdowały się różne przechowalnie, pokoje spotkań i mieszkania przygotowane dla dyżurujących Lewitów. Pamiętał, że po śmierci króla Azariasza - po wyprowadzce z pałacu - mieszkał w jakimś domu, z żoną i rodziną. Ale teraz

nie mógł sobie przypomnieć, co się stało z jego domem i dlaczego już tam nie mieszka.

Chilkiasz zaprowadził go do jego pokoju i pomógł mu zdjąć wierzchnią szatę, po czym posadził go na łóżku, by rozwiązać mu sandały.

- Prześpij się nieco, przyjacielu - powiedział, ściskając go ramieniem.

- Król Azariasz nie żyje - mruknął Zachariasz.

- Tak, tak. Nie żyje.

Zachariaszowi przypomniał się jego haniebny pogrzeb poza królewskim grobowcem.

- Jego syn, Jotam, też już nie żyje, a teraz panuje jego wnuk, Achaz. Ożenił się z moją córką. Wiedziałeś o tym?

- Tak, mówiłeś mi to już nie raz - Chilkiasz skinął głową. - No, dobranoc, przyjacielu. Muszę wracać do siebie.

- Twoje dzieci, Chilkiaszu! - Zachariasz ścisnął rękę kupca, by go zatrzymać. - Gdzie są twoje dzieci?

- Mój syn, Eliakim, jest w domu - odparł Chilkiasz, delikatnie uwalniając się z uścisku. - Myślę, że już smacznie śpi.

Zachariasz musiał przyjacielowi wszystko wytłumaczyć, powstrzymać go, by nie popełnił tych samych błędów, co on.

- Musisz sumiennie uczyć swojego syna Bożego Prawa. A potem jego dzieci - powiedział błagalnie. - Tak nakazuje Tora. Nie udało mi się nauczyć ich króla Azariasza i teraz... Teraz król Achaz jest gorszy niż wszyscy poprzedni. Ustawił pogańskie ołtarze na każdym skrzyżowaniu. Nawet własnego syna złożył w ofierze... - to wspomnienie było dla Zachariasza nie do zniesienia nawet mimo oszołomienia, jakie wywołało wino. Ukrył twarz w dłoniach - To moja wina.

- Boże Abrahama, co mam robić? - szepnął Chilkiasz.

- Teraz mam odpowiedź dla króla Azariasza! Teraz wiem, co mu powiedzieć! Powiedziałbym mu, że Jahwe przykazał

nam, byśmy nie czcili Go tak, jak inne narody czczą swoich bogów, ponieważ czynią one wszelkiego rodzaju ohydę, której Pan nienawidzi. Nawet palą swoich synów i córki w ogniu na ofiarę swoim bogom.

- Musisz odpocząć... - zaczął Chilkiasz, ale Zachariasz mu przerwał.

- Poszedłem dziś za orszakiem do Doliny Hinnom.

- Nie, Zachariaszu... Nigdy byś nie wziął udziału w...

- A jednak! Poszedłem tam - widział przerażenie w oczach przyjaciela, ale znalazł w sobie siłę, by wyznać swoje grzechy. - Widziałem, jak składają w ofierze mojego wnuka, Eliaba, pogańskiemu bożkowi. I przypomniałem sobie, co jeszcze jest napisane w Torze: „Ja Pan, twój Bóg, jestem Bogiem zazdrosnym, który karze występki ojców na synach do trzeciego i czwartego pokolenia względem tych, którzy Mnie nienawidzą”¹. Eliab zginął przede mną, Chilkiaszu, przez to, że ja zgrzeszyłem.

Zachariasz pochylił głowę nad kolana zasłaniając ze wstydu twarz.

- Ukarz, Panie, mnie - błagał - nie moje dzieci! Pozwól mi umrzeć za moje grzechy. Pozwól umrzeć mi!

Poczuł na ramieniu dłoń Chilkiasza.

- Och, przyjacielu. Jak mam cię pocieszyć? Boże Abrahama, jak on ma odnaleźć pokój pod tak ciężkim brzemieniem win?

¹ Cytat pochodzi z Księgi Wyjścia, rozdział 20 [przyp. red.].

2.

Koszmar wyrwał Hiskiasza ze snu. Znow śnił mu się Moloch. Sen był tak realistyczny, że chłopiec czuł nawet żar płomieni. Leżał teraz w ciemnościach, dysząc ciężko. Serce waliło mu tak mocno, że aż bolała go pierś. Nasłuchiwał głosów żołnierzy i bicia bębnów, ale pałac tonął w ciszy.

To tylko zły sen - powiedział sobie. Ale gdy spojrział na łóżko Eliaba, wiedział, że Moloch był prawdziwy. Nie mógł tylko śnić o tamtym strasznym poranku, gdy wzięli Eliaba i wrzucili go w płomienie. A jeśli żołnierze wrócą po niego?

Hiskiaszowi wydawało się, że od śmierci Eliaba upłynęło już wiele czasu. Stryj Maasejasz i jego żołnierze wyruszyli na wojnę, ale co będzie, gdy wrócą? Chłopiec bał się, czy i jego, tak jak Eliaba, nie wrzucą do paszczy potwora. Pamiętał, jak żołnierze nieśli go tak, jakby nic nie ważył. Pamiętał ich miecze i włócznie... Jego ciało przeszył dreszcz, który postawił go na równe nogi. Był bezradny. Słudzy, którzy spali w pobliżu, nie uratowaliby go. Nie uratowali przecież Eliaba. Tylko mama próbowała powstrzymać żołnierzy. Ona by go chroniła.

Hiskiasz zszedł z łóżka i pobiegł przez ciemne korytarze do komnat matki w skrzydle dla kobiet. Od śmierci Eliaba mama pozwalała mu przychodzić do siebie i zostawać zawsze, kiedy miał zły sen. A koszmary śniły mu się prawie co noc.

Jej drzwi nie były zamknięte na zamek. Hiskiasz otworzył je pchnięciem i pobiegł do niej.

- Mamo, mamo! Boję się! - krzyczał. Abbija siedziała sama na wyścielanym krześle przy oknie, patrząc na nocne niebo, ale na jego krzyk odwróciła się i sięgnęła, by objąć go ramionami.

- Chodź, malutki. Ćśś... już nie płacz.

Mama była ciepła, miękka i bardzo piękna. Jej ciemne, pachnące kwiatami i mirrą włosy spływały obfitymi falami po jej plecach. Tu Hiskiasz czuł się bezpieczny. Ona powstrzyma żołnierzy. Ona powstrzyma koszmary. W ukojeniu jej ramion, tuląc policzek do jej barku, zamknął oczy i zasnął.

Obudziły go jakieś głosy. Krzyknął ze strachu, że żołnierze wrócili, ale w drzwiach stał tylko jego ojciec. Wydawał się Hiskiaszowi taki wielki, a w migoczącym świetle lampy jego twarz budziła lęk. Mama ścisnęła synka jeszcze mocniej, ledwo mógł oddychać. Jej serce biło tak samo mocno, jak jego.

- Co ten chłopak tu robi? - zapytał Achaz. Sapał od wchodzenia po schodach, a jego czoło lśniło od potu.

- Dobry wieczór, panie. - Głos mamy brzmiał niemal jak szept. - Nie sądziłam, że dziś przyjdiesz. Twój syn miał zły sen. Przyszedł, żebym go pocieszyła, to wszystko.

- Aha, no to odpraw go, niech idzie do siebie. - Achaz był taki przerażający, że Hiskiasz miał ochotę rozpuścić się w ramionach matki. Ona jednak powoli go wypuściła z objęć, wstając i opuszczając jego stopy na podłogę. Szarpnęła go za dłoń, by ukłonił się Achazowi, jak ona.

- Twój ojciec jest naszym królem - powiedziała. - Musimy okazać mu szacunek ukłonem.

Hiskiasz uczynił, jak kazała. Gdy spojrział w górę, jego ojciec wyglądał na zadowolonego.

- Twój syn Hiskiasz bardzo cię przypomina, panie - powiedziała Abbija, opierając dłonie na jego barkach. - Jeśli postanowisz, by został kiedyś twoim następcą, będzie to świetna decyzja.

Achaz przeszedł przez pomieszczenie i stanął przed nimi. Zaczął się przypatrywać Hiskiaszowi, a serce chłopca biło tak szaleńczo, że bał się, że wyskoczy mu z piersi. Chciał uciec i się schować.

- Ale nie jesteś moim pierworodnym - oświadczył Achaz. - Swojego pierworodnego złożyłem w darze Molochowi.

Gdy do Hiskiasza dotarła ta straszna prawda, zaczął drżeć. To nie żołnierzy powinien się bać, ale ojca. To on rozkazał żołnierzom, żeby wrzucili Eliaba w ogień. I mógł kazać zabić i jego - Hiskiasza.

Achaz w końcu popatrzył w inną stronę.

- Nie słyszałaś mnie, Abbijo? - zwrócił się do matki Hiskiasza, rozluźniając pasek tuniki. - Powiedziałem, żebyś odprawiła chłopca.

- Oczywiście, panie - uśmiechnęła się, ale Hiskiasz wiedział, że to nie był jej prawdziwy uśmiech. Była tak odmieniona, że wstrząsnął nim zimny dreszcz. Mama też się bała króla Achaza. Prawie tak, jak on sam.

Chłopak sam się wywinął z matczynych objęć, ruszył biegiem, omijając ojca i zatrzymał się dopiero w swoim pokoju. Zamknął gwałtownie drzwi i oparł się o nie, jakby chciał się zabarykadować od wewnątrz. Miał mdłości ze strachu. To jego ojciec zabił Eliaba. Król był najpotężniejszym człowiekiem, jaki istniał. Kto mógłby ochronić Hiskiasza przed królem?

Był teraz zupełnie rozbudzony. Czuł mrowienie w każdym mięśniu i zakończeniu każdego nerwu. Gdzie mógłby się schować? Komnaty jego matki nie były już bezpieczne. Bał się tu zostać, ale przerażała go też myśl o ucieczce. Stał w bezruchu, zastanawiając się, co robić.

Jego oczy stopniowo przyzwyczajały się do ciemności, a jego oddech uspokajał się. Na korytarzach sąsiadujących

z jego pokojem również panowała cisza i spokój. W miarę jak znajome zarysy pomieszczenia nabierały kształtów, cienie stawały się mniej groźne. Mógł już dostrzec brązowe świeczniki na tle ścian, stół z kości słoniowej pod oknem, skrzący się nikło koksownik i pogniecioną pościel na swoim pustym łóżku. I łóżko Eliaba.

Na wspomnienie brata łzy napłynęły mu do oczu i potoczyły się po twarzy. Ubrali Eliaba w białą, lnianą tunikę i zmusili do pójścia w orszaku do Doliny Hinnom. Orszak prowadził jego ojciec ubrany w królewskie szaty. Złożył Molochowi w ofierze swojego pierworodnego syna. Ale Hiskiasz wciąż nie rozumiał, dlaczego. Dlaczego jego ojciec zabił Eliaba?

Abbija postąpiła naprzód w objęcia Achaza, rozpaczliwie starając się ukryć przed nim swoje uczucia. Nazywając Eliaba darem dla Molocha, wydawał się być dumny z tego, co uczynił. Ale Abbija pamiętała święte prawa, których niegdyś nauczał jej ojciec, a te mówiły, że pierworodni synowie należą do Jahwe. Ich życie należało wykupić srebrem, nie zaś składać w ofierze bożkom. Jahwe chciał, by jego dzieci służyły Mu swoim życiem, nie śmiercią. Ale Abbija nie śmiała wypowiedzieć tych myśli na głos.

Oparła się o męża, powstrzymując płacz, zmuszając się do tego, by nie poddać się smutkowi, który wciąż ją pochłaniał. Dla dobra Hiskiasza musiała odsunąć na bok własną odrazę, gdy dotykały ją ręce Achaza. Mimo bólu musiała się uśmiechać.

- Czy dobrze ci ze mną, panie - mruknęła, odpowiadając czule na jego pieśczęty.

- Zaczyna się dobrze - odrzekł, pochylając się, by ją pocałować. Chciała odpowiedzieć pocałunkami, udawać, że sprawiają jej przyjemność. Ale Achaz nagle przestał. - A dlaczego pytasz?

Serce zaczęło jej mocniej bić. Przestraszyła się, że przesadziła i wzbudziła w nim podejrzenia.

- B... bo bardzo bym chciała, żeby ci było ze mną dobrze.

- Miała nadzieję, że nie przejrzy jej niezdarnej odpowiedzi.

- Wiem, że masz kilka nałożnic, ale ja jestem twoją jedyną żoną. Chyba... chyba jestem trochę o nie zazdrosna.

Achaz uśmiechnął się szeroko. Poczwała, że nienawidzi go bardziej, niż wydawało jej się to możliwe. Schowała twarz w jego torsie, by ukryć odrazę.

- Chcę być tą, do której przychodzisz co noc - powiedziała. - Król Dawid miał swoją ulubioną żonę. Chcę być twoją ulubioną.

- Mam cię więc nazywać Batszebą? - zapytał, całując jej szyję.

- Jeśli byś chciał, panie - odpowiedziała, udając śmiech.

Abbija wiedziała, że Dawid wybrał syna Batszeby na swojego następcę, choć Salomon nie był jego pierworodnym synem. Gdyby mogła zdobyć większe względy u Achaza niż pozostałe jego kobiety, gdyby to ona była tą, do której przychodzi po pokrzepienie i pociechę, mogłaby go poprosić, by wyznaczył Hiskiasza na swojego następcę. Kochała swojego syna na tyle, by zrobić to dla niego, by uratować go przed Molochem, nawet gdyby miała poświęcić w tym celu własną pychę i dumę.

Powiedziała sobie, że najtrudniejsza będzie pierwsza noc, tak krótko po śmierci Eliaba. Może z czasem nauczy się za każdym razem, gdy Achaz będzie do niej przychodził, wyłączać umysł i udawać, że była myślami gdzie indziej. Może

z czasem każdy jego dotyk przestanie przyprawiać ją o wstręt. Wzięła głęboki oddech i zaczęła odgrywać swoją rolę gotowa na wszystko, byleby zadowolić Achaza - dla dobra syna.

Jednak gdy ktoś im przeszkodził, uderzając głośno w drzwi, Abbija poczuła niezmierną ulgę.

- Kto tam? - krzyknął Achaz.

- Wasza Wysokość, proszę wybaczyć, że przeszkadzam

- powiedział zza zamkniętych drzwi jeden z szambelanów

- ale właśnie przybył posłaniec z nowinami od wojsk Waszej Wysokości.

Abbija poczuła, że Achaz się przejął. Spojrzała na niego i zobaczyła nieskrywany lęk. Pomyślała o Eliabie i nie współczuła mężowi ani trochę.

- Chwileczkę - krzyknął Achaz, gdy tylko ochłonął.

Przeszedł przez komnatę i otworzył drzwi. Abbija ruszyła za nim. Szambelan, który czekał za drzwiami wyglądał na bardzo zaniepokojonego.

- Proszę wybaczyć, Wasza Wysokość. Nigdy bym Waszej Wysokości nie przeszkadzał, gdyby to nie było takie pilne.

- Co to za nowina?

- Chy... chyba niedobra. Są jeszcze poza tym dwa raporty, które powinienesz, o panie, zobaczyć.

Achaz odwrócił się do Abbiji, widziała teraz, jak niepewnie się czuł. Chciał uciec przed tym kryzysem w jej ramiona, nie musieć stawiać mu czoła. Widziała, że jej plan zdobycia jego zaufania ma szanse powodzenia. Powinna wykorzystać jego słabość i użyć swoich wdzięków, by zdobyć na niego wpływ. Gdyby tylko udało jej się zignorować odrazę i udawać, że go kocha, mogłaby się zorientować, na czym polega problem i jakie plany ma Achaz. Bo jeśli miałby zamiar złożyć Molochowi kolejną ofiarę, musi ukryć przed nim Hiskiasza.

- Jeśli byś chciał, panie - powiedziała, sięgając do jego szyi i pieszcząc ją - chętnie dziś przyjdę do twoich komnat i poczekam, aż spotkanie się skończy.

Zaskoczony król uniósł brwi. Na jego twarzy malowała się wrażliwość, jakiej jeszcze nie widziała, jakby jej propozycja naprawdę go poruszyła. Zawsze to on przychodził do jej komnat. Ona nigdy nie proponowała, że przybędzie do niego.

Odgarnęła jego rzadkie włosy i otarła czoło z kropelek potu. Achaz odwrócił się do szambelana.

- Dlaczego do katastrof zawsze dochodzi w środku nocy? - zapytał, gdy odchodzili razem.

- Nie wiem, Wasza Wysokość.

Abbija zamknęła za nimi drzwi. Odchodzili w pośpiechu, ich głosy cichły. Pogrywanie z nim, pozwalanie, by morderca jej syna ją pieścił, sprawiało, że czuła się brudna, walczyła z potrzebą kąpieli. To tylko pierwsza z wielu nocy, które będzie musiała z nim spędzić. Zastanawiała się, czy w ogóle przyzwyczai się do bycia z człowiekiem, którym gardziła. Usiadła na chwilę na łóżku pod baldachimem i pozwoliła popłynąć wstrzymywanym łzom.

Gdy się ich pozbyła, osuszyła oczy i zebrała się na odwagę, by zejść na dół. Poczekaj na Achaza w jego sypialni.

Hiskiasz bardzo długo stał przy drzwiach nasłuchując każdego dźwięku: cykania świerszcza na dziedzińcu pod oknem, sowy huczacej łagodnie u źródła w dolinie, skrzypienia okiennicy, gdy za oknem powiał wiatr. Nie minęło wiele czasu, a dźwięki nocy zaczęły się zlewać w kojący rytm. W nogach poczuł zmęczenie, oczy kleiły mu się do snu. Miał już wracać do łóżka, gdy przez szparę pod drzwiami ujrzał tańczący

płomyk pochodni. Ktoś spieszył się przez korytarz w stronę jego pokoju, minął go i szedł dalej. Hiskiasz uchylił lekko drzwi i wyrzwał. Usłyszał za rogiem, od strony komnaty swojej matki, uporczywy łomot do drzwi i pełne napięcia głosy. Nasłuchiwał gotów do ucieczki, serce mu waliło w piersi.

Chwilę później światło pojaśniało, mężczyzna z pochodnią ruszył korytarzem z powrotem w jego stronę. Zobaczył, jak zza rogu wychodzi jego ojciec z pałacowym szambelanem.

- Wezwałem doradców Waszej Wysokości do sali obrad - mówił sługa. - Będzie miał Wasza Wysokość kilka minut na przeczytanie raportów samemu, zanim ci przybędą.

- Co z moim bratem? - pytał Achaz, przechodząc szybko obok zerkającego przez cieniutką szparę Hiskiasza. - Czy posłaniec powiedział, gdzie jest Maasejasz?

Hiskiasz nie usłyszał odpowiedzi. Gdy mężczyźni zniknęli na schodach, głosy ucichły. Stał w ciemnościach, bosy na zimnej podłodze i drżał. Dlaczego ojciec pytał o stryja Maasejasza? Hiskiasz wyszedł na korytarz. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie pobiec do bezpiecznego schronienia, jakim była komnata jego matki. Ale zaraz pragnienie pociechy zostało stłamszone przez większą potrzebę, potrzebę zrozumienia, dlaczego jego ojciec ofiarował Eliaba Molochowi. Skradając się po schodach, podążył za Achazem do sali obrad.

W wejściu dla służby prowadzącym do sali obrad wisiała ciężka zasłona. Hiskiasz wśliznął się za nią i schował w przedpokoju, w którym zwykle słudzy czekali na wezwanie. Niewielkie pomieszczenie było puste, przykucnął więc za kolumną i zerknął w głąb sali. Tron jego ojca stał na wysokim podeście w jednym z jej końców, obok niego znajdowało się puste miejsce dla stryja Maasejasza. Przed podestem na królewskich doradców czekały grube wełniane dywany i poduszki. Między nimi uwijał się sługa, który zapalał lampy

i koksownicy. Nawet, gdy zapalił wszystkie lampy, sala wydawała się ponura. Skończywszy, sługa opuścił salę, mijając w pośpiechu Hiskiasza, którego nawet nie zauważył.

Król Achaz stał pod świecznikiem i czytał zwój, jego usta zacisnęły się w cienką kreskę. Hiskiasz usłyszał jego jęk, po czym pergamin upadł na podłogę, a Achaz rozdarł z przodu swe szaty.

- Nie powinienem był posyłać go w bój! - krzyknął. - Jak mam rządzić tym ludem bez Maasejasza?

Spojrzał w górę na grube, cedrowe belki, jakby tam zapisano odpowiedź na jego pytanie.

- Proszę usiąść, Wasza Wysokość. Jesteś zdenerwowany - szambelan ujął ramię Achaza i zaprowadził go do tronu. -Przeżyłeś, o panie, wielki wstrząs. Ale doradcy królewscy już nadchodzą. Będą wiedzieli, co należy czynić.

Achaz opadł na fotel, do sali wchodzili już pospiesznie jego zaufani. Byli półprzytomni ze zmęczenia i zdezorientowani; niektórzy przecierali jeszcze zaspane oczy. Któryś zapytał:

- Czy są wieści o wojskach Waszej Wysokości?

Hiskiasz natychmiast czujnie nadstawił ucha. Przypomniawszy sobie niekończące się szeregi żołnierzy na dziedzińcu, żołnierzy, którzy zmusili go do marszu do Doliny Hinnom. Zanieśli go po schodach na podest przed potwora po czym otoczyli tak, że ani on, ani Eliab nie mogli uciec. Wojsko jego ojca.

Król Achaz podniósł ze stolika z kości słoniowej czarę z winem, wychylił dwa szybkie hausty, po czym otarł usta wierzchem dłoni.

- Tak. Katastrofalna wiadomość - powtórzył. - Wojska, które wysłałem na północ, by powstrzymały inwazję, zostały zwyciężone. Sto dwadzieścia tysięcy żołnierzy zamordowano. Moi trzej dowódcy: Azrikam, Elkana i mój brat Maasejasz...

Wykonał ręką gest w stronę pustego miejsca obok siebie. Głos uwiązał mu w gardle. W sali zrobiło się tak cicho, że Hiskiasz słyszał delikatny syk płonących lamp, które rzucały na ściany drgające cienie.

- Wszyscy trzej nie żyją - oświadczył w końcu. Sięgnął raz jeszcze po kielich i wypił kolejne dwa hausty. - Wrogi sojusz okazał się silniejszy, niż sądziliśmy. Straciłem większość mojej armii, a wojska najeźdźców wciąż maszerują na południe, zajmując każdą wieś i miasto na swojej drodze. Wzięli do niewoli ponad dwieście tysięcy ludzi.

Hiskiasz usłyszał, jak kilku spośród doradców jęknęło. Achaz przełknął kolejny łyk napoju i chwycił podłokietniki tronu, jakby chciał odzyskać równowagę.

- Wróg zmierza tutaj. Chce zdobyć Jerozolimę i mnie obalić. Wszyscy naraz zaczęli rozmawiać, przez salę przeszedł

szmer paniki. Gdy fala szoku dotarła do Hiskiasza, zaczął drzeć. Ukucnął głębiej w cieniu. Achaz opróżnił kielich i krzyknął:

- Uciszcie się! To jeszcze nie koniec. W sali natychmiast zapadła cisza.

- Otrzymałem również wieści z południa. Król Edomu wykorzystał obecny kryzys i najechał na nasz jedyny port morski. Straciliśmy Elat.

W zgromadzeniu znów zapanował chaos i raz jeszcze Achaz krzykiem wezwał mężczyzn do milczenia.

- Jest jeszcze coś! Nasi dawni wrogowie, Filistyni, również ruszyli przeciw nam. Najechali na miasta na pogórzu, na Negew, i już zajęli Bet Szemesz, Ajjalon, Timnę... i jeszcze trzy czy cztery kolejne, których nazw nie pamiętam.

Mężczyźni patrzyli na Achaza tak, jakby nie mogli uwierzyć w to, co im mówi. Ktoś zapytał:

- Zaatakowano nas z trzech stron?

-Tak.

Hiskiasz nie rozumiał, co się dzieje, ale z nerwowych szeptów wynikało, że ci ludzie się boją. Wstrzymał oddech i słuchał.

- Co zrobimy? - spytał ktoś inny.

- Na razie musimy zapomnieć o Edomitach i Filistynach - odpowiedział Achaz. - Najpoważniejsze zagrożenie stanowi sojusz północny. Wojska aramejskie dotrą do Jerozolimy w ciągu kilku dni. Są dobrze zorganizowane i silne, a nam pozostało bardzo niewiele żołnierzy. Więc powiedzcie mi wy: co zrobimy? - patrzył na swoich doradców przez kilka dłuższych chwil, ale nikt nic nie odpowiedział. - Czy ktoś ma jakąś radę?! - głos Achaza zamienił się w krzyk.

Wreszcie wstał jakiś możny pan siedzący blisko tronu.

- Wasza Wysokość, jeśli Jerozolimę czeka długotrwałe oblężenie, musimy się zastanowić nad kwestią dostępu do wody. - Mężczyzna miał na palcach kilka złotych pierścieni i gdy gestykulował, Hiskiasz widział na suficie nad jego głową błyski przypominające świetliki. — Od pory deszczowej dzieli nas jeszcze wiele miesięcy - kontynuował doradca - a w miejskich cysternach pozostało niewiele wody. Czy możemy w jakiś sposób obronić źródło Gichon? Bo jeśli nie, gdy tylko zamkniemy bramy miasta, zostaniemy odcięci od wody.

- Doskonale wiem, gdzie znajduje się źródło! - Krzyknął Achaz. - Cała Jerozolima wie, że wewnątrz murów nie mamy wody. Ale co możemy teraz z tym zrobić? Wróg będzie tu za kilka dni!

Spojrzał na doradcę, jakby żądając odpowiedzi. Ten wzruszył ramionami i usiadł.

- Zatem on nie ma dla mnie żadnej rady. A reszta z was? Z tyłu sali, niemal pod przeciwległą ścianą, powstała jakaś samotna postać.

- Ja mam, Wasza Wysokość.

- Kim jesteś? Podejdź bliżej, żebym cię zobaczył.

- Jestem Uriasz, arcykapłan Świątyni Jahwe - jego głos był czysty i niski i, odmiennie od pozostałych doradców Achaza, ten człowiek okazywał spokój. Był wysoki i dobrze zbudowany, gdy kroczył, wydawał się tak władczy, że Hiskiasz skulił się w zacienionym miejscu, gdzie wcześniej przykucnął, gdyż poczuł nagły lęk.

Nie mógł się powstrzymać przed porównaniem arcykapłana do Achaza. Król pod każdym względem wypadał gorzej. Uriasza barki były umięśnione, tors szeroki, zaś Achaz był zwiotczały i zgarbiony, pod tłuszczem nie było widać żadnych mięśni. Czarne włosy i broda Uriasza wyglądały na obfite i gęste, podczas gdy delikatne, rude włoski na twarzy Achaza tworzyły jedynie skąpy, postrzępiony zarost. Kapłan nie wykonywał żadnego zbędnego ruchu, każdy jego gest był przemyślany i zdecydowany, zaś Achaz nie umiał utrzymać rąk przy sobie, ciągle nimi nerwowo ruszał. Ku swemu zaskoczeniu Hiskiasz zobaczył, że jego ojciec pochyła się na swoim tronie, patrząc na wysokiego kapłana jakby z podziwem.

- Pozwalam ci mówić, Uriaszu.

- Wasza Wysokość, nasz lud potrzebuje silnego sprzymierzeńca, który przyszedłby nam z pomocą. Proponuję, byśmy zwrócili się jak najszybciej, do któregoś z naszych sąsiadów.

- Wspaniała propozycja - odparł Achaz, rozsiadając się z powrotem na tronie. - Pytanie, który lud miałby najwięcej chęci, by nam pomóc?

- Wiele się nad tym zastanawiałem... - zaczął Uriasz, ale Achaz mu przerwał.

- Którego państwa najbardziej obawiają się nasi wrogowie? Chcę wybrać takiego sojusznika, by wieść o przymierzu napełniła serca Aramejczyków lękiem.

- Wasza Wysokość, lepiej byłoby, gdybyśmy...
- Chcę takiego sprzymierzeńca, który sprawi, że wycofają się z Judy, gdy tylko dowiedzą się o sojuszu. Kogo wybrać?
- Wasza Wysokość - ze swego miejsca wstał ponownie mężczyzna z pierścieniami, - najgroźniejsi dla Aramejczyków są Asyryjczycy. Imperium Aasyryjczyków już jest rozległe i obszerne. Jestem pewien, że król Aramu obawia się, by nie stać się ich kolejnym celem.
- Doskonale! - krzyknął Achaz. - Czy Asyryjczycy zechcą się z nami sprzymierzyć? - zapytał Uriasza.
- Sojusz z nami da im oczywiście punkt zaczepienia w naszym regionie, a właśnie tego potrzebują - odparł Uriasz. - Sądzę jednak, że powinniśmy najpierw zastanowić się nad bezpieczniejszym sprzymierzeńcem. Asyryjczycy to lud bezwzględny, brutalny, złąkniony krwi i sądzę, że błędem byłoby ich prosić, by...
- Dobrze! Im bardziej złąknieni krwi, tym lepiej - rzekł Achaz. - Chcę, by ci, którzy zabili mojego brata, cierpieli!
- Te słowa wstrząsnęły Hiskiaszem. On też chciał ukarać tego, kto zabił jego brata - ale jak? Odpowiadał za to jego ojciec. Król.
- Uriasz ma rację - mówił dalej król. - Musimy przekonać inny kraj, by stanął w naszej obronie. Nie jesteśmy w stanie się obronić bez wojska. Im silniejszy sojusznik, tym lepiej - wziął głęboki oddech. - Prześlemy Asyrii w hołdzie dar i propozycję sojuszu. Podarunek musi być wyjątkowo hojny, by przekonać ich, że jesteśmy cennym sprzymierzeńcem. Musimy przesłać im złoto, srebro, drogocenne kamienie... i musimy działać szybko, zanim wróg rozpocznie oblężenie Jerozolimy.
- Ale, Wasza Wysokość - zaprotestował jeden z doradców - skąd weźmiemy ten dar? Nie mamy czasu na uchwalenie

i zebranie podatków, a skarbiec królewski opróżniliśmy już, by wyposażyć armię Maasejasza.

Król Achaz rozejrzał się po sali, jakby miał nadzieję, że w czarodziejski sposób pojawią się w niej sztabki złota. Następnie jego wzrok padł na stojącego wciąż przed nim kapłana.

- Uriasz, weźmiesz złoto i inne kosztowności ze Świątyni Salomona.

- Ależ Wasza Wysokość - wyglądało na to, że polecenie króla sprawiło mu ból. - Skarbce Świątyni są prawie puste. Jedynymi kosztownościami, jakie pozostały, są święte naczynia, których używamy podczas modlitw. To prawda, że w Świętym Świętych jest obfitość złota, ale stanowi ono część konstrukcji. Nie da się go usunąć nie uszkadzając na trwałe mieszkania Jahwe.

- Obfitość złota - Achaz chyba nie słuchał, co się do niego mówi. - Jestem pod wrażeniem twojej mądrości i rady, Uriasz. Czynię cię odpowiedzialnym za dar dla Asyrii. Jeśli się dobrze spiszesz, uczynię cię zarządcą pałacu w miejsce mojego brata - obiecał, wskazując puste miejsce po swojej prawicy. - Jeśli trzeba, zburz Świątynię, ale dar musi zadowolić Asyryjczyków.

- Tak jest, Wasza Wysokość. - Uriasz skłonił się lekko, jego twarz miała nieprzenikniony wyraz.

- Gdy wszystko będzie gotowe, wyprawię poselstwo do władcy asyryjskiego, razem z moją osobistą prośbą o zawarcie przymierza z jego ludem - po raz pierwszy tej nocy Achaz wyglądał, jakby odzyskał pewność siebie. Wstał z tronu i zaczął wydawać rozkazy, gestykulując w stronę swoich doradców. - Musimy sformować następną armię do obrony Jerozolimy. Wy trzej jesteście za to odpowiedzialni. Reszta niech zacznie przekazywać wiadomość o nadchodzącym oblężeniu zaraz po zakończeniu obrad. Dopilnujcie, by miasto

i okolice były jak najszybciej przygotowane. Naszym nowym przyjaciołom z Asyrii może zająć nieco czasu, zanim zbiorą się ku nam z pomocą.

Wydanie tylu rozkazów chyba wyczerpało Achaza. Gdy skończył, opadł na tron.

- To wszystko, co możemy teraz zrobić. Obrady skończone, możecie iść. Gdzie mój sługa?

Hiskiasz nie zdążył usunąć się na bok i sługa Achaza niemal się potknął o niego, gdy pospiesznie ruszył do przedpokoju, by usługiwać królowi.

- Co ty tu robisz? - zapytał chłopca, chwytając go za ramiona. - To nie jest miejsce dla ciebie.

- Puść mnie! - krzyknął Hiskiasz, starając się mu wyrwać. Musiał pobiec na górę i się schować, zanim ojciec go dostrzeże. Achaz zdążył jednak już zauważyć zamieszanie.

- Co tu się dzieje? - zapytał. - Gdzie jest mój sługa?

- Tu jestem, Wasza Wysokość. Już idę. Proszę o wybaczenie - odpowiedział służący, niosąc wciąż wyrywającego się Hiskiasza do sali obrad.

- Znalazłem tego chłopca w przedpokoju. Nie wiem, jak...

- To znowu ty! Co ty tu robisz? - zapytał Achaz srogim tonem.

Hiskiasz nie mógł wydobyć głosu. Miał ochotę rzucić się i uderzyć ojca za zabicie Eliaba, ale nie mógł się ruszyć. Gdy tak patrzył na Achaza, gdzieś głęboko w środku zaczęła narastać w nim straszliwa ciemność, wzbierająca niczym nawałnica. Bał się ojca - to też, z pewnością. Ale to nowe uczucie było o wiele silniejsze, o wiele większe niż strach. Była to nienawiść.

- Dlaczego patrzysz na mnie w ten sposób? - zapytał Achaz. - Weź go stąd!

Sługa podniósł Hiskiasza i wygnał go z sali.

Podczas krótkiego zajścia z królewskim synem Uriasz miał czas, by ponownie skupić myśli. Chwilę wcześniej nagły awans na zarządcę pałacu za bardzo go zaskoczył, by mógł jasno myśleć. Teraz, gdy chłopca już nie było, ponownie wystąpił naprzód.

- Poproszę jeszcze o chwileczkę, Wasza Wysokość. Mam jeszcze jedną sugestię.

-Tak?

- Proponuję, by twoje plany, panie, objęły złożenie publicznej ofiary Jahwe. W tych terminach będzie nam potrzebna Boża pomoc.

- Kolejna świetna podpowiedź, Uriasz - Achaz wyprostował się na tronie. - Jestem pod wrażeniem twojej mądrości, jednakże... - Uriasz słyszał wahanie w głosie króla, który z namysłem zgarnął razem swój rzadki zarost. - Jednakże sądzę, że nie byłoby właściwe składanie ofiary Jahwe po opróżnieniu skarbców Jego Świątyni. - Powiedział w końcu. - Nieswojo bym się z tym czuł. Na pewno to rozumiesz. Nie, prosiliśmy już o pomoc Molocha, najpotężniejszego ze wszystkich bogów. Nie opuści nas teraz, zwłaszcza gdy osobiście tak wiele mu ofiarowałem. Zatem zanim rozpocznie się oblężenie, złożymy Molochowi kolejną ofiarę.

Uriaszowi zrobiło się niedobrze, gdy zrozumiał, jaki koszmar niechcący wywołał. Szukał sposobu, by sprzeciwić się Achazowi, ale nic mu nie przyszło do głowy. Tylko głupiec kwestionował decyzje króla.

Achaz zwrócił się do pozostałych tłoczących się wokół doradców.

- Może ci z was, którzy odmówili złożenia swoich synów Molochowi poprzednim razem, zastanowią się nad wielkim niebezpieczeństwem, w jakim znalazł się naród. Potrzebujemy mocy Molocha, dlatego tym razem każdy z nas musi

złożyć syna w ofierze. Jest on bogiem wymagającym, ale jeżeli ochroni nas przed zniszczeniem, każdy z nas może spłodzić jeszcze tuzin synów.

Wstrząśnięty Uriasz aż się zachwiał. Achaz miał zamiar zabić następnego syna, kolejne dziecko Abbiji. Jako arcykapłan zaprzysiął walczyć z bałwochwalstwem, nie zaś je wspierać. Dlaczego jego rada dana królowi aż tak wymknęła się spod kontroli?

- Ofiara musi zostać złożona jak najszybciej, zanim rozpocznie się oblężenie - mówił dalej Achaz. - Pozostawiam wszystkie przygotowania ku temu w twoich rękach.

Patrząc na Achaza, Uriasz czuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Przez dłuższą chwilę nie był w stanie mówić. Gdy w końcu się odezwał, jego głos brzmiał obco.

- J... jestem kapłanem Jahwe, Wasza Wysokość, nie Molocha.

- Jesteś nowym zarządcą pałacu! - zagrział Achaz, wskazując na miejsce po bracie. - No chyba, że nie chcesz tej posady?

Uriasz przestał oddychać. Miał zaledwie sekundy na podjęcie najważniejszej decyzji życia, decyzji, która określi jego przyszłość. Mógł zasiąść po prawicy króla, albo... odmówić.

- Oczywiście, jaśnie panie - odpowiedział wreszcie, skłaniając się lekko. - Jak Wasza Wysokość sobie życzy.

- Dobrze. Możesz więc odejść.

Opuszczenie komnaty na drżących nogach stanowiło dla Uriasza nie lada wysiłek. Kilku spośród pozostałych doradców próbowało z nim porozmawiać, pogratulować mu, ale minął ich niczym ślepiec. Musiał wyjść z pałacu, znaleźć jakieś miejsce, żeby usiąść i pomyśleć. Wiedziony instynktem, skierował się na wzgórze w stronę Świątyni.

Sądząc po blaknących gwiazdach po wschodniej stronie nieba, do świtu pozostała ledwie godzina, może dwie. Musiał przyswoić sobie wszystko, co się stało, zanim jego główne zadania jako arcykapłana wyprą z pamięci wszelkie inne myśli.

Przeszedł przez opustoszały dziedziniec zewnętrzny i przysiadł na jednym ze stopni wiodących na część wewnętrzną. Oparł się o kamienie, które wydawały się zimniejsze niż nocne powietrze.

Zdumiewające spotkanie. Uriasz wykorzystał okazję śmierci Maasejasza do wywindowania się z tylnych rzędów rady do miejsca po prawicy króla. Nagle zdobył stanowisko dające ogromną władzę w państwie. Z myślą o takiej władzy ciężko pracował przez osiemnaście lat. Powinien cieszyć się nad życie. Jednak gdy pomyślał o cenie, jaką przyjdzie mu zapłacić za tę władzę, jego duszę dręczył straszny niepokój.

Będzie musiał zbezczęścić Świątynię Salomona, ukraść złoto na hołd dla Asyrii. Myślał o konsekwencjach wzięcia odpowiedzialności za takie zniszczenie. Wiedział jednak, że król Achaz zagarnie każde złoto, którego zechce, za jego zgodą lub bez niej. Uriasz mógł przynajmniej postarać się ograniczyć szkody do minimum.

Nie, źródłem jego niepokoju była ofiara dla Molocha. Uriasz był arcykapłanem Jahwe - jak mógłby dobrowolnie uczestniczyć w bałwochwalstwie? Jeśli jednak odmówi przewodniczenia obrzędowi, zapłaci za to stanowiskiem zarządcy pałacu. Ponownie będzie nic nieznaczącym kapłanem Świątyni Jahwe, ledwo wiążącym koniec z końcem ze skromnych datków ofiarnych. Którykolwiek spośród kapłanów Molocha z radością spełni polecenie króla, zdobywając w ten sposób prymat urzędu najwyższego kapłana kraju.

Uriasz zacisnął pięści. Nigdy! Będzie walczył o to, co mu się słusznie należy. Jahwe jest jedynym Bogiem Izraela i cała władza należy do Jego arcykapłana, nie do kapłana Molocha. Postanowił, że zrobi wszystko, co będzie trzeba. W końcu zarządca ma tylko poczynić przygotowania do obrzędu, nie będzie go musiał odprawiać.

Spojrzał na święte miejsce powyżej, wyłaniające się z ciemności. Z cienia, w którym siedział, białe kamienie wydawały się mocne i solidne, ale wiedział, że światło dnia natychmiast ujawni prawdę o tym, jak bardzo budowlę zniszczył czas. W swoich najlepszych latach Świątynia Jahwe była dumą narodu; teraz stała opuszczona, niczym zdetronizowana królowa. Jego rodacy zaniedbywali przepisane dziesięciny i ofiary przez tyle lat, że kapłanom i lewitom ledwie starczało na życie, co dopiero na remonty budynków. Większość jego konfratrów porzuciła Jerozolimę dawno temu, ignorując przepisane terminy obrzędów, by zająć się innymi sposobami dbania o rodzinę. Jednocześnie kult Jahwe zastygł w rutynie tradycji i rytuałów, które straciły na znaczeniu w oczach ludu. Mimo to ci kapłani i Lewici, którzy pozostali, byli przeciwni zmianom.

Uriasz celowo dążył do zdobycia wpływów na dworze Achaza, zdecydowany przywrócić Świątyni Jahwe właściwy autorytet w narodzie. Zasiadł w tylnych rzędach rady królewskiej przed prawie dwoma laty, czekając na możliwość wejścia do gry, na szansę zdobycia władzy. A ta właśnie nadeszła. Jediną przeszkodą na jego drodze była ofiara dla Molocha.

Długi czas siedział na zimnym stopniu, patrząc na rozjaśniające się na wschodzie niebo. Gdy wreszcie zza Góry Oliwnej wyrzało słońce, osłonił oczy przed jego blaskiem. Zaraz będzie trzeba iść. Kapłani i Lewici zaczną się schodzić, by przygotować poranną ofiarę. Ale nie mógł się ruszyć.

Jako mąż Boży wiedział, że powinien pomodlić się przed podjęciem tak ważnej decyzji i to, że tego nie zrobił - że nie mógł - nie było dla niego normalne. Im dłużej tak siedział, tym bardziej potrzebował kogoś, komu mógłby się zwierzyć, kto doceniłby szansę, jaką dał mu król Achaz i pomógłby uspokoić sumienie. Pomyślał o Zachariaszu, Lewicie. Jego były nauczyciel i mentor był bardzo inteli-

gentnym człowiekiem, świetnie obeznanym w najdrobniejszych szczegółach Prawa. Był przy tym bystrym politykiem - to on pokazał Uriaszowi, jak zdobywać wpływy na królewskim dworze. I choć sam je utracił po śmierci króla Azariasza, teraz bardzo by się Uriaszowi przydał. Zachariasz był jedną z niewielu osób, które umiałyby zrozumieć jego dylemat i służyć mu radą.

Powoli uniósł zdrętwiałe z zimna ciało i przeszedł przez dziedziniec w stronę rdzewiejących drzwi prowadzących do mieszkań Lewitów. W ciemnym korytarzu przed drzwiami pokoju Zachariasza zatrzymał się. Spotkanie z byłym nauczycielem zawsze przypominało mu Abbiję, której wspomnienie wywoływało uczucie beznadziejnej rozpacz. Zawsze był świadom tego, że nie mogła do niego należeć, ale to nie znaczyło, że przestawał jej pragnąć. Kochał Abbiję od dnia, gdy po raz pierwszy ją zobaczył, od dnia, gdy został uczniem jej ojca... a miłość do niej była jedyną sprawą w jego życiu, nad jaką nie mógł zapanować. I wciąż ją - żonę króla - kochał.

W końcu zmusił się, by przestać o niej myśleć i zapukał do drzwi jej ojca. Czekając przed nimi, pomyślał o wszystkich tych zmianach w życiu nauczyciela - jak utracił polityczne wpływy, jak utracił dom, żonę, zdrowie. Gdy zza drzwi nikt się nie odezwał, Uriasz zdał sobie sprawę z tego, że nie widział Zachariasza już od wielu miesięcy. Już miał odejść, ale postanowił zapukać ponownie.

- Odejdź! - odezwał się Zachariasz. - Zostaw mnie. Uriasz popatrzył na zamknięte drzwi. Niedawno przed

królem odegrał spektakl wielkiej pewności siebie, teraz jednak wobec człowieka, którego zawsze podziwiał i starał się naśladować, poczuł się kimś gorszym.

- Rabbi Zachariaszu, to ja, Uriasz! Moglibyśmy chwilę porozmawiać?

Zanim Zachariasz otworzył, minęło jeszcze kilka minut. Lewita był zdezorientowany, oczy miał nabiegłe krwią i rozbiegane, szaty rozchełstane i śmierdzące, jakby w nich spał. Uriasz znów miał ochotę zawrócić. To miał być ten szanowany Lewita, człowiek, który swego czasu zasiadał po prawicy króla? A jednak to był on.

Człowiek, którego Uriasz pamiętał, był wysoki, szczupły i silny, teraz jednak ramiona Zachariasza zgarbiły się, niczym przyciśnięte jakimś olbrzymim brzemieniem. Błysk inteligencji zniknął z jego dystygowanej twarzy, jego zielone oczy i słabe rysy twarzy wydawały się być pozbawione życia. Miał ledwie pięćdziesiąt pięć lat, ale rozczochrane włosy i broda sprawiały, że wyglądał na o wiele więcej.

- Uriasz... Wejdz, wejdz - wyjąkał. Lekko się zataczając, wprowadził gościa do pokoju i sprzątnął nieco bałaganu, robiąc miejsce dla Uriasza.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale - zaczął Uriasz - muszę z tobą porozmawiać.

Kapłan starał się nie dać poznać po sobie, jaki wstrząs wywołała u niego zmiana, która zaszła u Zachariasza. Niemalże zapomniał, po co przyszedł.

- Przyniosę wina - chwając się, Zachariasz podszedł do półki i sięgnął po bukłak i dwa kielichy. Uriasz skrzywił się z zakłopotaniem.

- Uhm, nie, dziękuję, Rabbi. Dla mnie jest jeszcze za wcześnie. Ale ty się nie krępuj.

Poczuł wstyd za Zachariasza. Przychodzenie tutaj było błędem. Patrzył na podłogę, jakby tam szukał odpowiednich słów. Miał ochotę wyjść. Zachariasz wypił kilka haustów wina prosto z bukłaka. Po czym, niczym w żalnym echu dawnej godności, wyciągnął taboret i siadł naprzeciw Uriasza.

- O czym musisz ze mną porozmawiać?

Niczym przez obskurną zasłonę Uriasz dostrzegł szanowanego nauczyciela, do którego przyszedł. Odchrząknął.

- Rabbi, wracam właśnie ze spotkania z królem Achazem. Chciałem, żebyś dowiedział się jako pierwszy: zostałem mianowany zarządcą pałacu.

- Ale... co z księciem Maasejaszem?

- Nasze wojska poniosły klęskę. I ogromne straty. Księżę nie żyje.

- To dla ciebie wielki zaszczyt... Ale księżę Maasejasz...
Dezorientacja Zachariasza nie wynikała z przyniesionej przez Uriasza nowiny. Jego spojrzenie błędziło po pokoju, jakby nie był pewien, gdzie jest.

- Chcę przyjąć tę nominację, Rabbi. To wyjątkowa okazja, ale oznaczałaby...

Uriasz nie umiał zmusić się do przyznania, że oznaczałby popełnienie bałwochwalstwa. Zdał sobie właśnie nagle sprawę z tego, że nie przyszedł po pomoc Zachariasza w podjęciu decyzji. Podjął ją na sali obrad rady w chwili, gdy Achaz zaoferował mu wakujące stanowisko po księciu. Przyszedł do Zachariasza po aprobatę, tak jakby dawny nauczyciel mógł go w jakiś sposób uwolnić od winy.

- Problem tylko w tym, że niektóre z moich obowiązków jako zarządcy mogą być sprzeczne z nauczaniem Tory - wyjaśnił. - Ale jeżeli wykorzystam tę szansę, by zostać bliskim doradcą króla, będę miał możliwość nauczać Achaza Prawa Jahwe. I ostatecznie zrobić wiele dobra.

Niemal błagając Zachariasza o zgodę, pochylił się na skraju swojego miejsca, na którym siedział.

- Przez całe życie moja ambicja, wszelkie wysiłki miały na celu jedno: odnowienie kapłaństwa i sprawienie, by Świątynia stała się ponownie w tym kraju wpływowym ośrodkiem. Teraz mogę to zrobić. Utorowałem sobie drogę od

samego dołu na szczyt, czekając na taką właśnie okazję. Będę drugim po królu jeśli chodzi o kompetencje.

Zachariasz patrzył na niego tępo, jakby się zastanawiał, jaka ma być w tym wszystkim jego rola.

- Wiem, że niektórzy kapłani i Lewici będą przeciwni temu co robię - Uriasz szybko mówił dalej - i potrzebna mi twoja pomoc, by ich przekonać. Tu, w Świątyni, jesteś kimś bardzo wpływowym. Z pewnością rozumiesz cel, jaki staram się osiągnąć. Też piastowałeś kiedyś to stanowisko i... - przerwał, bardzo zakłopotany, że przypomniał temu zniszczonemu, zaniedbanemu człowiekowi o wpływach i stanowisku, jakie niegdyś posiadał i stracił. - Ch... chciałem tylko spytać, czy mogę liczyć na twoje wsparcie?

- Moje wsparcie? - powtórzył Zachariasz niczym echo. Przez chwilę patrzył na Uriasza, po czym na momencik na jego twarzy zagościł nikły uśmiech.

- Tak, Rabbi. Proszę o twoje wsparcie w tej sprawie. Jeśli kilka razy ustąpię Achazowi, by zdobyć jego zaufanie, będę mógł zacząć go uczyć Prawa Jahwe, tak jak ty uczyłeś kiedyś króla Azariasza.

Zachariasz na wspomnienie o Azariaszu aż się gwałtownie cofnął, jakby Uriasz go spoliczkował. Spojrzał na kapłana zawilgoconymi oczami, po czym ruszył w stronę do półki po bukłak z winem, powłócząc nogami.

- Chcesz uczyć Achaza, żeby zerwał z bałwochwalstwem? - spytał odwrócony plecami do swego ucznia.

- Może to trochę potrwać - odparł Uriasz z grymasem na twarzy - ale taki właśnie chcę osiągnąć efekt... kiedyś.

Zachariasz uniósł bukłak do ust i wypił haust, następnie otarł wargi dłonią. Uriasz czekał.

- Zawsze byłeś ambitniejszy niż ktokolwiek inny - odezwał się w końcu Zachariasz. - Nie będę oponował, jeśli

postanowisz przyjąć to stanowisko - w jego głosie nie było entuzjazmu.

- Dziękuję, Rabbi - Uriasz wstał i powoli skierował się do drzwi, pragnąc już wyjść. - Jest kilka zarządzeń króla, które muszę omówić z głównymi kapłanami i Lewitami, więc chcę zwołać zebranie dziś w południe. Gdybyś mógł skontaktować się z przywódcami Lewitów, to ja powiadomię głównych kapłanów.

Zachariasz skinął głową, ale nie odwrócił się do Uriasza.

- Dziękuję, Rabbi. Szalom. - Uriasz w pośpiechu opuścił pomieszczenie, szybko zamykając za sobą drzwi. Był rozgoryczony żalonym stanem byłego nauczyciela. Idąc korytarzem starał się odzyskać nad sobą panowanie. Gdy w końcu wyszedł na światło dzienne, znów się zatrzymał i zamknąwszy oczy, starał się przywołać swój wizerunek, który z taką dbałością kreował - ten, który udało mu się przedstawić królowi - wyprostowana postawa, opanowane gesty, budzące lęk spojrzenie człowieka dysponującego władzą. Następnie kazał swojemu ciału odpowiadać temu wizerunkowi. Gdy poczuł, że się opanował, podjął wysiłek uporządkowania sprzecznych myśli i uczuć.

Nie mógł zrozumieć, w jaki sposób Zachariasz mógł tak skończyć. Teraz jednak Uriasz miał szansę być tak wpływową osobą w państwie, jak niegdyś jego nauczyciel i był zdecydowany nie przepuścić tej okazji, nawet jeśli wiązałoby się to z chwilowym naruszeniem Tory. Wewnątrz jakiś dokuczliwy głos przypominał mu, jaką cenę przyjdzie mu zapłacić za nieposłuszeństwo Prawu. Ale Uriasz postanowił go zignorować.

Świątynia Jahwe odzyska moc i chwałę, jaką cieszyła się w czasach Króla Salomona. Uriasz nie pozwoli, by popadła w zapomnienie. Nigdy.

3.

Abbija długo czekała na króla w jego komnatach, nienawidząc siebie za to, co robi. Nigdy wcześniej nie była w tej części pałacu - urządzonej z przepychem sali audiencji ani sąsiadującej z nią sypialni - i czuła się jak nierządnicą, oddająca się za określone korzyści. Ale przecież ta zapłata była dla Hiskiasza, nie dla niej. Jeśli będzie cały czas myślała o Hiskiaszu, da radę.

Szybko otarła łzę. Nie mogła o nim myśleć, nie myśląc jednocześnie o Eliabie. Ale dziś nie mogła pogрузić się w żalobie. Musiała zapomnieć, że ten mężczyzna, przed którym udawała miłość, zabił go. Mijały godziny. Usiadła na kanapie i zdrzemnęła się.

Wreszcie drzwi otworzyły się i wszedł król Achaz. Wydawało się, że na początku nie dostrzegł Abbiji, a ona spostrzegła w jego twarzy wszystkie jego nieskrywane uczucia. Bał się, czuł się niepewnie. Wreszcie ją zauważył i wyraz jego twarzy zmienił się - teraz widać było zaskoczenie. I ulgę. Był zadowolony, że nie jest sam i że ona do niego przyszła.

Nie dając sobie czasu na zastanowienie, podeszła szybko do niego, dotknęła jego ramion i przesunęła po nich dłońmi.

- Co się stało? Wyglądasz na zmartwionego, mój panie. Co mogę dla ciebie zrobić?

Przysunawszy ją do siebie, chwycił mocno, jakby chronił przed upadkiem.

- Mój brat, Maasejasz, nie żyje.

- Och nie! Tak mi przykro! - było to kłamstwo. Abbija nie czuła najmniejszego żalu z powodu śmierci Maasejasza. Błagała, żeby nie zabierał jej synów, a on się od niej odwrócił. Był winny śmierci Eliaba w takim samym stopniu, jak Achaz. Abbija była zadowolona, że nie żyje. Pozostała w objęciach króla, tuląc twarz do jego torsu, by nie musieć patrzeć w jego twarz. Nie mogła pozwolić, by przejrzał jej kłamstwa. - Ale jak tobie musi być przykro - dodała cicho, głaszcząc go po plecach.

- Tak, zawsze mogłem na nim polegać. A teraz odszedł - smutek w jego łamiącym się głosie rozgniewał ją. Po śmierci Eliaba nie okazał żadnego żalu.

- Nie powinienem był wysyłać go w bój - mówił dalej król. - Sam powinienem był poprowadzić wojsko.

Abbija wiedziała jednak, że jest to absurdalny pomysł. Achaz odziedziczył piękną czerwonawą barwę włosów, z której słynął jego praojciec Dawid, ale inaczej niż Dawid, Achaz nie był żołnierzem. Jego skłonność do folgowania sobie do tego stopnia odebrała mu sprawność, że ledwie był w stanie pokonać jeden bieg schodów bez zadyszki. A co tu dopiero mówić o prowadzeniu żołnierzy do boju.

- Jak mogę choć trochę cię pocieszyć - szepnęła.

- Śmierć Maasejasza to nie jedyna strata, jaką ponieśliśmy - odparł drżącym głosem. - Moje wojska zostały niemal starte z powierzchni ziemi. Aramejczycy ciągle atakują, biorąc tysiące jeńców. Będą oblegać Jerozolimę.

Jego słowa przeraziły Abbiję. Skoro poświęcił własnego syna w obawie przed najazdem, co robi teraz, gdy sytuacja jest nieporównanie gorsza. Czy złoży w ofierze drugiego syna? Musi poznać jego plany i postarać się go powstrzymać

- Co postanowiłeś, panie?

Westchnął i rozluźnił uścisk ramion. Widziała, że jest bardzo zmartwiony.

- Ciężko powiedzieć, czy powziąłem właściwą decyzję -mruknął.
- Na pewno. Powiedz mi, jaką.
- Staram się zawrzeć przymierze z królem Asyrii i poprosić go o pomoc. To była jedyna sensowna rada ze wszystkich proponowanych przez moich doradców. Pomysł Uriasza, arcykapłana Świątyni Salomona.

Na wspomnienie Uriasza serce Abbiji przyspieszyło. Był całkowitym przeciwieństwem Achaza - silny, zdyscyplinowany, pobożny wyznawca Jahwe. Gdy wyobraziła sobie siebie w ramionach Uriasza, poczuła wzruszenie. Gdyby Eliab był synem Uriasza, żyłby w służbie Jahwe, zamiast umierać jako ofiara Molocha.

Achaz chyba zauważył jej zamyślenie.

- Znasz go? - zapytał, pochylając się ku niej.
- Tak, znam Uriasza. Był uczniem mojego ojca. No i widziałam go w Świątyni jako arcykapłana.
- Jako jedyny z moich doradców wykazał jakiś zdrowy rozsądek. Zaproponowałem mu stanowisko zarządcy pałacowego należące do mojego brata. Poczuła ulgę. Uriasz nigdy by nie radził Achazowi, by ten składał swoich synów w ofierze dla Molocha. Będzie temu stanowczo przeciwny. Abbija wiedziała, że zyskała ważnego sprzymierzeńca.
- Podjąłeś, panie, bardzo mądrą decyzję. Uriasz będzie wartościowym, kompetentnym doradcą.
- Mam nadzieję - mruknął Achaz. Widać było, że czuje się opuszczony, a Abbija знаła go na tyle, by wiedzieć, że należy odwołać się do jego uzalania się nad sobą.
- Mój biedny mąż. Żyjesz w strasznym napięciu. Połóż się i odpocznij
- zaprowadziła go do sypialni i pomogła mu zdjąć wierzchnią szatę. Widziała, że jest za bardzo poruszony, by pobudzić jego pożądanie, odpowiadała jej to. Lgnął do niej

po ukojenie, po nic więcej. Ułożył się na łóżku i zamknął oczy.

- Nie powinieneś być sam ze swoim smutkiem - powiedziała, zdmuchując oliwne lampki. - Zostanę jeśli chcesz. Położyła się obok, nie czekając na odpowiedź, a on przytulił się do niej. Ale Abbija leżała obok niego bardzo długo, nie zasypiając.

Achaz obudził się po wschodzie słońca. Abbiji nie było obok, więc nagle poczuł dojmującą samotność. Był tak zaskoczony - i wdzięczny - za pociechę, jaką otrzymał od niej nocą. Chciałby, żeby dalej tu była.

Był wyczerpany, ale sen umknął. Rzucił się i kręcił w łóżku przez ponad godzinę walcząc z oplatającą go pościelą oraz z wątpliwościami i lękami. Sam siebie zapewniał, że o wszystko już zadbał. Postąpił właściwie, prawda?

Decyzja o wezwaniu na pomoc Asyryjczyków brzmiała rozsądnie w sali obrad, ale teraz, gdy został sam, nie był już tego taki pewien. Bo jeżeli nie przyjdą z pomocą? Nagle przypomniał sobie, co Uriasz mówił o Asyryjczykach - że są ludem bezwzględnym i brutalnym - i zastanawiał się, czy ten sojusz był rzeczywiście jedynym wyjściem z sytuacji.

Przeklinał ojca, że ten umarł tak wcześnie, pozostawiając mu rządzenie państwem w wieku dwudziestu lat. Achazowi podobało się, gdy był królewiczem, któremu folgował i którego rozpieszczał ojciec i cały dwór, ale teraz stres rządzenia wydawał mu się nie do zniesienia, ciężar decyzji i odpowiedzialności - nie do udźwignięcia.

W końcu kopnięciem zrzucił pościel na podłogę i zrezygnował z prób zaśnięcia. Nie miał innego wyjścia, musiał wezwać Asyryjczyków. Maasejasz nie żył a myśl, że również

on sam mógłby zginąć, sprawiała, że niemal mdlał ze strachu. Wstał i podszedłszy do okna, wyjrzał przez kraty tak, jakby wyglądał z okna celi. Nad Górą Oliwną wzeszło słońce, na ulicach panował gwar. Na wieść o nadchodzącym najeździe ludność okolicznych wiosek i miasteczek ściągała do Jerozolimy, licząc na schronienie za potężnymi murami miasta.

Z Pustyni Judzkiej powiał gorący, suchy wietrzyk, który zaszeleścił gałęziami drzewa rosnącego za oknem Achaza. Król spojrział na drżące liście. Wydawało mu się, że całe miasto trzęsie się ze strachu, jak one. Lęk niczym głodne zwierzę gryzł go od środka, powoli pożerając.

Odszedł od okna, nie chcąc oglądać tego gwaru i zgiełku, czując się wobec niego bezradnym. Jego niepokój pogłębiło wspomnienie ostrzeżenia jego doradcy o niedostatecznym zaopatrzeniu miasta w wodę. U źródła Gichona tworzyła się zapewne długa kolejka, niewolnicy i dziewczki służebne z glinianymi słojami na głowach schodziły przez Bramę Wodną. Woda była dla zdolności obronnych kraju tak samo istotna, jak miecze i włócznie, a Jerozolima w obrębie murów nie posiadała żadnego źródła. Źródło Gichona i kanał znajdowały się poza murami, ale potrzeba rozwiązania tego problemu umknęła mu.

Może nie powinien stać beczynnym, kryjąc się w swoich komnatach, podczas gdy jego lud gotował się do odparcia oblężenia? Powinien wystąpić publicznie, by lud jerozolimski go widział, by przekonał się, że jest pewny siebie i nie boi się. Wszak to właśnie był wielki obowiązek króla na wypadek kryzysu. Może przy tym sam sobie dodałby otuchy. Stwierdził, że powinien sporządzić bilans własnych zasobów wody i zawołał sługę.

Ten wszedł do komnaty z pochyloną głową, kuląc się jak pies, który zostanie zbity.

- Przebacz mi, panie - wymamrotał, dotykając czołem do podłogi. - Nie mam pojęcia, jak chłopcu udało się prześlizgnąć obok mnie.

Z początku Achaz nie miał pojęcia, o czym sługa mówi. Potem przypomniał sobie skandaliczne pojawienie się syna w sali obrad i rozgorzał gniewem.

- Powinieneś być czuwać na swoim miejscu! Zamiast mojego syna mógł pojawić się intruz! Wszak wiesz, że moi wrogowie spiskują, by mnie zabić?

- Przysięgam na wszystkich bogów, panie, że to się już nigdy nie powtórzy. Błagam, miej miłosierdzie!

- Powiniennem kazać cię oćwiczyć, albo może lepiej żebym sam cię wychłostał, ale nie mam na to czasu. Wstawaj. Musimy przygotować się na oblężenie.

- Dziękuję, panie! Dziękuję. - Sługa rzucił się do stóp króla, kłaniając się raz za razem.

- Co z nim zrobiłeś?

- Z twoim synem, panie?

- A o kim mówimy! Tak, z moim synem! - słowo to brzmiało dla Achaza dziwnie, jakby pierwszy raz rozmawiał o swoim dziecku. Nigdy swoich potomków nie uznawał za prawdziwych ludzi, były to niemowlęta bez twarzy, własność pod jego pełną kontrolą - do ostatniej nocy. Kiedy to dwukrotnie zobaczył swojego syna twarzą w twarz, napotykać jego oskarżycielski wzrok.

- Odprowadziłem chłopca do jego pokoju, Wasza Wysokość.

- Przyrowadź go tu!

- Ależ... ależ to dopiero dziecko, panie. Nie chciał zrobić nic złego.

- Powiedziałem, przyrowadź go tu!

Czekając na powrót sługi, Achaz wyglądał przez okno, a gdy jego syn w końcu przyszedł, król był zadowolony, że skłonił się przed nim odpowiednio, okazując szacunek. Abbija dobrze syna wyszkoliła. Achaz nagle przypomniał sobie jej prośbę o to, by była jego ulubienicą i domyślił się, że z pewnością chciała, by to jej syn został następcą tronu, nie zaś któryś z synów jego nałożnic. Ale na to przecież jest jeszcze mnóstwo czasu. Ten chłopiec to jeszcze dzieciak. I był ładny, miał brązowe oczy Abbiji i jasnobrażową skórę. Jego ciemne włosy miały miedziany odcień odziedziczony po linii Achaza - Domu Dawidowym.

- Ty jesteś Eliab? - spytał na chybił trafił. Chłopiec wyglądał na zaskoczonego. Pokręcił głową.

- Jestem Hiskiasz.

Achaz teraz dopiero sobie przypomniał - Eliab był jego pierworodnym synem - jego darem dla Molocha. Przypomniał sobie, jak ciało Eliaba nieuchronnie spadało w płomienie i zadrzał. Spojrzał na Hiskiasza, starając się określić, jakie uczucia widzi w jego wzroku..Strach? Tak, strach z pewnością, ale także coś jeszcze.

- No więc wychodzi na to, że wszędzie cię spotykam. Śpisz w komnatach mojej żony, wpraszasz się na spotkania moich doradców. Może chciałbyś być królem zamiast mnie?

Hiskiasz nie odpowiadał. Stał w bezruchu, patrząc na niego bez mrugnięcia. W pewnym momencie Achaz rozszyfrował wzrok Hiskiasza i aż mu szczeka opadła ze zdumienia. To była nienawiść.

- Jak śmiesz! - Achaz ledwo się powstrzymał przed uderzeniem go w twarz. - Kiedyś będziesz na moim miejscu. Kiedyś zobaczysz, jak to jest stawiać czoła kolejnym trudnościom. Ty będziesz tym, który musi podejmować decyzje, bez względu na koszty. Myślisz, że to takie łatwe?

Hiskiasz miał łzy w oczach, ale nie stracił panowania nad sobą. Achaz musiał przyznać, że jego syn miał odwagę i nagle poczuł wstyd z powodu swojego wybuchu.

- Po co zdzieram gardło z powodu dzieciaka? - mruknął. - A więc lubisz za mną łązić. No to ubieraj się. Będziesz mi towarzyszył podczas obchodu. Przygotuj go - zwrócił się do sługi. - Pójdzie ze mną.

Godzinę później, z synem u boku, Achaz szedł główną ulicą Jerozolimy z całą swoją świtą, sprawdzając poziom wody w miejskich cysternach. Fakt, że większość z nich była ledwie do połowy wypełniona wodą, przyprawił go o przygnębienie. Do orszaku dołączyło mrowie ciekawskich obywateli - dzieci i dziewczki służebne, chłopci uchodzący z okolicznych wsi, a razem z nimi przedniejsi obywatele miasta, z nadzieją na dostrzeżenie i uznanie w oczach króla.

Z początku Achaz starał się prezentować godnie, ale widok takiego tłumu szukającego u niego umocnienia i powierzającego mu swój ratunek, zaczął pogłębiać jego niepokój. Odpowiedzialność ciążyła mu jak niezmiernie brzemie, jakby każdego z nich dźwigał na swoich ramionach. Był wyczerpany, a przecież oblężenie nawet się jeszcze nie zaczęło.

Zakończywszy przegląd cystern, poprowadził orszak przez południowoschodnią bramę za miasto do sadzawki Siloe, sztucznego zbiornika zbudowanego po to, by zatrzymywać nadmiar wody ze źródła Gichona i zaopatrywać w nią południową część miasta. Stamtąd poszedł wzdłuż kanału do Doliny Cedronu, dochodząc do samego źródła. Ale gdy tam dotarł, okazało się, że niewiele ma do roboty w tym miejscu, poza tym, że mógł patrzeć w wodę, zamiast na swój wielki orszak.

Stojące nad urwiskiem ponad jego głową mury obronne niknęły w oddali niczym fatamorgana, odległość między

nimi a źródłem wydawała się nieskończona. Nie widział możliwości obronienia źródła przed wrogiem, zastanawiał się, ile Jerozolima wytrzyma bez dostępu do wody. Czy na tyle długo, by Asyryjczycy zdążyli z odsieczą? O ile w ogóle z nią przybędą. Plany Achaza wydawały się teraz jemu samemu beznadziejne, niczym sen, który ma sens w nocy, ale w świetle dnia okazuje się absurdalny.

Wody Gichonu były czarne, zimne i głębokie, jakby nie istniało tam żadne dno. Achaz patrzył na źródło, nie mogąc go tak naprawdę dojrzeć, a zamiast tego ujrzał klęskę miasta i swą własną, nieuniknioną, śmierć. Ten obchód to błąd. Czuł się gorzej niż przedtem. Co więcej - nie miał już u boku swego brata, ale jedynie syna, zaledwie dziecko. Po śmierci Maasejasza Achaz nie miał nikogo, do kogo mógłby pójść ze swoimi wątpliwościami i lękami. Mógł tylko zatrzymać uczucia w sobie, międląc je w myślach, aż wessą jego duszę w ciemność zwątpienia. Stał w bezruchu. Wokół wszyscy zamilkli. Orszak stał w przerażającej ciszy.

Usłyszał niewyraźny szmer szat i zbliżające się ścieżką kroki. Spojrzał w ich stronę i zobaczył, że tłum się rozstępuje. Rozpoznał idącego w jego kierunku smukłego arystokratę trzymającego za rękę małego chłopca. Królewski sposób bycia i czerwona broda potwierdzały jego pokrewieństwo z Achazem i pokoleniem króla Dawida. Ojciec i syn skłonili się z szacunkiem, po czym stanęli przed Achazem i jego synem.

- Czego chcesz, Izajaszu? - Zapytał Achaz.

- To mój pierworodny syn, Szear-Jaszub - odpowiedział cicho Izajasz, przewiercając wzrokiem Achaza, który wiedział, że to oskarżenie. Jego własny, pierworodny syn zginął. Dziwne imię „Szear-Jaszub” oznaczało „reszta powróci”, tak jak powróciła jedynie resztką wojska Achaza.

- Myślisz, że taki jesteś cwany, co? Czego chcesz?

- Mam radę dla ciebie.
- Radę? Mogłem się domyślić. Chciałbyś dostać stanowisko na moim dworze, straciłem przecież trzech najlepszych ludzi.
- Nie - Izajasz pokręcił głową. - Wyrzekłem się mego pokrewieństwa z Domem Dawidowym, bo...
- WYRZUCONO cię z pałacu - przerwał mu Achaz. -
- I słusznie. Mój ojciec nie chciał wysłuchiwać twoich skrajnych poglądów, ja też nie mam zamiaru.
- Jakże mam milczeć - Izajasz zbliżył się jeszcze o krok - gdy lud mój zmierza ku przepaści? Jeśli Juda nie odnowi się...
- Odnowi? Gdybym ciebie posłuchał, mieszkalibyśmy w namiotach jak Abraham.
- Izajasz trzymał głowę prosto, nie unikając wzroku Achaza.
- Jeśli ten lud nie nawróci się... - zaczął cicho.
- Dość tego - Achaz uniósł dłoń. - Nie potrzebujemy tu czarnowidztwa. Ludzie już są wystraszeni. Nie dostaniesz na moim dworze audiencji, byś mógł narzucać ludowi swoje wizje i nazywać je „proroctwami”. Nie chcę cię słuchać, inni też nie chcą.
- Mam słowo do CIEBIE, królu Achazie. Od Jahwe - ton głosu Izajasza zmienił się. Jego zachowanie, nuta autorytetu w jego słowach sprawiły, że Achaz zamilkł. - Uważaj, bądź spokojny, nie bój się...! Niech twoje serce nie słabnie z powodu tych królów, którzy wystąpili przeciw tobie².
- O czym ty mówisz! - Achaz wybuchnął. - Ich wojska szybko zbliżają się do Jerozolimy!
- Tak, ale Pan, Bóg, mówi, że ich zamiary się nie powiodą. Musisz uwierzyć Jahwe, albo przegrasz.
- Nie wiem skąd ty bierzesz te swoje wymysły i nie obcho-

² Tu i poniżej autorka parafrazuje nieco tekst biblijny z Księgi Izajasza, rozdział 7 [przyp. tłum.].

dzi mnie to. Opracowałem już plan na czas tego kryzysu i nie będę go teraz zmieniał.

- Nie wierzysz, że Jahwe może wybawić cię od nieprzyjaciela, tak? Wolałeś wezwać na pomoc króla Asyrii, niż zaufać Panu.

Achaz patrzył na niego zdumiony, że Izajasz tak szybko dowiedział się o planowanym przymierzu.

- Miejsce bogów jest w świątyniach, nie na ulicach - odparł - a już na pewno nie w polityce.

- Proś dla siebie o znak od Jahwe - rzekł Izajasz, czyniąc kolejny krok naprzód. - Pozwól Mu udowodnić, że zmiążdży twoich nieprzyjaciół, jak zapowiedział. Proś o cokolwiek, czy to na ziemi, czy w niebie.

- Nie. Nie będę wystawiał Pana na próbę - pewnością siebie, jaką okazywał Izajasz, wstrząsnęła Achazem. Jeśli jego kuzyn w jakiś sposób uczyniłby cud na oczach tych wszystkich ludzi, trzeba byłoby porzucić plany i uwierzyć w znak. Na takie ryzyko nie mógł sobie pozwolić.

- Słuchajcie więc, domu Dawidowy - powiedział w gniewie Izajasz. Jego cichy głos stopniowo przybierał na sile. -Czyż mało wam naprzykrzać się mnie, iż naprzykrzacie się także Panu? Dobrze, zatem Jahwe sam da wam znak: Oto Panna pocznie i porodzi Syna, i będzie on zwany imieniem Emmanuel.

- To śmieszne. Jak dziewica może urodzić syna?

- Zostanie opuszczona kraina, której dwóch królów ty się uląkłeś - kontynuował Izajasz - Jahwe sprowadzi straszliwe przekleństwo na ciebie i na twój lud, i także na twoją rodzinę. Potężny król Asyrii przybędzie ze swoim wielkim wojskiem. Jahwe posłuży się tymi Asyryjczykami, których wezwałeś na pomoc, by ostrzyć wszystko, co masz, twoje włosy, owłosienie na twoich nogach, i twoją brodę.

Achaz nie chciał więcej słuchać. Odwrócił się plecami do Izajasza i ruszył w kierunku stromej podjazdy prowadzącej do miasta, chcąc jak najszybciej uciec od słów krewnego. Były zbyt straszliwe, by się nad nimi zastanawiać. No bo jeśli Izajasz ma rację? Jeśli Asyryjczycy przybędą nie z odsieczą, ale by go najechać? Obejrzał się przez ramię, czy Izajasz nie idzie za nim i ujrzał za sobą Hiskiasza, który patrzył na niego oskarżycielsko. Szybko się odwrócił.

Prowadził swój orszak jak najszybciej do pałacu, nie zwracając uwagi na gapiów głośno domagających się, by ich król choć rzucił na nich okiem. Następnie odprawił Hiskiasza ze sługą i wrócił załamany do sypialni. Za oknem trwały nerwowe przygotowania do oblężenia, ale Achaz nie szukał już ukojenia w działaniu. Wyrwa wewnątrz, gdzie gryzł go strach, powiększała się.

Nie chciał już być królem. Wolałby, by ktoś inny rządził zamiast niego. Ale jego brat Maasejasz nie żył, Achaz był sam. Położył się na łóżku twarzą w dół i rozplakał się.

Uriasz siedział w sali rady w Świątyni i obmyślał strategię, nie zwracając uwagi na dyskutujących kapłanów i Lewitów. Spotkanie przeciągało się w nieskończoność, a jego głowa pulsowała od napięcia. Zatłoczone pomieszczenie - mniejsza wersja sali rady w pałacu królewskim - było wypełnione emocjami.

Poprosił swojego wuja Azariasza, arcykapłana w stanie spoczynku, o przewodniczenie spotkaniu ze swego miejsca na podwyższeniu; pozostali siedzieli wokół niego w półkolu. Ale po ogłoszeniu decyzji Achaza o złożeniu daniny Asyryjczykom, spotkanie szybko utknęło w martwym punkcie, po-

nieważ kapłani zaczęli kłócić się o to, którą część Świętego Miejsca rozebrać, by uzyskać złoto. Uriasz zamknął oczy i ucisnął drgające skronie koniuszkami palców.

- Tego właśnie nie cierpię - mruknął do kapłana siedzącego obok. - Ci głupcy nie są w stanie osiągnąć zgody w najprostszej sprawie. Nie dziwota, że ludzie przestali czcić Jahwe.

- Sądziś, że skończą przed ofiarą wieczorną? - zapytał tamten, ziewając.

- Nie w tym tempie. Nie wiem jakim sposobem Świątynia przetrwała do tej pory, ale widzę, jak to się skończy. - Uriasz westchnął i spróbował ponownie skupić się na dyskusji. Nie wspomniał jeszcze o swoim awansie ani o tym, że Achaz postanowił złożyć kolejną ofiarę Molochowi. Będzie musiał podejść do tych tematów z wielką ostrożnością. Więc niech rada najpierw zmęczy się dyskusją o asyryjskiej daninie.

Po wielogodzinnej chyba kłótni kapłani w końcu osiągnęli porozumienie. Niczym dumna szlachcianka wzięta w niewolę, Świątynia zostanie odarta ze swoich kosztowności, by zapłacić daninę Asyrii. Azariasz podzielił pracę między zgromadzonych i miał zamiar rozwiązać spotkanie, gdy Uriasz wstał z miejsca.

- Chwileczkę. Jest jeszcze jedna sprawa, którą musimy omówić - mężczyźni jęknęli wspólnym głosem wyrażającym wyczerpanie, ale Uriasz nie spieszył się, ostrożnie dobierając każde słowo i każdy gest. Musi uzyskać ich poparcie. Nie ma innego wyjścia. - Podczas nadzwyczajnej sesji rady królewskiej, jaka odbyła się dziś rano, król Achaz poprosił mnie, bym zastąpił księcia Maasejasza na stanowisku zarządcy pałacu. Postanowiłem przyjąć tę godność.

Odpowiedzią na jego słowa było pełne zdumienia milczenie. Oczekiwał oklasków albo co najmniej gratulacji, a tu zupełna cisza. Postanowił więc wyłożyć przed nimi wszystkie

karty, póki jeszcze byli w szoku i szybko załatwić sprawę.

- Jednym z moich obowiązków, jako zarządcy pałacowego, jest organizacja publicznego obrzędu ofiary, który odbędzie się zanim rozpocznie się oblężenie.

- Tu w Świątyni? - spytał Azariasz.

- Nie. Achaz zamierza złożyć kolejną ofiarę Molochowi. Konaniasz skoczył na równe nogi, jakby miał zamiar uderzyć Uriasza.

- Czyś ty rozum postradał? Jak możesz przygotowywać ofiary bożkom? Jesteś arcykapłanem Jahwe!

- On ma rację - oświadczył Azariasz. - Nie widzę możliwości, byś piastował godność zarządcy pałacowego, służąc królowi, który czci Molocha. To wykluczone. Uriasz, posunąłeś się za daleko.

Ich sprzeciw uruchomił lawinę, wszyscy naraz zaczęli mówić i krzyżeć. Uriasz miał wrażenie, że jego głowa zaraz eksploduje.

- Pozwólcie mi skończyć! - Poprosił w końcu, przekrzykując hałas. - Wysłuchajcie mnie przynajmniej, zanim mnie potępicie!

Azariasz zaczął uciszać zebranych i po jakimś czasie przywrócił porządek na sali. Gdy wszyscy usiedli, Uriasz zaczął powoli chodzić wokół zgromadzonych, przemawiając spokojnym, stanowczym głosem. Gdy mówił, kierował swój przytłaczający wzrok po kolei na każdego kapłana i Lewitę -ostrzegając w ten sposób bez słów, by mu się nie sprzeciwiać. Większość szanowała go na tyle, by pójść wskazaną przez niego drogą, o ile uda mu się przemówić odpowiednio przekonująco - i uciszyć oponentów.

- Służymy martwej instytucji - mówił. - Rozejrzyjcie się. Nawet ten budynek sypie się nam na głowy i nie mamy środków na jego renowację. Czas stawić czoła rzeczywistości: lud-

ność Jerozolimy nie ma już chęci wspierać tej Świątyni i jej kapłanów swoimi dziesięcinami. Tak samo jak król szukają pomocy duchowej gdzie indziej - u bożków, na uroczyskach w świętych gajach. Tymczasem z ofiar, które my otrzymujemy, ledwo dajemy radę wyżywić nasze rodziny. Przyszedł czas zmian.

- Jak możesz mówić o zmianach? - Przerwał mu Azariasz. - Jahwe jest NIEZMIENNY! On ustalił wszelkie prawa i ofiary, nawet projekt samej Świątyni. Nie masz władzy, by zmieniać to, co nakazał Wszechmogący.

- Jeszcze nie skończyłem mówić! - krzyknął Uriasz, zmuszając sędziwego wuja do posłuchu. - Jak skończę, będziesz miał możliwość się wypowiedzieć.

Azariasz usiadł, ale był blady na twarzy, a usta zacisnął w gniewie. Napięcie w sali narastało w miarę, jak Uriasz dalej mówił.

- Kult odprawiany w naszej Świątyni musi się zmienić tak, jak zmienia się świat, albo zupełnie zaniknie. Jesteśmy tak przywiązani do zwyczajów, że nie słuchamy już ludu. Nie mówię, że mamy zmieniać prawa Jahwe. Mówię o przeanalizowaniu naszych tradycji. Jeśli mężowie Judy kierują się ku religiom narodów żyjących wokół nas, to musimy zadać sobie pytanie o przyczynę. Nadszedł czas, by rozważyć zmianę naszych przestarzałych zwyczajów, by dostosować je do naszych czasów, zamiast ślepo trzymać się kurczowo tego, co stare.

- To oburzające! - krzyknął Azariasz, nie mogąc się już dłużej powstrzymać. - Nie słuchajcie go!

W sali zapanował chaos. Uriasz spoglądał bezradnie dookoła, zastanawiając się, czy uda mu się jeszcze raz uspokoić ludzi. Po kilku nerwowych minutach zaczął krzyczeć:

- Uciszcie się wszyscy! Wysłuchajcie mnie w milczeniu! Czy będziecie myśleć samodzielnie, czy pozwolicie paru za-

mkniętym na każdą nową myśl ekstremistom, myśleć za was?

Większość w końcu zamilkła. Uriasz zlekceważył rzadkie głosy sprzeciwu i mówił głosem ochryplym już ze zmęczenia.

- Jeśli ta Świątynia ma przetrwać, kluczowe jest wsparcie ze strony króla. Ludzie w sprawach duchowych idą za jego przykładem, i wiecie o tym. Niektórzy z was pamiętają czasy króla Azariasza. Świątynia była centralnym punktem kraju właśnie dzięki niemu. Powiedz - zwrócił się do Zachariasza - w jaki sposób udało ci się zdobyć zaufanie Azariasza i wpływ na cały naród? Zachariasz trzęsąc się, próbował wstać i przemówić, ale po jego szklistych oczach i chwiejących nogach Uriasz szybko zorientował się, że jest pijany. Czym prędzej podjął swoją mowę.

- Mój szacowny mentor już wcześniej zapewnił mnie o swoim pełnym poparciu - powiedział, sygnalizując Zachariaszowi ręką, by usiadł. - Zmierzam do tego, że król Achaz jest bardzo młody i nie rozumie prawa Jahwe. To my musimy go tego prawa nauczyć i zmobilizować do powrotu do kultu Jahwe. Wówczas będziemy w stanie przyciągnąć również lud. Król Achaz ufa mi. Uczynił mnie drugą osobą w państwie. Ja jedynie wykorzystam tę ofiarę, by odnowić kult w naszej Świątyni.

- Poprzez czczenie bożków? - krzyknął Konaniasz. - Chcesz odnowić kult chwały Jahwe, poprzez składanie ofiar Molochowi? To szaleństwo! Jedynym sposobem odnowienia kultu w Świątyni, jest nawrócenie. Mężowie Judy muszą porzucić bałwochwalstwo i zwrócić ponownie swe serca ku Bogu!

Uriasz natychmiast przeszedł przez salę i stanął nad nim, górując w pozie milczącej groźby

- Wystarczająco długo ta Świątynia próbowała działać według twoich ograniczonych, archaicznych poglądów. Nawrócenie! Dokąd nas to doprowadziło? Jedynym celem tej

Świątyni jest służenie duchowym potrzebom ludu. Najwyraźniej nasze zwyczaje nie zaspokajają tych potrzeb, inaczej ludzie by do nas wrócili. Najpierw więc musimy ich zmobilizować do powrotu. Wtedy będziemy mogli ich odzwyczajając od bałwochwalstwa.

- Nie, mylisz się - odpowiedział Azariasz. - Celem tej Świątyni jest służba Jahwe, nie ludowi. Zgrzeszymy przeciw Niemu, jeśli poprowadzimy lud ku bałwochwalstwu!

- Nie prowadzimy ich ku bałwochwalstwu! - odparł natychmiast Uriasz. - Oni już czczą bożki! Możemy tak siedzieć i umierać z głodu z powodu braku ofiar, albo zmienić się i odzyskać część naszej dawnej władzy i mocy w tym narodzie. To nasza szansa! Mam zaufanie i wsparcie ze strony króla. Jeśli nie obejmę wiodącej roli w tym obrzędzie, zrobią to kapłani Molocha. Zobaczcie, ja poczynię jedynie przygotowania. Obrzęd odprawią kapłani Molocha. Ale lud musi być przekonany, że nasze kapłaństwo jest ponad każdym innym.

- Absolutnie nie! - odpowiedział Azariasz. - Jesteśmy kapłanami jedyne go prawdziwego Boga. Nie możemy pozwalać na bałwochwalstwo.

- Nas nikt nie pyta o pozwolenie! - krzyknął Uriasz. - Achaz odziera Świątynię z resztek jej bogactwa, nie rozumiecie? Nic nie zostanie! Macie zamiar siedzieć tu, trzymając się kurczowo przeszłości, gdy ta budowla będzie się walić? - Uderzył w ścianę tak mocno, że z sufitu, jakby na potwierdzenie jego słów, spadły odłamki tynku i pył. Na chwilę zapadła cisza. Przerwał ją sam Uriasz, spokojnym i opanowanym głosem. - Robi się bardzo późno. Dość już dyskutowaliśmy. Musimy dziś wykonać rozkazy króla. Danina musi zostać wysłana do Asyrii, zanim rozpocznie się oblężenie. A ofiara musi zostać odprawiona natychmiast. Nie możemy tracić więcej czasu na kłótnie. Pora głosować.

Ignorując nieliczne pomruki sprzeciwu, sięgnął po pojemnik z otoczkami używanymi do głosowań. Podał je zebranym, każdy mężczyzna brał po jednym czarnym kamieniu i jednym białym, po czym przekazywał naczynie dalej.

- Jeśli chcecie udzielić poparcia mnie jako arcykapłanowi i odnowić kult naszej Świątyni, włóżcie biały kamień - polecił. - Jeśli pragniecie związać mi ręce swoimi anachronicznymi zwyczajami i czekać, aż Świątynia się rozsypie, włóżcie czarny kamień.

- Nie słuchajcie go! - błagał Azariasz. - Nie daje nam wyboru.

- Bo nie ma wyboru! Nie rozumiecie? Jesteśmy umierającymi kustoszami instytucji w agonii. Potrzebujemy zmiany. A teraz głosujcie.

- Nie! - Azariasz rzucił swoje kamienie pod nogi Uriasza. - Odmawiam uznania twojego przywództwa. Odmawiam jakiegokolwiek uczestnictwa w głosowaniu nad bałwochwalstwem. Już sam pomysł jest wprost obrazą Boga. - To powiedziawszy, opuścił salę. W jego ślady podążył Konaniasz i jeszcze kilku innych.

Uriasz wstrzymał oddech obserwując, ilu jeszcze wyjdzie. Gdy pozostało wystarczające kworum do podejmowania decyzji prawnie wiążących, odetchnął z ulgą. Szybko puścił w ruch pudło na głosy, słuchając głuchych odgłosów kamieni uderzających o dno. Gdy wróciło do niego, wrzucił swój biały kamień, po czym obrócił urnę i wysypał jej zawartość na środku między zgromadzonymi.

- Przeliczcie - polecił.

Proporcja białych i czarnych kamieni wskazywała, że głosowanie było wyrównane. Z napięciem obserwował dwóch skrybów rozdzielających i liczących kamienie. Jeśli przegra głosowanie, będzie musiał zrezygnować z godności arcyka-

plana. Czas autorytetu jego osoby w środowisku kapłanów i Lewitów dobiegnie końca, podobnie jak jego władzy, umożliwiającej mu przeprowadzanie w Świątyni zmian. Ale jeśli wygra, dzisiejszy dzień przyniesie nowe otwarcie.

- Dwadzieścia trzy czarne - obwieścił pierwszy skryba.

- I dwadzieścia osiem białych - dodał drugi. - Uzyskałeś poparcie głosujących, Uriasz.

Podali pojemnik innym, by wrzucono doń kamienie nieużywane w głosowaniu. Zebrani w ciszy opuszczali salę, wyczerpani emocjonalnym napięciem. Gdy Uriasz został sam, usiadł ciężko na miejscu wuja na podwyższeniu i patrzył na stos kamieni na środku sali.

Wygrał. Objął nowe, wpływowe stanowisko u boku króla, a teraz jego przywództwo poparli również kapłani i Lewici. W ciągu ostatnich kilku godzin jego życie uległo zupełnej przemianie, a teraz już wszystko było jasne.

Uriasz wiedział, że powinien się cieszyć, ale jego zwycięstwo pozostawiło po sobie uczucie pustki, nad którym obawiał się bliżej zastanawiać. Powiedział sobie, że odczeka do momentu odprawienia ofiary dla Molocha. Może potem poczuje się lepiej. Może wtedy zdoła uciszyć prześladowający go i dręczący, wewnętrzny głos.

4.

Krzyki matki wybiły go ze snu. Hiskiasz otworzył oczy -koszmar wrócił. Niczym pomruk nadchodzącej burzy korytarzem w stronę jego pokoju nadchodzili żołnierze. Przyszli znów. Po niego.

Poprzednio nie wiedział, jak straszliwy los czekał Eliaba. Teraz był już tego świadom. Musiał uciekać, musiał się schować, ale nie było gdzie. Matka była coraz bliżej, jej krzyki -coraz głośniejsze.

Może to tylko sen. Z którego zaraz się zbudzi. Ale gdy zobaczył obok puste łóżko brata, przypomniał sobie smród i ryk płomieni. Wiedział już, że to nie sen.

Żołnierze z impetem otworzyli drzwi i wyciągnęli go z łóżka. Silne ręce starały się przemocą włożyć mu przez głowę tunikę. Hiskiaszowi przypomniła się otwarta paszcza Molocha i wpadający przez nią, głową prosto w płomienie, brat. Walczył z żołnierzami ze wszystkich sił. Ci jednak bez wysiłku podnieśli go, wręcz rozbawieni tą walką, i wynieśli z pokoju.

Na korytarzu panował półmrok, ale w migoczącym świetle pochodni Hiskiasz widział dziesiątki żołnierzy. Był również arcykapłan, wysoki mężczyzna, szeroki w ramionach, którego wcześniej Hiskiasz widział w sali spotkań doradców ojca. Mama klęczała przed nim, Ignęła do jego stóp i prosiła.

- Uriasz, błagam! Błagam cię! Proszę, nie zabieraj mojego syna! - Jej oczy były dzikie, szalone, twarz biała jak kreda ze strachu.

- Mamo, ratuj! - krzyczał Hiskiasz. - Pomóż mi! - Wry-

wał się, by się do niej dostać, ale żołnierz mocno go trzymał.

- Proszę, Uriasz, proszę!

- Abbijo, nie... - Arcykapłan próbował wziąć ją za ramię i pomóc jej wstać, ale kobieta przywarła do jego nóg.

- Zabili mi już Eliaba, czy to nie wystarczy? Proszę, nie zabijaj jeszcze i Hiskiasza! Przez wzgląd na mojego ojca! Przez wzgląd na mnie miej litość nad moim synem! Jest wszystkim, co mi zostało!

- Zabierzcie ją stąd - polecił cicho Uriasz.

- Nie, Uriasz! Nie! Musisz mi pomóc! - Otoczyła ją grupa żołnierzy. Bezradnie krzyczała, gdy podważali jej palce, odrywając je od stóp Uriasza. Hiskiasz bił i kopał z całej siły, krzycząc z przerażenia i walcząc, by przedostać się do matki. Ona jednak zniknęła mu z oczu, żołnierze odciągnęli ją, a jej rozdzierający krzyk był coraz dalszy i coraz cichszy.

Wtedy arcykapłan odwrócił się do Hiskiasza. Chwycił go swoimi wielkimi dłońmi za ramiona i potrząsnął nim.

- Bądź cicho!

Siła jego grzmiącego głosu oszołomiła Hiskiasza tak, że istotnie zamilkł. Spojrzał w górę na Uriasza - mężczyzna wydawał mu się gigantem. Chłopiec bezgłośnie błagał o życie, zbyt wystraszony, by się odezwać, ale Uriasz odwrócił się.

- Miejmy to już z głowy - powiedział.

Żołnierze zmusili Hiskiasza do dołączenia do pozostałych dzieci, synów nałożnic Achaza. Hiskiasz i jego przyrodni brat Amariasz byli niemal tego samego wzrostu, dzieliła ich różnica jedynie kilku miesięcy. Ale Hiskiasz wiedział, że jest starszy od Amariasza. Wiedział, że jako najstarszy syn króla Achaza jest pierwszym w kolejności jego następcą na królewskim tronie Dawidowym. A teraz pierwszym w kolejności do śmierci w płomieniach.

Nie był w stanie iść. Któryś żołnierz pochylił się, by go podnieść, a Hiskiasz desperacko zaczął walczyć o uwolnienie się z jego rąk. Ale im bardziej się szarpał, tym mocniej żołnierz go trzymał. Kopał i młócił rękoma, wbijał pazury w ramiona, które go obejmowały, krzycząc z przerażenia, gdy niesiono go korytarzem i tonącymi w ciemności schodami. Gdy dotarli na dziedziniec, gdzie czekał na nich orszak, Hiskiasz był poobijany i odrętwiały, zbyt wyczerpany by dalej się szarpać.

Gdy ze słabo oświetlonych korytarzy pałacowych wyłonił się na zewnątrz, oczy rozbolały go od porannego słońca. Ale gdy do niego przywykły, dostrzegł, że wszystko było prawie takie same, jak poprzednio - olbrzymie tłumy ludzi, stojący w oczekiwaniu kapłani i wysoko urodzeni oraz dzieci w białych szatach. Brakowało tylko niekończących się szeregów żołnierzy. A wśród całego tego tłumu stał jego ojciec, król Achaz.

Orszak ruszył w dół ulicami miasta, znów w stronę Doliny Hinnom. Żołnierz, który niósł Hiskiasza, postawił go i kazał mu iść, ale nogi chłopca drżały tak mocno, że z obu stron musiano go podpierać. Dwaj żołnierze popychali go więc i ciągnęli ulicami, aż dotarli do bramy w południowym murze miasta.

Hiskiasza zmroził widok poszarpanych urwisk stanowiących wejście do doliny śmierci. Raz jeszcze cienki słup dymu wił się w oddali. Hiskiasz nie mógł się poruszyć.

- Nie... nie... - skamlał. Ale żołnierze szarpnęli jego ramiona i popchnęli wbrew jego woli naprzód tak, że stopami ciągnął po ziemi.

Niektóre dzieci zaczęły zawodzić, a kapłani, by zagłuszyć poruszające krzyki, zaintonowali swój śpiew:

- Moloch... Moloch... Moloch...

Pulsujący rytm odbijał się echem od urwisk i murów miejskich, wzbierając na sile w miarę, jak orszak zbliżał się

do miejsca złożenia ofiary. Przy każdym uderzeniu kapłańskich bębnów Hiskiasz czuł się, jakby go uderzano pięścią w brzuch. Byli już prawie na miejscu. Nie mógł uciec.

W pewnym momencie przez tłum przepchnął się człowiek, którego Hiskiasz pamiętał ze spotkania u źródła Gichona. Wyszedł on naprzeciw Achazowi, by zatarasować mu przejście. Oczy Izajasza lśniły gniewem, a całe jego ciało drżało z wściekłości, aż wydawało się, że eksploduje. Zawołał przekrzykując dudnienie bębnów, głosem przenikającym do samej duszy.

- Niebioso, słuchajcie, ziemio, nadstaw uszu, bo Jahwe przemawia: „Wykarmiłem i wychowałem synów, lecz oni wystąpili przeciw Mnie. Wół rozpoznaje swego pana i osioł żłób swego właściciela, Izrael na niczym się nie zna, lud mój niczego nie rozumie”³.

- Zejdź mi z drogi! - Achaz odepchnął kuzyna i kroczył dalej z oczyma utkwionymi w ognistego bożka przed nim. Ale Izajasz szedł wraz z nim, tyłem, tak, by patrzeć mu w oczy i przekrzykując hałas głosił:

- O, narodził się grzeszny, ludu obciążony nieprawością, dzieci wyrodne! - Rozpostarł szeroko ramiona, jakby chciał nimi objąć cały tłum. - Opuścili Pana, wzgardzili Świętym Izraela, odwrócili się wstecz.

Izajasz dalej starał się stanąć Achazowi na drodze; Hiskiasz po raz pierwszy od momentu, gdy zbudzono go tego ranka, zobaczył promyk nadziei. Ale król znów odepchnął Izajasza, jeszcze mocniej. Ten potknął się i prawie upadł.

- Ludu mój, czy nie dość wam kar? - krzyczał Izajasz, starając się jednocześnie utrzymać równowagę. - Musicie wciąż się buntować? Kraj wasz spustoszony, wasze miasta ogniem spalone, cudzoziemcy tratuja wam niwy na waszych oczach, a wy ostaliście się bezradni i opuszczeni.

¹ Ten cytat, jak i poniższe, są parafrazą Księgi Izajasza, rozdział 1 [przyp. red.].

Hiskiasz zobaczył, jak Uriasz łokciami przepycha się do czoła orszaku, by stanąć obok króla. Stał nad Izajaszem, górując nad nim wzrostem, ale prorok spojrział mu w oczy, nie okazując najmniejszego lęku.

- Ręce wasze pełne są krwi! - oskarżał Izajasz. - Obmyjcie się i oczyśćcie! Usuńcie zło uczynków waszych sprzed oczu Boga! Przestańcie czynić zło! Zaprawiajcie się w dobrem!

- Nie pozwólcie mu blokować drogi - polecił Uriasz, zwracając się do dwóch żołnierzy, po czym odwrócił się ponownie dołączając do Achaza i kapłanów Molocha, a orszak, krok po kroku, zbliżał się do miejsca swego przeznaczenia.

Izajasz powstrzymywany przez żołnierzy nie próbował już iść za królem. Stał jednak na skraju drogi i wzywał lud, który przechodził obok niego:

- „Chodźcie i rozsądźmy”, mówi Jahwe. „Choćby wasze grzechy były jak szkarłat, staną się białe jak śnieg; choćby były czerwone jak purpura, staną się jak wełna. Jeżeli będziecie ulegli i posłuszni, dobr ziemskich będziecie zażywać. Ale jeśli będziecie stawiać opór i buntować się, miecz was pochłonie”. Albowiem usta Pańskie wyrzekły.

Wysiłki Izajasza wydawały się daremne. Skandujący tłum szedł za królem, ignorując słowa proroka, odwracając się od niego. Hiskiaszowi zdało się, że ostatnia droga ucieczki została zatrzęsnięta z hukiem. Wszelka nadzieja zniknęła. Szedł na śmierć.

Ale gdy żołnierze ciągnęli go naprzód, obejrzał się na Izajasza i spojrział mu prosto w oczy. Wzrok proroka przenikał go do głębi, jakby go obnażał.

- Nie lękaj się - powiedział mu Izajasz - bo Jahwe cię wykupił, wezwał cię po imieniu; należysz do Jahwe! Gdy pójdziesz przez wody, Jahwe będzie z tobą, i gdy przez potężne rzeki, nie zatopią ciebie. Gdy przejdiesz przez ogień, nie spalisz się, i nie strawi cię płomień. Albowiem Jahwe jest twoim

Bogiem, Święty Izraela twoim Zbawcą⁴.

Żołnierze jeszcze mocniej ścisnęli ramiona Hiskiasza ponownie popychając go naprzód. Odwrócił głowę starając się nie tracić Izajasza z oczu, czekając, aż ten uratuje go z rąk żołnierzy, ale prorok nie mógł się ruszyć.

Słowa Izajasza pulsowały w uszach Hiskiasza w rytm dudnienia bębnów „Gdy przejdiesz przez ogień, nie spalisz się (...). Albowiem Jahwe jest twoim Bogiem”. Powtarzał sobie te słowa raz po raz, jakby miały one moc ochronić go przed tym, co go czekało.

Tłum ustawił się w okrąg wokół Molocha, na tyle blisko, na ile pozwalał buchający żar. Przed oczami Hiskiasza kapłani i ich słudzy wchodzili po stopniach na podest, niosąc dzieci. Moloch czekał z otwartymi ramionami. Jego mosiężna postać błyszczała, paszcza była szeroko otwarta. Nogi się ugięły pod Hiskiaszem. Chłopiec upadł na ziemię sparaliżowany strachem. Próbował się bronić, gdy jeden z kapłanów go podnosił, ale mężczyzna przycisnąwszy jego ramiona do boków, wniósł go po stromych stopniach i postawił na podeście. Raz jeszcze Hiskiasz stanął twarzą w twarz z ognistym potworem.

Najwyższy kapłan Molocha zaczął recytować obrzęd ofiarny, ale Hiskiasz nie słyszał żadnego słowa. Wiedział tylko, że potworny żar parzy go w twarz, a wyciągnięte ramiona czekają na niego. Echo słów Izajasza rozbrzmiewało raz po raz w jego pamięci w rytm bębnów i bicia jego serca. „Gdy przejdiesz przez ogień (...), Jahwe jest twoim Bogiem”. Kapłan ściskający ramiona Hiskiasza wzmocnił swój chwyt, jakby wyczuwając jego instynktowne pragnienie ucieczki.

Teraz śpiew tłumu sięgnął szalonego, ogłuszającego zenitu. Chwila złożenia ofiary była bliska. Hiskiasz nie sły-

¹ Ten cytat, jak i poniższe, są parafrazą Księgi Izajasza, rozdział 43 [przyp. red.].

szął już własnego krzyku tłumionego przez hałas czyniony przez tłuszczę, bicie bębnow i ryk płomieni. Słowa Izajasza, które sobie powtarzał, zaczęły się zacierać w jego pamięci, aż w przerażeniu przypominał sobie tylko jedno: „Jahwe”.

Wielkie, mosiężne oczy potwora patrzyły na niego z góry, języki ognia strzelały z otwartej paszczy. Kapłan Molocha skończył swoje modły i odwrócił się w stronę Hiskiasza.

- Jahwe! - wrzeszczał raz po raz przerażony chłopak.

- Który to pierworodny? - zapytał kapłan.

Uriasz spojrział na Hiskiasza. Ich oczy się spotkały. Ale gdy Uriasz wyciągnął dłoń, spoczęła ona na głowie Amariasza.

- Ten.

Kapłan Molocha sięgnął obok Hiskiasza i chwycił Amariasza. Na oczach Hiskiasza niewłaściwy syn został rzucony w ramiona bożka ognia. Chłopiec słyszał krzyk przyrodniego brata turlającego się ku otwartej paszczy. Widział, jak Amariasz ginie w płomieniach zamiast niego.

Ryk tłuszczy domagającej się kolejnej ofiary zamroczył Hiskiasza. W ogień wrzucono kolejnego chłopca, potem następnego i jeszcze jednego, i tak dalej, aż przyprawiający o mdłości smród wypełnił powietrze, szczypiąc w oczy i paląc krtani chłopca.

Wówczas skończyli.

W głowie Hiskiasza jeszcze raz odezwało się echo słów Izajasza: „Gdy przejdiesz przez ogień, nie spalisz się (...). Albowiem Jahwe jest twoim Bogiem”.

I Hiskiasz zemdlony padł jak kłoda na podeście.

Dudnienie bębnow cichło i ucichło zupełnie ze śmiercią ostatniej ofiary Molocha. Tłumy wracały do domów w posępnej ciszy, by dokończyć przygotowania do oblężenia. Wcho-

dząc obok Achaza przez bramę miasta i dalej do położonego na wzgórzu pałacu, Uriasz zastanawiał się nad stosunkiem króla do tego, co właśnie zrobił.

Uriasz całe życie był kapłanem. Złożył w ofierze tysiące zwierząt i przelewanie krwi nie było mu obce. Ale żadna z jego obrzędowych ofiar nigdy nie patrzyła na niego tak, jak syn Achaza. Żadne nieme zwierzę nie okazało nigdy takiego przerażenia.

Wcześniej wmówił sobie, że będzie to jedynie pusty obrzęd - jak wiele z tych, którym sam przewodniczył. Nigdy jednak wcześniej nie był świadkiem składania ofiary z ludzi, nie był przygotowany na to uczucie przytłaczającej odrazy.

Przez krótką chwilę, gdy Izajasz zastąpił królowi drogę, Uriasz modlił się, by Achaz usłuchał proroka, by powstrzymał tę straszliwą rzeź, zanim jeszcze się ona w ogóle rozpocznie. Król jednak zlekceważył jego słowa i doprowadził starannie opracowane przez Uriasza plany do ich śmiertelnego końca.

Wciąż było wcześnie rano, ale Uriasz zataczał się ze znużenia, podchodząc ulicami pod górę, jakby po całym dniu znoej pracy. Do pałacu dotarł odrętwiały i wyczerpany. Towarzysząc Achazowi przez korytarze pałacu prowadzące do jego komnat, słyszał rozpaczliwe krzyki dochodzące przez otwarte okna skrzydła dla kobiet i zadrzał. Co też najlepszego zrobił? Udało mu się uratować syna Abbiji, ale co z tamtym dzieckiem? Skazał syna innej matki, inne niewinne dziecko, na śmierć.

- Jakoś to przetrzyma - burknął Achaz, jakby czytając w myślach Uriasza. - Zapomni, gdy tylko urodzi następne.

Uriasz zwalczył pokusę, by mu przyłożyć. Achaz mówił o swojej nałożnicy jak o krowie, która szybko zapomina o odebranych jej cielęciu. Uriasz jednak widział, jak rozpaczliwie Abbija błagała o życie swojego dziecka i wiedział, że ona nigdy nie zapomni. Ani, zapewne, Zachariasz. Nagle żaloszny stan starego nauczyciela stał się zrozumiały. Pierwszą ofiarą był jego wnuk.

Po dojściu do prywatnych komnat króla, Uriasz oczekiwał na dalsze rozkazy, starając się zachować nieprzenikniony wyraz twarzy, ukryć swoje emocje.

- No. Zrobione - westchnął Achaz. - Dobrze wszystko wyszło, nie sądzisz? Cieszę się, że więcej starszych niż poprzednio zdało sobie sprawę z powagi sytuacji i złożyło w ofierze swoich synów.

Uriasz mruknął jakąś niejasną odpowiedź, nie był w stanie spojrzeć Achazowi w oczy.

- Teraz chyba Moloch nas wysłucha - mówił dalej król, jakby chciał przekonać samego siebie. - Wiesz, to potężny bóg. Żąda wielkiej ofiary, więc i jego moc na pewno musi być olbrzymia.

Uriasz nie odpowiedział. Jego wściekłość na zabobonną ignorancję króla sięgała zenitu. Jego cierpliwość wobec głupoty, jaką stanowiło bałwochwalstwo, była niewielka, pragnął też jak najprędzej rozpocząć realizację monumentalnego zadania, jakim było nauczenie Achaza praw Jahwe, poczynwszy od pierwszego przykazania. Ale nie dzisiaj. Dziś Uriasz był zbyt wyczerpany fizycznie i emocjonalnie, by cokolwiek zrobić.

- Nic już chyba więcej nie możemy zrobić, jedynie czekać na atak - powiedział Achaz. Jego zaufanie do Molocha chyba gwałtownie niknęło, a drżący głos wyraźnie świadczył o przerażeniu. - Ile mamy czasu, Uriaszu? Ile czasu do rozpoczęcia oblężenia?

- Pewnie kilka dni. Z pewnością nie dłużej niż tydzień. -Uriasz starał się, by jego głos brzmiał uspokajająco, by wlać w spanikowanego króla nieco pewności siebie.

- Jesteśmy gotowi? Wytrzymamy? - Żałosny wyraz twarzy Achaza przywodził na myśl żebraka błagającego o jałmużnę. Gdy Uriasz zorientował się, jakim tchórzem tak naprawdę jest król, ciężko mu było zwalczyć odrazę. Tylko ktoś wyjątkowo strachliwy posyłałby własne dzieci na śmierć po to, by

ratować swoje życie.

- Tak, Wasza Wysokość - odpowiedział. - Z defensywnego punktu widzenia nasze miasto jest świetnie ulokowane. Wróg zmęczy się oblężeniem szybciej, niż sądzi.

Achaz nie wydawał się przekonany. Chodził wzdłuż komnaty załamując ręce. Uriasz pragnął uciec z pałacu jak najdalej i nigdy nie wracać. Będzie musiał wspierać Achaza i być jego oparciem w czasie tego kryzysu i zastanawiał się, skąd sam weźmie na to siły. Już był wykończony.

- Wasza Wysokość, jeśli mogę, muszę przypilnować daniny dla Asyrii - powiedział, chwytając się pierwszej lepszej wymówki.

- Tak, chyba tak - odparł Achaz.

Uriasz wyszedł czym prędzej, zanim król zmieniłby zdanie. Rzeczywiście powinien był przypilnować Lewitów gromadzących złoto, ale czuł się odrętwiały i chory, jakby połknął ciężki kamień. Opuścił pałac przez portyk królewski i ruszył wzwyż, ku Świątyni.

Dotarłszy na dziedziniec zewnętrzny, zatrzymał się, by złapać oddech. Miejsce stanowiło zupełne przeciwieństwo wąskiej doliny, gdzie intronizowano Molocha. Dziedzińce świątyni były otwarte i przestronne, widoku otaczających gór nie przesłaniały urwiste zbocza. Panował spokój, cisza stanowiła miłą odmianę po hałaśliwych obrzędach ku czci Molocha, powietrze było słodkie, nie śmierdziało palonym ciałem.

By ukoić nerwy, Uriasz zatrzymał się u wejścia do wewnętrznego dziedzińca i spojrzał na sanktuarium Jahwe. Znał je jak siebie samego. A jednak z jakiegoś powodu wydawało mu się teraz obce i odległe, niczym scena ze snu. Słaby wietrzyk zmarszczył wodę w dużym mosiężnym zbiorniku, z którego korzystali kapłani, woda połyskiwała w świetle słońca jak roztopione srebro. W pamięci Uriasza szumiały, ni-

czym powiew wiatru, słowa Izajasza: „Obmyjcie się i oczyśćcie! Ręce wasze pełne są krwi!”.

Uriasz wpatrywał się w swoje dłonie. Gdy służył w Świątyni Jahwe, plamiła je krew zwierząt składanych w ofierze. Dziś pozostały czyste, ale czuł, jakby były brudne. Spojrzał na wielki mosiężny ołtarz, który dominował nad środkową częścią dziedzińca. Jego płomień palił się powoli, pochłaniając baranka z porannej ofiary. Ale gdy Uriasz na to patrzył, baranek w drgającym, rozgrzanym powietrzu zdawał się nabierać kształtu dziecka.

Wzdrygnął się i potrząsnął głową, by pozbyć się tego obrazu. Gdy obrócił się, by wyjść, prawie że zderzył się z Zachariaszem, który zataczając się po omacku, wyszedł na dziedziniec. Zachariasz stracił równowagę i Uriasz złapał go za ramiona, by go podtrzymać. Oddech starego Lewity śmierdział winem.

- Muszę go powstrzymać - mruknął Zachariasz. Wyglądał jak oszalały, nabiegłe krwią oczy były dziko przerażone.

- Kogo powstrzymać, Rabbi? - Uriasz złął się, że Zachariasz miał jego na myśli, że szedł, spóźniony, by powstrzymać złożenie ofiary Molochowi.

- Króla Azariasza... Muszę powstrzymać króla Azariasza.

- Król Azariasz nie żyje - odpowiedział Uriasz, odpychając Zachariasza z odrazą. - A ty jesteś pijany. - Gniew Uriasza i obrzydzenie wobec samego siebie przelały się. Kapłan na ślepo uderzył nimi w Zachariasza. - Tak cię podziwiałem. Chciałem być taki, jak ty. Byłeś najgenialniejszym umysłem prawniczym, jaki kapłaństwo widziało od pokoleń, a teraz rozmawiasz z królem, który nie żyje od lat. Hańba, Rabbi. Jak możesz odwracać się od wszystkiego, w co zawsze wierzyłeś?

Zachariasz nie odpowiedział. Patrzył w dal, na ptaki, trzepoczące skrzydłami nad dachem Świątyni.

- Zaprowadzę cię do twojego pokoju - powiedział Uriasz.

- Zostań tam, dopóki nie wytrzeźwiejesz.

Obrócił Zachariasza i zaprowadził go do mieszkania. Wrzały w nim litość, poczucie winy i smutek, ale starannie je ukrywał pod maską gniewu, jedyne uczucie, jakie miał odwagę okazywać, nie ryzykując utraty opanowania, załamania się.

- Spójrz na to miejsce! - zakrzyknął, gdy doszli do pokoju Zachariasza. - Rozlatuje się tak samo, jak cały ten budynek! Ja jestem wykończony błaganiami o dziesięciny, które zgodnie z prawem należą do mnie, wykończony kolejnymi chudymi latami, wykończony walką o przetrwanie i zebraniem. Przysięgam Bogu, że odzyskam władzę i uznanie, na jakie zasługuje nasze kapłaństwo i przywrócę tej Świątyni jej dawną chwałę - za wszelką cenę. Liczyłem, Zachariaszu na twoją pomoc, ale skoro chcesz tylko pić, to zejź mi z drogi.

Odepchnął Zachariasza. Starzec potknął się, tracąc równowagę i zwałił jak kłoda na ziemię. Przez kilka chwil leżał tak w bezruchu.

Wreszcie spojrzał w górę. Jego wzrok nie był już pusty, ale pełen rozpacz. Słabszy prosił silniejszego o odpowiedź.

- Uriasz - jęknął. - Czy zostanie mi kiedykolwiek przebaczone to, com uczynił?

Uriasz przypomniał sobie, co on uczynił - przypomniał sobie ofiarę złożoną Molochowi - i dreszcz przeszył jego ciało. Izba zdawała się robić coraz bardziej lodowata, powietrze wypełniały rozpaczliwe krzyki Zachariasza.

- Jahwe, proszę, pozwól mi umrzeć... pozwól mi umrzeć... pozwól mi umrzeć!

5.

Gdy przynieśli jej Hiskiasza i włożyli w jej ramiona, Abbija się rozpłakała. Jego włosy i ubranie cuchnęły dymem, ale ona trzymała jego okopconą buzię w dłoniach, nie przestając całować sadzy, która mieszała się z jej łzami. Chłopiec przylgnął do niej, widziała w jego oczach cały koszmar, jakiego był świadkiem.

W jaki sposób został cudownie oszczędzony? Zastanawiała się, czy to Uriasz wystąpił w jego obronie. To, że to właśnie arcykapłan przygotowywał królewskich synów na ofiarę, było dla niej szokiem. Miała nadzieję, że jako doradca Achaza Uriasz sprzeciwi się bałwochwalstwu, a on jeszcze w tym pomagał. Jeśli jednak Uriasz zareagował na jej błagania i ocalił Hiskiasza, to już nic więcej nie miało znaczenia.

- Jahwe! - szepnął Hiskiasz ochrypłym od krzyku głosem. - Jahwe!

Abbija nie rozumiała, dlaczego ciągle powtarzał to słowo. Jahwe był Bogiem, którego czcił jej ojciec. W jaki sposób jej syn mógł usłyszeć to imię podczas obrzędu ku czci Molocha?

- Óóó, synku. Jesteś już bezpieczny - szepnęła. - Już będzie dobrze.

Lecz patrząc na drżące dziecko, sama się zastanawiała, czy cokolwiek będzie jeszcze takie, jak było. Urzekający, ciekawski chłopiec, którego śmiech roznosił radość po pałacowych korytarzach, prześlizgiwał się przez jej palce jak delikatny jedwab. Widok śmierci Eliaba zmienił Hiskiasza w przerażone

dziecko, które co noc budziło się z krzykiem, bało się samo spać, by koszmar nie wrócił. Ale dzisiejsza ofiara skutecznie nadwątlila ostatnie nici jego rozsądku i ufności. Postanowił uciec od rzeczywistości, której część stanowił Moloch, wycofać się do bezpiecznej przystani własnego umysłu. A Abbija nie wiedziała, jak do niego dotrzeć. Przytulała go mocno tak, jakby siła jej miłości mogła przyprowadzić go z powrotem do realnego świata.

Jakaś część jej też chciała uciec od rzeczywistości. Jej życie tak bardzo oddaliło się od naturalnego biegu małżeństwa i rodziny, że wydawało się, iż zstępuje do Szeolu. Poślubiła króla, potomka Dawidowego... mężczyznę zdolnego mordować własne dzieci.

- Nigdy cię ode mnie nie wezmą - mówiła, przyciskając Hiskiasza do siebie. - Nigdy. - Ale wiedziała, że była to obietnica bez pokrycia, że nie miała takiej władzy, by jej dotrzymać.

Może powinna się modlić. Może ona powinna wezwać Jahwe, Boga, którego wzywał Hiskiasz. Ale czy to nie Jahwe kazał jej poślubić Achaza? Czyż to nie dzięki gorliwej wierze jej ojca w Jahwe dostąpiła zaszczytu wejścia poprzez małżeństwo w królewski ród? Nigdy wcześniej nie prosiła o nic Boga. Bardzo wcześnie nauczyła się nie mieć żadnych własnych życzeń ni pragnień.

- Nie chciej niczego - mówiła jej matka - oprócz tego, co chce dla ciebie twój ojciec. To, co ty chcesz, nie ma znaczenia.

Abbija to zaakceptowała i dorastała w świadomości, że zawsze tak będzie.

Przypomniała sobie pewne ciepłe popołudnie, krótko przed ślubem. Uriasz wyszedł wtedy na dziedziniec domu jej ojca, gdzie siedziała, uczeń jej ojca ośmielił się porozmawiać z nią sam na sam.

- Chcesz wyjść za Achaza? - zapytał.

- Moja decyzja nie ma znaczenia - odparła. - Na pewno o tym wiesz.
- Bo król Azariasz złożył twojemu ojcu obietnicę?
- Nie. Bo jestem kobietą. Zostanę oddana za żonę. Oddana. Jak prezent. Czy prezenty mają luksus decydowania o tym, kto je otrzyma?
- Nie odczuwała żadnej goryczy, stwierdzała jedynie fakt.
- Akceptujesz to?
- Oczywiście.

Uriasz przez chwilę patrzył w dal, na złoty dach Świątyni, ledwo widoczny ponad czubkami drzew i dachów. Potem znów odwrócił się do niej z wyrazem czułej troski na twarzy.

- Czy nie chciałaś nigdy czegoś tak bardzo, że byłaś gotowa bić się o to?

Abbija wtedy nie odpowiedziała, nie rozumiała tego pytania. Teraz je zrozumiała. I coś w niej, jakaś wewnętrzna siła, z której dotąd nie zdawała sobie sprawy, kazała jej walczyć o Hiskiasza. Nie mogła pozwolić sobie na jego stratę. Straciła już jednego syna, nie zniesie straty drugiego.

- Wróc, kochanie - błagała. - Wróc, proszę.

Ujęła jego sztywne dłonie w swoje i zaczęła nimi klaskać, śpiewając jedną z rytmicznych piosenek, które kiedyś tak uwielbiał. Nie zareagował.

- Jahwe! - jęknął, szlochając.

Przez całą resztę dnia walczyła o syna, chwytając się każdego sposobu, jaki przyszedł jej do głowy, by przywrócić go do świata, którego częścią nie chciał już być, świata, którego się bał i któremu już nie ufał. Beznadziejność tej walki ją wyczerpała. Jego ciało wciąż było sztywne ze strachu, wzrok - pusty.

Gdy miało się ku zachodowi, zaniósła go do okna, ale nie chciał wyrzucić. Zbliżała się pora ofiary wieczornej. Po niej zapadnie ciemność i dla obojga rozpocznie się długa, kosz-

marna noc. Delikatnie zakołysała Hiskiasza i poczuła szloch, który poruszył jego ciałem.

- Jahwe...

Gdzie poznał to imię? Jaka rolę w tym koszmarze odgrywał starodawny Bóg jej ojca? Może nigdy się nie dowie.

Do pokoju weszła służąca, która przyniosła tacę z jedzeniem i położyła ją na stole.

- Pani, trzymasz go cały dzień - powiedziała ze współczuciem. - Musisz, pani, coś zjeść. Ja go przez chwilę potrzymam.

Abbija pokręciła przecząco głową. Nie miała ochoty jeść. Strach o to, że jej syn nigdy już nie będzie sobą, przyprawiał ją o mdłości. Hiskiasz jakby nie słyszał, że służąca weszła do pokoju, czy cokolwiek powiedziała, ale gdy w oddali zabrzmiał dźwięk szofaru wzywającego na ofiarę, chłopiec podskoczył.

- Jahwe!

Abbija w jednej chwili podjęła decyzję. Wie już, co musi zrobić, żeby ratować syna. Jeśli Hiskiasz wzywa Jahwe, ona też musi Go wezwać. Z jakiegoś powodu to Jahwe dzierżył klucze do umysłu Hiskiasza, Abbija więc je odnajdzie.

- Hiskiaszu, mama musi na chwilę gdzieś pójść - powiedziała, całując go w czoło. - Ale za chwilę wrócę, obiecuję. Zostaniesz z Deborą.

Wstała i skinęła na zaskoczoną dziewczkę.

- Ale... dokąd idziesz, pani? Nie wolno...

- Idę na wieczorną ofiarę do Świątyni - powiedziała zdecydowanym tonem. - To wolno.

O mało co nie zmieniła jednak zdania, gdy spróbowała podnieść Hiskiasza i podać go Deborze, a on przylgnął do niej z krzykiem. Siłą uwolniła się z jego rąk, obiecując mu, że wróci. Okryła głowę chustą i pośpiesznie wybiegłszy z pałacu, ruszyła królewskim chodnikiem w stronę Świątyni.

Na wieczorną ofiarę przyszło bardzo niewielu wiernych. Może z tuzin mężczyzn i garstka kobiet. Abbija patrzyła po twarzach Lewitów, szukając ojca, potem po twarzach kapłanów, szukając Uriasza. Nie dostrzegła żadnego z nich. Gdy wierni uklękli na modlitwę, uklękła i ona, po raz pierwszy w życiu wzywając Jahwe.

- Panie, wiesz, że nigdy cię o nic nie prosiłam - mówiła. - I teraz też nie proszę dla siebie, ale dla syna. On Cię wzywa, Panie. Proszę, pomóż mi. Proszę, powiedz mi, co mam zrobić, żeby wrócił do życia. Będę tu przychodziła modlić się do Ciebie codziennie. Dwa razy dziennie! Zrobię wszystko, Panie, jeśli tylko wysłuchasz mojej modlitwy i pomożesz mojemu synowi.

Długo klęczała modląc się i nie zauważając, że obrzęd już się skończył. Ani, że podchodzi do niej kapłan w białej szacie - aż drgnęła przestraszona jego głosem:

- Czy chciałabyś złożyć ofiarę na rzecz Świątyni, pani? Abbija naprędce otarła łzy.

- Nie... ja... - nie wiedziała, co ma powiedzieć. Prosiła Jahwe o pomoc, ale nie miała pojęcia, co powinna dalej robić. Kapłan skrzyżował ramiona i patrzył po dziedzińcu, jakby niecierpliwiał się, kiedy będzie mógł zakończyć swoje obowiązki. - Jestem córką Zachariasza, Lewity. Wiesz, gdzie on jest? Możesz mnie do niego zaprowadzić?

Kapłan zmarszczył nieco brwi, ale potem skinął głową.

- Pójdź za mną.

Abbija sama nie wiedziała, czemu zapytała o ojca. Wiedziała tylko, że Hiskiasz potrzebował pomocy Jahwe, a Jahwe był Bogiem jej ojca. Zrobiłaby wszystko, czego Jahwe by wymagał, byleby ocalić Hiskiasza. Szła szybko, by dotrzymać kroku kapłanowi prowadzącemu ją do mieszkań Lewitów. Miała tylko nadzieję, że Achaz nigdy nie odkryje, co robi.

Gdy Zachariasz otworzył oczy, był sam. Leżał jak długi na podłodze w swojej izbie. Nie pamiętał, jak się tu dostał. Która była godzina? Jaki dzień? Nie mógł sobie przypomnieć. Potem zobaczył pusty bukłak i przypomniał sobie swoją modlitwę o śmierć. Jahwe jej nie wysłuchał.

Powoli wstał, opierając się przy tym o łóżko. Przez szczeliny okiennicy widział, że słońce chyliło się już ku zachodowi. Przespał cały dzień zamroczony winem, nim wytrzeźwiał. Otępiające działanie alkoholu ustąpiło i kapłan w swej świadomości okazał się być bezradnym wobec konieczności stawienia czoła własnej winie i upadkowi, bezradnym wobec wspomnienia ofiary składanej Molochowi. Rozejrzał się po panującym w izbie bałaganie, szukając rozpaczliwie czegoś do picia, ale wszystkie bukłaki były puste. A on za bardzo się trząsał, by pójść i kupić wino. Opadł na łóżko i zasłonił twarz.

Gdyby mógł cofnąć się w czasie i naprawić te wszystkie błędy, chętnie by to zrobił. Ale to przecież niemożliwe. A teraz Eliab zapłacił za nie swoim życiem. Dokładnie tak, jak mówią pisma: „karze występki ojców na synach do trzeciego i czwartego pokolenia”⁵.

- Nie... - jęknął. - Nie, proszę... już nie! Zmiłuj się, Panie. Zmiłuj się! Niespodziewany, głośny dźwięk trąby ogłosił ofiarę wieczorną, zaskoczył i przestraszył Zachariasza. Tak, jakby głos Boga go oskarżał. Następnie do jego izby dotarł odległy śpiew chóru Lewitów. Zachariasz powtarzał na głos słowa pieśni, rozpaczliwie usiłując odsunąć od siebie bolesne wspomnienie ofiary złożonej Molochowi. „Z głębokości wołam do Ciebie, Panie, o Panie, słuchaj głosu mego (...)! Jeśli zacho-

⁵ Księga Wyjścia 20, 5 [przyp. red.].

wasz pamięć o grzechach, Panie, Panie, któż się ostoi? Ale Ty udzielasz przebaczenia..."⁶.

Przerwał. Całe życie śpiewał słowa tego psalmu, nie słysząc ich. Czy mogłyby być prawdziwe? Czy Wszechmogący naprawdę mógłby pochylić się nad nim tu, gdzie leżał, i przebaczyć mu? Nagle przed Zachariaszem pojawił się obraz Molocha, tak jakby drwił ze słów psalmisty. By znów ten obraz od siebie odsunąć, Zachariasz recytował dalej: „W Jahwe pokładam nadzieję, Dusza moja oczekuje Jahwe oczekuję na Twe słowo (...). U Jahwe bowiem jest łaskawość..."⁷.

Zachariasz pamiętał wciąż, że kiedyś służył Bogu łaskawemu i przebaczącemu. Gdyby tylko przebaczenie Jahwe mogło przerwać ten gorzki krąg grzechu i kary, i śmierci dla dzieci Zachariasza i dla dzieci jego dzieci. Jego dusza oczekiwała tego, pragnęła tego bardziej niż samego życia. Zamknął oczy i recytował wraz z chórem:

- Niech Izrael wygląda Jahwe. U Jahwe bowiem jest łaskawość i obfite u Niego odkupienie.

Obfite odkupienie. Zachariasz nagle zdał sobie sprawę, że to odkupienie było tym mostem, po którym mógłby powrócić ponad przepaścią grzechu - do Boga. A Jahwe sam postawi ten most. Zachariasz upadł na twarz przed Bogiem prosząc Go o przebaczenie za swoje czyny.

- Zmiłuj się nade mną, Boże, w swojej łaskawości (...), Obmyj mnie zupełnie z mojej winy i oczyść mnie z grzechu mojego (...)! Tylko przeciw Tobie zgrzeszyłem i uczyniłem, co złe jest przed Tobą..."⁸

Teraz zrozumiał. Jego życie zostało poświęcone Jahwe, ale żył tylko dla siebie. To był jego największy grzech - marnowanie życia, które należało do Boga. Wykrzykiwał z głębi

⁶ Księga Psalmów 130, 1-4 [przyp. red.].

⁷ Księga Psalmów 130, 5.7 [przyp. red.].

⁸ Ten i dalsze cytaty za Księgą Psalmów, rozdział 51 [przyp. red.].

serca i duszy modlitwę pokutną Króla Dawida:

- Obmyj mnie, a nad śnieg wybieleję. Spraw, bym usłyszał radość i wesele (...)! Odwróć oblicze swe od moich grzechów i wymaż wszystkie moje przewinienia (...)! Przywróć mi radość z Twojego zbawienia (...). Chcę... chcę...

Na tych słowach przerwał. Na dworze słońce szybko chowało się za wzgórze na zachodzie. Światło gasło, cienie wydłużały się. Czuł się tak, jakby jego czas się kończył.

- Chcę... chcę... - co dalej? Co mógłby obiecać Bogu, by zadośćuczynić za wszystkie grzechy? - Ty się bowiem nie radujesz ofiarą i nie chcesz całopaleń, choćbym je dawał... -Krew tysięcy baranów i kozłów nie sprawi, że Eliab powróci, nie sprawi, że Zachariasz otrzyma nowe życie, by jeszcze raz je przeżyć. Zmagając się z bólem w sercu przypominał sobie dalszy ciąg Psalmu - Chcę... chcę nieprawych nauczyć dróg Twoich i nawrócą się do Ciebie grzesznicy.

- O, Boże, przebacz mi! - błagał. - Przebacz mi i daj mi jeszcze jedną szansę! Pozwól mi zadośćuczynić za zło, które wyrządziłem! BĘDĘ nieprawych uczył dróg Twoich, Jahwe! Proszę, daj mi jeszcze jedną szansę służenia Tobie! Proszę!

W oddali znów zabrzmiał szofar - ofiara wieczorna dobiegła końca. Gdy Zachariasz otworzył oczy i rozejrzał się dookoła, zobaczył, że Moloch zniknął. Leżał wciąż na podłodze, w tym samym miejscu, upajając się spokojem, który teraz odczuwał, bojąc się go zburzyć - aż usłyszał delikatne pukanie do drzwi. Wstał i potykając się, podszedł do drzwi. Czyżby o czymś zapomniał? Czy dziś wypadał jego dyżur w Świątyni? Gdy otworzył drzwi, okazało się, że stoi za nimi Abbija. Jej piękną twarz przecinały ślady łez, jej oczy były czerwone od płaczu. Zachariasz cofnął się, spodziewając się wybuchu nienawiści i wyrzutów za śmierć Eliaba, ale córka rzuciła mu się w ramiona.

- Abba, błagam, ratuj mojego synka, ratuj Hiskiasza! Co noc ma koszmary o ofierze dla Molocha. Teraz widział ją

znów... nie wiem, czy w ogóle będzie jeszcze sobą!

Zachariasz zadrżał. Wspomnienie ognistego oblicza bożka nawet jego umysł dręczyło od tygodni. O ile gorsze musiało być dla dziecka.

- Jego umysł się zmienił - mówiła Abbija. - Strach go wyniszcza. Abba, proszę, ratuj go.

- Ja...? Ja mam go ratować? - wyjąkał Zachariasz. - Ale ja nie wiem jak.

- Ja też nie wiem! Ale ciągle wzywa Jahwe, twojego Boga, a ja nawet nie wiem dlaczego!

Jahwe - jego Boga. Boga przebaczenia i łaskawości. Zachariasz poczuł się tak bezużyteczny, tak niegodny. Nie mógł pomóc wnukowi. Nie wiedział jak. I koniecznie musiał się napić.

- Co chcesz, żebym zrobił? - zapytał, uwalniając Abbiję z ramion.

- Nie wiem. Usiądź z nim, porozmawiaj. Może tobie się uda zrozumieć, dlaczego wzywa Jahwe i o co Go prosi. Przyjdź, proszę, i porozmawiaj z nim.

- Przyjść? Dokąd?

- Do pałacu.

- Nie! - odpowiedział szybko. - Nie, nie mogę wrócić do pałacu.

Wszystko w jego życiu zaczęło się psuć właśnie wtedy, gdy zamieszkał w pałacu króla.

Abbija rozplakała się, jej rozpacz rozdzierała mu serce.

- Nie mam nikogo innego, do kogo mogłabym pójść, Abba. Mój syn, Eliab, nie żyje i jeśli stracę jeszcze Hiskiasza, nie wiem, jak to wszystko wytrzymam. Błagam, pomóż!

Zachariasz spojrział córce w oczy i zrozumiał, że nie obwiniała go za jego udział w doprowadzeniu do śmierci Eliaba, czy za wyswatanie jej z bałwochwalcą. To tak, jakby wybaczyła

mu całe przeszłe zło i oczekiwała teraz tylko pomocy. A więc wiedział już, że Jahwe wysłuchał jego modlitwy. I udzielał mu swojego przebaczenia. Zachariasz mógł zadośćuczynić za całe popełnione zło, pomagając Hiskiaszowi. Droga powrotna do pałacu była niczym wąziutki mostek wiodący nad przepaścią, do Boga.

- Pójdę - odpowiedział zachrypniętym głosem. - I zrobię, co mogę. - Drżącą dłonią chwycił dłoń Abbiji i wyszedł za nią z izby, zamykając za sobą drzwi.

Zejdźcie do pałacu, zejdźcie tam, gdzie jego życie zbczyło z kursu, było niczym prucie gobelinu, który się zmierzwił. Wraca tam, gdzie popełnił swój pierwszy błąd, by zacząć od nowa, a ten zawikłany nieład, w jaki zmienił swoje życie, leży u jego stóp niczym skłębiona kępka wełnianych ścinków. Zacznie od nowa, nie zasiadając już po prawicy króla Azaria-sza, w blasku tronu monarchy, ale przy wnuku, w dziecięcych komnatach.

Strażnik wpuścił ich do środka. Zachariasz zastanawiał się, ile już czasu upłynęło, odkąd był tu poprzednio. Wiele lat, lecz gorzkie wspomnienia były tak świeże, jakby chodziło o wczorajszy dzień. Zawiodł tak Boga, jak i swojego króla.

Abbija prowadziła ojca po znanych mu korytarzach, by skrócić na prowadzące w górę schody, których już nie znał. Nigdy nie był w pobliżu skrzydła pałacu przeznaczonego dla kobiet, gdzie wstęp dla mężczyzn był zakazany, ani też w pobliżu komnat dziecięcych. Zastanawiał się, czy zaraz go ktoś nie zatrzyma i nie wyrzuci. Król Achaz z pewnością nie byłby zachwycony wtargnięciem intruza, gdyby się o tym dowiedział. Zachariasz zwolnił kroku, zastanawiając się, czy nie zawrócić, właśnie wtedy jednak usłyszał w oddali płacz dziecka i dogonił Abbiję, która ostatnie metry dzielące ją od sypialni synka pokonała biegiem.

Wysiłki mające na celu uspokojenie Hiskiasza, wykończyły służącą. Abbija natychmiast wzięła chłopca na ręce. Przyłgął do matki, patrząc w stronę Zachariasza szerokimi, przerażonymi oczami, jakby w dal, jakby w ogóle nie zauważał mężczyzny

- Jahwe... - to było jego jedyne słowo, wyszeptane ochrypłym głosem.

Ja mu to zrobiłem - pomyślał Zachariasz. - To moja wina. Tora mówi: nie bądźcie, jak inne narody, które składają dzieci w ofierze swoim bożkom. Ale on zignorował to ostrzeżenie.

Usiadł na łóżku naprzeciw Hiskiasza i błagał o przebaczenie. Abbija kołysała synka usiłując go uspokoić.

- Przypilnuję go - powiedział, gdy wreszcie odłożyła go do łóżka. - Odpocznij trochę.

Abbija z początku nieco się zawahała.

- Musimy mu pomóc, Abba. On się boi.

- Wiem. Ze mną będzie bezpieczny.

- Jeśli znów się obudzi?

- Jeśli cię zawoła, to wyślę po ciebie służącą.

Udało się mu ją przekonać. Ale gdy wyszła, znów usiadł na pustym łóżku, zastanawiając się, jak pomóc wnuczкови. Nie obroni go przecież przed żołnierzami Achaza, gdyby wrócili. Jest na to za słaby. Choć z pewnością prędzej dałby się zabić, niż pozwolić królowi złożyć tego chłopca w ofierze.

Oliwne lampki stopniowo przygasły, w komnacie robiło się ciemno. Przez otwarte okno wiał łagodny wietrzyk, przynosząc po suchym, gorącym dniu chłodniejsze powietrze. Było cicho, słyhać było tylko oddech Hiskiasza. Ale Zachariasz nie był śpiący. Potrzebował picia. Wiedział, gdzie są piwnice i jak znaleźć ochmistrza. Gdyby tylko udało mu się wysliznąć na chwilę na dół, mógłby wrócić z bukłakiem. Wstał i powłócząc nogami ruszył ku drzwiom.

Nagle w ciszę wdarł się krzyk Hiskiasza. Zachariasz tak się wystraszył, że o mało serce nie wyskoczyło mu z piersi. Przez chwilę nie był w stanie myśleć, co ma robić. Wreszcie obrócił się i zobaczył, że chłopiec siedzi na łóżku i krzyczy z przerażenia. Szybko wziął go na ręce. Wnuczek przytulił się do niego i szlochał.

- Jahwe! Jahwe!

Był tak mały i kruchy, że Zachariaszowi łzy napłynęły do oczu. Wina za jego udział w koszmarze Hiskiasza ciążyła mu bardzo, ale nadal nie wiedział, jak mógłby mu pomóc.

- Ćśś... Ćśś... - szeptał, głaszcząc kędziorki chłopca. -Jahwe jest z nami. Jahwe jest tu.

Nie wiedząc, co robić, zaczął recytować fragmenty psalmów, przywołując gdzieś z odmętów pamięci niemal zapomniane słowa:

- Jahwe światłem i zbawieniem moim: kogóż mam się lękać? Jahwe obroną mojego życia: przed kim mam się trwożyć?⁹

Prawie niepostrzeżenie Hiskiasz zaczął się uspokajać. Szloch zamienił się w ciche pojękiwanie. Zachariasz ze ściśniętym gardłem przełknął ślinę i odmawiał dalej:

- Jahwe przechowa mnie w swym namiocie w dniu nieszczęścia, ukryje mnie w głębi swego przybytku, wydzwignie mnie na skałę...

Hiskiasz w końcu usnął na rękach dziadka. Lampki zaczęły migotać, aż w końcu się wypaliły. Ale Zachariasz całą noc odmawiał psalmy, aż dziecięcą sypialnię oświetliły pierwsze promienie słońca:

- Jahwe jest moim pasterzem, nie brak mi niczego (...). Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulęknę, bo Jahwe jest ze mną.

⁹ Cytaty pochodzą z Księgi Psalmów, rozdział 27 i 23 [przyp. red.].

6.

Uriasz stał na murach miejskich i obserwował nieprzyjaciół, którzy rozłożyli się obozem w dolinie. Słońce za chwilę miało się zanurzyć za łańcuchem wzgórz na zachodzie, a kapłan zdał sobie sprawę, że podświadomie nasłuchuje dźwięku trąby na ofiarę wieczorną. Ale wiedział, że trąba nie zabrmi. Nie brzmiała już od ponad sześciu tygodni, odkąd wojska aramejskie zalały doliny otaczające Jerozolimę i rozpoczęło się oblężenie. Jak dotąd szerokie mury miasta i strome zbocza wytrzymały napór przeciwnika, ale zapasy się kończyły, a morale obrońców słabło. Bez drewna na ogień ołtarzowy, bez baranów codzienna ofiara w Świątyni Jahwe ustała.

Uriasz obrócił się i po długich schodach zszedł z muru na ulicę. Idąc do sali tronowej pałacu, czuł jednocześnie napięcie i wyczerpanie. Perspektywa spotkania z królem Achazem napawała go obawą. Władca codziennie wysyłał Uriasza na mury, by ten obserwował obozowiska nieprzyjaciela, ale sam nie chciał na nie spojrzeć. Do sali tronowej raz po raz przybywali posłańcy z wieściami o próbach sforsowania bram, lecz król nie chciał przypatrywać się walkom, ani też wesprzeć swych skromnych sił słowem zachęty. Przysiągł sobie, że nie opuści pałacu, dopóki oblężenie się nie zakończy. Uriasz musiał pełnić rolę bufora między królem, odciętym w pałacu od świata, a prawdziwą wojną toczącą się poza jego murami.

Szambelan otworzył drzwi i skłonił się przed Uriaszem, po czym zaprowadził go do króla. Spokój i przepych sali tro-

nowej silnie kontrastował z hałasem i zamętem bitewnym na zewnątrz. Uriaszowi ciężko było się przestawić. Wszedł ociężały od znużenia i skłonił się przed władcą.

Zgarbiony na ciężkim tronie z kości słoniowej Achaz wyglądał na znudzonego. Nikłym ruchem ręki dał znak, że przyjmuje Uriasza.

- Przekłeta pogoda - jęknął. - Nie mogę znieść tego upału. Słudzy, którzy wachlowali króla palmowymi gałęziami, zaczęli machać nimi szybciej.

Uriasz patrzył na mniejszy tron po prawej stronie króla, pragnąc na nim usiąść, ale Achaz mu tego nie proponował. Popołudniowy upał przygniatał go niczym waląca się ściana. Marzył o kubku zimnej wody ze źródła Gichona, ale była jedynie woda z cystern, ciepła i stęchła.

- Tak, jest bardzo gorąco, Wasza Wysokość - odpowiedział. - Przyszedłem zameldować, że...

- Jestem zmęczony siedzeniem tutaj, zmęczony tą duszną salą tronową, zmęczony oglądaniem tych wszystkich moich doradców, którzy się tu krzątają, szepczą coś, o coś się wciąż wyklócają. - Grupki mężczyzn rozproszone po całej sali zamarły, patrząc z niepokojem na króla. Ale Achaz, wbrew deklarowanemu znudzeniu, ciągnął dalej. - Jestem chory od tego przeklętego oblężenia. To już sześć tygodni! Sześć tygodni siedzimy w tym mieście jak w klatce, czekając, aż nadejdzie pomoc. Kiedy ci Asyryjczycy dotrą z odsieczą?

Uriasza kusiło, żeby odpowiedzieć, że jest kapłanem, a nie prorokiem, ale zmusił się do zachowania cierpliwości.

- Jestem pewien, Wasza Wysokość, że odsiecz nadejdzie lada dzień. Danina, którą wysłaliśmy, z pewnością już dotarła do władcy Asyrii - przypomniał sobie długą, wijącą się traktem karawanę, wysłaną w pośpiechu do Tiglat-Pilesera, obładowaną ostatnimi bogactwami Świątyni. Uriasz z Achazem

stali na wieży północnej bramy i patrzyli jak wielbłądy, kołysząc się i spokojnie przezuwając coś wygiętymi żuchwami, zmierzały w dal. Wtedy Achaz wyszedł z pałacu ostatni raz. Półtora dnia później nadciągnęły tysiące wrogich żołnierzy i rozpoczęło się oblężenie.

- No więc, co ich zatrzymuje tak długo? - pytał się Achaz. - Jestem odcięty od reszty świata. Nie wiem nawet, co się dzieje z moim ludem. Nie wiem nawet, czy w ogóle mam jeszcze jakiś lud.

Uriasz widział, że król pogrąża się w melancholii i zastanawiał się nad jakąś wymówką, która pozwoliłaby mu się stąd wydostać. Wyglądało to tak, jakby więcej czasu spędzał na chronieniu króla przed załamaniem niż na pomaganiu mu w rządzeniu. Dziś nie starczało mu sił na żadne z tych zadań.

- Wasza Wysokość, na dziś walka jest zakończona - powiedział. - Za pozwoleniem Waszej Wysokości, pora by doradcy, w tym ja, przygotowali codzienne meldunki.

Achaz skinął głową, osuszając twarz z potu lnianym ręcznikiem.

- Walka na dziś skończona - powtórzył do doradców. - Odejdźcie i przygotujcie meldunki.

Doradcy opuścili salę tronową, szepcząc między sobą. Uriasz szybko odwrócił się, by wyjść za nimi i uciec od ponurego króla, ale ten go powstrzymał.

- Zostań, Uriaszu. Zjesz dziś ze mną kolację.

- Jak sobie życzysz, Wasza Wysokość - odpowiedział kapłan, kłaniając się lekko i zaciskając zęby.

Słudzy królewscy zaczęli krzątać się w pośpiechu wokół Achaza, poprawiając jego szaty i eskortując go z przesadną pompą z sali tronowej. Uriasz szedł za nim, zacienionym chodnikiem w kierunku sali bankietowej, obawiając się konieczności podjęcia się zadania podniesienia go na duchu.

Na otwartym dziedzińcu powietrze było nieco chłodniejsze - wieczorny wiatr wiał od Wzgórz Judzkich, niósł on jednak ze sobą woń dymu z doliny, przypominającą, że trwa wojna.

Salę bankietową obliczono na setki gości, ale do wieczornego posiłku nakryto tylko jeden stół. Gdy Uriasz ujrzał Abbiję, czekającą na męża, by spożyć z nim posiłek, wstrzymał oddech. Była tak piękna, że musiał odwrócić wzrok w obawie, że jego pożądanie będzie dla wszystkich zbyt widoczne.

- Dobry wieczór, pani - mruknął, kłaniając się z szacunkiem. Spoglądał w dół, unikając jej wzroku.

Ona skłoniła się przed mężem, po czym zaczęła się wokół niego krzątać, z przesadną troską układając wokół niego poduszki i pomagając wygodnie umościć się przy stole. Uriasz nie mógł na to patrzeć. Abbija była o wiele za piękna i za mądra na to, by być żoną takiego ordynarnego człowieka, jak Achaz. Powinna należeć do mężczyzny, który naprawdę ją kochał - do takiego, jak on sam.

Król gestem nakazał Uriaszowi, by ten zasiadł po jego prawicy, a Abbija po lewicy. Uriasz ułożył się na poduszkach, patrząc w zdumieniu na kunsztownie haftowany obrus, srebrne, lśniące misy i talerze. Słudzy wyćwiczonym, płynnym krokiem wchodzili i wychodzili, wnosząc półmiski pełne rarytasów. Pieczone jagnię, gotowana soczewica i bób, ogórki, melony, granaty, ciastka figowe, oliwki, winogrona, ser i chleb. W czasach pomyślności Uriasz uznałby taki posiłek co najmniej za ekstrawagancję, ale teraz, gdy naród cierpiał, gdy miasto było obleżone - ta wieczerza zakrawała na groteskę. Dotknął srebrnego kielicha stojącego przy jego talerzu, zastanawiając się, po co Achaz zrabował srebro ze Świątyni, skoro jako król tyle go posiadał. Wiedział jednak, że nie wolno o to pytać. Achaz mógł pozbawić go niedawno zdobytego stanowiska tak szybko, jak go na nie mianował.

Gdy rozłożono przed nimi potrawy, Uriasz skłonił głowę, by odmówić błogosławieństwo nad posiłkiem. Ale zanim zdążył choćby rozpocząć, Achaz mu przerwał.

- No, jedz - zachęcił, pokazując ręką stół. - Na co czekasz? Uriasz zawahał się, zastanawiając się, czy nie powinien

przypomnieć królowi o prawie Jahwe. Obiecał sobie, że wykorzysta swoją pozycję zarządcy, by pouczać Achaza, ale jak dotąd miał po temu niewiele okazji. Podczas gdy zastanawiał się, jak powinien ubrać swoje myśli w słowa, Achaz sięgnął nad stołem po garść oliwek i wepchnął mu je do ust.

- Coś nie tak?

- Nie, Wasza Wysokość - Uriasz szeptem odmówił pośpiesznie pod nosem modlitwę i zaczął się rozglądać za dzbanem z wodą. Achaz przestał żuć i obserwował go.

- A teraz czego znów szukasz?

Uriasz spojrzał na Abbiję, w nadziei, że będzie mógł pójść w jej ślady. Pochodziła z pobożnej rodziny i z pewnością знаła przepisy Prawa. Wyglądała na tak samo niezainteresowaną spełnieniem obowiązku, jak Achaz. Może to z powodu tego obłąkania? Woda w mieście jest przecież reglamentowana.

- Nie... niczego - mruknął. Jest przecież wojna, nie ma co zwracać uwagi na obrzędy.

Obok Uriasza pojawił się sługa z półmiskiem pełnym soczystych kawałów jagnięciny. Ponieważ w Świątyni nie składano już codziennej ofiary, zwierzę musiało zostać zabite podczas jednego z odprawianych przez Achaza obrzędów ku czci Baala. A sądząc po krwi gromadzącej się wzdłuż krawędzi naczyń, nie zabito go również zgodnie z przepisami Prawa. Jako arcykapłanowi Jahwe nie wolno mu było spożywać tak splugawionego jadła. Ale, jakby we śnie, nagle spostrzegł, że z zaciętą determinacją nakłada sobie kilka plastrów mięsa na talerz.

Właśnie w ten sposób grzech przejmuje kontrolę nad człowiekiem - próbowało go ostrzegać sumienie. Najpierw kropelka, potem niewielka strużka, aż wreszcie potop, który na jego oczach porwie ze sobą wszystkie prawa i zasady, których wiernie przestrzegał przez całe życie. Zignorował jednak to ostrzeżenie, miał przecież na uwadze poważniejsze cele: odnowienie Świątyni, ponowne nadanie kapłaństwu właściwego znaczenia, utrzymanie własnej, dopiero co zdobytej pozycji w państwie. Inne rzeczy się nie liczyły, zwłaszcza zaś nie liczyły się puste rytuały bez treści, które straciły swoje znaczenie już przed wiekami.

- Jedz, jedz, Uriaszu - nalegał Achaz. - Masz za sobą dzień ciężkiej pracy. Zasłużyłeś.

Odwróciwszy się do Abbiji, zaczął ją zuchwale pieścić przy Uriaszu i wszystkich sługach.

- A ty, prześliczna? Smakuje ci?

Uriasz zaryzykował zerknięcie w ich stronę i zobaczył, że policzki Abbiji spąsowiały, gdy odpowiadała.

- Tak, panie. Wieczera z tobą to wielki zaszczyt, jak zawsze. Proszę, próbowałaś już tych fig?

Przysunęła się do niego, by podać mu figę. Uriasz musiał odwrócić wzrok. Przypomniały mu się wszystkie te wspólne kolacje w domu jej ojca. Jej błyskotliwe wypowiedzi i jej perlisty śmiech upiększały każdy wieczór. Widzieć ją taką - znaczącą niewiele więcej niż jakaś piękna służka Achaza - to było nie do zniesienia. Dłubał przez kilka minut w jedzeniu, popychając je tak, by wydawało się, że je.

- Chcę cię o coś zapytać, Uriaszu - odezwał się nagle Achaz. - Nie ma teraz pozostałych doradców, więc powiedz mi prawdę. Jak wygląda w rzeczywistości nasz opór?

Król dalej wkładał sobie jedzenie do ust, jakby pytał o pogodę, a nie o kondycję poddanych. Uriasz przyglądał mu się

dłuższą chwilę, zastanawiając się, czy powinien powiedzieć mu prawdę, czy też ma go okłamywać, pocieszając go półprawdami i fałszywymi nadziejami tak, jak to robi od sześciu tygodni. Stwierdził, że ma dość tej łamigłówki. Achaz musi usłyszeć prawdę.

- Wasza Wysokość, naszym największym zagrożeniem nie jest wróg pod murami miasta - odpowiedział z namysłem. - Mury Jerozolimy i strome zbocza są wspianą zaporą. Wiele jeszcze mogą wytrzymać.

- Dobrze - chrząknął w odpowiedzi Achaz, wypluwając na talerz trzy pestki oliwek.

- Największym zagrożeniem podczas oblężenia zawsze jest morale. Ludzie wpadają w panikę, bo widzą, że zaczyna brakować wody...

- Wydawało mi się, że nakazałem postawić przy cysternach strażników i ją racjonować! - krzyknął król, wypluwając drobiny jedzenia z przepelnionych ust.

- To jest przestrzegane, Wasza Wysokość, ale...

- Na wszystkich bogów w niebie, dość już! Nie wystarczy, że bronimy miasta przed wrogami, a ty jeszcze mówisz mi, że mam użyć cennych sił żołnierzy przeciw własnemu ludowi? Przeklęte to wszystko. - Rzucił chleb i odepchnął talerz.

Abbija natychmiast zaczęła go uspokajać, masować mu ramiona i szeptać coś do ucha. Król jednak jakby tego nie zauważał. Sięgnął po kielich z winem, wypił całą zawartość i gestem zażądał dolewki. Uriasz - zbyt późno - doszedł do wniosku, że mówienie prawdy było jednak błędem.

- Mam dość tego oblężenia! - oświadczył król. - Trzeba było wysłać daninę Aramejczykom zamiast Asyrii. Może zawróciliby do siebie i zostawili nas w spokoju. Moglibyśmy im dorzucić parę tysięcy niewolników, jeśli im tak na tym zależy. Jak myślisz, czy nie jest już za późno, by wkupić się w ich łaski?

- Aramejczycy w żadnym wypadku nie zadowoliliby się daniną, Wasza Wysokość - Uriasz starał się ukryć irytację wywołaną głupotą Achaza. - Chcą panować nad całą Judą. Poza tym nie mamy już czego oddać. - Uzupełnił, z rozmysłem patrząc Achazowi w oczy, jakby nie zauważając zastawionego srebrem stołu.

Król chrząknął i powrócił do jedzenia, opróżniając przy tym kolejny kielich wina. Jadł przez kilka minut w milczeniu, po czym nagle zapytał:

- Jak ci się podobają twoje nowe komnaty, Uriaszu? Jesteś zadowolony ze wszystkiego?

- Bardziej niż zadowolony, Wasza Wysokość - odpowiedział kapłan, starając się ukryć zdumienie nagłą zmianą tematu. Prawdę mówiąc w porównaniu do mieszkania na Wzgórzu Świątynnym, gdzie wszystko popadało w ruinę, jego nowe komnaty były więcej niż zbytkowe. Przeprowadził się do pałacu przed tygodniem i wciąż nie mógł się przyzwyczaić do wszystkich przysługujących mu jako zarządcy przywilejów.

- Dobrze, dobrze - odparł Achaz, gryząc kawałek chleba. -Chciałem mieć cię tu na miejscu, pod ręką w razie potrzeby. To były komnaty Maasejasza... - Achaz przerwał jedzenie. Uriasz widział, jak król bije się z myślami. - Nie powinienem był go posyłać na wojnę - wyznał drżącym głosem - powinienem był wysłać kogoś innego. Nie miał nawet godnego pogrzebu.

Uriasz wiedział, że król wciąż bardzo przeżywał śmierć brata i po cichu dziwił się, że Achaz nigdy nie okazywał wyrzutów sumienia z powodu śmierci synów. Uriasz sam drżał na wspomnienie tych dzieci tulących się do siebie i z przerażeniem patrzących na kapłanów. Znów spojrzął na Abbiję i dostrzegł głębię jej smutku, którą nieopatrznie przez chwilę

nieuwagi dała po sobie poznać. Zrozumiał, że jej niezmordowana troska o Achaza to tylko gra, tak jak i w jego przypadku. Obydwoje odgrywali swe role w dramacie, którego centralną postacią jest Achaz. Ale Uriasz świadomie wybrał swoją rolę. Natomiast Abbija nigdy wyboru nie miała. Zmusił się do odpowiedzi:

- Poniosłeś wielką stratę, Wasza Wysokość. To zaszczyt, że wybrałeś właśnie mnie, choć wiem, że nigdy nie zastąpię księcia Maasejasza.

Te słowa chyba uspokoiły Achaza. Odchrząknął i zaczął dalej jeść.

- Tak przy okazji - powiedział z ustami pełnymi chleba. -Ty chyba jesteś kawalerem? Jak ci się to udało?

Uriasz jakby zapomniał języka. Miałby powiedzieć, że kochał tylko jedną kobietę i że nadal ją kocha? Abbija powinna była zostać jego żoną, nie Achaza. Zastanawiał się, czy Achaz w ogóle miał czas na rozmowy z nią. Czy cokolwiek w ogóle o niej wiedział? Czy wiedział, że lilie wywoływały u niej kichanie, że bała się pajaków? Czy Achaz zauważył, jak kąciki jej ust wyginają się w dół, gdy ma się uśmiechnąć? A może już się w ogóle nie uśmiecha?

- Nie wiem, Wasza Wysokość - wzruszył ramionami. -Chyba po prostu nie miałem czasu na szukanie żony i tyle.

- Cóż, jeśli kiedykolwiek poczujesz się samotny, daj znać moim sługom. Zorganizują ci do komnat jakieś nałożnice. -Zapewnił hojnie Achaz i zaczął znów pieścić Abbiję. Uriasz o mało co się nie udławił. Prawie cały ten posiłek napełniał go odrazą: wystawność i dostatek, marnowanie jedzenia, idiotyczna rozmowa. Ten głupiec, Achaz, rozprawiający o nałożnicach, gdy oblegano jego miasto. Nie mógł już na niego patrzeć, wpatrywał się więc w talerz, bawiąc się jedzeniem i pragnąc znaleźć jakąś wymówkę, żeby wyjść.

Nagły dźwięk wyrwał go z rozmyślań. Podniósłszy wzrok zobaczył, że Achaz cisnął talerzem o podłogę.

- Okłamujesz mnie! Wszyscy moi doradcy mnie okłamują! Asyryjczycy nie nadchodzą, wszyscy umrzemy, prawda?

Uriasz zastanawiał się, jak długo jeszcze będzie w stanie ukrywać nienawiść, jaką czuje wobec tego króla.

- Wszystko się ułoży, Wasza Wysokość - odparł spokojnie. - Asyryjczycy przyjdą.

- I w tym problem! Pamiętasz, co mówił Izajasz? Co się stanie, jeśli nie przybędą jako sprzymierzeńcy? Jeśli oni też na nas napadną?

- Przyjdą z odsieczą, Wasza Wysokość, jestem tego pewien. Proszę nie słuchać Izajasza. To głupiec.

Achaz odsunął swój talerz i wstał ociężale z miejsca.

- Nie chcę już jeść. Idę do sali rady i czekam na meldunki. Abbija wstała, żeby mu pomóc.

- Czekaj w moich komnatach - dodał do żony, całując ją zuchwale.

Uriasz nie mógł znieść tego widoku. Wstał, starając się jak tylko mógł, nie dostrzegać Abbiji razem z królem, wyszedł z sali na dziedziniec. Powietrze było jeszcze chłodniejsze - słońce już zaszło i na niebie nad ich głowami pojawiło się kilka pierwszych gwiazd. Uriasz pomyślał, że wolałby zostać na dworze. Mógłby podchodzić powoli pod Wzgórze Świątynne i patrzeć na olśniewający blask gwiazd z najwyższego punktu miasta. Zamiast tego poszedł z królem do sali rady i usiadł po jego prawicy na podwyższeniu.

Achaz poczekał z rozpoczęciem spotkania, aż sługa napełni jego kielich. Wychylił całe wino jednym haustem i wierzchem dłoni otarł wargi. Uriasz próbował sobie przypomnieć, ile razy Achaz opróżniał swój kielich przy kolacji, ale było ich za wiele, by zliczyć.

- Załatwmy to w końcu. Niech ktoś zacznie - wybełkotał wreszcie.
- Ofiar w ludziach w dniu dzisiejszym nie było dużo - powiedział wódz naczelny, wstając z miejsca i nerwowo mnąc trzymane w ręku zwoje. - Jedynie dwadzieścia cztery ofiary śmiertelne i siedemnaście rannych. Ale niebezpiecznie nam topnieją zapasy amunicji, a niewiele jej przejmujemy od wroga. Każdy ich pocisk trafia w cel. Żadnego nie marnują.

Gdy dowódca wgłębiał się w monotonną statystykę, Uriasz zauważył, że Achaz go wcale nie słucha. Kiedy wojskowy skończył zdawać raport i usiadł, Achaz przez kilka chwil niewidzącym wzrokiem patrzył w przestrzeń. Uriasz podjął decyzję o przejęciu prowadzenia obrad.

- Teraz wysłuchamy twojego meldunku - polecił, wskazując gestem ministra obrony.

- Wróg skoncentrował swoje natarcie w kierunku najsłabszego odcinka naszej obrony, to jest bramy północno wschodniej - zaczął, nie próbując nawet ukrywać niepokoju. - Straty ponieśliśmy niewielkie, ale ich ciągłe próby podpalenia bramy omal się nie powiodły. Udało nam się ugasić płomienie, ale poziom miejskich zasobów wody jest krytycznie niski. W rejonie Świątyni Salomona doszło dziś wręcz niemal do rozruchów, gdy tłum próbował sforsować wrota, by czerpać wodę z brązowej kadzi.

Król Achaz przeklął głośno.

- Czy mam wziąć miecz i samemu pilnować każdej cysterny w mieście? Czy nikt już mnie w ogóle nie słucha? Od początku tego przekłętego oblężenia mówiłem wam, żeby postawić straż przy wszystkich cysternach i racjonować wodę!

- Ale, Wasza Wysokość, każdy żołnierz pozostający do dyspozycji jest potrzebny do obrony murów - odparł minister, rozkładając ręce w geście bezradności.

Monarcha rzucił kolejne przekleństwo

- Nie dziwię się, że jesteśmy w tak przykrew sytuacji! Wydaję rozkazy, których nikomu nie chce się wykonać! Wynoś się! - wrzasnął wściekle na ministra. - Wynoś się sprzed mojego oblicza, ale już!

Minister zabrał swoje rzeczy i wyszedł z komnaty. Atmosfera była napięta. Uriasz musiał teraz uspokoić Achaza. I dla dobra kraju zadbać o to, by król nie podjął żadnych decyzji po pijanemu.

- Wasza Wysokość - odezwał się pojednawczo - nie powinieneś tego słuchać. To cię denerwuje. Wysłucham meldunków a decyzje co do tego, jakie powziąć środki, możemy podjąć rano, gdy odpoczniesz. Ze zmęczonego króla nie ma żadnego pożytku dla kraju.

Wziął Achaza za ramię i pomógłszy mu wstać poprowadził jak dziecko do wyjścia. Zataczając się, władca opuścił komnatę i pozwolił się pokierować do komnat. Gdy przypomniał sobie, że tam czeka Abbija, było za późno.

- Każ sługom donieść trochę wina - polecił król bełkotliwie. - Nie masz pojęcia, jakie to całe ciśnienie jest nieznośne.

- Odpocznij, Wasza Wysokość. Zajmę się wszystkim. -Uriasz odwrócił się, by wyjść, ale Achaz chwycił go kurczowo za ramię.

- Czy ofiary są składane dzień i noc? Baalowi, Aszerze, Molochowi? Wszystkim bogom?

Cierpliwość Uriasza była na wyczerpaniu. Wziął głęboki oddech.

- Proszę posłuchać, Wasza Wysokość. Zostało już bardzo mało drewna, zwierząt również niewiele...

- To dopilnuj tego! - rozkazał Achaz. - Chcę, żeby ofiary były składane. Upewnij się, że żaden z bogów nie jest obrażany.

- Sprawdzę to, Wasza Wysokość. Proszę dobrze wypocząć.

Wyszedł z pośpiechem, zastanawiając się, co zrobi, jeśli Achaz zarządzi odprawienie kolejnej ofiary dla Molocha. Teraz, gdy w Dolinie Hinnom obozują wrogie wojska, to niemożliwe. A gdy oblężenie się skończy? Wspomnienie kulących się ze strachu synów Achaza wywołało w nim taką odrazę do króla, że miał ochotę nie zatrzymywać się w sali rady, tylko wyjść z pałacu i wrócić do Świątyni Jahwe na wzgórzu. Ale w sali czekali na niego doradcy króla. Był drugą osobą w państwie.

Drżącą ręką otarł twarz po czym wkroczył do sali obrad, by zająć miejsce jako przewodniczący dworu królewskiego Judy.

Gdy otworzył oczy, przez okiennice przenikały wąziutkie promyki słońca, które pogłębiały ból pod oczami. Nic nie pamiętał z wczorajszego wieczoru. Leżał teraz na kanapie w komnacie pełniącej rolę salonu. Ciało bolało go od spania w tak niewygodnej pozycji. Jęknął, a gdy próbował wstać, jego żołądek wyrzucił z siebie zawartość. Komnata zawirowała.

- Wasza Wysokość?

Głos go przestraszył, jego echo rozchodziło się w głowie króla. Starał się skupić wzrok na rozmytej postaci, która ukazała się w drzwiach.

- Kto to? Czego chcesz?

- Uriasz, Wasza Wysokość.

Achaz znów jęknął i zasłonił oczy, żeby ukoić ból.

- Na pewno kolejne złe wieści z frontu - mruknął, przypominając sobie, że nie wysłuchał wczoraj wszystkich meldunków. - Odejdź. Nie mam już na to siły.

Ale Uriasz zbliżył się do kanapy. Jego zwykle kamienne rysy były dziwnie radosne.

- Odchodzą, Wasza Wysokość.

- Kto odchodzi? Co ty gadasz? - Achaz poczuł w ustach suchość i szorstkość. Rozejrzył się za winem i spostrzegł nie-dopity kielich na stoliku obok kanapy.

- Wojska pod murami zwijają obozowiska. Wycofują się.

- Co? - Król z wrażenia zapomniał o winie, starając się zrozumieć, co Uriasz mówi i jednocześnie utrzymać się na nogach. Słowa zarządcy powoli przedzierały się przez jego zamglony umysł, zastanawiał się, czy to okrutny żart, który ma przywieść go na skraj szaleństwa.

- Mówisz prawdę? Rzeczywiście odchodzą? - chwycił oburącz tunikę Uriasza, próbując nim potrząsnąć, ale krzepki kapłan ani drgnął. - Naprawdę odchodzą?

- Tak, Wasza Wysokość - odparł spokojnie. - To prawda. Chodź na mury i sam zobacz.

Achaz zwolnił uścisk i przysiadł na skraju kanapy.

- A więc nareszcie! Odeszli! Mój plan się powiódł. Asyryjczycy przyszli z odsieczą.

- Tak. Zapewne nacierają na Aram od północy. Do Aramejczyków z pewnością dotarła wieść o najeździe i wycofali się do siebie, by bronić własnego kraju. Już po wszystkim.

Król odetchnął z ulgą, jakby po raz pierwszy od wielu miesięcy zdjęto zeń jakąś część przygniatającego go ciężaru. Nareszcie. Przetrwał. Teraz może powrócić do swojego zwykłego stylu życia, a wszelkie bieżące decyzje pozostawić Uriaszowi.

- Teraz, gdy Assyria jest naszym sprzymierzeńcem, nikt nie śmie zaatakować naszego kraju - stwierdził. - Moloch wysłuchał moich modlitw, Uriasz. Zapłaciłem za jego łaskę wielką cenę, ale warto było. Prawda?

Uriasz nie odpowiedział. Achaz nigdy nie umiał rozszyfrować myśli kapłana, a jego kamienne milczenie denerwowało go.

- Dziękuję za informację, możesz odejść - oświadczył, machnąwszy ręką i dając tym samym znak, że kapłan może się oddalić.

Gdy został znów sam, położył się gwałtownie na kanapę planując w milczeniu, jaką wyprawi uroczystość. Uśmiechnął się do tańczących mu przed oczami nęcących wizji hulanki. Ale gdy przypomniał sobie słowa Izajasza: „Ręce wasze pełne są krwi, miecz was pochłonie”, jego uśmiech zrzędł.

Stracił humor. Sięgając po puchar, spojrzął na dłonie, jakby spodziewał się tam zobaczyć krew. Wypił łyk, ale ciepłe wino smakowało jak ocet, wypluł je więc z obrzydzeniem, przeklinając Izajasza, że wtargnął w jego myśli niczym niechciany gość.

Stopniowo do jego świadomości dotarły krzyki dochodzące z dziedzińca pod oknem. Podszedł doń i ostrożnie wyjrzał przez drewniane szczeble. Wieść o odstąpieniu wrogów musiała roznieść się po Jerozolimie niczym pożar trawy. Radośni mieszkańcy wychodzili z domów na ulice, by świętować.

Oblężenie się skończyło. Nic już mu dziś nie zepsuje nastroju, a już na pewno nie Izajasz, którego prorocтва o zagładzie okazały się fałszywe. Zadzwoił po służbę. Czas się ubierać. Musi poprowadzić naród, by uczcić zwycięstwo.

Gdy zabrzmiał szofar na poranną ofiarę, Abbija wybiegła z pałacu i pospieszyła na Wzgórze Świątynne. Długie oblężenie Jerozolimy wreszcie się skończyło, pragnęła jak najszybciej powrócić do codziennego uczestnictwa w ofierze. Dziś jej serce przepelnione było wysławianiem Boga, który odpowiedział na wszystkie jej modlitwy. Naród wyszedł z kryzysu obronną ręką, Achaz nie będzie już musiał składać

ofiar Molochowi. Ale ważniejsze było podziękowanie Jahwe za uzdrowienie syna.

Hiskiasz w pełni powrócił do zdrowia. Jego lęki ustąpiły, koszmary należały już do przeszłości. Przez te kilka miesięcy bardzo się zżył z Zachariaszem, trochę tak, jakby wyobrażał sobie, że dziadek to Jahwe, który ochroni go przed każdym niebezpieczeństwem. Zachariasz wciąż mieszkał w pałacu, wciąż, co noc, spał w łóżku Eliaba. Abbija nie wiedziała, jak zareagowałby Achaz, gdyby się o tym dowiedział, ale dbała, by obecność ojca została utrzymana w tajemnicy.

Idąc dziedzińcem dla kobiet, ku swemu zaskoczeniu zobaczyła, że teren Świątyni był niemal wyludniony. Nacierające wojska odstąpiły, miasto zostało ocalone, dlaczego więc więcej ludzi nie przyszło złożyć dziękczynienia Bogu? Dlaczego w zasadzie nie przyszedł jej mąż, król Judy?

Pomyślała, że od czasów, kiedy przychodziła tu z matką jako dziecko, kult w Świątyni Jahwe bardzo szybko wygasał. A odkąd panuje Achaz, rozkwita bałwochwalstwo. Poczowała ukłucie winy. Ona też po ślubie porzuciła modlitwę. Ale teraz to się zmieni. Jahwe wysłuchał jej modlitw, ocalił Hiskiasza przed Molochem i sprawił, że znów jest normalny.

Usłyszała bek barana i zobaczyła jednego z Lewitów prowadzącego zwierzę do ołtarza, gdzie czekał kapłan. Ale gdy ten podrzynał baranowi gardło, musiała zamknąć oczy. Widok krwi powodował u niej mdłości. Kiedyś, wiele lat temu, jej ojciec recytował opowieść o ofierze Izaaka, o tym, jak Jahwe upatrzył sobie barana zamiast chłopca.

- Za każdym razem, gdy usłyszysz dźwięk baraniego rogu - powiedział jej wtedy Zachariasz - przypomnij sobie, że Bóg sam zadba o ofiarę za nasze grzechy.

Otworzyła oczy akurat, by zobaczyć, jak kapłan skrapia ołtarz krwią i przypomniła sobie opowieść o Mojżeszu

i pierwszej Passze. Barany zabijano zamiast pierworodnych synów Izraelitów, a krwią znaczone odrzwia domów, by Anioł Śmierci je ominął. Zastanawiała się, jak to się stało, że jej naród zapomniał tak szybko o Abrahamie, Izaaku i Mojżeszu. Jak to się stało, że własnych synów składają w ofierze Molochowi, by ratować samych siebie?

- Chwalcie Pana, bo dobry - zaintonował kapłan, a Abbija odpowiedziała cichym głosem:

- Bo Jego łaska na wieki.

- On Egipcjanom pobił pierworodnych.

- Bo Jego łaska na wieki.

Tego ranka Abbija czuła Bożą miłość oświecającą ją ciepło niczym Słońce, błogosławiącą jej i jej synowi.

Kapłan wszedł na szczyt ołtarza i złożył na nim ofiarę. Po kilku chwilach poczuła zapach pieczonego mięsa. Pomyślała o jeszcze jednej łasce, za którą mogła dziękować Bogu. Spodziewała się kolejnego dziecka. Oczywiście nigdy nie zastąpi ono Eliaba, ale będzie kimś, kogo będzie mogła tulić i kochać, kogoś, kto da jej nową nadzieję.

- Dziękuję Ci, Panie, za to nowe życie - szepnęła, gdy kapłan wznosił ręce w modlitwie. - Oby wszystkie moje dzieci służyły Tobie swoim życiem.

7.

Zachariasz zaciągnął ciężkie zasłony w oknie sypialni Hiskiasza i zapalił lampkę oliwną. Ożyła z sykiem, napełniając ciemną komnatę migoczącym światłem. Spojrzał na Hiskiasza, który położył się na łóżku.

- Zaśpiewasz mi, dziadku? - zapytał sennie, patrząc na niego poważnymi, brązowymi oczyma, aż Zachariasz poczuł, jak ściska mu się serce. Ależ pokochał to dziecko przez te ostatnie miesiące!

Z początku przyłgnęli do siebie, każdy ze względu na swe własne potrzeby. Ale z czasem, gdy oblężenie minęło, a lęk przed Molochem stał się jedynie wspomnieniem, w miejsce wspólnych potrzeb pojawiły się więzy miłości. Zachariasz pochylił się, żeby wygładzić koc dookoła chłopca.

- Tak, oczywiście. Zamknij oczy, a ja będę śpiewał, aż zaśniesz.

- Dobrze - ziewnął Hiskiasz.

Zachariasz usiadł na skraju łóżka i przymknął oczy. Przez chwilę nucił cicho, kołyszając się do rytmu, po czym zaczął śpiewać na powolną, urzekającą melodię:

- Miłuję Cię, Panie, Mocy moja, Panie, ostoję moja i twierdzo, mój wybawicielu, Boże mój, skało moja, na którą się chronię...¹⁰

- Dziadku?

Zachariasz natychmiast przerwał pieśń.

¹⁰Cytat pochodzi z Księgi Psalmów, rozdział 18 [przyp. red.].

- Co takiego, dziecko?
- Czy Jahwe może zamknąć swoje usta?
- Co, synku? Czemu pytasz o to, czy Jahwe może zamknąć swoje usta?

Hiskiasz usiadł na łóżku i popatrzył w skupieniu na Zachariasza.

- Bo Moloch swoich ust nigdy nie zamyka. Chyba musi być zmęczony od tego, że ciągle ma je otwarte. - Hiskiasz otworzył szeroko usta i zrobił groźną minę, naśladując wizerunek boga ognia. - Czy Jahwe też ma takie usta? Czy może je zamknąć?

Zachariasz nie mógł powstrzymać swojej reakcji. Zachwyt nad wnukiem i głęboka miłość do tego dziecka tak w nim wezbrały, że wybuchnął śmiechem. Jego życie przez tak długi czas było jałowe, że teraz nie mógł sobie nawet przypomnieć, kiedy ostatnio się śmiał. Ale było to piękne uczucie, zupełnie jak pierwszy po obłężeniu łyk zimnej wody ze źródła Gichona.

- Nie, synku - odpowiedział wreszcie. - Usta Jahwe nie są otwarte cały czas jak u Molocha.

- No a jak wygląda Jahwe? Możesz mi kiedyś pokazać Jego posąg?

- On nie ma posągu, synku - odparł Zachariasz, głaszcząc kędzierzawe włosy wnuka. Były gęste i aksamitne. - Jedno z przykazań Jahwe zakazuje nam właśnie prób wykonania Jego wizerunku.

- Dlaczego?

- Ponieważ Jahwe jest tak... tak... - bezradnie gestykulował, szukając właściwych słów, by opisać Boga. - Nie moglibyśmy ukazać prawdziwej wielkości Jahwe w posągu. Poza tym Boga nikt nie widział. Nikt nie wie, jak On wygląda. Wiemy tylko, że my jesteśmy stworzeni na Jego obraz.

Hiskiasz wiercił się nerwowo starając się to pojąć.

- Ale, dziadku, skąd wiadomo, że Jahwe naprawdę jest, skoro Go nie widać?

To proste pytanie uderzyło w Zachariasza niczym młot. Nie wiedział, co powiedzieć. Radość sprzed chwili zniknęła, zastąpiona lękiem. Był Lewitą. Niegdyś uczył kapłanów i doradzał królowi. A teraz nie umiał udzielić dziecku odpowiedzi na proste pytanie. Bał się spróbować.

- Hiskiaszu - powiedział delikatnie - teraz musisz już spać. Chciałbyś, żebym całą noc odpowiadał ci na pytania, co?

- Ale dziadku... - chłopiec pociągnął Zachariasza za rękaw.

- Nie, synku. Śpij teraz. A ja obiecuję... obiecuję, że rano porozmawiamy o Jahwe - dodał, pokazując jednocześnie gestem dziecku, żeby się położyło, po czym jeszcze raz poprawił pościel wokół niego. Wstydząc się własnego tchórzostwa, odwrócił oczy, by uniknąć przenikliwego wzroku wnuka. - Dobranoc - mruknął cicho.

- Dobranoc, dziadku.

Odchrząknął, by dalej śpiewać, -ale Jahwe nagle wydał się kimś odległym, przepaść między nimi znów zdawała się być jakby nie do pokonania. Gdy podjął pieśń, jego głos lekko drżał:

- Tarczo moja, mocy zbawienia mego i moja... moja... -Nagle zmieszany potknął się o własne słowa. Pytanie Hiskiasza wciąż go prześladowało. Jak udowodnić istnienie Boga, którego nie widać? - Moja obrono! Wzywam Pana, godnego chwały, i jestem wolny od moich nieprzyjaciół¹¹.

Śpiewał w ciemności, kołysząc się delikatnie w rytm strof. Był to psalm z obrzędu wieczornego, słowa więc znał, ale były one dla niego puste. Nie znał już odpowiedzi. Było mu wstyd, że nie można na niego liczyć.

¹¹ Ten, jak i pozostałe cytaty, pochodzi z Księgi Psalmów, rozdział 18 (przyp. red.).

Szybko zauważył, że rytm oddechu Hiskiasza się zmienił, że wnuk zasnął.

- W moim utrapieniu wzywam Pana i wołam do mojego Boga - śpiewał, modląc się jednocześnie w duchu: „O, Jahwe, wołam do Ciebie o pomoc, teraz. Hiskiasz pyta, skąd wiem, że istniejesz. Co mu powiem? Pomóż, o, Jahwe!” - usłyszał On mój głos ze swojej świątyni, a krzyk mój dotarł do Jego uszu.

„Boże, czy naprawdę słyszysz mój krzyk? Proszę, pomóż mi!”

W gasnącym świetle lampki włosy Hiskiasza miały miedziany odcień. Odsuwając czule kosmyk loków z jego twarzy, poczuł w sercu dotkliwe ukłucie miłości do wnuka. Dusza chłopca została uzdrowiona, zapomniał o dawnych koszmarach, ale nigdy dotąd nie pytał o Jahwe.

Siedząc w ciszy i ciemności czuł, jak jego miłość do Hiskiasza zwiija się w nim niczym kłębek bólu. W rozpaczycy upadł twarzą na podłogę.

- Boże Wszechmogący, miej miłosierdzie nad tym chłopcem. Ześlij kogoś, kto go nauczy o Tobie. Proszę, nie pozwól, by poszedł drogami Achaza. Nie karz go za grzechy jego ojca. I dziadka... Ukształtuj go na Twojego sługę. Wysłuchaj mnie, proszę.

Gwiazdy cicho przesuwwały się po niebie. Miasto spało. Wietrzyk zaszeleścił zasłoną, oliwna lampka zasyczała i zgasła. Zachariasz niczego nie zauważył. Przyciskając czoło do podłogi, wzywał Boga całą noc tak, jak jeszcze nigdy tego nie robił.

- Proszę, ześlij, Panie, kogoś, kto będzie go uczył, bo ja nie umiem. Ulitowałeś się nade mną i wysłuchałeś mojej modlitwy. Prosiłem o przebaczenie i udzieliłeś mi go. Teraz znów proszę Cię o pomoc, choć nie jestem godzien Cię wzywać. Proszę, proszę, naucz go Twoich praw, pozwól mu wzrastać do służby Tobie.

o świcie, gdy słońce wysunęło się zza Góry Oliwnej, Zachariasz leżał wyczerpany i bez ruchu. Zabrakło mu już słów modlitwy. Ciężki supeł w jego sercu został rozplątany. W ciemnym pomieszczeniu ledwo dostrzegał łóżko Hiskiasza stojące zaledwie kilka metrów od niego. Ale słyszał jego cichy oddech. I wtedy, w tej ciszy, gdzieś z głębi duszy Zachariasza przemówił Jahwe:

- Ty go będziesz uczył, Zachariaszu.

- Nie, ja nie umiem, Panie, ja nie umiem! Zawiodłem za czasów Azariasza, nie chcę zawieść ponownie. I nie Hiskiasza, nie jego, ja go kocham, Boże, kocham go i nie mogę... nie mogę...

Ale głos Jahwe w jego sercu ponownie przemówił, by stłumić jego sprzeciw.

- Odśpiewaj resztę psalmu. To było wszystko.

Zachariasz zaczął drzeć. Serce biło mu mocno, gdy starał sobie przypomnieć, który psalm śpiewał Hiskiaszowi.

- Boże mój, oświecasz moje ciemności - szepnął, gdy sobie przypomniał. - Bo z Tobą zdobywam wały, mur przeskakuję dzięki mojemu Bogu... Bóg, co mocą mnie przepasuje i nienaganną czyni moją drogę. - Po policzkach Zachariasza popłynęły łzy. Jahwe znów do niego przemówił! Lewita starał sobie przypomnieć, kiedy ostatnio słyszał ten mocny a czuły głos, przemawiający do jego serca. Wydawało się, że wieki temu. Niegdyś, jak teraz Uriasz, on został mianowany zarządcą pałacu. Pierwszą miłością Zachariasza było Prawo - święta, najcenniejsza Boża Tora. Ale z biegiem lat inne uczucie stopniowo zajęło jej miejsce: pycha. Pycha z własnych osiągnięć i z uznania, jakim cieszył się u całego narodu.

I nagle zrozumiał, dlaczego poniósł porażkę za czasów Azariasza. Opierał się na własnej wiedzy, własnych siłach,

a one nie były wystarczające. Przestał szukać Bożej mocy i mądrości. Zasłonił twarz ze wstydu.

- Przebacz mi, Jahwe. Przebacz mi moją głupią pychę. Słońce stopniowo wspięło się na szczyt Góry Oliwnej i przesuwało się ponad górskim grzbietem. Hiskiasz poruszył się lekko i westchnął przez sen. Zachariasz wstał i spojrzał na wnuka.

Tak bardzo przypominał swoją matkę, jej ciemne włosy i oczy. Achaz był rudy jak i cały dom Dawidowy, ale Hiskiasz nie był taki, jak on. Zachariasz ponownie zamknawszy oczy, zaczął się modlić.

- Spraw, żeby duchem też był inny. Pomóż mi uczyć go o Tobie. Pomóż mi, daj mi mądrość!

Lęk znów zaczął mu ciążyć, ale mądrość Jahwe była silniejsza niż jego obawa. Przypomniawszy sobie słowa z Księgi Przysłów: „Z całego serca Bogu zaufaj, nie polegaj na swoim rozsądku, myśl o Nim na każdej drodze, a On twe ścieżki wyrówna”¹².

- Dziękuję - odpowiedział cicho. - Będziemy uczyć Hiskiasza, Ty i ja, Panie. Będziemy go uczyć.

Gdy Hiskiasz się obudził, do jego komnaty wlewał się olśniewający blask słońca. Usiadł, przetarł oczy i zobaczył, że dziadek odsłonił okno.

- Niebiosą głoszą chwałę Boga! - krzyknął. Pokazał na słońce i niebo, na zielone i brązowe wzgórza za oknem. -Dzieło rąk Jego nieboskłon obwieszca.

Splótł ręce na piersiach, jakby nic więcej nie było do powiedzenia. Hiskiasz patrzył zdziwiony na dziadka, zbyt śpiący, żeby pojąć, o co chodzi.

¹² **Księga Przysłów, rozdział 3, wersy 5-6 [przyp, red.].**

- Posłuchaj, dziecko. Wczoraj spytałeś mnie, skąd wiemy, że Jahwe rzeczywiście istnieje. Wystarczy otworzyć oczy i widzieć wspaniałe rzeczy, które stworzył. Niebiosa głoszą jego chwałę. - Zachariasz podszedł do łóżka i delikatnym gestem dał znać Hiskiaszowi, by wstał. Ubrał go w szatę i sandały nie przestając tłumaczyć. - Słońce, księżyc, gwiazdy, wzgórza i doliny: wszystko to opowiada nam Bożą chwałę. Ale największym ze wszystkich cudów jest to, że zostaliśmy stworzeni na Jego obraz. Choć, synku, dziś będę cię uczył o Jahwe, naszym Bogu.

Hiskiasz pamiętał, że wieczorem dziadek zupełnie nie miał ochoty mówić o Jahwe, prawie jakby się tego bał. Teraz jednak jego twarz promieniała entuzjazmem. Nie mógł zrozumieć, co spowodowało tak ogromną zmianę u starca, ale przeczuwał, że zaczyna się wielka przygoda i nie mogąc się jej doczekać, podbiegł do drzwi i je otworzył.

Wyskoczył przed Zachariasza, zbiegł po schodach i biegł przez korytarze żałując, że dziadek nie może iść szybciej. Ale przed głównym wejściem zatrzymał się, by na niego poczekać i gdy patrzył, jak kroczy, stwierdził, że Jahwe musi być jak dziadek: wysoki i silny, z falującą brodą. Oczy Jahwe muszą być takie mądre i miłe, Jego oblicze tak szlachetne i dostojne, jak oczy i twarz Zachariasza. Dziadek podszedł i z uśmiechem podał mu rękę.

- Dokąd idziemy, dziadku?

- Przejdziemy się poza miasto, obejrzyć to, co Jahwe stworzył.

- Dobrze. - Hiskiasz poszedłby za dziadkiem wszędzie, gdzie ten by go poprowadził. Gdy byli razem, czuł się bezpieczny i szczęśliwy.

Schodzili ulicami, trzymając się za ręce, a miasto budziło się ze snu. W powietrzu unosił się zapach dymu pierwszych ogni, słychać było chrobot żaren i pianie kogutów. Na targo-

wisku jakiś kupiec wykrzykiwał groźby pod adresem swojego sługi, podczas gdy wspólnie układali towar dla pierwszych klientów. Zachariasz zatrzymał się przy którymś straganie i kupił dwie bułki jęczmienne oraz garść daktyli. Hiskiasz zjadł je podczas marszu, wypluwając pestki.

Gdy dochodzili do Bramy nad Doliną, Zachariasz wskazał gestem niewielki posązek przy jednej z ulic. Przedstawiał on mężczyznę, z wyglądu okrutnika, który trzymał piorun. U jego stóp leżały kwiaty i ofiary z pokarmów.

- Zobacz. Ludzie robią takie ołtarze, żeby czcić swoje bożki. Ale te bożki nie są wcale bogami. To tylko posązki wykonane ludzką ręką, wymyślone ludzką wyobraźnią. Jest tylko jeden Bóg, Hiskiaszu. Znasz go z imienia. Jahwe, Bóg zbawienia.

Statuetka miała połowę wzrostu Hiskiasza i wyglądała dość nieszkodliwie. Ale na myśl, że miałby stanąć znów twarzą w twarz z ognistym Molochem, zadrżał i ścisnął mocniej rękę Zachariasza.

Doszli do bramy i opuścili mury miasta, podążając dalej wzdłuż kanału w górę doliny Gichona wprost do źródła. Hiskiasz zorientował się, że jest to ta sama droga, którą szli z ojcem, gdy po raz pierwszy spotkali proroka Izajasza. Tarasy pokryte gajami oliwnymi i winnicami wiły się ku wschodowi po skalistych zboczach gór, a gałęzie drzew uginały się pod ciężarem dojrzewających owoców. Stado kóz wdrapywało się po skałach poniżej murów miejskich w poszukiwaniu trawy rosnącej w rzadkich kępach pomiędzy kamieniami. Gdy doszli do źródła, Zachariasz zatrzymał się.

- Widziałeś kiedyś wiatr?

- Nikt nie może zobaczyć wiatru, dziadku - odpowiedział chłopiec, kręcąc przecząco głową.

- To skąd wiesz, że istnieje? - zapytał Zachariasz z uśmiechem, splatając ręce na piersiach.

Hiskiasz spojrział zaintrygowany na dziadka.

- Bo czuję, że mnie owiewa - powiedział, wzruszając ramionami.

- Aha, czyli nie widziałeś nigdy wiatru, ale wiesz, że istnieje, ponieważ widzisz przejawy tego, co robi: jak szemrze przez złote morza pszenicy, jak szeleści w gałęziach drzew. I czujesz, jak chłodzi cię w gorący, letni dzień. Więc tak samo jest z Jahwe. Ty ani ja nigdy go nie widzieliśmy, ale widzimy przejawy tego, w jaki sposób jego ręka dotyka naszego życia. Jak na przykład wtedy, gdy wybawił cię od Molocha. Słyszemy, jak mówi do naszego serca, w taki sposób, jak na przykład mówił do nas przez swojego proroka Izajasza. A jeśli, Hiskiaszu, zwrócisz się do Niego, poczujesz, że dotyka twojego życia i wszystkiego, co czynisz. On jest Stworzycielem życia, Stworzycielem wszystkiego, co istnieje.

Zachariasz rozpostarł ramiona i krzyknął do wzgórz i pól:

- Słuchaj, Izraelu! Jahwe jest naszym Bogiem! Panem jedynym! Będziesz miłował Jahwe, Boga twojego, całym swoim sercem, całą swoją duszą i ze wszystkich sił swoich!

Spojrzał na Hiskiasza. Gdy kozy na przeciwległym wzgórzu rozbeczały się, odpowiadając w ten sposób na krzyk Zachariasza, obaj uśmiechnęli się do siebie.

- Te słowa to Szema, nasze przymierze z Jahwe. Musisz się nauczyć tych słów i nigdy, przenigdy ich nie zapominać: „Słuchaj, Izraelu! Jahwe jest naszym Bogiem! Panem jedynym!”.

Usiedli na niskim kamiennym murku nieopodal źródła i patrzyli na służące, które nachylały się, by napełnić swoje dzbany wodą i wnosiły je po podjeździe, trzymając sobie na głowie. Hiskiasz spojrział na wznoszące się nad nimi strome zbocza i mury miasta. Stanowiły one potężną obronę wobec wroga, poza nimi czuł się bezbronny. Poza tymi murami, w dolinie, mieszkał Moloch.

By poczuć się pewniej, przysunął się do dziadka. Zamknął oczy i odchylił twarz w stronę nieba. Poczuł, że słońce ogrzewa mu policzki. Przypominał sobie żar płomieni Molocha. Siłę i moc boga ognia dało się zobaczyć i odczuć, niewidzialny Jahwe nie okazywał żadnych objawów swojej siły. Hiskiasz czuł się bezpieczny przy Zachariaszu, ale pragnął pewności. Chciał być pewien, że moc Jahwe jest większa niż moc Molocha. Znow spozrzał na Zachariasza.

- Dziadku, czy Jahwe jest silny?

- Tak, dziecko. Oczywiście.

- Ale czy jest naprawdę, tak naprawdę silny?

- Jahwe ma wszelką siłę, jakiej potrzebujesz w życiu. To właśnie oznacza twoje imię: Hiskiasz - Jahwe jest moją mocą.

Chłopiec chciał mu wierzyć, ale chciał też takiej mocy, którą mógłby zobaczyć i dotknąć. Nie dawał więc za wygraną:

- Ale dziadku, jak nie widzisz Jahwe, to skąd wiesz, jak jest silny?

Zachariasz wziął głęboki oddech i milczał chwilę, szukając odpowiednich słów.

- Nie daj się oszukać sile, którą widzisz. Jahwe często ukrywa swoją moc w prostocie, w słabości, dlatego jego moc wydaje się głupstwem w ludzkich oczach. Chcesz wysłuchać opowieści o mocy Jahwe?

- Tak! - Hiskiasz uwielbiał opowieści. Przytulił się do dziadka.

- Nasi wrogowie mieli kiedyś prześwietnego wojownika - zaczął Zachariasz - olbrzyma o imieniu Goliat, wysokiego na pięć łokci. Wszyscy nasi żołnierze się go lękali.

Hiskiasz pomyślał o olbrzymim kapłanie, który składał ofiarę Molochowi. Gdy Zachariasz opowiadał, Hiskiasz wyobrażał sobie Uriasza jako olbrzyma Goliata.

- A twój przodek, Dawid, był dopiero chłopcem takim jak ty, ale zgłosił się na ochotnika do walki z olbrzymem.

- Dziadku, a Dawid miał miecz?

- Nie. Był za mały, żeby nosić miecz i zbroję. Miał tylko procę pasterską i pięć gładkich kamieni.

- Bał się?

- Ani trochę! Król i wszyscy żołnierze izraelscy bardzo się bali Goliata, ale Dawid zawierzył Jahwe, swojemu Bogu. A to dlatego, że gdy Dawid jako pasterz pasał owce swojego ojca, Jahwe pomógł mu zabić lwa, a innym razem niedźwiedzia. Krzyknął do Goliata: „Ty idziesz na mnie z mieczem, dzidą i zakrzywionym nożem, ja zaś idę na ciebie w imię Pana Zastępów”.

Myśląc o tej nierównej walce - olbrzym taki jak Uriasz przeciw chłopcu takiemu, jak on sam - Hiskiasz ledwo mógł usiedzieć na miejscu.

- I kto zwyciężył, dziadku, kto zwyciężył?

- Oczywiście, że Jahwe zwyciężył. Dawid włożył kamień w procę i wypuścił go w stronę Goliata zanim olbrzym zdążył w ogóle dobyć miecza. Kamień trafił Goliata w sam środek czoła, wojownik runął na ziemię. Widzisz, Goliat popełnił błąd, szydząc ze wzrostu przeciwnika. Dawid był tylko chłopcem, ale miał po swojej stronie Jahwe, choć nikt Go nie widział, moc Jahwe może pomóc ci pokonać największego przeciwnika.

Hiskiasz uśmiechnął się, wyobrażając sobie, jak z pomocą Jahwe pokonuje olbrzymiego kapłana.

- W czym jeszcze Jahwe pomógł Dawidowi? Opowiedz mi jeszcze coś! - poprosił.

- No dobrze, daj mi pomyśleć - zgodził się Zachariasz, śmiejąc się i przytulając chłopca. - widzisz jakie wysokie i mocne są te mury nad nami - zaczął po chwili pokazując na fortyfikacje. - Gdy Dawid dorósł, chciał zdobyć Jerozolimę, by zbudować Świątynię Jahwe. Ale Jerozolima była silną

twierdzą i należała do nikczemnych Jebusytów. Drwili oni sobie z Dawida: „Nigdy nie dostaniesz się przez te mury”.

- Ale Dawid wkroczył do miasta, prawda, dziadku?

- Tak! - roześmiał się znów Zachariasz. - Widzisz, Jerozolima ma jeden słaby punkt. Woda. Źródło Gichona znajduje się poza murami miasta. Pamiętasz, jak trzeba było racjonować wodę podczas oblężenia?

- Była niedobra - chłopiec skrzywił się. - Nie smakowała mi.

- Masz rację, smakowała nieświeżo. No więc Jebusyci postanowili wykopać sekretny szyb z miasta do źródła, by móc czerpać z niego wodę podczas oblężenia. Ale Jahwe poprowadził Dawida do tego tunelu i jego ludzie wspięli się nim. Tak wojsko Dawida dostało się do miasta.

- Dziadku, a czy ten tunel dalej tam jest?

- Nie sądzę. To było kilkaset lat temu. Myślę, że Dawid go zasypał, aby wrogowie nie mogli dostać się tamtędy do miasta tak jak on.

Słońce wznosiło się po niebie, robiło się coraz upalniej. Hiskiaszowi to nie przeszkadzało, ale zobaczył, że Zachariasz, wstając z murku, ociera pot z czoła.

- Trzeba chyba wracać, synku.

Hiskiasz ociągał się. Musiał się dowiedzieć jeszcze jednej ważnej rzeczy. Zebrał się więc na odwagę i zapytał.

- Dziadku. Czy Jahwe też żąda ofiar? Zachariasz przykucnął by spojrzeć chłopcu w oczy.

- Tak. Jahwe również żąda od ludzi ofiar. Ale zabrania nam zabijania swoich dzieci. Składamy w ofierze baranki albo...

- Czy Jahwe zjada baranki jak Moloch ludzi?

- Nie, synu. Nie zjada ich.

- To po co je chce? Zachariasz wziął głębszy oddech.

- Bo gdy grzeszymy, zasługujemy na śmierć. Ale Jahwe pozwala nam złożyć w ofierze baranka, by on zamiast nas zapłacił za nasze grzechy. Baranek umiera zamiast nas.

Na wspomnienie ofiary Molocha Hiskiasz poczuł, że łzy palą mu oczy.

- Amariasz umarł zamiast mnie - powiedział cicho. - To ja byłem pierworodny.

- Tak, twój brat oszedł - odpowiedział Zachariasz, obejmując chłopca. - Ale dziękuję Bogu, że ty żyjesz.

Hiskiasz dłuższą chwilę stał w ramionach dziadka. Było mu dobrze, bezpiecznie.

- A czy jutro opowiesz mi jeszcze jakieś historie o Jahwe? - zapytał.

- Tak, opowiem ci jutro mnóstwo historii. I pojutrze i popojutrze... - Zachariasz wziął chłopca za rękę i ruszyli w stronę Bramy Wodnej. - A teraz, Hiskiaszu, wspólnie odmówmy Szema. Słuchaj, Izraelu...

- Głośniej, dziadku! Niech kozy znów zabeczą!

- Słuchaj, Izraelu!!! - krzyknął Zachariasz. - Jahwe jest naszym Bogiem!!! Panem jedynym!!!

8.

Abbija stała przy oknie w jednej z komnat męża i patrzyła na sylwetki ludzi stojących na dziedzińcu. Żołnierze prawie od godziny czekali w pełnym rynsztunku, by król wyszedł z pałacu i by mogli wreszcie wyruszyć. Było im gorąco i wyglądali na poirytowanych. Konie przestępowały niecierpliwie z nogi na nogę, targały wędzidła. Za nimi stała i czekała karawana niewolników i obładowanych, jucznych mułów, które szarpały głowami i ciągnęły za postronki.

Najmniej nerwowo zachowywali się żołnierze asyryjscy, którzy mieli prowadzić karawanę, a którzy w milczeniu stali w szeregach. Przybyli do Jerozolimy bez zapowiedzi, by wezwać Achaza na spotkanie ze swoim imperatorem, Tiglat-Pileserem. Aram, wróg Achaza, został zniszczony, a Tiglat-Pileser nakazywał Achazowi udać się natychmiast za żołnierzami asyryjskimi do ruin Damaszku. Abbiji cała ta polityka raczej nie interesowała. Królowa nie mogła jednak doczekać się, aż się uwolni choć na kilka miesięcy od Achaza i od konieczności udawania kochającej żony.

Usłyszała chrząknięcie Uriasza i odwróciwszy się w jego stronę, przyjrzała mu się badawczo. Zastanawiała się, czy tak samo jak jej, zależało mu na wyjeździe Achaza. Stojąc z rękami splecionymi na piersiach, wydawał się spokojny i beztroski, ale po zaciśniętych zębach widziała, że traci już cierpliwość. Achaz tak przebierał w ubraniach i dodatkach, jakby celowo się guzdrał. Co chwilę zmieniał zdanie i wy-

dawał krzątającym się w kółko służącym kolejne polecenia. Uriasz, jeśli tylko udało mu się napotkać spojrzenie któregokolwiek ze sług, wpatrywał się w niego tak, jakby chciał go przestraszyć w nadziei, że w ten sposób zmusi go do szybszej pracy. Wysiłki te były jednak daremne. To Achaz się nie śpieszył. Cierpliwość Uriasza wreszcie chyba dobiegła końca.

- Wasza Wysokość, karawana czeka...

- Niech czeka. Jeszcze nie jestem gotów.

- Ale do Damaszku droga daleka i należy jak najlepiej wykorzystać godziny dnia.

- Wyjeżdżam z niezwykle istotną misją dyplomatyczną - odparł gniewnie Achaz. - Spotkam się z wielkim imperatorem, Tiglat-Pileserem. Nie będę się śpieszyć - oświadczył, podkreślając słowo „nie” i odwrócił się z powrotem do zwierciadła z brązu, przed którym się stroił.

- Ależ Wasza Wysokość, posłowie asyryjscy przywieźli wezwanie imperatora już ponad tydzień temu. Naprawdę powinieneś...

- Nie rozumiesz?! - przerwał mu Achaz. - Wreszcie udało mi się zdobyć pozycję międzynarodową, na jaką zasługuję. Imperator najpotężniejszego państwa na świecie chce spotkać się ze mną - uśmiechnął się do swojego odbicia w zwierciadle. - Jesteśmy sprzymierzeńcami. Zasiądziemy wspólnie, by dyskutować o polityce światowej, podpisywać traktaty jak równy z równym, zobowiązywać się do udzielania sobie wzajemnej pomocy. Muszę wyglądać jak najlepiej.

Rozprostował fałdy wyszywanej szaty i obracał się na boki podziwiając sam siebie. Twarz Uriasza wyrażała niedowierzanie. I Abbija domyślała się, o co chodzi. Achaz był na tyle głupi, że uważał, iż zasiądzie jak równy z królem, który dopiero co ocalił go od okrutnej napaści. Tyle nawet sama rozumiała. Usłyszała, jak Uriasz bierze głęboki wdech, przygotowując się do odpowiedzi.

- Wasza Wysokość, zawarliśmy pakt z Asyrią, ale to nie znaczy, że...
- Słyszałaś meldunki o tym, co zrobili dla nas nasi asyryjscy przyjaciele, prawda, kochanie? - zapytał Achaz, odwracając się do Abbiji. - Podbili Aram i deportowali jego mieszkańców. Sojusznicy Aramejczyków woleli się poddać, niż narazić na ten sam los. A teraz Asyryjczycy chcą się spotkać ze mną.

- O to mi właśnie chodzi, Wasza Wysokość. - Uriasz zbliżył się o krok, wykonując taki gest, jakby apelował do rozsądku króla. - Nie można sądzić, że tak potężne państwo z tak silną armią...

Ale Abbija widziała, że Achaz nie słucha. Przerwywając Uriaszowi, warknął do wykończonych sług kolejną porcję rozkazów, po czym dodał:

- Zostanę na zawsze zapamiętany jako jeden z największych królów Judy.

Uriasz zrezygnował z prób przemówienia królowi do rozsądku i odwrócił się. Myśląc o tym, że na kilka wspaniałych tygodni zostanie uwolniona od męża, Abbija zmusiła się, by do niego podejść.

- Wyglądasz wspaniale, panie - powiedziała, wygładzając fałdy jego szaty - i tak królewsko, jak żaden inny król na świecie.

Wypowiadając te słowa, poczuła się zakłamana. A to, że Uriasz widzi ją razem z Achazem, wprawiało ją w zakłopotanie, choć wiedziała, że to niemądre. Była przecież żoną Achaza. A ostatnio król chciał, by była przy nim tak często, jak to tylko możliwe, bardzo liczył na jej wsparcie i towarzystwo. A skoro ojciec Abbiji pomagał teraz Hiskiaszowi, to tym bardziej ona sama musiała być przy Achazie i angażować jego uwagę. Pragnęła tylko móc powiedzieć Uriaszowi, że to je-

dynie gra. A zamiast tego czuła się upokarzana za każdym razem, gdy Achaz ją przy nim dotykał.

Tymczasem on sam stwierdził wreszcie, że jest gotów:

- Wyjdź ze mną, Uriaszu, pożegnaj mój orszak. Ty też chodź, kochanie.

Abbija wyszła za nim i stanęła na stopniach pałacu. Dźwięk trąb obwieścił pojawienie się króla. Starsi i dostojnicy oddali mu hołd ukłonem. Achaz z dumą popatrzył na czekającą na niego karawanę. Żołnierze asyryjscy, których przysłano, by towarzyszyli mu w drodze do Damaszku, stali zdyscyplinowani w zwartych szeregach, gotowi do poprowadzenia orszaku. Za nimi stał osobisty rydwan Achaza, zaprzężony w sześć koni. Miał on zawieźć króla, woźnicę i lokaja, który miał zajmować się osobistymi potrzebami monarchy. Muły juczne i niewolnicy nieśli ekwipunek potrzebny w podróży, a także kolejne dary dla króla Asyrii. To, co zostało z wojska judejskiego, a zostało niewiele, szło jako tylna straż. Tłum pozdrowił Achaza:

- Niech żyje król!

Abbija wiedziała, że jej mąż uwielbiał całą królewską pompę i blichtr. Zapewne delectował się każdą chwilą. Ale właśnie, gdy król wsiadał na swój rydwan, przez gwar tłumu przedarł się czyjś głos.

- Wasza Wysokość! Królu Achazie! Poczekaj!

Zobaczyła, że dobry nastrój króla na widok Izajasza, przepychającego się pospiesznie przez ciżbę w stronę rydwanu, właśnie zamienia się we wściekłość. Usłyszała jęk Uriasza, który zbiegł ze schodów i łokciami torował sobie drogę przez tłum w stronę proroka.

- Nie! Nie będę cię słuchać! - krzyknął Achaz. - Nie pozwolę ci zniweczyć tego dnia twoim niepotrzebnym wrzaskiem o zagładzie i zniszczeniu! Czy Jerozolima została zniszczona? Czy wróg nas pokonał? Nie, bo twoje słowa to

bdura! Zawarłem przymierze z Asyrią. Zawarłem pakt z Tiglat-Pileserem. Teraz już nikt nas nie pokona! Jesteś fałszywym prorokiem!

- Dlatego posłuchajcie słowa Pańskiego, wy wszyscy szydery, panujący nad tym ludem, który jest w Jerozolimie! - krzyczał Izajasz, stanąwszy z godnością za królewskim rydwanem. Jego głos pozostał jednostajny także, gdy parodiował słowa Achaza. - Mówicie: „Zawarliśmy przymierze ze Śmiercią, i z Szeolem zrobiliśmy układ. Gdy się rozleje powódź, nas nie dosięgnie, bo z kłamstwa uczyniliśmy sobie schronisko i skryliśmy się pod fałszem”¹³.

- Powiedziałem ci, że nie chcę się więcej słyszeć! - Achaz poczerwieniał ze złości. Dał znak woźnicy, ale rydwan nie mógł ruszyć, póki nie ruszyły oddziały przed nim.

- Przeto tak mówi Pan Bóg - ciągnął Izajasz, na tyle głośno, by mógł go usłyszeć zebrany tłum. - Ale grad zmiecie schronisko kłamstwa, a wody zaleją kryjówkę. Wasze przymierze ze Śmiercią zostanie zerwane, i nie ostoi się wasz układ z Szeolem.

W tym momencie do Izajasza dotarł Uriasz, który chwyciwszy proroka za ramiona, usiłował go odciągnąć od rydwanu Achaza. Ale na zatłoczonej ulicy nie bardzo mogli się ruszyć, a Izajasz również podczas szarpaniny nie przestawał krzyczeć.

- Błady strach na wieść o niej padnie na ciebie, królu. Bo za krótkie będzie łóżko, aby się wyciągnąć, i zbyt wąskie przykrycie, by się nim owinać.

- Jesteś głupcem!!! - wrzasnął Achaz. - Nie wiesz, co mówisz! Łóżka, które są za krótkie! Przede mną ważna misja, która przyniesie trwałe zmiany w życiu tego narodu, odczuwalne długo po tym, jak ciebie już nie będzie.

¹³ Cytat ten nieco sparafrazowany, jak i kolejne, pochodzi z Księgi Izajasza, rozdział 28 [przyp. red.].

- Przestań drwić - odkrzyknął Izajasz - żeby twoje pęta się nie zacieśniły; słyszałem bowiem rzecz postanowioną przez Pana, Boga Zastępów: zniszczenie całego kraju.

Jego słowa przeszły Abbiję dreszczem. Miała dotąd nadzieję, że krajowi przestało wreszcie grozić niebezpieczeństwo, że bezpieczne są już jej dzieci. Ale jeśli zapowiedzi Izajasza się sprawdzą, jeżeli to dopiero początek problemów? Co będzie z Hiskiaszem? I z dzieckiem, które narodzi się za kilka miesięcy? Położyła dłonie na brzuchu i na chwilę zamknęła oczy, by pomodlić się, jak codziennie, by Jahwe chronił jej dzieci.

Znak od Achaza, że mogą ruszać, dotarł wreszcie na czoło karawany i czarnobrodzi żołnierze ruszyli żwawo. Tłum rozstał się, robiąc im przejście. Ludzie wiwatowali na cześć króla i zagłuszyli ostrzeżenia Izajasza. Ale w sercu Abbiji słowa proroka odbijały się silnym echem długo po tym, jak orszak zniknął jej z oczu.

Na Jerozolimę spadł zimny, wilgotny deszcz. Niskie chmury zasłoniły widok na pobliskie wzgórza. Ale Hiskiasz nie przejmował się zimnem poranka, skakał po mokrych ulicach, wskakiwał we wszystkie kałuże, rozbryzgując sandałami błotnistą wodę, która brudziła mu stopy i kostki.

- Patrz jak chodzisz - strofowała go matka. - Całe stopy będziesz miał mokre.

Ale uśmiechała się, a Hiskiasz wiedział, że tak naprawdę wcale nie jest zła. Podbiegł do miejsca, gdzie matka zatrzymała się razem z Zachariaszem, by nieco odetchnąć.

- Pospieszcie się - prosił, biegając wokół nich w kółko. - Spóźnimy się i nie będziemy na porannej ofierze.

- Zdążymy, synku. Jesteśmy już prawie na miejscu. Widzisz mur? - spytała, wskazując palcem miejsce, o którym mówiła. - To górna część ogrodzenia świątyni.

Hiskiasz wziął ich oboje za ręce i pociągnął ich naprzód

- Pośpieszcie się, proszę.

- Szybciej iść pod górę nie dam rady - odparł dziadek. - Kości mnie bolą od tej wilgoci.

- Już dawno obiecałeś mi, że zabierzesz mnie do Świątyni.

- Wiem, wiem. Ale trzeba było poczekać na odpowiedni moment, chłopcze.

- Nie wiem, czy twój ojciec by się zgodził na to, że idziesz do Świątyni Jahwe - dodała matka. - Ale wczoraj wyjechał do Damaszku.

Na myśl o dzieleniu wspólnej tajemnicy z mamą i dziadkiem, Hiskiasz poczuł przyjemny dreszcz. Fakt, że jego wyprawa do Świątyni nie podobałaby się ojcu, dodawał tylko emocji.

- Dlaczego nie chce, żebym szedł do Świątyni? Bo czci Molocha?

- No cóż - odrzekł Zachariasz. - Między innymi właśnie dlatego.

- A czy ojciec czci także Jahwe?

- Nie może jednego i drugiego naraz. Pamiętasz? „Słuchaj, Izraelu! Jahwe jest naszym Bogiem! Panem jedynym!”.

Hiskiasz pamiętał. To była pierwsza rzecz, jakiej nauczył go dziadek.

- Dziadku, a jak ofiara się skończy, zaprowadzisz mnie do wnętrza Świątyni?

- Przecież pamiętasz, że do Świętego Świętych mogą wchodzić jedynie kapłani.

- Wiem. Ale możemy pójść tam, gdzie ty mieszkasz, prawda? - Zachariasz opowiedział już wnukowi, że Świątynia

Jahwe była najcudowniejszym miejscem na ziemi i Hiskiaszowi bardzo zależało, żeby ją zobaczyć.

- Pokażę ci wszystko, co mogę - obiecał lewita. Hiskiasz puścił ich ręce. Szli o wiele za wolno. Matka pochochrała mu włosy, a chłopiec wyrwał się do przodu w poszukiwaniu kolejnej kałuży.

- Nóg sobie nie przemocz do reszty! - zawołała. O wiele za późno. Stopy Hiskiasza były już na dobre przesiąknięte wodą.

Dotarli wreszcie na szczyt wzgórza i przez bramę weszli na zewnętrzny dziedziniec Świątyni. Przed sobą, jeszcze wyżej, Hiskiasz widział dach Przybytku. Matka przykazawszy mu, by trzymał się dziadka, ruszyła w stronę dziedzińca dla kobiet. Ale gdy obchodzili budynek, by znaleźć się od jego frontu czyli od wschodu, Hiskiasza szokowała wręcz brzydota drewnianych rusztowań zasłaniających fasadę. Świątynia Jahwe nie przypominała wspaniałej budowli, jaką chciał zobaczyć.

- To właśnie brązowe kolumny, o których ci mówiłem - wyjaśnił Zachariasz, pokazując dwa potężne filary podtrzymujące portyk Przybytku. - Pamiętasz, jak się nazywają?

Hiskiasz zmrużył oczy starając się przypomnieć sobie to, czego go uczył dziadek.

- Jedna to Boaz, a druga... yyy... Jak druga się nazywała, dziadku?

- Jakin. To znaczy „Jahwe utwierdził”. A Boaz oznacza „w Nim moc”.

- Dlaczego są zasłonięte tymi brzydkimi deskami? Zachariasz westchnął ciężko, właściwie był to jęk. Hiskiasz spojrzał na niego pytająco.

- Bo twój ojciec chciał wziąć wszystko, co było z metalu. Chciałbym, żebyś mógł zobaczyć te kolumny, zanim twój

ojciec je ogołocił. Były całe pokryte brązem i przepięknymi płaskorzeźbami.

- Dziadku, to dlaczego je zabrał?

- Bo potrzebował czegoś na prezenty dla króla Asyrii, a wiedział, że najpiękniejsze skarby całego kraju są tu, w Świątyni Jahwe.

Hiskiasz rozejrzał się i zauważył, że na ofiarę przyszła jedynie garstka ludzi. Tysiące szły uczcić Molocha w orszaku do Doliny Hinnom i myślał, że przynajmniej tyle, jeśli nie więcej, będzie tutaj.

- Gdzie są wszyscy? - zapytał Zachariasza. - Dlaczego nie przyszli zobaczyć ofiary dla Jahwe?

Lewita ponownie ciężko westchnął.

- Bo lud Judy porzucił kult Jahwe. Teraz wielbią różnych fałszywych bogów, jakby nie dostrzegali różnicy. To król wskazuje drogę, a lud idzie za jego przykładem. A twój ojciec odwrócił się od Jahwe.

- Dlaczego?

- Nie wiem, dziecko - Zachariasz pokręcił głową. - To chyba w jakiejś części i moja wina. Przepraszam.

Hiskiasz nie rozumiał, jaka miałyby być w tym wina dziadka. Miał już o to zapytać, ale właśnie podbiegł do nich pulchny, niski mężczyzna z chłopcem o kilka lat starszym i o głowę wyższym od Hiskiasza.

- Zachariaszu, przyjacielu, o, chwała Panu! - Niski mężczyzna przywitał się z dziadkiem wylewnie. - Jak dobrze znów cię widzieć. - Obaj uścisnęli się serdecznie, z brązowych oczu przybysza biła radość. Pokazał na chłopca. - To mój syn, Eliakim. Tak się martwiłem o ciebie, Zachariaszu. Ale świetnie wyglądasz. Świetnie!

- Jestem nowym człowiekiem, Chilciaszu. Dzięki niech będą Bogu. Poznaj mojego wnuka, księcia Hiskiasza.

Chilkiasz natychmiast ukląkł, by oddać pokłon i pociągnął za sobą zaskoczzonego syna. To z kolei wprawiło w zdumienie samego Hiskiasza. Rzadko wychodził z pałacu i nie był przyzwyczajony, by składano mu pokłony jak jego ojcu.

- To zaszczyt dla Eliakima i dla mnie, że mogliśmy cię poznać - rzekł Chilkiasz. Obydwaj wstali, a dorośli zaraz pograżyli się w rozmowie, nie zwracając uwagi na chłopców. Hiskiasz widział, że Eliakim przygląda mu się bacznie od stóp do głów.

- Naprawdę jesteś księciem? - zapytał. - Tak.

- A król Achaz to twój ojciec? - Tak.

- Dlaczego nie przyszedł z tobą do Świątyni? - Eliakim zadawał pytania tak szybko, że Hiskiasz właściwie nie miał czasu pomyśleć nad odpowiedzią.

- Yyy... Pojechał do Damaszku.

- Po co?

- Porozmawiać z innym królem. Chyba. - Hiskiasz odwrócił się, by popatrzeć, co się dzieje na zewnętrznym dziedzińcu. Miał nadzieję, że dziadek szybko skończy rozmawiać. Z bocznych drzwi wyszło kilku kapłanów i Lewitów, którzy zebrali się przy dużym ołtarzu z brązu.

- Jak to jest być członkiem królewskiego rodu? - spytał Eliakim.

- Nie wiem - Hiskiasz wzruszył ramionami.

- Abba mówi, że królowie i księżęta mają królewską krew. Ty też?

- Chyba tak.

- To jak ona wygląda?

Hiskiasz raz w życiu widział własną krew, gdy jej odrobina pocięła mu z nosa.

- Jest ciemnoczerwona.

- To tak jak moja. To na czym polega różnica między zwykłą krwią a królewską?

- Nie wiem - Hiskiasz znów wzruszył ramionami. Nigdy dotąd nie myślał o sobie jako o kimś odmiennym. Ale przecież nigdy dotąd nie spotykał również innych dzieci, poza własnymi braćmi. I nikogo, kto by zadawał tyle pytań, co Eliakim.

- Będiesz kiedyś królem? - ciągnął starszy chłopiec.

Tu Hiskiasz zawahał się. Nie chciał mówić o tym, że teraz jest pierworodnym synem Achaza.

- Nie wiem. Może.

- Jeśli będziesz, to staniesz na tym podeście tam, między kolumnami - Eliakim pokazał ręką w kierunku, który miał na myśli. - Co zrobisz jak zostaniesz królem?

Hiskiasz odpowiedział kolejnym wzruszeniem ramion. Miał nadzieję, że zniechęci tym Eliakima do kolejnych pytań.

- Nigdy cię tu jeszcze nie widziałem - odezwał się znów syn Chilkiasza. - Pierwszy raz jesteś w Świątyni?

-Tak.

- Na wieczorną ofiarę też przyjdiesz?

- Może.

- Ja przychodzę tu z Abbą codziennie rano i wieczorem. Muszę patrzeć stąd, bo jeszcze jestem za mały, by iść do przedsionka mężczyzn. Ale po następnych urodzinach będę mógł iść, modlić się z abbą i innymi mężczyznami.

Zachariasz wyjaśnił już Hiskiaszowi, że zanim będzie mógł uczestniczyć w obrzędzie, musi skończyć dwanaście lat. Teraz chłopiec zazdrościł Eliakimowi, bo ten był już prawie mężczyzną. Zastanawiał się, jakby to było mieć takiego ojca, jak Chilkiasz, który zabierałby go do Świątyni Jahwe dwa razy dziennie. Nagle ze zwieńczenia świątynnego muru

jeden z kapłanów zadał w szofar i Cheliakim pożegnawszy się, pospieszył na dziedziniec wewnętrzny. Eliakim poszedł za ojcem aż do samej bramy.

- My też musimy patrzeć stąd. - Przypomniał Zachariasz. Przykucnął obok Hiskiasza i położywszy dłoń na jego ramieniu, zaczął pokazywać, co się dzieje. Mężczyźni zebrali się wokół dużego zbiornika na wodę, szerokiego na dziesięć łokci i wyższego niż dziadek.

- Najpierw muszą wyznać swoje grzechy przy brązowym „morzu” - wyjaśnił Zachariasz. - Wyznają swoje grzechy Jahwe i obmywają się symbolicznie. „Morze” stało na dwunastu wołach wykonanych z mosiądzu, jak dwanaście pokoleń Izraela. Ach, jakie one były piękne! Wyższe od ciebie, trzy patrzyły na wschód, trzy na zachód, trzy na północ i trzy na południe. Były wspaniałe!

- I co się z nimi stało?

- Twój ojciec je zabrał, by podarować je królowi asyryjskiemu. Teraz patrz. Widzisz jak się myją? Muszą obmyć stopy, by mogli chodzić jako prawi przed Bogiem, ręce, by ich czyny były czyste w jego oczach i usta, by mówili tylko takie słowa, które są czyste. Teraz mogą przejść przed ołtarz. Podejdźmy, żeby lepiej widzieć.

Wziął Hiskiasza za rękę i przeszli na drugą stronę dziedzińca. Nie było żadnego posągu, żadnych ust, żadnych rozpostartych ramion. Tylko wielki, kwadratowy ołtarz, dwa razy wyższy od człowieka, piętrzył się przed nimi. Powietrze nad nim połyskiwało. Gdy wiatr zawiął nagle w ich stronę, Hiskiasz poczuł na twarzy gorąco i dym. Cofnął się przerażony.

- Chcę do domu.

- Wszystko w porządku, dziecko. Nie ma czego się bać - uspokoił go Zachariasz.

Hiskiasz mocno ścisnąwszy rękę dziadka, walczył z lękiem i wspomnieniami, które ożywiła ofiara.

Jeden z kapłanów wprowadził baranka na ołtarz. Hiskiasz dostrzegł w ręce mężczyzny błyszczące ostrze noża. Baranek wykręcał się i szarpał na uwięzi, chłopcu przypomniawszy ciężar żołnierskich rąk na jego ramieniu, uniemożliwiających ucieczkę. Przypomniawszy sobie braci, Eliaba i Amariasza. Mrugał powstrzymując łzy.

- Chcę do domu - powtórzył.

Zachariasz ukląkł naprzeciw niego i ujął jego twarz w obie dłonie.

- Dziecko, Jahwe nie jest jak Moloch. W Jego Świątyni nie ma czego się bać. Widzisz, jak mężczyźni kładą ręce na głowie baranka? Baranek zamiast nich poniesie wszystkie ich grzechy. Żeby zapłacić za nasze grzechy, trzeba przelać krew, ale zostanie przelana krew baranka. Nie twoja, ani moja.

Gdy ostatni z mężczyzn zdjął dłoń z głowy zwierzęcia, kapłan szybko podciął jego gardło. Baranek przestał się szarpać i legł wiotki, a misa trzymana przez któregoś Lewitę powoli napełniała się krwią. Hiskiasz poczuł, że robi mu się niedobrze. Zamknął oczy, by nie patrzeć.

Wtedy poprzez pomruk głosów, syk i trzask płomieni, Hiskiasz usłyszał znajomy głos dziadka, który dołączył do chóru Lewitów. Głębokie, pełne tony ukołysły chłopca. Otworzywszy oczy rozejrzał się. Muzycy Lewitów stali na stopniach Przybytku z instrumentami, a Zachariasz śpiewał razem z nimi:

- Panie, jakże wielu jest tych, którzy mnie trapią, jak wielu przeciw mnie powstaje! Wielu jest tych, co mówią o mnie: „Nie ma dla niego zbawienia w Bogu”¹⁴.

Gdy Hiskiasz znów spojrzał na baranka, niewiele z niego zostało. Kapłani sprawnie zdjęli z niego skórę i wypatroszyli.

¹⁴ Cytat ten, jak i kolejne, pochodzi z Księgi Psalmów, rozdział 3 [przyp. red.].

Mężczyźni zebrali się wokół ołtarza, a jeden z kapłanów wszedł po jego stopniach, niosąc to, co było przeznaczone na ofiarę. Inny kapłan spryskał cały ołtarz dookoła, u jego podstawy, krwią baranka. A Lewici śpiewali:

- A jednak, Panie, Ty, jesteś dla mnie tarczą, Tyś chwałą moją i Ty mi głowę podnosisz. Wołam swym głosem do Pana, On odpowiada ze świętej swojej góry.

Hiskiasz patrzył, jak wierni razem klękają, a potem padają na twarz, dotykając czołami wilgotnej posadzki. Czasem w ten sam sposób ludzie oddawali pokłon jego ojcu.

- Kładę się, zasypiam i znowu się budzę, bo Pan mnie podtrzymuje. Wcale się nie lękam tysięcy ludu, choć przeciw mnie dokoła się ustawiają.

Gdy wierni podnieśli głowy, spojrzeli na kapłana, który stał gotów do złożenia ofiary.

- Powstań, o Panie! Ocal mnie, mój Boże!

Kapłan położył ofiarę na ołtarzu i cofnął się, a wysoko w niebo wzniosła się kolumna ognia. Zaskoczony Hiskiasz aż odskoczył. Nic dziwnego, że Jahwe miał władzę nad Molochem, skoro również był Bogiem ognia.

- Jest tutaj - zawołali wszyscy mężczyźni. - Odpowiada! Zachariasz zapewniał wnuka, że Molochem tak naprawdę

nie istnieje, ale Hiskiasz wciąż lękał się potwora, który zabił dwóch jego braci. Ale gdy zobaczył moc Jahwe w słupie ognia, był już prawie pewien, że ten niewidzialny Bóg jest tak samo potężny.

Kapłani położyli na ołtarzu resztę baranka, ale tym razem nie było żadnego słupa ognia, jedynie smuga dymu i syk węgla. Woń, jaka unosiła się od ognia Jahwe, była cudownie słodka.

Wierni zaczęli wychodzić i w ciągu kilku minut dziedziniec opustoszał. Poranna ofiara została spełniona, Hiskiasz zaś pamiętał o wycieczce po Świątyni, na którą tak długo czekał.

- Czy teraz możemy zobaczyć złote drzwi? - zapytał, gdy Zachariasz wstał.

- A, złote drzwi do przybytku. Tak, chodźmy.

Przeszli przez bramy, przez które właśnie wychodzili ostatni wierni i cichym już dziedzińcem przeszli pod portyk Przybytku. By zobaczyć wielkie, podwójne drzwi do Świętego Świętych, musieli się wcisnąć za drewniane rusztowanie. I gdy Hiskiasz w końcu tam wszedł, okazało się, że nie ma na nich złota. Były ogołoczone, zupełnie nagie, podziurawione i pokaleczone.

- Nie są złote! To tylko stare drewno!

Hiskiasz poczuł na swoim ramieniu dłoń Zachariasza.

- Przepraszam cię, dziecko. Nie miałem pojęcia. Widać Achaz zabrał i to złoto. Jahwe, przebacz mu.

Chłopiec poczuł się oszukany. Rozczarowanie odczuł jak cios pięścią w brzuch. Wrócił z Zachariaszem przez dziedziniec, weszli w labirynt świątynnych magazynów po północnej stronie wzgórza, ale jego entuzjazm już zgasł. Zachariasz próbował pokazywać mu po drodze różne rzeczy, ale dla Hiskiasza to wszystko było już szare i obskurne, wszędzie odpadał tynk i wisiały pajęczyny. Gdy doszli do dużego magazynu, Zachariasz był wstrząśnięty. Półki były prawie puste. Rozejrzał się jak we śnie, podniósł jakiś zbrukany, srebrny kielich i próbował wyczyścić go rękawem.

- To był skarbiec z naczyniami obrzędowymi używanymi podczas ofiar. Ta izba była pełna po brzegi, a teraz... Pewnie wszystko wysłali do Asyrii. - Patrzył obojętnie na opróżnione półki, jakby zapomniał o wnuku. Hiskiasz pociągnął dziadka za rękaw, by przywołać go do rzeczywistości.

- Dziadku, a tamten król co zrobi z tym wszystkim?

- Nie wiem. Ale przypuszczam, że wszystko stopi. Słyszałem też, że królowie pogańscy czasem używają świętych

naczyń takich jak te, by pić z nich wino podczas świąt ich fałszywych bogów. Boli mnie myśl, że paramenty ofiarowane Jahwe będą używane w taki sposób - westchnął zamykając drzwi do składu, po czym poprowadził wnuka dalej w głąb korytarza. - Moje ulubione miejsce. To biblioteka świątynna.

Weszli do wąskiej, długiej izby. Po jednej stronie, wysoko w ścianie, znajdował się rząd głębokich okien. Pod oknami i w przeciwnej, równie grubej, otynkowanej ścianie, wybito dziesiątki wnęk. Były one wypełnione setkami zwojów, których drewniane uchwyty wystawały w stronę wnętrza izby. Kolejne półki ustawiono w rzędy pośrodku izby, między nimi zaś stały ławy i stoły, przy których mogli pracować skrybowie i uczeni. Ale tylko jeden skryba siedział przy podeście pisarskim, przepisując stary zwój pokryty wyblakłymi, hebrajskimi literami. Inne składy cuchnęły wilgocią i stęchlizną, ale w tej izbie unosił się przyjemny zapach pergaminu i drewna.

- W tych zwojach spisano wszystkie prawa, jakie Jahwe dał naszemu narodowi - powiedział Zachariasz. - Opowiadają one ponadto dzieje naszych praojców od samego Adama i Ewy. Prawda Jahwe jest jedyną rzeczą, której twój ojciec nie jest w stanie zmienić, ani zniszczyć.

Hiskiasz nie mógł pojąć, dlaczego to pomieszczenie napawało dziadka taką dumą. Nie było tu nic cennego, ani srebra, ani złota. Tylko zakurzone, żółciejące zwoje.

- Jesteś rozczarowany Świątynią, tak?

Hiskiasz wzruszył ramionami i popatrzył na ubłocone stopy. Zachariasz położył dłoń na jego ramieniu.

- Bardzo przepraszam, że wprowadziłem cię w błąd co do piękna tej Świątyni. Do dziś byłem ślepy na skalę jej upadku. Pamiętałem, jaka była wspaniała za czasów króla Azariasza. Ale to było dawno temu. Przepraszam cię, Hi-

skiaszu. Dziś patrzę na nią twoimi oczyma. Na taką jaka jest, nie jaka była kiedyś.

- Dziadku, ja bym chciał, żeby dalej była piękna. Dlaczego ojciec musiał to wszystko zniszczyć?

- Chodź, usiądź tu. - Zachariasz poprowadził Hiskiasza do jednego z podestów. Chłopiec patrzył, jak dziadek przegląda stopy zwojów. Gdy znalazł ten, którego szukał, usiadł obok wnuka i ostrożnie rozwinął pergamin. - Widzisz, Jahwe nie jest zdziwiony tym, że wszyscy wrogowie twojego ojca napadli go jednocześnie. To właśnie Jahwe to spowodował. Ten zwój to część Tory, został spisany, zanim dzieci Izraela weszły do tej ziemi. Przeczytać ci kawałek?

Hiskiasz skinął głową, ale nie spojrzał na dziadka, tylko beczynnie kopnął sandałem stołową nogę.

- Gdy wydacie na świat synów i wnuków i dożyjecie starości w tym kraju - czytał Zachariasz - a sprzeniewierzycie się i uczynicie sobie posągi, podobiznę czegokolwiek, czyniąc to, co jest złe w oczach Jahwe, waszego Boga, prędko zostaniecie wytraceni z powierzchni ziemi, do której idziecie przez Jordan, aby ją osiąść¹⁵.

Hiskiasz nie rozumiał. Patrzył na Zachariasza, oczekując objaśnienia.

- Twój ojciec musiał ogołocić Świątynię, ponieważ wrogowie zaatakowali nas ze wszystkich stron. Zburzyli całe miasta, a tysiące ludzi uprowadzili jako jeńców. Stało się dokładnie tak, jak zapowiedział Jahwe, bo ludzie odwrócili się od Niego, by czcić bożki. Twój ojciec oddał złoto Jahwe królowi asyryjskiemu, by ten uratował nas od wrogów. Powinniśmy być sługami Jahwe, a zostaliśmy sługami Asyrii.

Hiskiasz poczuł dreszcz lęku.

- Czy Jahwe przestanie być naszym Bogiem? - zapytał.

¹⁵ Cytaty pochodzą z Księgi Powtórzonego Prawa, rozdział 4 [przyp. red.].

- Przeczytam ci resztę tego fragmentu, i może będziesz mógł sam sobie odpowiedzieć na to pytanie - odparł Zachariasz i zaczął czytać. - Wtedy będziecie szukali Pana, Boga waszego, i znajdziecie Go, jeżeli będziecie do Niego dążyli z całego serca i z całej duszy. W swym utrapieniu, gdy wszystko to was spotka, w ostatnich dniach nawrócicie się do Pana, Boga swego, i będziecie słuchać Jego głosu. Gdyż Bogiem miłosiernym jest Pan, Bóg wasz, nie opuści was, nie zgładzi - przerwał na chwilę, by zaraz dodać - przebacz nam, Hiskiaszu. Jahwe nas kocha i przebacz nam, jeśli tylko zwrócimy się ku Niemu.

Hiskiasz przestał kopać stołową nogę i przez chwilę siedzieli w ciszy.

- Dziadku - zapytał w końcu. - A czy Jahwe nie mógł zabić wszystkich naszych wrogów? Wtedy mój ojciec nie musiałby niszczyć Jego Świątyni. Czy Jahwe nie mógł tak zrobić?

- Oczywiście, że mógł. Czy pamiętasz to, co ci opowiadałem o Dawidzie i Goliacie?

Hiskiasz przytaknął skinieniem głowy.

- A pamiętasz o Jozuem pod Jerychem? Jak Jahwe wstrzymał słońce, by Jozue mógł pokonać pięciu królów Amorytów? Oczywiście, że Jahwe może pokonać wszystkich wrogów Judy.

- Dziadku, no to dlaczego nie pokonał?

- Bo nasz naród już w Niego nie wierzy... - odparł smutno Zachariasz.

- I nikomu nawet się nie chciało Go o to poprosić.

9.

Pustynny wiatr wirował nad drogą, unosząc obłok sadzy i kurzu. Król Achaz zamknął oczy, chcąc ochronić je przed pyłem i widokiem bezbrzeżnego spustoszenia przed nim. Eskorta asyryjskich żołnierzy zatrzymała orszak Achaza w niewielkiej odległości od Damaszku, każąc mu czekać w palącym żarze, gdy jedyną ochronę przed słońcem stanowił baldachim jego rydwanu. Achaz otarł piasek z powiek i otworzył oczy, ale ponury widok nie zniknął.

Wspaniały Damaszek leżał w ruinach. W grubych kamiennych murach, niegdyś zapewniających ukrywającym się za nimi ludziom ochronę, ziały teraz wielkie dziury. Achaz zobaczył, że po rumowiskach buszują szakale. Dokąd mógł sięgnąć wzrokiem, widział tylko czarne namioty Asyryjczyków rozciągające się niczym nisko zawieszona chmura nad spaloną równiną bez żadnego śladu bujnych winnic i gajów oliwnych, które niegdyś zdobiły tę żyzną dolinę. Tam, gdzie kiedyś rosły gęste lasy sykomor i szarańczyn, teraz pozostały jedynie szerniałe kikuty.

Asyryjscy żołnierze narzucili energiczne, męczące tempo marszu, a Achaz już był wyczerpany po długiej podróży. Każda kość i staw bolały go od ciągłego szarpania i kołysania. Rozpaczliwie pragnął wykąpać się i położyć w wyścielonym łożu. Ale gdy patrzył na spustoszone miasto, wiedział, że jego kwatera nie będzie mogła zapewnić luksusów. Jęknąwszy opadł na siedzenie rydwanu.

- To nie do zniesienia! - krzyknął na sługę. - Nie stój tak! Wachluj mnie!

Zamknął oczy. Wystraszony sługa machał palmowym liściem w dusznym powietrzu. Po kilku minutach odezwał się.

- Wasza Wysokość, ktoś nadchodzi.

Achaz wstał i zaniepokojony patrzył na zbliżające się trzy rydwany. Pojazdy zatrzymały się, wzbijając dławiący obłok pyłu. Wojownik, który wyszedł z pierwszego rydwanu, był Asyryjczykiem uzbrojonym w miecz, łuk i włócznię. Jego tunika była wyszywana złotymi nićmi, miał też przystrzyżone w królewskim stylu, czarne włosy i równo przyciętą brodę. Achaz zszedł z rydwanu i skłonił się przed nim, pewien, że to sam wielki monarcha, Tiglat-Pileser, który wita go jako przyjaciela i sprzymierzeńca.

- Jestem Achaz ben Jotam, król Judy i Jerozolimy - oświadczył. Asyryjczyk odpowiedział kilkoma tajemniczymi zdaniami, po czym gestem polecił człowiekowi z drugiego rydwanu wyjść przed siebie i przetłumaczyć.

- Nie musisz się kłaniać - wyjaśnił tłumacz. - To Rabszeka, przedstawiciel cesarza Asyryjczyków.

- A, rozumiem - odpowiedział zakłopotany Achaz, czując, że policzki mu czerwienieją.

- Rabszeka zawiezie dostarczoną przez ciebie daninę do składów cesarza. Przejmie również dowodzenie nad żołnierzami i bronią, które przekazujesz cesarzowi w darze.

- Chwileczkę - zaniepokoił się Achaz - to musi być jakaś pomyłka. Ci żołnierze to wszystko, co pozostało mi z mojego wojska. Możesz wytłumaczyć to Rabszece?

Tłumacz zaśmiał się.

- Nie sędzę, żebyś chciał, bym naprawdę to zrobił. Narodom oddającym hołd Asyrii nie wolno mieć wojska. Nie będzie wam potrzebne. Jesteście teraz pod asyryjską ochroną.

Powiedz, królu, swoim żołnierzom, by poszli z Rabszeką. Ty zaś musisz pójść za mną - dodał, uśmiechając się z wyższością. Achaz z trudem powstrzymał się przed spoliczkowaniem go.

Z bezsilną wściekłością przekazywał rozkazy dowódcy, potem w niemym odrętwieniu patrzył, jak jego wojsko odmaszerowuje pod asyryjską eskortą. Wyjeżdżał z Jerozolimy z wielkim orszakiem, teraz skompromituje się wracając tylko z własnym rydwanem i garstką służących oraz strażników. Nie wiadomo czy jego żołnierze będą mogli kiedykolwiek jeszcze wrócić do swoich domów i rodzin.

Gdy kurz znów opadł, tłumacz przerwał krępujące milczenie.

- Zaprowadzę cię do twojego namiotu.

- Namiotu? Mojego namiotu? - powtarzał, a jego upokorzenie przechodziło w oburzenie, że na kwaterę przyznano mu zaledwie namiot. Szybko jednak stłumił gniew, zdając sobie sprawę z tego, że bez wojska niezbyt może protestować. Jęknąwszy gniewnie wsiadł na rydwan, a tłumacz wgramolił się za nim i wskazał drogę woźnicy. Achaz posępnie patrzył na odległe ruiny Damaszku, a rydwan trząsał się na zakurzonej drodze.

- Jestem Jefia, syn Szemai, z pokolenia Neftalego - oświadczył tłumacz. - Twój namiot jest niedaleko.

- Neftalego? Jesteś Izraelitą?

- Oczywiście. Dlatego wybrano mnie, żebym był twoim tłumaczem.

- Jak trafiłeś do Damaszku?

- Jak trafiłem do Damaszku? - powtórzył Jefia z niedowierzaniem. - Rzeczywiście jeśli chodzi o Asyryjczyków, jesteś, królu Achazie ben Jotam, bardzo naiwny. Asyryjczycy uprowadzili mnie, gdy najechali Izrael. Jestem ich niewolnikiem. Ich własnością. Mogą wziąć mnie do Damaszku

i gdziekolwiek im się podoba. A spodobało im się uczynić mnie twoim tłumaczem.

- Widziałem efekty najazdu Asyryjczyków podczas podróży przez Izrael - mruknął Achaz, odwracając wzrok, by nie widzieć szyderczego grymasu na twarzy Jefii.

- Tak. Nasz król rozsądnie poddał się i zapłacił daninę, by oszczędzić Izraelowi całkowitego zniszczenia, jakie dotknęło Damaszek. Większość moich rodaków uniknie zesłania - przynajmniej na razie. Ale jesteśmy wasalem Asyrii, a to oznacza... - zaśmiał się pogardliwie - to oznacza, że wszyscy jesteśmy niewolnikami. Oto twój namiot, królu Achazie.

Rydwan podjechał do niewielkiego obozowiska na zewnątrz zniszczonych murów miejskich. Namiot Achaza miał cztery izby, był znacznie większy, niż król oczekiwał i dobrze zaopatrzony w jedzenie, wino, oraz, ku jego wielkiemu zdziwieniu, w przenośną wannę.

- Kiedy dostąpię zaszczytu audiencji u imperatora Asyrii? Zobaczył, że Jefia tłumy uśmiech i rozwścieczyło go to.

- Po to tu przyjechałem! - krzyknął. - Mamy podpisać traktat! Jesteśmy sprzymierzeńcami.

- Gdy przybędą wszyscy pozostali wasale, Tiglat-Pileser wezwie was wszystkich razem - odpowiedział spokojnie Jefia. - Do tego momentu musisz pozostać tu. Zostanę z tobą i będę zaspokajał twoje potrzeby - dodał, kłaniając się lekko.

Achaz był przyzwyczajony do tego, że służy kula się przed nim ze strachu i brak służalczości ze strony Jefii złościł go. Zachowanie tego człowieka pozornie było właściwe, ale za każdym razem, gdy wypowiadał słowo „wasal”, trudno było mu ukryć wzdgarę. Achaz nie chciał jego pomocy. Odwrócił się w drugą stronę i wezwał swojego sługę.

- Chciałbym się wykąpać i chwilę odpocząć - oświadczył. Uśmiechnął się z satysfakcją na widok służących, którzy rzu-

cili się do pracy, krzątając się wokół namiotu, by obsłużyć króla. - Jesteś wolny - powiedział do Jefii.

Minęło kilka nużących dni. Achaz odpoczął po podróży i szybko zaczął się nudzić. Miał mnóstwo jedzenia i wina, ale nic do roboty, poza coraz większym niecierpliwieniem się i denerwowaniem w oczekiwaniu na wezwanie asyryjskiego władcy. Mimo to zdecydowany był nie pytać Jefii o opóźnienie. Nie znosił drwiącego uśmiešku tłumacza i jego sposobu objaśniania wszystkiego tak, jakby miał do czynienia z dzieckiem.

Gdy wiadomość w końcu dotarła do namiotu Achaza, wezwał Jefię, by ten ją przetłumaczył. Niewolnik przeczytał ją w ciszy, jego brwi uniosły się w lekkim zdumieniu.

- Rabszeka przysłał po ciebie. Przybyli pozostali królowie--wasale. Mam oprowadzić cię po Damaszku, a potem spotkasz się ze swoim „sprzymierzeńcem”, Tiglat-Pileserem.

- Wreszcie - westchnął Achaz. - Potrzebuję nieco czasu, by się przygotować i...

- Nie - Jefia pokręcił przecząco głową. - Rabszeka cię wezwał. Musisz przybyć natychmiast. - Zdecydowanie ostrzegawczy ton tłumacza nie uszedł uwadze Achaza. Król przez chwilę patrzył na Jefię, po czym szybko wszedł do namiotu i najszybciej jak umiał, przebrał się.

Wyszedł po kilku minutach. Obaj wsiedli do rydwanu i ruszyli w milczeniu do zniszczonego miasta. Achaz starał się nie okazywać szoku i przerażenia na widok skutków asyryjskich zbrodni. Po obu stronach drogi wiodącej ku głównej bramie z rzędów wysokich pali zwisały trupy.

- Imperator chciałby przedstawić ci starszych Damaszku - wyjaśnił Jefia. - Wbito ich na pal żywem, by umierali patrząc, jak niszczone jest ich miasto.

Achaz patrzył na wprost zasłaniając usta lnianą chusteczką, by powstrzymać wymioty. Napis nad bramą głosił: „Oto los wrogów Asyrii”.

- Skrybowie spisują ludność - mówił, wskazując na przerażający stos - a żołnierze są dobrze opłacani.

- Mogli wybrać inną drogę dla gości. Nie powinniśmy tego oglądać.

- Czy jeszcze nie rozumiesz, królu Achazie ben Jotam? - Jefia z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Czego nie rozumiem?

- Jak myślisz, po co zostawiono tutaj te trupy? Dlaczego zaproszono cię najpierw do Damaszku?

- Imperator i ja jesteśmy sprzymierzeńcami i...

- Nie - przerwał zdecydowanie Jefia. - To nie będzie spotkanie „sprzymierzeńców”, jak naiwnie sądzisz. Te wezwania zostały celowo skierowane w ten sposób do wszystkich poddanych narodów takich, jak twój. Tiglat-Pileser wie, że gdy zobaczycie, co się stało z Damaszkiem, wyzbędziecie się marzeń o buncie. On nie chce twojej przyjaźni, królu Judy. On chce twojego strachu i poddania.

- Nie - Achaz kręcił głową, jakby chciał otrząsnąć się ze słów Jefii. - Nie wierzę.

- Chce twojej daniny, królu Achazie. Teraz i przez resztę twego życia. Wie, że niezależnie od tego ile zażąda, raczej biczami wyciśniesz to ze swojego ludu, niż będziesz chciał oglądać taki koniec Jerozolimy.

Achaz stał sparaliżowany. Chciał powiedzieć, że Jefia kłamie, ale stojąc tak przed bramą, widząc pozostałych poddanych władców, którzy nadjeżdżali ze wszech stron, zrozumiał, że to prawda. Czuł się jak głupiec, że nie zdał sobie z tego wcześniej sprawy. Wstrząśnięty i oszołomiony oparł się o bok rydwanu. I w tym momencie z przerażającą ostrością przypomniał sobie

pożegnalne słowa Izajasza „słyszałem bowiem rzecz postanowioną przez Pana, Boga Zastępów: zniszczenie całego kraju”.

- Zobaczyłem już dość - powiedział cicho. Ale Jefia pokręcił przecząco głową.

- Zobaczysz wszystko.

W posępnej ciszy jechali przez zawalone gruzami damasceńskie ulice. Achaz widział już przed sobą jedynie niewyraźną plamę. Ale Jefia kontynuował swą ponurą opowieść, przerywając w pewnym momencie, by wskazać grupę nagich kobiet i mężczyzn z ostrzyżonymi głowami, przeszukujących gruzowisko.

- Oni przeżyli podobną zagładę swojego miasta w odległej stąd części imperium. Zesłano ich tu, by odbudowywali Damazek, zaś ich rodzinny kraj odbudowują obcy. Tak się robi po asyryjsku.

- Po asyryjsku - powtórzył cicho Achaz. Zaczynał rozumieć w całej rozciągłości brutalność asyryjskiej władzy i jej siłę militarną. Jego państwo będzie marionetkowym królestwem rozległego asyryjskiego imperium, a on nie będzie mógł nic zrobić - tylko płacić daniny.

- Tam gdzie jest ten kopiec, tam kiedyś stała świątynia -mówił Jefia, pokazując sztuczne wzgórze stanowiące najwyższy punkt w mieście. - Odtąd musimy iść na piechotę. Ulice są pozasypywane jej gruzami.

Achaz wysiadł z rydwanu i poszedł za Jefią, omijając wielkie kamienie niegdyś tworzące mury aramejskiej świątyni. Był brudny od potu i pyłu. Gdy zatrzymał się, by złapać oddech i otrzeć twarz, zobaczył, że w ślad za nim na wzgórze wspinają się inni królowie.

- Czemu tu się zbieramy?

- Musicie złożyć hołd asyryjskim bogom, uznając ich zwierzchność nad bogami waszych narodów.

Achaz skinął głową, zbyt otępiały, by się sprzeciwić i ruszył za Jefią. Żaden kamień z murów dawnej świątyni nie pozostał na innym kamieniu, a utwardzony dziedziniec był zupełnie pusty, z wyjątkiem masywnego brązowego ołtarza stojącego pośrodku. Wizerunki asyryjskich bożków zdobiły wszystkie cztery jego boki, ale w środku każdego rzędu znajdowała się postać Aszura - wojownika zbrojnego w łuk i dosiadającego skrzydlatego słońca. Achaz i pozostali królowie zebrali się wokół ołtarza, a asyryjscy kapłani wprowadzali zwierzęta na ofiarę. Jefia tłumaczył mu zaklęcia kapłanów:

- Wszelka chwała Aszurowi, który poprowadził nas do zwycięstwa nad naszymi wrogami. Wszelka chwała Aszurowi, który dokonał sądu nad nimi. Wszelka chwała Aszurowi, który uczynił Asyrię najpotężniejszym ludem na całej ziemi. Wszelka chwała Aszurowi i jego posłańcowi wśród nas, Imperatorowi Tiglat-Pileserowi!

Gdy Achaz kłaniał się wraz z innymi królami, by złożyć pokłon i ogłosić zwierzchność Aszura nad swoim Bogiem, przypomniał sobie, jak Jahwe pokarał jego dziadka, Azaria-sza i myśl o rozgniewaniu Boga przeraziła króla. Ale tak samo przerażali go Asyryjczycy. Nie miał wyjścia, musiał uklęknąć w pyle obok innych i ogłosić:

- Jahwe, Bóg Judy, składa pokłon Aszurowi. Ceremonii towarzyszył oszałamiający kołowrót zaklęć

i rzezi, aż wreszcie żar bijący od słońca i od olbrzymiego ołtarza zemdleł Achaza. Pragnął on, by to się już skończyło. Pragnął położyć się sam w swoim namiocie i spróbować poskładać rozbite kawałki swojego życia. Gdy jednak obrzęd dobiegł końca, Jefia z drwiącym uśmiechem oświadczył:

- Teraz spotkasz wreszcie swojego „sprzymierzeńca”, Tiglat-Pilesera.

- W tym ubraniu?

Jefia uśmiechnął się tylko i przez gruzowisko poprowadził go do dawnego pałacu królewskiego, który jako jeden z niewielu budynków w mieście pozostał nienaruszony. Zadaszony tron imperatora stał na stopniach pałacu, a królom kazano ustawić się na ulicy poniżej. Władca ubrany był w długą, jedwabną, bogato wyszywaną szatę oraz wysokie, stożkowate nakrycie głowy, zdobione złotymi nićmi. Klejnoty na jego palcach i nadgarstkach połyskiwały w słońcu. Tuzin niewolników wachlował go liśćmi palmowymi.

Achaz pod tronem prawie mdlał od upału, marzył, by móc się gdzieś położyć z kielichem wina i zaspokoić pragnienie.

- Co teraz się odbędzie? - spytał Jefię.

- Najpierw pochód jeńców. Potem wszyscy królowie-wasale wezmą udział w ceremonii złożenia hołdu. - Jefia jak zwykle słowo „wasal” wypowiedział pogardliwie, ale dla Achaza nie miało to już znaczenia. Rozumiał, co ono oznacza i wiedział, że był głupcem, iż uznawał się za równego imperatorowi.

Pochód otwierały szwadrony asyryjskiego wojska. Achaz patrzył na maszerujące przed nim szeregi czarnobrodych wojowników z błyszczącą w słońcu bronią. Po nich nadszedła kawaleria wyposażona w większą liczbę koni, niż kiedykolwiek w życiu widział naraz. Kolejni wojownicy jechali rydwanami, następnie defilowały tarany i maszyny oblężnicze. Achaz przypomniał sobie wściekły ostrzał murów Jerozolimy podczas oblężenia, ale broń, którą stosowali Aramejczycy przeciw niemu w porównaniu do arsenału Asyryjczyków, przypominała dziecięce zabawki. Wiekowe mury Jerozolimy pod ich ostrzałem zawałyby się w kilka miesięcy.

Maszerujące oddziały były tak liczne, że Achazowi wydawało się, jakby przedefilowała przed nim cała ludność Judy. Po nich jechały zrabowane skarby Damaszku, załadowane

w złote stopy na setkach wozów. Achaz nigdy jeszcze nie widział tyle bogactwa, jego dar dla Asyryjskiego władcy wydawał się przy tym bezwartościowy. Za skarbami, które niegdyś do nich należały, słaniając się na nogach, szli aramejscy jeńcy wojenni. Na przodzie król, po nim arystokracja i książęta. Mieli na sobie jedynie łańcuchy, a zdobywcy prowadzili ich za uzdy, które przebijały ich nozdrza i wargi.

Gdy jeńcy dotarli do schodów pałacu, imperator wstał i wy dobył miecz, by rozpocząć długą kaźń pokonanego króla. Achaz z przerażeniem patrzył, jak Asyryjczycy przykuwają nadgarstki i kostki jeńców do ziemi po czym powoli katują ich na śmierć. Widać było, że są świetnie wykwalifikowani w przedłużaniu cierpienia ofiar. Wstrząsające, niekończące się, rozpaczliwe wrzaski napawały Achaza przemożnym lękiem. Gdy już nie mógł ich znieść ani chwili dłużej, rzucił się do tyłu, upadł na kolana i z wymiotował.

Jak nigdy pragnął znaleźć się z powrotem w swoim pałacu w Jerozolimie, jak najdalej od asyryjskiej rzeźni. Żałował, że kiedykolwiek zwrócił się o pomoc do tego złaknionego krwi władcy. Gdy ustąpiły nudności, przypomniał sobie ostrzeżenie Izajasza: „zawarłeś przymierze ze śmiercią”.

Otarłszy oczy i usta, zmusił się, by powstać, świadom, że musi wrócić i patrzeć do końca. Spojrzał w górę i zobaczył, że Jefia czeka na niego. Pierwszy raz dostrzegł w oczach tłumacza iskrę współczucia. Kaźń się wreszcie skończyła, ale echo krzyków konających ludzi słyszał w swojej głowie jeszcze długo.

- Teraz królowie-wasale wraz ze służącymi ustawią się, by złożyć hołd Tiglat-Pileserowi - oświadczył Jefia. - Według kolejności znaczenia i władzy.

Ku swemu upokorzeniu Achaz znalazł się między najmniej znaczącymi. Czekając w kolejce, trzęsąc się ze strachu, dziwił

się, że kiedykolwiek mógł wyobrazić sobie, jak zasiądzie z imperatorem Asyrii niczym równy z równym, będzie podpisywał traktaty i omawiał zagadnienia polityki światowej. Gdy wreszcie wystąpił, kolana się pod nim ugięły.

- Jestem Achaz ben Jotam, król Judy i Jerozolimy, pokorny sługa i wasal Waszej Wysokości.

Upadł przed władcą na kolana i przycisnął czoło do ziemi tak, jak czynili to jego poprzednicy. Damasceński pył wypełnił mu nos i krtań. Wstał, gdy poczuł dotknięcie królewskiego berła. Stłumił chęć otrzepania pyłu z czoła i szat. Zrozumiał, kim jest. Żalonym, marionetkowym królikiem, który został zaprzysiężonym w dozgonną służbę Asyryjczykom. Gdyby zaś się zbuntował lub nie przekazał daniny, poniósłby taką samą karę, jak zakatowany przed chwilą król.

- Czy to już koniec? - zapytał Jefię. - Mogę wrócić do namiotu?

- Król zaprosił cię na ucztę ku swojej czci. Nie wolno ci odrzucić tego zaszczytu.

Poszli za innymi do pałacu, do wielkiej sali bankietowej przystrojonej gobelinami przedstawiającymi liczne narody asyryjskiego imperium. Na podwyższeniu, w rytm muzyki granej przez orkiestrę, wirowali tancerze, za stołami stały setki niewolników mających obsługiwać królów. Achaza zaprowadzono do miejsca przy stole dla najmniej ważnych gości, zastawionym mięsami, chlebem, jarzynami i owocami wszelkich gatunków. Jedzenie odpychało go. Czuł jedynie nieugaszone pragnienie.

W pobliżu jego stołu niewolnicy napełnili winem sporą misę. Następnie utarli na drobny proszek mieszaninę różnych liści i nasion i zmieszali ją z winem. Gdy nalali je Achazowi, wypił natychmiast. Gdy tylko opróżnił kielich, niewolnicy ponownie go napełnili.

Uczta miała być świętem rozrzutności, ale Achaz nie był w stanie się nim cieszyć. Nie mógł zapomnieć potworności, których był świadkiem, ani paralizującego lęku, jaki czuł, gdy składał pokłon królowi Asyrii. Wypił jeszcze jeden kielich i patrzył na lniany obrus, nie zwracając uwagi na otaczający gwar i wesołość.

Stopniowo zaczynał odczuwać efekty działania wina. Sala zaczynała się kołysać w takt muzyki. Na początku podobało mu się to, ale gdy spojrzął na któryś z kobierców na ścianie, ku jego zdumieniu przedstawione na nim postaci zostały jakby ożywione i zaczęły tańczyć na jego oczach. Zamknął je, by wymazać z pamięci dziwny widok, ale w ciemności także widział wirujące światła i barwy. Czuł, jakby głowa miała mu się rozpaść na tysiące kawałków.

Szybko otworzył oczy, ale miał problem z wyostrzeniem wzroku. Gdy spróbował sięgnąć po puchar, wydawało mu się, że dłoń oderwała się od nadgarstka i poszybowała w powietrzu. Złapał naczynie i wypił jego zawartość, starając się opanować rozsypujący się umysł. Gdy próbował odstawić pusty kielich, ten wyslizgnął mu się i roztrzaskał o podłogę.

- Co się ze mną dzieje!? - krzyknął, ściskając głowę.

- To wino - usłyszał głos Jefii dochodzący jakby z drugiego końca Sali. - Asyryjczycy dosypują do wina silne narkotyki, by bogowie zabierali ich w podróż do świata duchów. To element ich kultu.

Achaz jęknął. Nie chciał podróżować do świata duchów. Jeśli miał dokądś jechać, to tylko do domu. Ukrył twarz w dłoniach i usiłował wyobrazić sobie znajome widoki Jerozolimy: jego pałac, Świątynię Jahwe, tarasowe wzgórza wokół miasta. Ale zamiast tego przed oczyma jego duszy pojawił się Izajasz, mówiąc: „miecz cię pochłonie”.

Odsłonił oczy, a prorok znikł. Sięgnął po kolejny puchar, który słudzy już przynieśli i wypił kolejne wino.

- Tracę zmysły - powiedział do Jefii.

- Stawianie oporu sile narkotyku nie ma sensu, królu. Pozwól duchom, by cię poniosły.

Achaz wiedział, że Jefia ma rację. Zbyt źle się czuł, był zbyt wycieńczony, żeby walczyć, pozwolił więc narkotyzowanemu winu, przejąć kontrolę nad sobą. Wówczas jego umysł nagle stał się jasny, wydawało mu się, że może myśleć wręcz jaśniej, niż kiedy indziej. W oślepiającym błysku objawienia zrozumiał rzeczywiste znaczenie słów Izajasza: wysiłki Achaza, by wypełnić żądania Asyrii co do daniny, pochłoną bogactwa Judy. A ta danina sfinansuje asyryjski miecz.

Gdy zamknął oczy, w wirze błysków i świateł przypomniały mu się słowa proroka: „Błady strach na wieść o niej padnie” - ostrzegał Izajasz. „Bo za krótkie będzie łóżko, aby się wyciągnąć, i zbyt wąskie przykrycie, by się nim owinąć”. Achaz wiedział już, co będzie oznaczało i to proroctwo. Dziś stanął twarzą w twarz z prawdą o sobie i nie mógł już jej ukrywać pod kłamstwami. Otworzył oczy, szukając ucieczki przed słowami proroka w jedyny możliwy sposób. Wypił resztę zawartości kielicha.

Przez kilka minut - a może godzin - gdy silna mikstura działała, sala wirowała wokół Achaza. Wreszcie zaczęła stopniowo zwalniać, a straszliwe wydarzenia kończącego się dnia zaczęły się zacierać, ponieważ coraz słabiej je pamiętał. Lęk zmniejszył się, a później zupełnie ustąpił, ogarnęło go cudowne uczucie euforii. Pragnął, by nigdy się nie skończyło. Chciał więcej wina.

Gdy słudzy napelniali raz po raz jego kielich, jedyną jego obawą było to, że go zabraknie.

10.

Szarpanie za rękę wyrwało Zachariasza z głębokiego snu.

- Dziadku, dziadku! - Hiskiasz stał nad nim. To on go obudził.

- Co takiego, chłopcze? - Lewita mrugając oczami, próbował odzyskać ostrość wzroku.

- Co to za hałas? Posłuchaj... - przez okno sypialni słychać było dźwięk uderzeń młotami o kamień.

- Jakby coś budowali. I to niedaleko. - Zachariasz ziewnął, wciąż jeszcze zaspany i zsunął nogi na podłogę. Zauważył, że Hiskiasz przyglądał się jego ruchom z młodzieńczą niecierpliwością. - Dziecko, nie musisz na mnie czekać. Idź, otwórz okno i zobacz. Powiedz, co widzisz.

Hiskiasz ruszył pędem do okna i mocował się z ciężkimi zasłonami, aż je odsłonił. Stał na palcach i wyjrzał na dziedziniec.

- Masz rację, dziadku. Coś tam budują. Chodź, zobacz. - Zachariasz powłócząc nogami, podszedł do okna i podsadził Hiskiasza. - Co oni robią, dziadku?

- Nie mam pojęcia.

Patrzyli, jak robotnicy usuwają kamienną posadzkę na środku pałacowego dziedzińca. Inni, liczniejsi, z mozołem ciągnęli w to miejsce wielkie bloki wapienne. Powierzchnia oczyszczonego terenu była niewielka, ale sądząc po liczbie kamieni, budowla po zakończeniu miała być wysoka. Jakaś

wieża? Czy Achaz oprócz kultu wszystkich bóstw, które już czcił, chciał wprowadzić kult ciał niebieskich?

Nagle Zachariasz zorientował się, że w izbie jest bardzo jasno.

- Ojej! Zobacz, jak słońce już wysoko - powiedział, pokazując w stronę Góry Oliwnej. - Musimy się pośpieszyć, bo spóźnimy się na poranną ofiarę.

Założył szatę, wygładził włosy i brodę, pomógł też się ubrać Hiskiaszowi.

- A czy możemy najpierw zobaczyć, co budują na dziedzińcu?

- Nie ma czasu. Już jesteśmy spóźnieni.

- Nie zapomnij o tym - powiedział Hiskiasz, podając Zachariaszowi szal modlitewny. Starzec uśmiechnął się.

- Uczysz się, chłopcze, co? Kiedyś będziesz wspaniałym Bożym mężem, zupełnie jak król Dawid. - Zachariasz ułożył sobie szal na ramionach i udali się pospiesznie przez pałacowe korytarze na zewnątrz.

Dźwięk młotów powinien był cichnąć w oddali, ale gdy wchodzili na wzgórze, ku zaskoczeniu Zachariasza uderzenia młotów było słychać również z dziedzińca Świątyni. Z całą pewnością nie było to zwyczajne. Przyspieszył kroku, czując ukłucie strachu, jakby strużka potu spłynęła mu po plecach. Gdy tylko przeszedł przez wrota Świątyni, poczuł się tak, jakby ziemia usuwała mu się spod nóg.

- Co oni robią, dziadku?

Zachariasz był zbyt wstrząśnięty, by odpowiedzieć. Przez noc za pomocą rolek, płóz i zaprzęgów wołów, ołtarz Jahwe odsunięto z jego miejsca na środku dziedzińca. Budowano tu teraz nowy ołtarz, olbrzymi.

Zachariasz miał nadzieję, że to tylko sen. Ale zbliżając się, ku swemu przerażeniu zauważył, że zmiany były o wiele gor-

sze, niż to sobie wyobrażał. Mosiężne boczne plansze nowego ołtarza miały wyryte wizerunki.

- Nie - szepnął. - To niemożliwe! Nie w Świątyni Jahwe!

A jednak. W środku każdej planszy znajdował się wizerunek asyryjskiego bożka Aszura, który stał okrakiem na skrzydlatym słońcu. Zachariasz patrzył na to z przerażeniem i niedowierzaniem.

Z bocznych drzwi Świątyni bezładną gromadą wyszli Lewici i kapłani, którzy mieli przewodniczyć ofierze. Wystraszeni, jakby bali się gniewu Boga. Zebrali się wokół ołtarza Jahwe, który teraz stał w północnej części dziedzińca. Zachariasz poczuł, że Hiskiasz ciągnie go za rękaw.

- Dziadku, po co tak pozmieniali?

- Nie wiem, ale postaram się dowiedzieć. Poczekaj tu. Zostawił Hiskiasza w wejściu na wewnętrzny dziedziniec, podszedł do kapłana, który przygotowywał się do odprawienia ofiary porannej.

- Co ta ohyda robi w Świątyni Jahwe? - zapytał Zachariasz, wskazując nowo budowany ołtarz. - To bałwochwalstwo! Co to ma znaczyć? Kto tak zarządził?

Kapłan, zanim odpowiedział stłumionym szeptem, rozejrzał się dookoła.

- Zarządził tak król Achaz. Przesłał z Damaszku plany i powiedział Uriaszowi, że ma być gotowe, zanim wróci.

- A Uriasz się zgodził? - zdumiał się Zachariasz.

- A co mógł zrobić? - kapłan rozłożył ręce. - Polecenie króla. Gdy nowy ołtarz będzie gotowy, tylko na nim mamy składać wszystkie ofiary. Ołtarz Jahwe będzie wykorzystywany tylko do uzyskiwania wskazówek.

- Tak nie można! - Zachariasz krzyknął, aż garstka zebranych na modlitwę odwróciła się w jego stronę. - Gdzie jest Uriasz?

- Zapewne wciąż w pałacu. Nie przychodzi tu codziennie... Zachariasz przeszedł przez dziedziniec i zszedł ze wzgórza do pałacu. Z każdym krokiem jego zdumienie coraz bardziej przemieniało się w gniew. Podbiegającego za nim Hiskiasza ledwo zauważał.

- Dziadku, dziadku! Poczekaj! A co z ofiarą?

- Nie teraz, synku. Wracaj do siebie.

Szybkim krokiem przemierzał pałacowe korytarze, by dotrzeć do komnat Uriasza, jego gniew wzbierał z minuty na minutę. Ale gdy zatrzymał się, by złapać oddech, zobaczył, że Hiskiasz patrzy się na niego.

- Idź na górę i czekaj na mnie - powtórzył, pukając do drzwi Uriasza. Te uchyliły się lekko i ukazał się w nich sługa. Zachariasz wepchnął się do środka i zakrzyknął. - Gdzie Uriasz? Muszę z nim pomówić. Gdzie jest? - pytał, drżąc ze złości.

Uriasz wyszedł z drugiej, wewnętrznej komnaty, w towarzystwie innego sługi.

- Co tu robisz, Rabbi? - zapytał.

- Nie możesz na to Achazowi pozwolić! - krzyknął w odpowiedzi Zachariasz. - Musisz to powstrzymać!

Uriasz przyjrzał się Lewicie.

- Chyba pijany - mruknął do sług. - Odprowadźcie go do Świątyni.

Obydwaj słudzy podeszli do Zachariasza.

- Nie jestem pijany, Uriasz. Każ im przestać. - Zachariasz próbował się uwolnić z ich chwytu.

Arcykapłan popatrzył z powagą na Zachariasza.

- Dobrze. Puśćcie go. I zostawcie nas na chwilę samych. Zachariasz poczekał, aż słudzy wyszli. Cały czas śmiało patrzył Uriaszowi w oczy.

- Nie masz prawa tak robić! - krzyknął wówczas. - Ani ty, ani król! Powstrzymaj to!

- Uspokój się, Rabbi. I powiedz, o co chodzi. - Uriasz odpowiedział tak, jakby rozmawiał z dzieckiem. Zachariasz z trudem powściągnął gniew.

- Chodzi o tę... tę... ohydę, którą budujesz!

- Ta, jak mówisz, ohyda, jest tak naprawdę całkiem zmyślna - odparł Uriasz, wskazując na budowę na dziedzińcu pałacowym, tuż pod oknem. - Babilończycy wymyślili to w celu mierzenia czasu. Wieża będzie miała z boku spiralne schody i będzie rzucała na nie cień zależnie od wysokości słońca na niebie. Każdy stopień oznacza jednostkę czasu...

- Nie obchodzi mnie to! Mówię o pogańskim ołtarzu, który budujesz w Świątyni Jahwe!

- Nie muszę ci się tłumaczyć z moich decyzji - odparł chłodno Uriasz.

- Owszem, musisz! Jestem Lewitą, Uriasz. I obchodzi mnie to, co robisz w Świątyni Jahwe - oświadczył, patrząc w oczy wyższego od siebie kapłana. Wyraz twarzy Uriasza zmienił się, teraz widać było szacunek wobec Lewity.

- Posłuchaj - westchnął. - Staram się skoncentrować naszą religię narodową wokół Świątyni. Ołtarze króla są w całym mieście, to ludzi dezorientuje. Ten nowy ołtarz przyciągnie wszystkich z powrotem do Świątyni...

- Przyciągnie z powrotem? Chcesz, żeby ludzie przychodzili do Świątyni Jahwe, by czcić bożki? To szaleństwo! Tym razem posunąłeś się za daleko. Wprowadzasz bałwochwalstwo wprost do samego domu Bożego!

- Nie, słuchaj, to tylko na razie. - Uriasz rozłożył swe olbrzymie dłonie tak, jakby starał się przekonać Zachariasza. - Wiesz tak samo dobrze, jak ja, że już prawie nikt nie przychodzi do Świątyni. Zarówno na ofiarach porannych, jak i wieczornych jest bardzo mało wiernych. Ale jeśli uda nam się przyciągnąć ludzi z powrotem, w końcu zobaczą,

że Jahwe jest większy, niż wszystkie ich bożki. Robię to dla dobra Świątyni.

- Może uda ci się przekonać wszystkich innych, by uwierzyli ci, Uriasz, ale nie mnie. - Zachariasz wolno pokręcił głową. - Nie, Uriasz. Okłamujesz siebie i ich.

Patrzył na kapłana tak długo, aż ten odwrócił wzrok.

- Nie mogę mówić królowi, co ma robić - powiedział cicho. - Rozkazał mi zbudować ołtarz, a ja robię, co każe.

- Myślałem, że właśnie po to przyjąłeś nominację? Żeby uczyć go praw Jahwe?

- Próbuję. Ale potrzebuję więcej czasu.

- Nigdy nie zmienisz Achaza, pracując DLA niego. Musisz walczyć PRZECIW niemu. Zajmij stanowisko, Uriasz. Pokaż mu, że się myli. Musisz zrezygnować z godności zarządcy pałacu.

- Zrezygnować? - Uriasz zaczął chodzić po komnacie. - Zrezygnować i co dalej? Odbierze mi też godność arcykapłana. Mam żyć z roli? Czy też zostać kapłanem w jakiejś zagubionej wiosce gdzieś na pustyni? Nie, nie zamierzam rezygnować. Nie teraz...

- ...kiedy posmakowałeś władzy i luksusów - dokończył za niego Zachariasz. Uriasz zatrzymał się i spojrzał na Lewitę.

- Jedno z drugim nie ma nic wspólnego.

- Doprawdy? Mnie nie okłamiesz, Uriasz. Znam pokusy, na jakie jesteś tu narażony, lepiej od innych. Też tu mieszkałem, pamiętasz?

- Tak, pamiętam. - Uriasz odwrócił wzrok.

- I, zobacz, jesteśmy bardzo do siebie podobni. Taka sama chęć odniesienia sukcesu, rozbudzona ambicja. Tak, rozumiem cię bardzo dobrze. Długo i ciężko pracowałeś na swoją obecną pozycję a teraz, kiedy już jesteś na szczycie, musisz czasem iść na ustępstwa w kwestiach wiary. Uwierz mi - ro-

zumiem to. Ale nie możesz się wycofać. Do poziomu, z którego zaczęłeś się wspinać, długo byś spadał, prawda? Długo! I boisz się, że gdy uderzysz o dno, rozsypiesz się na tysiące kawałków, jak ja. Wolisz więc poczynić drobne ustępstwa w kwestii wiary, niż upaść. Nieco ustąpisz tu, nieco ustąpisz tam, a za każdym razem, gdy ustępujesz, umiera jakiś drobny kawałek twojego ducha.

- Nonsens. - Uriasz splótł ramiona na swoim szerokim torsie, ale nie śmiał spojrzeć Zachariaszowi w oczy.

- Naprawdę? Możesz uczciwie stanąć i powiedzieć mi, że nic w tobie nie umierało, gdy widziałeś, jak dzieci płoną żywcem? Bo jeśli możesz, to już za późno. To już umarłeś.

Uriasz odwrócił się do okna i patrzył przez nie.

- Wyjdź i zostaw mnie - powiedział tak cicho, że ledwo go było słychać.

- Uriaszu, wycofaj się! - Błagał Zachariasz. - Teraz, zanim będzie za późno. Powstrzymaj budowę tego ołtarza. Pomóż mi sprzeciwić się bałwochwalstwu Achaza. Bo to jest to, co mam szczerzy zamiar czynić od teraz.

- Zapominasz, że Achaz jest królem? Jeśli mu się sprzeciwisz, zostaniesz stracony.

- Gdy król Azariasz zgrzeszył, Jahwe zadziałał wobec niego. I zajmie się Achazem. Ale jeśli ty podejmiesz się kolaboracji z nim, sąd Jahwe czeka również ciebie. A wierz mi, że wiem, o czym mówię.

Patrząc na zafrasowaną twarz Uriasza, Zachariasz dostrzegł, że w jego sercu szaleje walka. Ale na jego oczach twarz kapłana ponownie przybrała nieprzejednany wyraz. Zaciśnięta szczęka i wysunięty podbródek znieruchomiały, niczym wyryte w kamieniu.

- Nie zamierzam popaść w fanatyzm religijny, nawet dla ciebie, Zachariaszu. Dużo lepiej będę mógł służyć Jahwe, po-

zostając tutaj, zachowując swoją pozycję. Wiem, jak postępować z Achazem. To właśnie w tym miejscu popełniłeś błąd. Nie umiałeś kontrolować Azariasza.

- Jeśli tak skutecznie kontrolujesz Achaza, to powstrzymaj budowę tego ołtarza.

- Już ci to tłumaczyłem - odparł chłodno Uriasz. - Ołtarz przyciągnie ludzi z powrotem do Świątyni, do Jahwe. Nie postrzegam tego w kategoriach zagrożenia. Dlaczego tak mocno opierasz się zmianom?

Zachariasz miał wrażenie, że sumienie arcykapłana również skamieniało.

- Myślałem, że będę umiał przemówić ci do rozumu, pokazać ci prawdę. Ale już chyba za późno. To wszystko - pokazał bogatą komnatę - zaślepiło cię. Władza uzależnia, prawda? Sam nie jestem pewien, czy wybrałbym prawdę.

Patrzyli na siebie wzajemnie przez kilka chwil. Zachariasz zrozumiał, że Uriasz nie ustąpi nigdy w życiu. Obrócił się, by wyjść i zobaczył, że w otwartych drzwiach stoi Hiskiasz, który słucha ich rozmowy - i gniew na Uriasza powrócił. Jeśli i on i Achaz dalej będą się buntować wobec Boga swoich ojców, przed Hiskiaszem nie będzie żadnej przyszłości, nie będzie miał nad kim panować. Zachariasz wiedział, że to on musi powstrzymać Achaza - dla dobra wnuka. Podał chłopcu rękę.

- Służysz niewłaściwemu królowi, Uriaszu - oświadczył, kierując w stronę arcykapłana oskarżycielski palec.

Przez tydzień po konfrontacji z Uriaszem, Zachariasz zmagał się sam ze sobą. Jak powstrzymać heretyckie nowości w Świątyni Jahwe? Gdy dowiedział się, że Achaz wrócił

i że ma przewodniczyć uroczystości poświęcenia nowego ołtarza, zrozumiał, że przyszedł czas działania. Musiał czynić wolę Bożą niezależnie od konsekwencji, jakie za to poniesie.

W wieczór poprzedzający uroczystość poszedł do swojego poprzedniego mieszkania na Wzgórzu Świątynnym po szaty. Zanim nazajutrz zabrzmiał szofar wzywający na poranną ofiarę, założył je - po raz pierwszy od miesiący.

- Dziadku, dlaczego to zakładasz? - zapytał Hiskiasz.

- Będę dziś asystował kapłanowi w Świątyni

- Powiedziałeś przecież, że nie będziemy chodzić do Świątyni, dopóki nie usuną nowego ołtarza.

- Wiem, że tak mówiłem. Podejź do mnie, Hiskiaszu. Musimy porozmawiać. - Zachariasz ukucnął obok Hiskiasza i objął go ramieniem. - Ci, którzy ustawili ten ołtarz w Świątyni Jahwe, postąpili bardzo źle. A ja obiecałem Jahwe, że sprzeciwię się temu złu. Pouczanie ludzi o Bożym Prawie jest moim zadaniem i dlatego muszę tak postąpić. Rozumiesz?

- Chyba tak.

- Twój ojciec wrócił już z Damaszku i dziś rano chce odprawić specjalną ofiarę. To jest złe. Muszę więc dotrzymać obietnicy złożonej Jahwe i powiedzieć królowi, oraz innym Judejczykom, że to jest złe.

- Mogę iść z tobą, dziadku?

- Nie, dziecko. Nie tym razem.

- Proszę! Będę bardzo grzeczny! Nikt mnie nawet nie zauważy.

- Nie. I musisz mi obiecać, że tu zostaniesz. Obiecujesz?

- No dobrze. - Chłopiec nieco ociągał się z odpowiedzią. - Obiecuję.

- Grzeczny malec.

- Ale dziadku. Jak już im to powiesz, to przyjdiesz pomóc mi w nauce?

- Cóż - zawahał się Zachariasz. - Twój ojciec jest nieprzewidywalny. Nie jestem pewien, jak na to zareaguje.

- Dziadku, proszę.

- Tak, wrócę na pewno - Zachariasz mocno przytulił chłopca. - Mogę się trochę spóźnić, ale na pewno będę.

- Kocham cię, dziadku.

Zachariasz trzymał go jeszcze chwilę w ramionach.

- Ja ciebie też kocham. No, muszę już iść, bo się spóźnię - wstając, pogłaskał włosy wnuka.

Szybkim krokiem wszedł na świątynne wzgórze. Rosa, którą pokryty był bruk, zwilżyła skraj jego szaty. Lewici i kapłani krzatali się wokół, upewniając się, że wszystko jest przygotowane jak należy. Kierował nimi Uriasz, ubrany w efod i tiarę. Unikając go starannie, Zachariasz okrążył dziedziniec i dołączył do chóru Lewitów, który zbierał się na dziedzińcu.

- Zachariasz? - zdziwili się, gdy zbliżył się do nich w stroju ceremonialnym. - A ty co tu robisz?

- Biorę udział w dzisiejszej ofierze.

- Czy nie jesteś już w stanie spoczynku? - zapytał go jego przyjaciel, Szimei.

- Tak. Ale będę śpiewał. - Nie tłumaczył się więcej i nikt też go już nie wypytywał.

Dźwięk trąb zaanonsował nadejście króla Achaza. Przybył główną bramą, drogą wyznaczoną dla uroczystych orszaków. Za nim tłoczyła się wielka ciżba ludzka, która wypełniła dziedzińce. Gdy tłum zobaczył piękny nowy ołtarz, niczym pożar trawy rozszedł się tłumiony szept zachwytu. Ucichł on, gdy Lewici zaczęli śpiewać.

Achaz podszedł do „morza”. Zachariasz uważnie śledził obrzęd, czekając na stosowną chwilę. Gdy kapłani zabijali zwierzęta na ofiarę, a ludzie gromadzili się wokół nowego ołtarza, pogańskiego, nadal śpiewał. Z początku nie dostrzegał

większych zmian poza tym, że był to ołtarz pogański. Uriasz odprawiał ofiarę tak samo, jak na ołtarzu Jahwe.

Ale gdy przyszedł moment, w którym arcykapłan powinien wejść z ofiarą po stopniach ołtarza, naprzód wystąpił Achaz, który pierwszy wszedł na szczyt ołtarza, za nim dopiero Uriasz i pozostali kapłani.

- Jahwe, pomóż nam - westchnął ktoś za plecami Zachariasza. - Czy król sam złoży ofiarę?

Zachariasz przerwał śpiew.

- Nie złoży - odparł spokojnie - bo mu nie pozwolę.

- Rozum straciłeś? - Szimei złapał go za ramię.

- Nie. Złożyłem obietnicę Jahwe.

Wyrwał się z ramion Szimeia i wyszedł spod portyku. Miał świadomość tego, że już przed laty należało głośno powiedzieć „nie”. Nie powinien był pozwalać, wchodzić Azariaszowi do Przenajświętszego. Nie powinien był pozwalać Achazowi, składać synów w ofierze Molochowi. Świadomość, że Bóg mu przebaczył i dał drugą szansę, dodawała mu odwagi.

- Zatrzymaj się, królu - gdy na dziedzińcu zabrzmiał autorytatywny głos Zachariasza, śpiewy ustały. - To, co zamierzasz uczynić, to ciężki grzech. Tylko namaszczeni kapłani Jahwe mogą przychodzić przed Niego, by składać mu ofiary. To oni są pośrednikami między Bogiem a człowiekiem. To dlatego Jahwe wydał wyrok na twojego dziadka, króla Azariasza. I jeśli ty popełnisz ten czyn, wyda wyrok na ciebie.

Twarz Achaza szcerwieniła ze złości

- Pozbądź się go stąd - polecił Uriaszowi. Arcykapłan szybko zszedł z ołtarza, wydając gestem polecenie straży świątynnej, ale Zachariasz krzyczał dalej.

- Jahwe nie będzie tolerował tego bluźnierczego ołtarza w swojej Świątyni. Jego przykazanie głosi: „Nie będziesz czynił żadnej rzeźby ani żadnego obrazu tego, co jest na niebie

wysoko, ani tego, co jest na ziemi nisko, ani tego, co jest w wodach pod ziemią! Nie będziesz oddawał im pokłonu i nie będziesz im służył...".

Strażnicy złapali Zachariasza za ramiona, by zmusić go do zejścia.

- Co wy robicie? Powinniście mi pomagać! - protestował starzec, próbując im się wyrwać.

Ale zanim zdążyli wyprowadzić go poza dziedziniec, przez tłum nagle przepchnął się Izajasz. Prorok stanął u podstawy ołtarza.

- Wzywam na świadków Uriasza, kapłana i Zachariasza, Lewitę - krzyknął, rozwijając duży zwój i unosząc go wysoko. Był on opisany słowami: „Rychły Łup, Szybka Zdobycz” - Gdy małżonka moja poczęła i porodziła syna - mówił dalej Izajasz - rzekł mi Pan: „Nazwij go imieniem Rychły Łup, Szybka Zdobycz, bo zanim nauczy się wymawiać »tata« i »mama«, zaniosą bogactwa Damaszku i łupy z Samarii przed króla asyryjskiego”¹⁶. Ci dwaj świadkowie - Uriasz i Zachariasz - mogą potwierdzić, że słyszeli z ust moich to proroctwo w dniu, w którym przyniosłem syna tu do Świątyni, by go obrzezać. Mój syn jest jeszcze maleńki, a ty, królu, już ujrzałeś na własne oczy spełnienie tego proroctwa.

Achaz milczał i stał nieruchomo. Zachariasz widział, że król dosłownie topi się ze strachu jak tłuszcz w ogniu.

- Teraz Jahwe ogłasza swojemu ludowi następne proroctwo: „Ponieważ lud ten wzgardził Jego słowami dlatego Pan sprawia, że wzbierają przeciw niemu wody Rzeki gwałtowne i obfite (król asyryjski i cała jego chwała) i wtargną do wszystkich jej łożysk, i przekroczą wszystkie jej strome brzegi; i wedrą się do Judy, zatopią i przeleją się, aż sięgną po szyję. Jej

¹⁶ Sparafrazowane cytaty (ten i kolejne) pochodzą z Księgi Izajasza, rozdział 8 [przyp. red.].

skrzydła - wskazał zwojem wizerunek na nowym ołtarzu -będą rozpostarte na całą szerokość twojej ziemi!"

Na dziedzińcu zapadła cisza, słycać było tylko trzaskanie ognia na ołtarzu. Izajasz zwinął zwój i odszedł. Achaz, dotąd oszołomiony, wzdrygnął się nagle, jakby dochodził do siebie.

- Zatrzymajcie go! Niech ktoś go zatrzyma! - krzyczał, schodząc spiesznie ze szczytu ołtarza. Ale Izajasz zniknął w tłumie, zanim którykolwiek ze strażników zdołał się poruszyć.

Zachariasz z ulgą stwierdził, że zakłócenie królewskiej uroczystości było już faktem nieodwracalnym. Kłębiący się tłum, wstrząśnięty i zdezorientowany zaczął się powoli rozchodzić, jakby przeląkł się słów Izajasza. Achaz owinał szaty wokół siebie niczym tarczę i wybiegł przez dziedziniec, poza bramy Świątyni.

- Niech Wasza Wysokość zaczeka! - zawołał Uriasz. - Nie skończyliśmy odprawiać ofiary!

Rozpychając ludzi, pobiegł za królem.

- Już po wszystkim, puście mnie - powiedział Zachariasz do strażników, którzy wciąż go trzymali. Gdy puścili jego ramiona, na widok wychodzących ludzi poczuł satysfakcję ze zwycięstwa. Tym razem postąpił słusznie. Tak. Jahwe zwyciężył.

Schodząc chodnikiem królewskim do pałacu, Achaz słyszał, że Uriasz za nim woła, ale nie zatrzymał się. Nie chciał, by ktokolwiek widział, że nie umie opanować drżenia. Ale gdy Uriasz go wreszcie dogonił w pobliżu jego komnat, król okazał wściekłość.

- Jeśli jeszcze raz ktoś przeszkodzi mi w ofierze, ty będziesz za to odpowiedzialny. Nie chcę już nigdy oglądać Izajasza, ani słyszeć jego słów. Rozumiesz? Nigdy!

- Przepraszam...

- I lepiej pilnuj swoich Lewitów, albo będę musiał poszukać innego arcykapłana!

- Przepraszam, Wasza Wysokość. Nie wiem dlaczego Zachariasz...

- Pozbądź się go!

Wspomnienie ostrzeżenia Zachariasza wywołało dreszcz u Achaza. Był małym chłopcem, gdy jego dziadek, Azariasz, zapadł na trąd, ale świetnie pamiętał ten dzień i smutek oraz złość przodka. Od tej pory bardzo bał się mocy Jahwe - i ludzi, którzy twierdzili, że przemawiają w Jego imieniu, jak Zachariasz czy Izajasz. Między innymi z tego powodu chciał mieć po swojej stronie kapłana Jahwe.

- Zachariasz to niebezpieczny głupiec - powiedział. - Nie chcę go więcej widzieć.

- Ale to twój teść...

- Wiem, kim jest i wiem, do czego dąży! Stara się odzyskać wpływy, jakie miał za czasów mojego dziadka! O to mu chodzi! Zabij go!

- Tak, Wasza Wysokość. Przykro mi z powodu tego, co się dzisiaj stało. Zajmę się wszystkim i jutro odprawimy ofiarę jeszcze raz. Zapewniam, że nikt już w niej nie przeszkodzi.

Ale Achaz prawie nie słuchał. Zaprzątał go jedynie wyrazisty opis potopu asyryjskich żołnierzy dokonany przez Izajasza. Miał wrażenie, jakby już tonął. Odrzucił przestrożę ogłoszoną przez Izajasza u źródła Gichona i zlekceważył jego ostrzeżenia przed wyruszeniem do Damaszku. W obu przypadkach proroctwa spełniły się. Czy tym razem też ma rację?

Achaz był sparaliżowany strachem. Jak w koszmarnym śnie widział już tysiące asyryjskich wojowników oblegających Jerozolimę, tarany bijące w mury miasta, elitę miasta i doradców królewskich powbijanych na pale w Dolinie Gichon.

I siebie samego powoli torturowanego do śmierci przez imperatora. Znał tylko jeden sposób ucieczki od tej wizji. Pobiegł do komnat i zażądał wina z mieszanką asyryjską... żeby zapomnieć.

Abbiję obudziły skurcze. Zastanawiała się, czy dziś urodzi. Poród Eliaba trwał cały dzień, Hiskiasza - połowę. Akuszerka przekonywała ją, że każdy kolejny poród będzie szybszy, a Abbija bardzo chciała mieć to już za sobą.

- Może gdy nadejdzie noc, będę już tuliła dziecko w ramionach? - wyznała służącej.

- Powinnaś zatem pozostać w łóżu, pani. Poślę po akuszerkę.

- Nie, Deboro. Jeszcze nie wiadomo. Chcę wstać i ubrać się. Z trudem podniosła się z łóża, służąca pomogła jej się

ubrać i ułożyć włosy. Przyniesiono śniadanie, Abbija usiadła przy oknie, by przy jedzeniu patrzeć na wiernych, idących na Wzgórze Świątynne na poranną ofiarę. Były ich setki, znacznie więcej niż zwykle. Zastanawiała się nad przyczyną tego stanu. Zaraz zobaczyła, jak z pałacu pospiesznie wychodzi jej ojciec, który również udał się na wzgórze, ale bez Hiskiasza. Wiedziała, że teraz, gdy Achaz wrócił już z Damaszku, zabieranie chłopca do Świątyni nie było najrozsądniejsze. Ale czemu ojciec założył szaty Lewity? Nagle poczuła lęk.

- Czy coś się dzisiaj dzieje w Świątyni? - spytała Debory.

- Nie wiem, Pani. Czy chcesz, żebym kogoś o to zapytała? Abbija zawahała się, nie wiedząc, komu może ufać. Skoro

jej mąż czcił bożki, nie chciała zwracać niczyjej uwagi na to, że zaczęła regularnie modlić się w Świątyni i że jej ojciec mieszka w pałacu i uczy Hiskiasza o Jahwe.

- Nie, to nie takie ważne - odpowiedziała. Ale odsunęła tacę ze śniadaniem. Straciła apetyt.

Kilka minut później zaniepokoiła się już bardziej. Zobaczyła, że z pałacu wychodzi Achaz, który prowadząc za sobą niewielki orszak, podchodzi chodnikiem królewskim na wzgórze. Bardzo rzadko chodził do Świątyni. Dlaczego idzie teraz? Usłyszała trąby wieszczące przybycie króla na dziedziniec Świątyni, a gdy wiatr powiał w odpowiednim kierunku, także słabe echo chóru Lewitów śpiewającego liturgiczną pieśń. Skurcze przybrały na sile, ale nie była pewna, czy oznaczało to początek porodu, czy wynikało tylko z rosnącego zaniepokojenia.

Gdy tak pełna obaw patrzyła przez okno, zobaczyła, że Achaz sam, pospiesznie, wraca ze Świątyni. Było stanowczo za wcześnie, by ofiara została już odprawiona do końca, a jednak szybkim krokiem wracał do pałacu. Była już pewna, że dzieje się coś złego. Musiała się dowiedzieć, o co chodzi.

Wstydlivość nakazywała Abbiji pozostawanie przez ostatnie miesiące w skrzydle pałacu przeznaczonym dla kobiet, a król od czasu swojego powrotu z Damaszku nie posyłał po nią. Ale teraz zrezygnowała z ostrożności i z konwenansów. Zeszła na dół, chcąc spotkać Achaza, zanim ten dojdzie do swoich komnat. Gdy dochodziła do ostatniego załomu korytarza, usłyszała głosy Achaza i Uriasza. Niezauważona zatrzymała się, by posłuchać.

- Zachariasz to niebezpieczny głupiec. - Mówił głos Achaza. - Nie chcę go więcej widzieć.

- Ale to twój teść...

- Wiem, kim jest i wiem, do czego dąży! Stara się odzyskać wpływy, jakie miał za czasów mojego dziadka! O to mu chodzi! Zabij go!

- Tak, Wasza Wysokość...

Abbija musiała oprzeć się o ścianę. Kolana ugięły się pod nią ze strachu. Co takiego zrobił jej ojciec? I dlaczego Uriasz zgodził się go zabić? Przecież szanował Zachariasza. Kiedyś wręcz kochał go jak własnego ojca.

- Przykro mi z powodu tego, co się dzisiaj stało. - Głos Uriasza brzmiał teraz kojąco. - Zajmę się wszystkim i jutro odprawimy ofiarę jeszcze raz. Zapewniam, że nic już w niej nie przeszkodzi.

Abbija pozostała w ukryciu, aż usłyszała odgłos zamykania drzwi królewskiej komnaty, wtedy wyszła i stanęła w przejściu - na drodze Uriasza.

- Proszę, nie zabijaj mi ojca! Błagam, Uriasz! Przerażony kapłan odsunął ją od wejścia do komnat

Achaza.

- Oszalałaś? - szepnął. - Co tu robisz?

- Usłyszałam, co mówił Achaz. Nie pozwól, żeby zabił mi ojca, proszę, Uriasz... proszę...

- Chcesz zginąć razem z nim? Wracaj na górę.

- Nie, najpierw mi powiedz, o co chodzi. Dlaczego Achaz chce śmierci ojca?

Uriasz znów się rozejrzył dookoła. Królowa zauważyła, że kapłan obawia się, iż ktoś go zobaczy lub usłyszy. Ale potrzeba zrozumienia sytuacji była silniejsza od lęku. Pociągnęła go kilka kroków przez korytarz, do jego prywatnych komnat, i otworzyła drzwi.

- Rozum straciłaś? Nie możemy być sami we dwoje!

- Powiedz tylko, szybko, co tu się dzieje. I pójdę - weszła do środka przed nim, ignorując ostry, rozrywający ból w pachwinie. Uriasz podążył za nią, i zamknął drzwi.

- Król rozkazał, by w Świątyni zbudowano asyryjski ołtarz - wyjaśnił.

- Dziś miała się odbyć uroczystość poświęcenia, ale twój ojciec i Izajasz przeszkodzili w tym.

- Ale to przecież dobrze. Skoro Achaz wprowadza bałwochwalstwo do Świątyni Bożej, to chyba słusznie się temu sprzeciwili?

Nie odpowiedział. Odwrócił się od niej i zamknął oczy, pragnąc, by zanim je otworzy, zniknęła i ona, i pytanie, które zadała. Widziała, że Uriasz toczy wewnętrzny bój z samym sobą, ale nie rozumiała, co jest jego przyczyną. Był arcykapłanem Jahwe. Dlaczego miałby dopuszczać jakiegokolwiek ustępstwa wobec bałwochwalstwa?

- Od lat nie widziałem w Świątyni takich tłumów, jak dzisiejszego ranka - wyjaśnił łagodnie. - Od dawna starałem się zachęcić ludzi, by wrócili do niej. I dziś w końcu przyszli.

- Ale powiedziałaś, że Achaz zbudował obcy ołtarz. Uriaszu, jesteś arcykapłanem Boga. Wiesz, że mój ojciec ma rację. Dlaczego jesteś po stronie Achaza?

- A dlaczego ty zawsze robisz to, co Achaz każe? - zapytał, odwracając się do niej z nagłą złością. - Widzę, że zachowujesz się, jak oddana żona. Czy to szczerze, Abbijo? Czy może też grasz, czyniąc wszystko, co konieczne, by zadowolić króla po to, byś mogła osiągnąć własne cele?

- Jestem mu posłuszna, bo jest moim królem i moim mężem - odparła spokojnie. - Ale gdyby Achaz rozkazał mi coś, co byłoby grzechem wobec Jahwe, wybrałabym posłuszeństwo Bogu, nie jemu.

- Za cenę życia? - spojrzał na nią wyzywająco. Wzięła głęboki oddech, ale nie odwróciła wzroku.

- Tak, nawet za cenę życia. Bo gdybym wyrzekła się Boga, nie pozostałoby mi nic, co ma znaczenie. I wierzę, że Bóg dałby mi siłę do dokonania takiego wyboru, gdybym musiała go uczynić, tak samo, jak daje mi siłę, bym dzień po dniu okazywała miłość mordercy mojego syna. W ciągu ostatnich miesięcy, gdy się modłę, moja wiara w Boga doznała ożywie-

nia. Widziałam dowody na to, że wysłuchuje moich modlitw. Uratował mojego syna...

- Ja uratowałem twojego syna - przypomniał lodowato Uriasz.

- Tak... dziękuję - nagle poczuła, że się go boi. Nie był już tym mężczyzną, którego kiedyś znała, mężczyzną oddanym Bogu, mężczyzną, który zawsze patrzył na nią z czułością. Gniew, który widziała w jego oczach i słyszała w jego głosie, był skierowany ku niej, i chyba też ku Bogu. - Nie bądź na mnie zły, Uriasz - dodała błagalnie.

- Powinnaś była zostać moją żoną, nie Achaza. Ale twój ojciec miał inne plany.

Abbija dotknęła ramienia Uriasza - aby go uspokoić i by podeprzeć się, ponieważ skurcze w brzuchu były coraz bardziej bolesne. Musiała wrócić do siebie. Ale najpierw musiała ułagodzić Uriasza. Życie jej ojca było w jego rękach, tak jak niegdyś w dniu składania ofiary Molochowi, życie Hiskiasza. Widziała już, że Uriasz nie bierze pod uwagę tego, czy to, co robi, jest słuszne. Czy jest moralne. Chyba przestał już dbać o prawo Jahwe. Ale może mógłby oszczędzić Zachariasza ze względu na nią.

- Masz rację, moja serdeczność wobec Achaza jest udawana - przyznała, przysuwając się do niego. - Ja bym wybrała na męża ciebie, nie Achaza. I myślę, że ojciec też by wybrał mi ciebie na męża. Podziwia cię, Uriasz. I kocha jak syna. Ale król Azariasz zaplanował, że wyjdę za mąż za członka rodu królewskiego, ponieważ chciał wynagrodzić mojego ojca. Uwierz mi, to Achaz jest twoim wrogiem, nie mój ojciec. Z nim musimy wspólnie walczyć - i ty, i ja.

Uriasz nagle chwycił ją, przysunął do siebie i pochylił się, by ją pocałować. Ale był to pocałunek brutalny i władczy, wiedziała, że uczuciem, jakie nim powodowało był gniew, nie

namiętność. Poddawała się mu dla dobra ojca, dla dobra Hiskiasza wiedząc, że gdyby ich zauważono, oboje zapłaciliby za to głową. Gdy Uriasz próbował przysunąć ją jeszcze bardziej do siebie, na przeszkodzie stanęło jej nienarodzone dziecko. Odepchnął ją tak samo gwałtownie, jak wcześniej ją chwycił, patrząc z urazą na jej brzuch w zaawansowanej ciąży.

- Wynoś się - powiedział.

- Uriasz, proszę, nie zabijaj mi ojca - odpowiedziała błagalnie. Poczuli kolejne uderzenie bólu. Tak ostrego, że ledwo złapała oddech. Uriasz otworzył drzwi.

- Wynoś się, powiedziałem.

Zachariasz wrócił do swojego mieszkania przy Świątyni, by się przebrać się. Składał swoje szaty i kładąc je na swoim łóżku wiedział, że prawdopodobnie miał je na sobie po raz ostatni w życiu. Ale króla powstrzymał. Dotrzymał obietnicy złożonej Bogu. I tylko to się liczyło.

Westchnął, wspominając swoją długą posługę Lewity. Wiele było rzeczy, których teraz się wstydził, wielu żałował. Ale Jahwe przebaczył mu, powierzył mu teraz inne zadania. Musi dalej uczyć Hiskiasza, dopilnować, by został królem prawdziwie według Bożego upodobania, jak król Dawid. To chyba najważniejsze zadanie, jakie mógł wykonać w służbie Bogu i narodowi.

Pożegna wszystkich przyjaciół i opuści Świątynię na zawsze. Nie może służyć Jahwe w Świątyni, która została zbrukana bałwochwalstwem. Zostawił szaty i szybko przeszukał izbę, pakując w pośpiechu swoje osobiste rzeczy. Upchnąwszy ostatnie zwoje i pamiątki do drewnianej skrzynki, rozejrzał się przerażony bałaganem, do jakiego doprowadził swoim

pośpiesznym pakowaniem. Ale na uporządkowanie pokoju nie było czasu. Obiecał Hiskiaszowi, że wróci, by go uczyć i zamierzał dotrzymać tej obietnicy.

Nagle drzwi otworzyły się gwałtownie i stanął w nich Uriasz, zastawiając sobą całe wejście. Jego twarz wyrażała wściekłość, która mogła niebezpiecznie wyrwać się spod kontroli.

- Swoim zachowaniem podczas ofiary znieważyłś króla!

- krzyczał. - Może i byłeś kiedyś wysoce szanowanym Rabbim, ale nie masz prawa przerywać świętych obrządków, kiedy tylko ci się widzi!

Stał nad Lewitą niby kamienny olbrzym, ale ten zachował spokój.

- Złożyłem ślub wierności Jahwe i dochowam tego ślubu, wypowiadając się przeciw bluźnierstwu wobec Boga zawsze, gdy będzie ono miało miejsce.

- Dlaczego teraz? Co się nagle stało? Nie protestowałeś, gdy Achaz składał ofiarę Molochowi. A byłeś tam, Zachariaszu.

- Wiem. I wstyd mi za to, co kiedyś robiłem. I czego nie robiłem - przyznał, zbliżając się prowokacyjnie do Uriasza.

- Ale Bóg przebaczył mi moją przeszłość. I nie będę już stać z boku, gdy prowadzisz wraz z Achazem cały naród do bałwochwalstwa. Nie pozwolę ci na to. Przyłączę się do Izajasza i będę głosił przeciw temu za każdym razem, gdy przydarzy się okazja.

Uriasz zacisnął zęby, marszcząc mięśnie twarzy.

- Nigdy ci się nie przydarzy żadna okazja. Ani twojemu przyjacielowi Izajaszowi - dodał cichym, opanowanym głosem.

- To groźba? - Ton Zachariasza wyrażał zaskoczenie. Uriasz nie odpowiedział. Lewita wyczuł, że w duszy kapłana trwa wewnętrzna walka. - Uriaszu, od kiedy jesteśmy wrogami? Byłeś moim najlepszym uczniem. Protegowanym. Kiedy przeszedłeś na drugą stronę?

- To dla mnie bardzo trudne, Rabbi, ponieważ naprawdę żywię wobec ciebie ogromny szacunek. Nie musimy być wrogami. Masz prawo mieć inne zdanie niż ja. Obiecuj mi, że nie będziesz więcej się publicznie zamętu, a prywatnie będziesz mógł uważać, co tylko sobie chcesz.

Zachariasz słyszał w głosie Uriasza ton ultimatum. Po raz pierwszy tego dnia poczuł dreszcz lęku.

- A jeśli nie złożę takiej obietnicy?

- A, to będzie już bunt przeciw królowi. - Uriasz przerwał i przez dłuższą chwilę obaj patrzyli sobie nawzajem w oczy. - Posłuchaj. Odpowiadam przed królem za to, co mówią i czynią moi kapłani i Lewici. Nakazał mi, bym zmusił cię do milczenia. Wszelkimi koniecznymi środkami.

Zachariasz zrozumiał, że Uriasz wręcz błaga go o obietnicę milczenia. Wiedział też, że Achaz, by zapewnić sobie to milczenie, gotów jest sięgnąć po nawet najradykałniejsze środki. Wiedział jednak też, że nie może znów odwrócić się od Bożego przebaczenia. Przypomniał sobie śmierć wnuka i miał świadomość, że bardziej boi się gniewu Bożego niż grózb Achaza.

- Nie mogę obiecać milczenia - odpowiedział, kręcąc przecząco głową.

- Toś głupiec! - Uriasz zaczął się załamywać w nieustępliwym boju o opanowanie własnej wściekłości. - Ostrzegam cię, że król nie będzie tego tolerował!

- To będzie musiał mnie zabić, żeby mi zamknąć usta.

- I właśnie ma zamiar to zrobić! Nie rozumiesz? Przysłał mnie tu z rozkazem, żebym się ciebie pozbył. Achaz oskarża cię o to, że sięgasz po władzę. Rabbi, czemuś ty taki uparty? Ustąp! Nie wygrasz z królem.

- Może nie wygram, ale przynajmniej umrę z czystym sumieniem. A ty? - spytał, patrząc na Uriasza bez mrugnienia okiem. Wściekłość kapłana osiągnęła temperaturę wrzenia.

- Niech cię diabli, Zachariaszu. Zapomniałbyś o tej swojej świętej wojence za Jahwe i wrócił do wina. - Złapał z zaśmieconej podłogi pusty bukłak, wepchnął go Zachariaszowi w dłoń i wymaszerował z izby, trzaskając za sobą drzwiami. Z tynkowanego sufitu opadła chmura pyłu.

Zachariasz był wstrząśnięty tą dyskusją. Wyczerpany usiadł na łóżku i siedział tak długo, patrząc na bukłak i odtwarzając w myślach rozmowę, jakby mógł ją w jakiś sposób zmienić i przekonać Uriasza, że ten się myli. Potem przypomniał sobie o Hiskiaszu. Obiecał mu, że wróci do pałacu już dawno. Podniósł swój kufer za jedną krawędź i przeciągnął go przez izbę. Ale gdy otworzył drzwi, okazało się, że na zewnątrz stoi dwóch strażników ze staży świątynnej.

- Co tu robicie? - zapytał zaskoczony - Możecie mi pomóc z tym kufrem?

- Przepraszam, Rabbi, ale mamy rozkaz pilnować, byś pozostał w swoim mieszkaniu.

- Rozkaz? O czym wy mówicie? Mam sprawę do załatwienia. - Spróbował się precyzyjnie między nimi, ale obaj nie mieli zamiaru się poruszyć.

- Rozkaz Uriasza. Prosimy, Rabbi, żebyś zechciał z nami współpracować. Musisz. Nie możemy pozwolić ci odejść.

Patrzył na nich z niedowierzaniem. Wreszcie wrócił do środka i zamknął drzwi. Nie przypuszczał, że Uriasz tak prędko spełni swą groźbę. Był oszołomiony, nie mógł zrozumieć, co się dzieje. Bóg dał mu drugą szansę, a on był Mu posłuszny. Na pewno Bóg uzna to posłuszeństwo i będzie go chronił ze względu na jego wierność. Dlaczego więc jest przetrzymywany jak więzień?

Znów pomyślał o Hiskiaszu. Dopiero co zaczął uczyć go Bożego Prawa. Chłopak jeszcze ma tyle nauki przed sobą. I kocha wnuka... Dobry Boże, jak on go kocha!

Ale za drzwiami stoi dwóch strażników. Nie ma jak dostać się do Hiskiasza. Wziął pusty bukłak i rzucił nim w drzwi ze złości. Pojemnik rozerwał się po szwach rozbryzgując resztki pąsowego wina po podłodze i ścianach. Zachariasz upadł na kolana i ukrył głowę w dłoniach.

- Dlaczego? Jahwe? - krzyczał - kazałeś mi uczyć Hiskiasza i staram się to robić. W czym Cię zawiodłem?

Modlił się przez wiele godzin, aż w pewnym momencie usłyszał, że ktoś otwiera drzwi. Podniósł oczy by ujrzeć Chil-kiasza, który stał w drzwiach. Na jego jowialnej twarzy malowała się troska. Za nim, w korytarzu stały słabo widoczne postacie strażników.

- Zachariaszu, przyjacielu, jak się czujesz?

- Wejź, Chilkiaszu, proszę, wejź - zaprosił przyjaciela, zrywając się na nogi.

Chilkiasz zerknął na strażników.

- Dobrze, ale powiedzieli mi, że mogę zostać tylko chwilę - odpowiedział, z zażenowaniem patrząc na bałagan w izbie i kałużę rozbryzniętego wina. - Chyba powinieneś o czymś wiedzieć, Zachariaszu... Uriasz powiedział wszystkim, że oszalałeś.

- Oszalałem? - powtórzył zaskoczony Lewita. - Tak powiedział? Dlatego, że ośmieliłem się sprzeciwić jego bałwochwalstwu? Nie wierzysz mu chyba?

- Nie, nie, nie, oczywiście, że nie. Jesteś moim przyjacielem. A powinienem mu wierzyć? Oby Święty raził mnie śmiercią! Całe życie byłem wierny Jahwe, niech błogosławione będzie Jego imię. Nie mogę ścierpieć tego, co zrobili z Jego Świątynią i dumny jestem, że powiedziałaś o tym głośno. Jakże mi przykro, że cię tu trzymają. Co za miejsce. Przyszedłem zapytać, jak mogę ci pomóc. Czy czegoś potrzebujesz?

- Tak, proszę! - Zachariasz w geście rozpaczy chwycił Chilkiasza za ramię, by za chwilę, starając się opanować, rozluźnić chwyt. - Proszę cię. Mój wnuk, Hiskiasz, czeka na mnie w pałacu. Powiedziałem mu, że wrócę, ale nie wiem, jak długo Uriasz chce mnie tu trzymać. Możesz przekazać mu wiadomość ode mnie?

- Chcesz, żebym poszedł do pałacu? Och przyjacielu, nie wiem, jak to zrobić. Nie wolno mi rozmawiać z księciem. A komu mógłbym tam zaufać, żeby przekazał twoją wiadomość? Napytałbym ci jeszcze większej biedy. Tego nie mogę ci obiecać.

- Masz rację - westchnął, przecierając oczy. - Nieważne. Trzeba będzie poczekać trochę dłużej w nadziei, że pozwolą Abbiji przyjść do niego.

- Przepraszam - mruknął Chilkiasz - przepraszam...

- Nie, to było niewykonalne. Chyba nic więcej nie mógłbyś dla mnie zrobić. Idź, przyjacielu, do domu, zanim ciebie też zamkną.

- Jesteś pewien? - pytając, Chilkiasz sięgał już do drzwi, ale Zachariasz przypomniał sobie jeszcze jedną groźbę Uriasza.

- Poczekaj! - Zachariasz szybko przeszedł przez izbę i oparł się o drzwi, zamykając je, po czym dokończył niecierpliwym szeptem. - Słuchaj. Musisz przekazać wiadomość Izajaszowi. On też jest w niebezpieczeństwie. Czy może już go aresztowano?

- Nie sędzę. Zniknął, zanim zdążyli go zatrzymać.

- Musisz dotrzeć do niego i go ostrzec. Musi opuścić Jerozolimę. Uciszą go, jeśli jeszcze raz będzie próbował głosić prorocstwa.

- No... spróbuję. - Chilkiasz wyraźnie miał wątpliwości.

- Chilkiaszu, proszę cię! Przysięgnij mi, że to zrobisz!

- Dobrze, przyjacielu. Z pomocą Świętego Izraela pójdę do Izajasza i go ostrzegę. Jakoś.

- Dziękuję, Chilkiaszu. Niech cię Bóg prowadzi.

- Zostań z Bogiem. Szalom, przyjacielu.

Pożegnali się szybkim uściskiem. Drzwi za Chilkiaszem zamknęły się z głuchym łoskotem. Zachariasz znów został sam na sam ze swoimi wątpliwościami.

- Dlaczego, Jahwe - szepnął. - Dlaczego?

11.

Chilkiasz kręcił się na łóżku, chyba po raz setny tej nocy zmieniając pozycję. Jego ciało łaknęło snu, ale jego umysł nie chciał umilknąć. Nocne powietrze było gorące jak w południe, tunika i pościel były przesiąknięte potem. Ale to nie upał nie pozwalał mu usnąć. Za każdym razem, gdy zamykał oczy, widział Zachariasza, który błagał go, by ostrzegł Izajasza. Chilkiasz obiecał, że to uczyni i wiedział, że nie zaśnie, póki tego nie zrobi. Tylko jak ma to zrobić?

W końcu porzucił nadzieję na sen i wspiał się na dach, licząc na jakikolwiek powiew wiatru. Dom Chilkiasza stał wysoko na górze, wśród najbogatszych domów, tuż poniżej pałacu króla. Opierał się o zbocze wzgórza, a z jego dachu Chilkiasz mógł patrzeć na dachy innych domów z oszałamiającej wysokości. Nad otaczającymi miasto górami świecił księżyc w pełni. Obracając się powoli, by nań popatrzeć, Chilkiasz dostrzegł kontur muru Świątyni na wzgórzu powyżej. Jęknął i rozejrzał się, ciągnąc ze zdenerwowania własną brodę. - O, Boże Abrahama, jak mam tego dokonać? - szepnął. Zastanawiał się, czy Zachariasz był świadom, o jak niebezpieczną rzecz go prosi. Już odwiedzenie jego samego w Świątyni było ryzykowne, ale jakby teraz jeszcze spotkał się z Izajaszem, mógłby zostać oskarżony o spisek. Zagrożone byłoby jego własne życie.

Szczerze był przekonany, że Zachariasz i Izajasz mają rację. W Świątyni Jahwe nie powinien znajdować się pogański

ołtarz. Wiedział też, że powinien mieć odwagę, by walczyć z bałwochwalstwem, jak oni. Tylko co będzie z Eliakimem, jeśli jego ojciec zostanie uwięziony w Świątyni lub stracony jako zdrajca króla?

W zeszłym roku, w duszne, letnie miesiące, od domu do domu przez całe miasto przeszła febra. Zabrała żonę Chilkiasza i dwoje młodszych dzieci. On i Eliakim mieli teraz tylko siebie nawzajem.

Znów spojrzał na Świątynię. Za kilka godzin przyjdzie czas na złożenie ofiary porannej na nowym ołtarzu. Zachariasz, uwięziony, tym razem nie będzie mógł powstrzymać ceremonii ani przeszkodzić Achazowi w złożeniu własnej ofiary. Ale Izajasz najprawdopodobniej spróbuje zainterweniować, a strażę już będą na niego czekały. Tym razem się nie wywinie. Pomyślał o synu, spokojnie śpiącym wewnątrz domu i zadrzał. Ale pomyślał jeszcze o czymś. Izajasz także miał rodzinę. Dwóch małych synków, którym nadał dziwne, prorockie imiona. Co z nimi będzie, gdy zostanie uwięziony? Chilkiasz wziął głęboki wdech, po nim długi wydech...

- Boże Abrahama, pomóż mi. - I zdecydowany, by ostrzec Izajasza, odwrócił się, by zejść po schodach z dachu prosto na ulicę.

- Dokąd idziesz, Abba?

- O, Eliakim - syn zaskoczył Chilkiasza. - Co ty robisz na dachu w środku nocy?

- Nie mogłem zasnąć - gęste, czarne włosy Eliakima były potargane i mokre od potu. Syn Chilkiasza był smukłym, przystojnym chłopcem, prawie dorównującym wzrostem ojcu. Kapłan położył dłoń na jego ramieniu, czując, jak jego serce przepelnia się miłością.

- Wiem, wiem. Gorąco, co? Przyniesz sobie może tutaj matę i śpij na górze?

- To nie od gorąca! - do ciemnych oczu Eliakima napłynęły łzy. Chłopiec odwrócił się, by je ukryć.

- To o co chodzi, synku? Eliakim westchnął ze złością.

- Jestem wściekły na to, co się wczoraj stało. Zniszczyli mi urodziny, to nie w porządku. Jestem w końcu mężczyzną, w końcu jestem w takim wieku, że mogę oglądać ofiarę na dziedzińcu mężczyzn razem z innymi, a oni wszystko zniszczyli.

- Przykro mi synu. Nie wiedziałem, że aż tak cię to dotknęło. - Chilkiasz próbował przytulić syna, ale ten cofnął się.

- Ci dwaj wariaci, którzy przerwali ofiarę, wszystko mi zepsuli.

- Ale, ale. Chwileczkę. Ci dwaj mężczyźni postąpili właściwie. Tę ofiarę należało przerwać. To, co król chciał zrobić, było złe. Jemu nie wolno samodzielnie składać ofiar. Według Tory tylko kapłani mogą to robić.

Eliakim nie wyglądał na przekonanego.

- Przecież żaden inny kapłan nie próbował przeszkadzać. Nawet arcykapłan.

- Dorośli nie zawsze postępują tak, jak trzeba, nawet jeśli wiedzą, co nakazuje Tora - wyjaśnił Chilkiasz, myśląc o własnym niezdecydowaniu sprzed chwili. - W ogóle chciałem ci o czymś powiedzieć rano, ale mogę i teraz. Nie będziemy już chodzić na ofiary do Świątyni.

- Abba, nie! Dlaczego?

- Przykro mi, Eliakimie. Wiem, jak bardzo czekałeś, aż będziesz mógł, ale wprowadzono do Świątyni bożki, a my nie będziemy brać udziału w bałwochwalstwie.

- Ale czy ofiary są nieważne? Przecież mamy obowiązek chodzić.

- Są ważne, oczywiście. Ale powinniśmy w nich uczestniczyć z miłości do Przedwiecznego, niech będzie błogosławione

Imię Jego, by czcić Go jako Boga Jedynego i Prawdziwego. Inaczej będzie to tylko obrzęd bez treści. W momencie, gdy w Świątyni ustawiono pogański ołtarz, Święty Izraela musiał opuścić to miejsce. Teraz jest to obrzęd pogański, daremna ceremonia ku czci fałszywych bogów. Nie mamy już powodu, by tam chodzić.

- Ale ja chcę! To niesprawiedliwe!

Chilkiasz zdawał sobie sprawę z tego, jak bardzo jego syn pragnął stać się mężczyzną, ale w tym momencie zachowywał się jak naburmuszony dzieciak. Chilkiasz starał się go uspokoić:

- Będziemy nadal odmawiali modlitwy rano i wieczorem, ale od dziś będziemy je odmawiać w domu, tylko we dwóch.

- To nie to samo. Nie moglibyśmy pójść choć raz na jakiś czas? Proszę. Żebym chociaż zobaczył jak to wygląda.

- Nie, synu, nie możemy - odparł stanowczo Chilkiasz. -I nawet o to nie prosź.

Był załamany reakcją syna. Starał się przecież nauczyć go tego, co mówi Tora, starał się wpoić mu miłość do Boga, ale Eliakima ciekawiła tylko zewnętrzna strona obrzędów w Świątyni. Zastanawiał się, w którym miejscu poniósł klęskę.

- Eliakimie, posłuchaj mnie. Do tego, żeby stać się mężczyzną, nie wystarczą dwunaste urodziny. Jeżeli zawsze będziesz podążał za tłumem, będziesz tchórzem, nie mężczyzną. Niezależnie od wieku. Jeśli naprawdę uważasz coś za złe, jeżeli naprawdę widzisz, że to coś jest sprzeczne z Bożą nauką, musisz mieć odwagę postąpić zgodnie z tym, co myślisz. To właśnie uczynili wczoraj ci dwaj mężczyźni. Rozumiesz?

Eliakim nie odpowiedział. Kopnął tylko paluchem w gliniane zwieńczenie dachu.

- Synku, posłuchaj. Lewita, który wczoraj wystąpił, to mój przyjaciel, Zachariasz. Wiesz, co się z nim potem stało? Trzy-

mają go w Świątyni pod strażą i rozpowiadają wszystkim, że oszalał. Zapewne mógł zobowiązać się, że nie będzie mówił głośno tego, co myśli i być może, by go zwolnili. Ale znam go i wiem, że nie zrobiłby tego. To wymaga odwagi, synu. To właśnie znaczy być mężczyzną.

- Ty też się im sprzeciwisz, Abba? - spytał chłopiec drżącym głosem, patrząc na ojca.

- Nie, ja nie mam takiego autorytetu ani wpływów, jak Zachariasz. Mój sprzeciw nic by nie dał. - Chilkiaszowi było wstyd, choć jego rozumowanie miałyby uzasadnienie. - Ale jest coś innego, co mogę zrobić w tej sprawie.

- Co, Abba?

- Ten drugi mężczyzna, który też wczoraj przemawiał, to Izajasz. Pochodzi z rodu Dawida, ale sądzę, że jest ponadto prorokiem namaszczonego przez Przedwiecznego. Jego proroctwa od dawna były królowi solą w oku, ale teraz cierpliwość Achaza już się wyczerpała. Jeżeli Izajasz jeszcze raz wygłosi proroctwo, zostanie uwięziony. Zachariasz bardzo mnie prosił, żebym ostrzegł Izajasza, musi on natychmiast opuścić Jerozolimę.

- Ja mu przekażę ostrzeżenie, Abba!

- Nie ma mowy! Za duże ryzyko!

- W takim razie dla ciebie też!

- Tak, ale ja jestem dorosły...

- Ja również! - krzyknął Eliakim.

Chilkiasz znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Jeśli wyjaśni synowi istotę związanego z tym ostrzeżeniem niebezpieczeństwa, Eliakim go nie puści. Ale nie mógł też narażać na nie chłopca.

- Ale ja już obiecałem, że pójdę - powiedział wreszcie.

- Abba, ja się nie boję. Proszę, pozwól mi pokazać ci, że jestem mężczyzną. Pozwól mi zrobić coś dorosłego. Po-

wiedziałaś, że mam być odważny, tak? No to pozwól mi ostrzec Izajasza.

- Nie sądzę...

- Jestem od ciebie niższy, szybciej biegam, lepiej się schowam w cieniu. Poza tym nie aresztują przecież chłopca, prawda?

Chilkiasz zdawał sobie sprawę z tego, że syn ma rację. Zdawał też sobie sprawę z jego pragnienia udowodnienia swojej męskości. Gdy się jeszcze wahał, Eliakim użył ostatecznego, decydującego argumentu:

- Abba, uczyłeś mnie, że jeśli będę wypełniał wolę Boga Abrahama, On zawsze będzie mnie chronił. To teraz mnie nie ochroni?

Chilkiasz przytulił syna. Może jednak wcale nie poniósł porażki. Może Eliakim nauczył się jednak wiary, nie tylko obrzędu.

Eliakim szedł rażno, obawiając się, że jego odwaga może stopnieć, gdyby za bardzo zwlekał. Nigdy jeszcze nie chodził nocą po mieście, każdy nieznany dźwięk go niepokoił, każde znajome miejsce wyglądało upiornie nieznajomo. Gdy na jakimś podwórku gdzieś blisko zaszczekał pies, chłopak podskoczył, pewien, że wokół słychać bicie jego serca. Ale gdy przyzwyczał się do klekotu sandałów o bruk, napełniło go poczucie dumy. Wreszcie udowodniał, że jest mężczyzną.

Zgodnie ze wskazówkami ojca wąskimi, krętymi, oświetlonymi światłem księżycy ulicami dotarł do cichego zaułka, gdzie mieszkał prorok. Miejsce to nie wyglądało na okolicę godną członka królewskiego rodu. Eliakim zastanawiał się, dlaczego skoro Izajasz pochodzi z domu Dawida, nie mieszka w pałacu, albo przynajmniej na wzgórzu z innymi dostojni-

kami. Mieszkał w dzielnicy, w której kamienne domy stały tak ciasno jeden przy drugim, że nie czuło się nawet najmniejszego powiewu wiatru.

Zatrzymał się w cieniu, by złapać oddech, po czym pod-czołgał się do domu Izajasza, ostatniego w tej uliczce. Zobaczył wewnątrz nikły poblask oliwnej lampki. Zdziwił się, że zostawiono ją zapaloną na noc. Cicho zapukał do bramy i czekał w nadziei, że ktoś mu otworzy, zanim pukanie zbudzi sąsiadów. Za chwilę istotnie drzwi otworzyły się. Eliakim rozpoznał mężczyznę, który podczas odprawiania ofiary czytał ze zwoju.

- Jestem Eliakim, syn Chilkiasza, kupca - odezwał się na bezdechu. - I mam dla ciebie wiadomość od Zachariasza, Lewity.

Izajasz nie wyglądał na zaskoczonego. Skinął na powitanie i wprowadził gościa przez bramę i małą podwórko do jednoizbowego domostwa.

Po jednej stronie stało palenisko do gotowania zastawione glinianymi garnkami. Oprócz niego w domu był wykonany własnoręcznie stół, na którym w nieładzie leżało mnóstwo zwojów i stała blado świecąca oliwna lampka. Po przeciwnej stronie na słomianej macie spała żona Izajasza, przytulając maleńkie dzieciątko. Drugie dziecko spało na macie u jej stóp. Eliakim przypomniał sobie swoją zmarłą matkę i dwóch młodszych braci. Przełknął ślinę.

- Usiądź, proszę - Izajasz wskazał drewniany taboret przy stole. - Czy mogę coś dla ciebie zrobić? - patrzył na Eliakima tak przenikliwie, że chłopak czuł się, jakby był nagi.

- N... nie, dziękuję, Rabbi. Przyszedłem tylko przekazać wiadomość od Zachariasza - brakowało mu oddechu, trudno mu było znaleźć słowa. Czuł nabożną bojaźń wobec obecności, jaka zdawała się otaczać proroka. Raz jeszcze przełknął ślinę z nadzieją, że jego słowa zabrzmiały logicznie. - Zacha-

riasz jest trzymany pod strażą w Świątyni z powodu tego, co zaszło wczoraj podczas ofiary.

Izajasz zmarszczył lekko brwi, ale nic nie powiedział.

- Zachariasz mówi, że tobie również grozi niebezpieczeństwo i że nie powinieneś głosić już prorocत्व. Mówi, że powinieneś natychmiast opuścić Jerozolimę.

- Tak, chyba ma rację - Izajasz z namysłem pokiwał głową. - Chyba moje dzieło tutaj zostało już ukończone.

Reakcja Izajasza zabiła Eliakima z tropu. Po tym, co usłyszał od ojca o postępowaniu zgodnie z własnymi przekonaniem, spodziewał się, że Izajasz zignoruje ostrzeżenie. Był rozczarowany, że prorok tak łatwo się poddał.

- Jahwe cię przysłał, dziękuję ci, żeś przyszedł - Izajasz położył dłoń na ramieniu Eliakima. - Usłyszałem głos Boży nakazujący mi wyjść tej nocy z miasta, ale siedziałem tu i spierałem się z Bogiem. Nie boję się króla Achaza. I chętnie pozwolę się uwięzić dla Jahwe, jak Zachariasz.

Eliakim spojrział na śpiącą rodzinę Izajasza.

- Jahwe zna każdy ich oddech - ciągnął prorok, jakby czytał w myślach chłopca. - Gdybym teraz uciekł, wyszedłbym na tchórza, prawda? Który boi się, że Bóg nie jest w stanie obronić jego czy jego rodziny. Dlatego wadziłem się z Bogiem całą noc. Przed chwilą poprosiłem go, żeby dał mi znak, że Jego wolą jest, bym opuścił Jerozolimę. I wtedy przyszedłeś.

Eliakim był zdumiony stopniem zażyłości Izajasza z Jahwe. Chilkiasz stale mówił do Boga Abrahama, ale Bóg, o ile Eliakimowi było wiadomo, nigdy nie odpowiadał. Sposób wypowiedzi Izajasza sugerował, że regularnie rozmawia on z Jahwe. Eliakim zastanawiał się, w jaki sposób nawiązał on taką zażyłość z Bogiem. Pomyślał o swoich dąsach, o zakaz chodzenia do Świątyni na pogańskie obrzędy i poczuł wstyd.

- Chyba więc wyruszam z Jerozolimy - westchnął Izajasz. Rozejrzał się po pokoju, jakby w myślach przygotowywał się do pakowania. - Ale nie z powodu lęku. Jahwe ma wobec mnie inne plany. Wiem, że mam stworzyć wspólnotę proroków, by uczyć młodych, ale poza tym... no cóż, Jahwe sam mi pokaże.

Eliakim wstał i przesuwał się w stronę drzwi. Wyszedł z domu już chyba kilka godzin temu.

- Rabbi, powinienem już iść. Abba będzie się martwić.

- Rozumiem.

Izajasz odprowadził go przez małe podwórko. Eliakim był przekonany, że przy najbliższej rozmowie Jahwe powie Izajaszowi, jaki z niego chłopak. Pragnął przeprosić za chęć pójścia do Świątyni powodowany niegodziwymi motywami, ale nie umiał znaleźć odpowiednich słów.

Gdy wyszli na ulicę, Izajasz znów położył dłoń na ramieniu Eliakima i spojrzał na niego.

- Eliakim - wymówił imię powoli i z namaszczeniem.

- Twoje imię znaczy „Jahwe ugruntuje”. - Tu głos Izajasza zmienił się znów na władczy i pełen mocy, a serce Eliakima zaczęło mocniej bić. - Tegoż dnia powołałam sługę mego, Eliakima, syna Chilkiasza. On będzie ojcem dla mieszkańców Jeruzalem oraz dla domu Judy. Położę klucz domu Dawidowego na jego ramieniu; gdy on otworzy, nikt nie zamknie, gdy on zamknie, nikt nie otworzy. Wbiję go jak kołek na miejscu pewnym; i stanie się on tronem chwały dla domu swego ojca. Na nim zawieszają całą chlubę jego domu ojcowskiego¹⁷.

- W tym momencie, ku ogromnemu zaskoczeniu Eliakima prorok uściskał go serdecznie. - Szalom, Eliakimie. Niech pokój Jahwe będzie z tobą.

- I z tobą, Rabbi - szepnął Eliakim.

¹⁷ Cytat pochodzi z Księgi Izajasza, rozdział 22 [przyp. red.].

12.

Hiskiasz siedział po turecku na dywanie i patrzył na nową babilońską wieżę zegarową stojącą na pałacowym dziedzińcu. Dla zabicia czasu liczył schody, które wznosiły się spiralnie z jednej strony, by podobną spiralą schodzić w dół z drugiej. Czekał na dziadka, który miał go dalej uczyć i patrzył, jak cień wznosił się do najwyższego stopnia, na którym znajdował się teraz. Kolejny samotny ranek przyszedł i odszedł, a dziadek nie wracał.

Ile to już czasu? Godoliasz, mały braciszek Hiskiasza, urodził się tego samego dnia, gdy jego ojciec wyjechał. A słudzy powiedzieli, że dziś dziecko ma czterdzieści dni. Nie pozwalali mu iść do komnaty matki, mówili, że jest już dużym chłopcem i nie potrzebuje mamusi. Hiskiasz czuł się samotny, szczególnie w nocy, gdy patrzył na sąsiednie, puste łóżko. Najpierw odszedł brat a teraz dziadek.

Usiłował sobie przypomnieć twarz dziadka, gdy nagle usłyszał pukanie do drzwi. Podskoczył i pobiegł je otworzyć pewien, że Zachariasz wreszcie powrócił. Ale w drzwiach zamiast dziadka stał wysoki, patykowaty intruz, który patrzył na chłopca z góry.

- No cześć. Ty jesteś Hiskiasz? - zapytał, uśmiechając się uprzejmie.

Mężczyzna miał czarne, pofalowane włosy, ciemną skórę i strój w stylu zupełnie nieznanym Hiskiaszowi. Mógł mieć nieco ponad trzydzieści lat, ale nie miał ani brody, ani wąsów.

Niósł ze sobą niechlujną stertę zwojów, które wyglądały tak, jakby w każdej chwili mogły runąć na podłogę. Hiskiasz pomyślał o zwojach w bibliotece świątynnej. Może to dziadek przysłał tego obcego?

- Tak, jestem Hiskiasz - odpowiedział z nadzieją.

- Mam na imię Szebna i bardzo miło mi cię poznać - odparł z cudzoziemskim akcentem tamten. - Król Achaz wynajął mnie jako twojego guwernera - uśmiechnął się szeroko, ukazując równy, prosty rząd białych zębów. Rozczarowanie nie pozwoliło Hiskiaszowi odpowiedzieć uśmiechem na uśmiech. To Achaz przysłał Szebnę, nie dziadek.

- Mam już nauczyciela - odpowiedział w końcu.

- Tak? A król zapewniał mnie, że będę twoim pierwszym guwernerem.

- Nie. Dziadek mnie uczy. Czekam, aż wróci. - Odwrócił się i usiadł na podłodze przy oknie. Szebna podążył za nim.

- O... Król nic nie mówił o twoim dziadku. Czego cię dziadek uczy?

- Uczy mnie o Jahwe i Jego Torze. Nauczyłem się odmawiać Szema. Chcesz posłuchać? - Hiskiasz chciał zrobić wrażenie na tym przybyszu, pokazać że dziadek dobrze pełni funkcję nauczyciela.

- Dobrze - Szebna lekko skinął głową. Hiskiasz usiadł prosto i skupił się na słowach.

- Słuchaj, Izraelu! Jahwe jest naszym Bogiem! Panem jedynym! Będziesz miłował Jahwe, Boga twojego, całym swoim sercem, całą swoją duszą i ze wszystkich sił swoich!

- Dziadek cię tego nauczył?

- Jest Lewitą - wyjaśnił z dumą Hiskiasz. - Gdy pomaga kapłanom w Świątyni Jahwe, nosi specjalną szatę i zawój.

Założył je ostatniego dnia, tego dnia, gdy miał powiedzieć królowi, że w Świątyni Jahwe nie powinno być nowego

ołtarza. Zachariasz przytulił wtedy Hiskiasza na pożegnanie i powiedział: „wrócę na pewno. Mogę się trochę spóźnić, ale na pewno będę”. Hiskiasz obiecał, że będzie na niego tu czekał i dotrzymał obietnicy. Więc dlaczego dziadek nie dotrzymał swojej?

- A czy dziadek uczył cię o czymś jeszcze, nie tylko o Jahwe i o Torze? - zapytał Szebna, przerywając jego rozmyślenia.

Pytanie to zaintrygowało Hiskiasza

- No... nie.

Ale przecież chyba właśnie te rzeczy były najważniejsze do nauki?

- Dobrze. Ja lubię uczyć moich podopiecznych po swojemu, od samego początku. A od teraz ja będę twoim nauczycielem.

- Będziemy się uczyć o Jahwe? Guwerner poczuł się nieswojo.

- Nie. Nie jestem Żydem. Jestem Egipcjaninem. Nie wierzę w Jahwe.

- Czczysz Molocha? - Hiskiasz spojrzał na guwenera z przerażeniem.

- Nie, Molocha też nie czczę... Czemu ta rozmowa toczy się w tym kierunku? - mruknął do siebie. - Słuchaj, od razu powiem ci uczciwie. W ogóle nie wierzę w żadnych bogów, nawet w bogów mojego rodzinnego kraju, Egiptu. Uważam, że wszystkie mieszkają tu. - Poklepał się po swoim wysokim czole. - W ludzkich umysłach. Ludzie wymyślają sobie bogów, by znaleźć wyjaśnienie wszystkiego tego, czego nie rozumieją. Jeśli na przykład jest susza, to mówią „bogowie się gniewają”. A ja uważam, że susze są po prostu dlatego, że nie pada. I tyle. Nie wierzę w rzeczy nadprzyrodzone. Zajmuję się wiedzą, a nie mitami.

Hiskiasz odwrócił się do okna. Nie podoba mu się ten Szebna. Niech lepiej dziadek wróci.

- O co chodzi? - zapytał Szebna. - Co to za mina?

- Jahwe jest prawdziwy! - krzyknął gniewnie Hiskiasz. - Jest jak wiatr, dlatego Go nie widzisz! Mój dziadek Go nie wymyślił!

- Dobrze. Nie będziemy więcej rozmawiać o Jahwe. Król Achaz zna mój pogląd na religię, ale nie jestem tu po to, żeby ci go przekazać. - Ponownie uśmiechnął się szeroko. - Czy chcesz zacząć lekcje dziś? Bardzo bym chciał zobaczyć, jaki z ciebie uczeń. Umiesz czytać? - Hiskiasz potrząsnął przecząco głową. - A chcesz się nauczyć?

- Chcę dziadka! - krzyknął i poczuł, jak łyzy szczypią go w oczy, więc szybko je otarł.

Szebna zmusił się do kolejnego uśmiechu. Rozsiadł się na podłodze obok Hiskiasza, rozsypując obok siebie stertę zwojów.

- Zawrzyjmy umowę, Hiskiaszu. Będziemy zadawać sobie pytania na zmianę. Ty mi odpowiesz na jedno moje pytanie, potem ja na jedno twoje. Czy to sprawiedliwe?

Zanim Hiskiasz zdążył odpowiedzieć, Szebna wyciągnął ze stosu jeden ze zwojów i rozwinął.

- Ten zwój zawiera pewną opowieść. Gdy nauczę cię czytać, dowiesz się o czym ona jest.

Wyjął glinianą tabliczkę i zaczął ryć w niej rylcem.

- To słowo oznacza „dom”. Widzisz? Teraz spójrz na tekst i sprawdź, czy widzisz gdzieś w nim „dom”. - Poleciał Szebna, popychając tabliczkę i zwój po podłodze w kierunku Hiskiasza.

Chłopiec przez chwilę nie był pewien, czy powinien czytać, czy też nie. Obawiał się, że okaże się nielojalny wobec dziadka. Ale przecież to właśnie biblioteka świątynna była ulubionym miejscem starca, a rzędy tamtejszych zwojów przyciągały wyobraźnię Hiskiasza. Pragnął zawartych w nich tajemnic, pragnął przeczytać wszystko o swoich ulubionych

bohaterach. I ta ciekawość wreszcie wygrała - chłopiec zaczął studiować zwój Szebny. Zawierał on bezładną mieszaninę dziwnych znaków i Hiskiasz już miał go odłożyć, gdy naraz zauważył słowo, które Szebna narysował na tabliczce. Potem zobaczył jeszcze jeden taki znak, potem kolejny - i poczuł, że posiadał moc odkrywania tajemnic. Umie czytać!

- Tu... tu... tu i tu - odpowiadał, pokazując w różne miejsca w zwoju.

- Bardzo dobrze. - Uśmiechnął się Szebna. - Znalazłeś wszystkie. Już nauczyłeś się czytać jedno słowo. Niedługo będziesz umiał przeczytać całe opowiadanie. A teraz liczby. Znasz?

- Umiem liczyć. I umiem wymienić dwanaście pokoleń Izraela. Chcesz posłuchać?

- Nie teraz. - Szebna starł tabliczkę do czysta i zaczął rysować w miękkiej glinie kółka. - Przypuśćmy że miałeś sześć fig i zjadłeś dwie. Ile ci...

- Cztery - odpowiedział Hiskiasz zanim Szebna zdążył dokończyć. Brwi gubernera uniosły się ze zdumienia.

- A przypuśćmy, że ja mam jeszcze pięć fig. Ile mamy...

- Dziewięć.

- Robiłeś to już kiedyś? Hiskiasza rozśmieszyło to pytanie.

- Jadłem figi mnóstwo razy

- Nie o to mi chodziło. Nieważne. Jeśli chcielibyśmy podzielić między siebie te figi...

- To trzeba przeciąć jedną na pół - odpowiedział Hiskiasz, który już je sobie wyobrażał - albo będzie niesprawiedliwie.

- Nawet nie zauważyłem, że zadaję dzielenie z resztą, ale i tak je rozwiązałeś. Jesteś bardzo bystry

- Czy mogę teraz ja cię o coś spytać?

- Oczywiście. - Szebna uśmiechnął się niepewnie. - Taka była umowa.

- Dlaczego ciągle się uśmiechasz, skoro w środku wcale nie jesteś szczęśliwy?

Pytanie zaskoczyło Szebnę, uśmiech na jego twarzy zbladł.

- A dlaczego tak uważasz?

- Bo twoje oczy nie są szczęśliwe.

Szebna odchylił się, przyglądając się chłopcu.

- Jesteś bardzo spostrzegawczy i bystry. Uczenie cię będzie nie lada wyzwaniem. Ale chyba nie za bardzo mnie lubisz, co?

- Nie wiem. - Hiskiasz wzruszył ramionami. Spojrzał na rozsypane na podłodze zwoje i znów posmutniał. Po czym przypomniał sobie, że teraz jego kolej na zadanie Szebnie kolejnego pytania. - A gdzie dziadek? Obiecał, że wróci żeby mnie uczyć, ale nie ma go od wielu dni.

Po raz pierwszy Hiskiasz sformułował w myślach kolejne pytanie, o którym bardzo starał się dotąd nie myśleć. Skoro dziadek go porzucił, to czy Jahwe też go porzuci?

Szebna westchnął.

- Nie wiem, gdzie jest twój dziadek, taka jest prawda. Spróbuję się tego dowiedzieć dla ciebie. Tymczasem jednak król wynajął mnie, bym cię uczył. Jest coś, czego chciałbyś się nauczyć?

Hiskiasz pomyślał o tych wszystkich żołnierzach, którzy przyszli po braci i po niego. Byli zbrojni w miecze i włócznie, był wobec nich bezradny. Jeśli dziadek i Jahwe nie mogą go już chronić, będzie trzeba chronić się na własną rękę.

- Chciałbym nauczyć się być żołnierzem, jak król Dawid

- oświadczył.

- Naprawdę? Chcesz przeczytać o wojownikach i bitwach?

- Szebna zaczął szybko przerzucać zwoje. - Mam tu wiele opowiadań o dzielnych wojownikach i bitwach, w których walczyli. Może przeczytamy któreś?

- Masz o Dawidzie i Goliacie? - po raz pierwszy Hiskiasz wykazał niemal zainteresowanie.

- Może... gdzieś... - Szebna przetrząsał stertę, zwoje szeleściły głośno.
- Niech spojrzę. Musi być tu gdzieś...

- Dziadek ma w Świątyni mnóstwo opowieści o królu Dawidzie. Pożycz ci trochę.

- Tak, na pewno - odparł Szebna. Wyglądało na to, że coś go drażni. Odepchnął gwałtownie zwoje na bok. - Chcesz zatem zostać żołnierzem, tak? Umiesz szyc z łuku? Władać mieczem? Rzucać włócznią? Umiesz jeździć konno?

Hiskiasz kręcił zaprzeczał ruchem głowy na każde z tych pytań.

- Chciałbyś się nauczyć?

- Tak! - Teraz Hiskiasz nie mógł stłumić podniecenia. Gdyby miał własny miecz i nauczył się nim władać, mógłby obronić się przed Molochem. Nie musiałby czekać na Jahwe ani dziadka, który może już nigdy nie wróci.

- To chodź ze mną - powiedział Szebna, wstając. - Najpierw pójdziemy do stajni wybrać ci konia, potem do zbrojowni po miecz.

Hiskiasz zerwał się na równe nogi i popędził za Szebną, który już wychodził z komnaty.

Zachariasz szedł korytarzem od swojej izby w kierunku drzwi. Każdy krok był powolny, miarowy. Wiedział, że musi rozruszać stawy mimo bólu, bo w końcu zupełnie straci zdolność chodzenia. Gdy wyszedł na dwór, blask słońca odbity przez złoty dach Świątyni, oślepił go na chwilę. Zakrył oczy przed światłem. Potem powoli przeszedł przez dziedziniec świadom, że odźwierni obserwują go ze swoich stanowisk.

Gdy oczy przyzwyczyły się do jaskrawego światła, jego uwagę zwrócił jakiś ruch na środkowym dziedzińcu. Osłonił oczy i podszedł bliżej. Ktoś go chyba przywoływał.

- Abba! Abba, to ja!

- Abbija? To naprawdę ty? - Zachariasz pokuśtykał do bramy dzielącej oba dziedzińce i oślepiiony tym razem łzami radości, uściskał córkę.

- Abba! Dzięki Bogu jesteś cały! Modliłam się bez przerwy.

- Tak, nic mi nie jest - zapewnił. - Może trochę zastały mi się stawy, ale tak to już jest, jak mieszka się w starym, rozsypującym się budynku.

- Abbija była pierwszą od ponad miesiąca osobą z zewnątrz, jaką widział. Wyglądała piękniej niż kiedykolwiek. - Ale powiedz mi, co u ciebie. Widzę, że urodziłaś?

- Tak. Kolejnego syna. Achaz nadał mu imię Godoliasz. Ma czterdzieści dni, więc przyszedłam do Świątyni złożyć ofiarę oczyszczenia. - Uśmiechała się, ale Zachariasz widział w jej oczach łzy.

- Co się dzieje? - spytał łagodnie.

- Tak bardzo się bałam o ciebie, Abba. Podśluchałam, jak Achaz rozkazał Uriaszowi zabić cię i tak się bałam... Błagałam Uriasza, żeby tego nie czynił.

- Nic mi nie jest, Abbijo - zapewnił ponownie, przytulając córkę. - Uriasz trzyma mnie w areszcie domowym, żeby mnie uciszyć, tylko tyle. Można powiedzieć, że mamy bardzo rozbieżne zdania odnośnie jego nowego ołtarza i sądzę, że będę mieszkał tu już na stałe.

- Jesteś więc więźniem?

- Nie jest tak źle. Wiele czasu spędzam na czytaniu i studiowaniu Tory. A w czasie, gdy nie są sprawowane ofiary, mogę chodzić po dziedzińcu. Jest więc nie najgorzej.

- Jak możesz tak to zostawić? Jesteś uwięziony bez powodu, nawet bez procesu.

- Jest w porządku, Abbijo. Tak, z początku rzeczywiście przez długie nudne dni i bezsenne noce pytałem o to Boga. Czekałem, aż udowodni moją niewinność i ukarze moich wrogów. A gdy tego nie uczynił, sięgnąłem po Torę. Wciąż pytając, wciąż żądając odpowiedzi. I wtedy, czytając księgę Hioba, poznałem historię innej ofiary niesprawiedliwości, która też żądała od Boga odpowiedzi. Wiesz czego się dowiedziałem od Hioba? Jahwe nie ma obowiązku tłumaczenia się nam ze swojego działania. Jest Panem ponad wszystkim: „Czy dosięgniesz głębin Boga, dotrzesz do granic Wszechmocnego? Wyższe nad niebo. Przenikniesz? Głębsze niż Szeol. Czy zbadasz (...)? Gdy przechodzi, nakłada więzy (...), kto zabroni?”¹⁸. Rozumiesz? Nie muszę nic więcej wiedzieć.

- Sytuacja w Jerozolimie pogorszyła się przez ten czas -odrzekła Abbija. - Achaz oddaje cześć każdemu nowemu bóstwu, o którym usłyszysz, a Uriasz jeszcze go chyba do tego zachęca. Służące powiedziały mi, że Achaz zasięga rad wróżów i mediów.

- Ja też widzę tutaj pewne zmiany. Rytm i porządek Świątyni nie jest już ten sam. Achaz kazał nawet zamknąć drzwi Przybytku. Wyobrażasz sobie? Z Przybytku zniknęły złote świeczniki. Uriasz wprowadził całkowicie nowy ryt obrzędów i ofiar w Świątyni Jahwe. Nie uczestniczyłbym w nim, nawet gdyby mi pozwolono.

- Przeraża mnie to, Abba. Co będzie z naszym narodem?

- Obawiam się, że bezmyślnie pędzimy ku zagładzie, pogrążając się w grzechu coraz głębiej i głębiej. Przypuszczam, że niewielu już zostało pobożnych ludzi. Pytałem Jahwe i o to, ale On pokazał mi poprzez swoje Słowo, że wciąż panuje nad

¹⁸ Cytat ten pochodzi z Księgi Hioba, rozdział 11 [przyp. red.].

narodem, królem, a nawet Uriaszem. „Gdy wody wstrzyma -jest susza; zwolni je - ziemię spustoszą (...), ma w ręku błędzących i kłamców (...). Głos uzdolnionym odbierze, rozsądku pozbawi i starców (...). Rządcom ziem odbierze rozsądek, po bezdrożach pozwoli im błędzić; macają w ciemności bez światła, chwieją się jak pijani”¹⁹.

- Przyszłam cię pocieszyć, Abba, a to ty mnie pocieszasz.

- Co słyszeć u Hiskiasza? - w odpowiedzi spytał cicho Zachariasz. - Jakże za nim tęsknię!

- Od chwili urodzenia Godoliasza nie pozwalają mu do mnie przychodzić. Służące powiedziały mi, że król najął mu egipskiego guwernera do nauki.

- Egipskiego? A co może nauczyć go cudzoziemiec? Hiskiasz powinien studiować Torę i uczyć się o... - zauważywszy lęk w oczach córki, jeszcze raz przysunął ją do siebie i dodał drżącym głosem - nic nie dzieje się bez przyczyny. Hiskiasz jest teraz w rękach Jahwe i Jemu musimy zaufać. Wiele, wiele razy każdego dnia modlę się, by Jahwe był z Hiskiaszem. A Jahwe słyszy moje prośby. Będzie go strzegł.

- Boję się o ciebie, Abba - szepnęła Abbija. - Co się z tobą stanie?

- Nie bój się, Jahwe udzielił mi pokoju. To nie znaczy, że nie czekają mnie już żadne zmagania czy wątpliwości. Nasze życie zawsze jest ich pełne. Ale Boży pokój wynika ze świadomości, że wszechświat jest uporządkowany i nic nie dzieje się bez przyczyny, nawet jeśli zna ją tylko Jahwe. Musimy zaufać Jego najwyższej woli „On ma potęgę i rozum, rozsądek znać w Jego planach. Gdy On rozwali - któż odbuduje, gdy zamknie, kto by otworzył?”.

- To nigdy cię nie wypuszczą?

¹⁹ Ten i kolejny cytat pochodzą z Księgi Hioba, rozdział 12 [przyp. red.].

- To nie ma znaczenia, Abbijo. Najmniejszego. Jest we mnie pokój Jahwe, i to mnie wyzwala.

Abbija powróciła ze Świątyni z uczuciem ogromnej ulgi. Ojciec żyje i choć jest więziony, jego niezachwiana wiara w Jahwe - jego pewność, że Jahwe panuje nad wszystkim -i ją przekonała, by Mu zaufać. Zachariasz tak bardzo się zmienił przez te ostatnie miesiące od czasu, gdy złożono ofiarę Molochowi, a szczególnie od momentu, gdy przeniósł się do pałacu, by pomagać Hiskiaszowi. Nie był już żalonym alkoholikiem, którego znała z czasów dorastania, ale tym Bożym człowiekiem, który niegdyś doradzał królom. Wiedziała, że te zmiany - oraz siła i odwaga, jaką odnalazł w sobie na nowo -pochodzą od Boga. A jego wiara podsycala jej własną.

Wszedłszy do pałacu, minęła korytarz wiodący do komnat Uriasza. Pragnęłaby przekazać mu wiadomość, podziękowanie za darowanie jej ojcu życia. Ale Uriasz byłby zły, gdyby zaryzykowała spotkanie z nim.

Pobiegła na górę do komnaty Hiskiasza, chcąc jak najszybciej powiedzieć mu, że dziadek wciąż go kocha, że bardzo chce wrócić, ale nie może. Jednak, gdy tam dotarła, okazało się, że nikogo w niej nie ma. Rozczarowana wróciła do skrzydła dla kobiet pewna, że Godoliasz już się obudził i krzyczy o jedzenie. Ale gdy otworzyła drzwi, okazało się, że w komnacie jest dziwnie cicho, a kołyska jest pusta

- Gdzie moje dzieciątko? - zapytała Deborę.

- Przyszli i zabrali.

Abbija pomyślała o ofierze dla Molocha i poczuła dreszcz lęku.

- Zabrali? Dokąd? Dlaczego?

- Przenieśli go do pokoju dziecinnego, pani. - Debora z jakiegoś powodu była nerwowa, Abbija podążyła za jej wzrokiem. W rogu komnaty, z rękami splecionymi na piersi, wyczekująco stał szambelan Achaza.

- Co tu robisz? - spytała.

- Jego wysokość wzywa cię, pani, do sali tronowej. - Wskazał na drzwi w oczekiwaniu, aż Abbija wyjdzie pierwsza. Królowa poczuła, jak łomocze jej serce. Achaz nigdy wcześniej nie wzywał jej do sali tronowej.

- Może... chciałby zobaczyć młodszego syna?

- Król nie mówił nic o synu. Posłał po ciebie.

„Boże, pomóż” - pomodliła się i pomyślała o słowach ojca: „nic nie dzieje się bez przyczyny, nawet jeśli zna ją tylko Jahwe. Musimy zaufać Jego najwyższej woli”. Dla dodania sobie odwagi wzięła głęboki oddech i ruszyła korytarzami w stronę sali tronowej.

Gniew Achaza rzucał się w oczy, jego twarz kipiała wściekłością. Na drżących nogach skłoniła się nisko, zastanawiając się, czym spowodowała jego niezadowolenie i jak długo na nią czeka. Gdy wstała, dostrzegła, że w sali nie ma Uriasza i serce jej zamarło ze strachu. Czy ktoś widział ich pocałunek? Poniżej tronu stał wysoki chudzielec ubrany w egipskie szaty, Abbija była pewna, że nie jest to żaden z pałacowych sług. Czy mógł ją widzieć z Uriaszem? Pomodliła się krótko szeptem, po czym rzekła:

- Posłałeś po mnie, Wasza Wysokość?

- Gdzie byłeś? Posłałem po ciebie mojego sługę już godzinę temu, nie było cię.

- Przepraszam, panie. Poszłam do Świątyni Jahwe, by złożyć ofiarę oczyszczenia przepisaną przez Torę. Minęło czterdzieści dni od narodzin naszego syna.

- Bez mojego pozwolenia?

Pytanie zbiło ją z tropu.

- Tak... prze... przepraszam, nie wiedziałam, że potrzebuję twojego pozwolenia na wypełnienie przykazania Jahwe.

- To ja decyduję, którym bogom, i kiedy, moja rodzina oddaje cześć. Jeśli będziesz chciała wiedzieć, czy jest czas na złożenie ofiary, dowiesz się tego ode mnie, a nie z jakichś przestarzałych regulaminów.

- Przepraszam, Wasza Wysokość.

- Ale nie po to cię wezwałem. - Na te słowa Abbija znów przestraszyła się, że król dowiedział się o jej wizytach w komnatach Uriasza. Zaryzykowała i zerknęła na Achaza. Jego wzrok był nieswój: szaleńczy, obłądny, jakiego jeszcze nigdy nie widziała, a źrenice nienormalnie wielkie. Nie był to mężczyzna, jakiego poślubiła. - Kto ci pozwolił zaprosić do pałacu twojego ojca, żeby prać mózg mojego syna, wmawiając mu mity i kłamstwa? Abbija na dłuższą chwilę straciła mowę. Wcale nie chodziło o Uriasza. Sprawa miała się znacznie, znacznie gorzej. Dotyczyła Hiskiasza. I ojca. I Jahwe. W duchu poprosiła Boga o pomoc. I wtedy usłyszała, jak z jej ust wypływają słowa tak, jakby ktoś inny je wypowiadał.

- Bo... bo chciałam, żeby Hiskiasz dowiedział się coś niecoś o historii i zwyczajach naszego narodu. Pomyślałam, że powinien usłyszeć opowieści o Jahwe, na których i ja się wychowałam. Jest moim synem...

- Nie! Urodziłaś go i to kolejne dziecko. I to wszystko! Nie masz już żadnej roli do odegrania w życiu moich synów. Jak śmiesz wpływać na to, czego się uczy?

- Ale Jahwe...

- Nigdy już nie zobaczysz moich synów. Nigdy!

To był najokrutniejszy cios ze strony Achaza, jaki mogła otrzymać. Dużo boleśniejszy od jakiegokolwiek bicia i zupełnie niespodziewany. Pomyślała o pustej kołysce i łzy na

pływały jej do oczu. Miała ochotę paść Achazowi do stóp, błagając, by nie zabierał jej dzieci, albo by choć pozwolił jej przytulić je ostatni raz i ucałować na pożegnanie. Ale wiedziała, jaka byłaby odpowiedź.

- A teraz opowiesz Szebnie, guwernerowi mojego syna, jakich dokładnie kłamstw nauczył go twój ojciec.

Z niezrozumiałego dla niej samej powodu nie czuła lęku. Synów już straciła, więc nic więcej jej nie pozostało, poza własnym życiem. Życie z Achazem bez dzieci nie miało wartości.

- Mój ojciec nie uczył Hiskiasza kłamstw - odpowiedziała spokojnie, ocierając łzy. - Uczył go o Jahwe, Bogu naszych przodków, o tym, jak wyprowadził On lud z niewoli egipskiej. Uczył Hiskiasza prawdy: że nie ma innych bogów oprócz Jahwe, Boga Abrahama i Izaaka, Boga ojców naszych...

- Twój ojciec nie żyje - odpowiedział lodowato Achaz. - Rozkazałem Uriaszowi, by stracił go za zdradę - dodał, przyglądając się jej, jakby miał nadzieję, że jej reakcja sprawi mu przyjemność. Ona tymczasem modliła się, by nigdy się nie dowiedział, że Zachariasz żyje. - Spiskowali z Izajaszem przeciwko mnie - ciągnął, gdy nie odpowiedziała - i sądzę, że należysz do tego spisku. Myślę, że właśnie dlatego przez ostatnie miesiące grasz przykładną żonę. Dlatego codziennie biegasz do Świątyni. I dlatego sprowadziłaś do mojego pałacu swojego ojca.

- Nie, Wasza Wysokość. To nieprawda. Ja...

- Ty, z Zachariaszem, spiskowaliście, żeby wyprać mózg mojemu następcy. A po przejęciu nad nim kontroli, mieliście mnie zamordować we śnie.

- Proszę... Nie ma żadnego spisku - odrzekła Abbija.

- Łżesz! - Twarz Achaza poczerwieniała od gniewu. - Odkąd wysłałem złoto Jahwe do Asyrii, jego samozwańczy rzecznicy knują wciąż, jak się mnie tu pozbyć. Twój ojciec

i Izajasz wzywali imienia Jahwe za każdym razem, gdy mi grozili. Zakłócili moją ofiarę na oczach całego narodu chcąc wywołać bunt. W żyłach Izajasza płynie królewska krew, a ja wiem, że on chce mojej korony. Gdyby nie było spisku, w jaki sposób udałoby mu się zniknąć, gdy tylko się dowiedział, że chcę go aresztować?

Abbija gorączkowo zastanawiała się nad odpowiedzią, desperacko pragnąc przemówić królowi do rozsądku.

- Wasza Wysokość, Uriasz jest najwyższym kapłanem Jahwe. On może wyjaśnić, dlaczego mój ojciec i Izajasz...

- Uriasza ty tu do tego nie mieszaj. Swoim posłuszeństwem dowiodł już swojej lojalności. Nie groził mi gniewem Jahwe, gdy rozkazałem mu składać ofiary Molochowi i Aszurowi. Uriasz wykonał moje polecenie. I zaraz dowiemy się też, po której ty jesteś stronie. Złóżysz ofiarę w świętym gaju Aszery. Teraz. To ona jest boginią płodności i musisz właśnie jej podziękować za dar urodzenia mojego syna. Jeśli odmówisz, będzie to dowód udziału w spisku. Zostaniesz stracona za zdradę tak, jak twój ojciec.

Abbija prawie nie mogła oddychać. Nie chciała umierać. Złożenie ofiary Aszerze to łatwy sposób uniknięcia kary śmierci. To tylko obrzęd bez znaczenia. Mogłaby w ten sposób ułagodzić Achaza, a może nawet odzyskać jego zaufanie. Może by ustąpił i zezwolił jej na kontakt z dziećmi. Ale znała też przykazanie Jahwe: Nie będziesz czynił żadnej rzeźby ani żadnego obrazu! Nie będziesz oddawał im pokłonu i nie będziesz im służył. Gdyby udała, że oddaje cześć Aszerze, mogłaby zdobyć dla siebie nieco czasu tu na ziemi, ale czekałby ją Sąd Boży na całą wieczność.

- Nie mogę brać udziału w bałwochwalstwie - ledwie szepnęła. - Nie będę oddawać czci żadnemu innemu bogu poza Jahwe.

Oczy Achaza stały się zimne i szare jak granit.

- Wolisz umrzeć, niż być mi posłuszną?

Musiała wybierać między życiem a duszą. Nic więcej nie miała do stracenia. Ojciec był więźniem, dzieci i tak już więcej nie zobaczy.

- Nie mogę być nieposłuszną Bogu - odpowiedziała drżącym głosem.

- Świetnie. Straże! Spełnić jej życzenie! - Poleciał, wskazując ręką na strażników.

Dwóch z nich podeszło i złapało ją za ramiona. Jej przerażone serce łomotało. Co zrobiła? Teraz umrze! Jej dzieci będą się wychowywać bez matki. Musiała jeszcze pożegnać się z niemowlęciem, napomnieć Hiskiasza, by pamiętał o naukach dziadka, o tym, by nigdy nie zdradzić Boga. Co będzie z jej synami? Nogi jej miękły ze strachu. Nie była w stanie się poruszyć, nie mogła iść.

Panie, pomóż - modliła się w myślach.

I wtem pokój Jahwe obmył ją i napełnił. Był to ten sam pokój, który czuła na Wzgórzu Świątynnym, gdy przebywała w Jego obecności, ten sam, który czuła, gdy ojciec zapewniał ją, że Bóg panuje nad wszystkim. Była w ramionach Jahwe. Śmierć nie rozdzieli jej z Nim, lecz przybliży. W ciągu kilku chwil, jakie dzieliły ją od śmierci, poleciał Bogu dzieci wiedząc, że w Jego rękach będą bezpieczniejsze niż w jej ramionach.

Ale zanim żołnierze byli w stanie wyprowadzić ją z sali tronowej, poczuła, że Bóg daje jej odwagę wypowiedzenia jednego, ostatniego zdania. Obróciła się i spojrzawszy w oczy męża-bałwochwalcę powtórzyła słowa, których nienawidził i których się bał: - Słuchaj, Izraelu! Jahwe jest naszym Bogiem! Panem jedynym!

Uriasz spieszył się do pałacu. Obawiał się, że zbyt długo nie było go przy Achazie. Od czasu powrotu z Damaszku król był skrajnie niestabilny emocjonalnie i Uriasz nie mógł znieść przebywania w jego towarzystwie przez dłuższy czas. Achaz nabrał tak obsesyjnego lęku przed uczynieniem czegoś, co rozgniewałoby jego asyryjskich panów lub obraziłoby ich bogów, że wszędzie widział knowania i spiski.

Uriasz powiedział, że musi spotkać się z Lewitami, ale tak naprawdę poszedł do Świątyni, by pobyć sam. Stał na szczycie wzgórza, wdychając znajomą woń ofiar i kadzidła, ciesząc się, że wyrwał się z murów pałacu na przestronny dziedziniec, delektując się ciszą i spokojem. Daleko w dole leżała Jerozolima ze swoimi kłopotami i troskami. Patrzył na odległe, niewzruszone wzgórza, czerpiąc z nich siłę.

Pozostał tam jednak dłużej niż planował. Teraz, śpiesząc do sali tronowej, miał tylko nadzieję, że jego nieobecność nie rozgniewała Achaza. Ale sala była otwarta, a król już nie przewodniczył obradom. Przed wejściem stał Szebna, egipski guwerner wynajęty niedawno przez Achaza. Zgarbiony, głowa zwieszona, dłonie oparte o uda - wyraźnie załamany.

- Wszystko w porządku? - zapytał go.

Zaskoczył Szebnę. Guwerner spojrzał na niego i wtedy Uriasz zobaczył, że Egipcjanin jest głęboko wstrząśnięty. Jego ciemna twarz była blado-szara niczym śnięta ryba.

- Wszystko to moja wina - mamrotał pod nosem. - Bo chyba spowodowałem... To znaczy ja nie chciałem, ale skąd miałem wiedzieć, że król tak gwałtownie zareaguje?

Chwyciwszy Szebnę za ramię, by go podtrzymać, Uriasz poczuł, że guwerner cały drży.

- Czy jesteś w stanie powiedzieć spokojnie, o co chodzi?

- Muszę wiedzieć, co zrobiłem. Czy naprawdę wykryłem spisek, czy... czy doprowadziłem do straszliwej tragedii?

Słowa o spisku zaniepokoiły Uriasza.

- Nie możemy tutaj rozmawiać. - Rozejrzał się wokół, czy nie widziano ich, ani nie słyszano, po czym zaprowadził gubernera do swoich komnat. Zwolnił służących i dopiero wtedy ponownie zapytał Szebnę o to, co się stało. Egipcjanin wziął głęboki oddech.

- Jak wiesz, wczoraj zacząłem wykonywać swoje obowiązki gubernera księcia Hiskiasza. Podczas rozmowy powiedział mi, że ma już nauczyciela. Ja zaś zrozumiałem wcześniej, że mam być pierwszym.

- Jesteś pierwszy. - Potwierdził niecierpliwie Uriasz. - Hiskiasz jest w takim wieku, że dopiero co może zacząć naukę.

- Nie, panie. - Szebna pokręcił przecząco głową. - Księżę Hiskiasz powiedział, że uczył go już dziadek.

- Zachariasz? - Uriasz poczuł lęk.

- Jego imienia nie znam. Ale to Lewita.

- Mów dalej.

- Ale to zbyt straszne...

Na widok przerażenia Szebny, lęk Uriasza pogłębiał się. Miał ochotę wyrwać z niego relację, ale zmusił się, by poczekać, aż gubernier się opanuje.

- Przepraszam - powiedział wreszcie. - Najpierw powinienem był przyjść do ciebie. Popełniłem błąd, pytając Achaza o dziadka. Gdybym tylko był wiedział...

- Wiedział co? Szebna przełknął ślinę.

- Dziś rano, w mojej obecności, król Achaz posłał po swoją żonę. To jej ojciec uczył księcia, a ona umożliwiła mu wejście do pałacu.

- Chwileczkę. - Uriasz musiał aż usiąść. - Co ty właściwie mówisz?

- Król oskarżył żonę o spisek wspólny z jej ojcem. Powiedział, że ten, wraz z mężczyzną, który pochodzi z królewskiego rodu spiskowali, by go zabić, gdy zindoktrynują jego następcę. Żona króla wszystkiemu zaprzeczała, ale on... on kazał ją stracić.

- Nie Abbiję! - Uriasz zerwał się z krzykiem na równe nogi, zanim zdążył się opanować.

- Król dał jej możliwość, by dowiodła swojej lojalności w ten sam sposób, jak ty, panie, dowiodłeś mojej. Zażądał, by oddała cześć Aszerze. Ona odmówiła... i...

- Nie! Muszę to powstrzymać. - Pchnięty nagłym uderzeniem energii Uriasz pobiegł do drzwi, otwierając je tak mocno, że niemal wypadły z zawiasów.

- Poczekaj, panie! - krzyknął za nim Szebna. - Poczekaj! Już za późno! Już ją zabrali, by wykonać wyrok.

- Nie! Kłamiesz. - Uriasz obrócił się na pięcie i ścisnął ramiona guwenera tak mocno, że zanim zdążył się opanować,

0 mało co nie wycisnął z niego życia.

- Przepraszam - powiedział guwener cicho. - To prawda. Bardzo mi jest przykro.

- Nie, mnie wybaczyć - odrzekł Uriasz, puszczał go. - Nic ci nie zrobiłem?

- Powiedz mi tylko, panie, dla spokoju mojego własnego ducha. Czy dobrze zrobiłem?

Uriasz za bardzo był pochłonięty własnym strapieniem, by teraz pocieszać jeszcze tego człowieka. Zabił Abbiję? To było tak straszne, że wręcz nie do pojęcia. Miał ochotę załamać się, rozplakać, ale na oczach Szebny nie odważyłby się, choć te paliły go od usilnego powstrzymywania żalu.

- Nie... nie wiem - powiedział w końcu. - Ale się dowiem.

1 dam ci znać. Teraz możesz odejść.

Gdy tylko Szebna zniknął, Uriasz ukrył twarz w dłoniach i upadł na podłogę. Dlaczego nie był na miejscu? Dlaczego nie został w sali tronowej? Po co było siedzieć tyle w Świątyni? Uratował ojca Abbiji i jej syna, dlaczego nie było go, gdy należało ją samą ratować?

To już jej nie ma? - myślał, wspominając ostatnią rozmowę, podczas której błagała o darowanie ojcu życia. Upierała się, że gdyby Achaz kiedykolwiek nakazał jej popełnienie grzechu przeciw Jahwe, wybrałaby posłuszeństwo Bogu. Zapytał ją wtedy czy „za cenę życia”.

„Tak, nawet za cenę życia”. - Odpowiedziała wtedy - „Bo gdybym wyrzekła się Boga, nie pozostałoby mi nic. Bóg dałby mi siłę do dokonania takiego wyboru”.

Zatkał usta, by nie zwymiotować. W tym momencie czuł taką nienawiść do Achaza, że mógłby go zabić. Król ożenił się z jedyną kobietą, którą on, Uriasz, kiedykolwiek kochał. A teraz tę kobietę zabił. Zerwał się na równe nogi. Nie może służyć Achazowi ani dnia dłużej. Ani godziny.

Złożył dymisję. O to prosił go Zachariasz przed kilkoma miesiącami. Błagał go wtedy: „Pomóż mi sprzeciwić się bałwochwalstwu Achaza. Służysz niewłaściwemu królowi”.

Uriasz był jednak świadom, co by się stało, jeśli teraz złożył by swój urząd. Achaz bez skrupułów zabił domniemanych wrogów: Zachariasza, Izajasza, własną żonę! On byłby następny.

A umierać nie chciał.

- O, Boże! - jęknął, osuwając się znów na podłogę. Był to jednak tylko krzyk rozpacz, nie modlitwa. Nie umiał już sobie przypomnieć, kiedy ostatnio się modlił. Zachariasz go ostrzegał: „za każdym razem, gdy ustępujesz, umiera jakiś drobny kawałek twojego ducha”. Czy to dlatego Bóg wydawał mu się teraz tak odległy? Czy to dlatego nie mógł zmusić się

do dokonania tego samego wyboru, jaki dokonała Abbija, do oddania życia za wiarę?

Nie, wciąż wierzy w Jahwe, wciąż Mu służy. Więcej dobra może zrobić dla Boga, pozostając przy życiu i służąc u boku króla, niż umierając jako męczennik. Już zrobił - uratował życie Hiskiasza i Zachariasza. Mógł też uratować Abbiję, gdyby tu był. Och, Boże, gdyby tylko tu był! Ale go nie było, Abbija zginęła.

Abbija zginęła.

Żaloba nagle przejęła nad nim kontrolę. Wcisnął twarz w poduszkę, by nikt nie słyszał jego gorzkich szlochów. I płakał.

Widok Szebny w sypialni, tuż po przebudzeniu, zaskoczył Hiskiasza. Godzina, którą spędzili razem wczoraj, zwiedzając królewskie stajnie i obserwując ćwiczenia walk w wykonaniu żołnierzy, była miła. Ale Szebna nigdy nie zastąpi dziadka.

- Skąd się tu wzięłeś? - zapytał, wstając z łóżka.

- Twój ojciec mówi, że nie jesteś już dzieckiem. Skoro zacząłeś naukę u mnie, czas opuścić dziecięce komnaty.

Szebna przyprowadził ze sobą pół tuzina sług, którzy spakowali wszystkie rzeczy Hiskiasza i wynieśli je z pokoju w czasie, gdy on ubierał się i wiązał sandały. Twarz Szebny pozbawiona była tego fałszywego uśmiechu, który gościł na niej wczoraj. Jego twarz, podobnie jak i oczy, były ponure.

Wszystko działo się tak szybko. Hiskiasz nie chciał wyprowadzać się z pokoju. Co będzie jak dziadek wróci i będzie go szukał? Chciał zostać tu, przy mamie, mimo że była wciąż zajęta młodszym braciszkiem. Na widok sług wynoszących jego rzeczy o mało się nie rozpłakał.

- Jesteś gotów? - zapytał Szebna, pokazując w stronę drzwi. Hiskiasz skinął głową, ale chciał jeszcze zobaczyć się

z matką, powiedzieć jej, że każą się mu wyprowadzić. Przytulić się do niej, pożegnać. Przebiegł przez drzwi przed Szebną i skręcił w stronę skrzydła dla kobiet, wiedząc, że guwernerowi nie będzie wolno podążać tam za nim. Wpadł do apartamentu matki bez pukania, otwierając gwałtownie drzwi, ale nie było jej wewnątrz. Komnata była wielka i pusta, wszystkie jej rzeczy usunięto. Nawet kołyskę braciszka.

- Mamo? - zawołał, biegnąc po opuszczonej komnacie. - Mamo, gdzie jesteś? - Pomieszczenia były tak puste, że ściany odbijały echo.

- Nie wolno ci tu być. Musisz stąd wyjść.

Hiskiasz obrócił się na pięcie. W drzwiach stał zajmujący się skrzydłem dla kobiet eunuch.

- Gdzie mama?

- Jej... nie ma - eunuch odpowiedział nieswoim głosem, jakby coś go dławilo. - Podejź. - Skinął na chłopca, ale ten się cofnął.

- Dokąd poszła? - zapytał nieufnie. Dokąd by nie poszła, nieważne jak daleko, odnajdzie ją i pójdzie do niej.

- Nikt ci nie powiedział?

- Czego?

Mężczyzna przełknął ślinę i bardzo delikatnym głosem powiedział:

- Twoja matka nie żyje.

- Nie! - krzyknął Hiskiasz. - To nieprawda! Żyje! Ale eunuch zamknął oczy i skinął głową.

- Przykro mi. Chciałbym, żeby to nie była prawda. Twoja matka była piękną kobietą... wszystkim nam będzie jej brakowało.

Hiskiasz minawszy mężczyznę, wybiegł z pokoju oślepiiony łzami, których nie mógł już powstrzymać. Chciał tak biec bez końca, wszystko jedno dokąd. Ale gdy przebiegał koło swojej dawnej sypialni, Szebna złapał go i wciągnął do komnaty. Była pusta, tak jak komnata matki. Nawet łoża już nie było.

- Puść mnie! Puść mnie! - krzyczał, szarpiąc się z Szebną. Guwerner uwolnił go z uścisku, ale stanął przed drzwiami, zastawiając wyjście.

- Przepraszam, Hiskiaszu. Chciałem ci to powiedzieć w łagodniejszy sposób, ale nie dałeś mi szansy.

- To nieprawda, nie umarła! Egipcjanin westchnął.

- Wiem, że bardzo trudno ci to przyjąć, ale to prawda. Czy rozumiesz, co to znaczy, że ktoś umiera?

Rozumiał aż za dobrze. To znaczy, że mama już nie wróci. Nigdy. Widział, jak umierają bracia, odeszli na zawsze. Usiadł na gołej podłodze i szlochał. Za wiele tych zmian. Traci wszystkich, których kocha. Nie mógł nawet zobaczyć się z mamą po raz ostatni, pożegnać się. A teraz był sam. Tak bardzo sam. Ukrył twarz w dłoniach i płakał, aż od tego płaczu rozboleło go całe ciało.

Po chwili uświadomił sobie, że Szebna siada obok. Guwerner położył dłoń na ramieniu Hiskiasza, by okazać mu wsparcie.

- Przykro mi - powiedział cicho. - Naprawdę mi przykro. Szebna wiedział wszystko o matce. Więc może wiedział też o dziadku.

- Wiesz, gdzie jest dziadek? - spytał, podnosząc głowę. - Powiedziałeś, że się dowiesz.

Guwerner wahał się tak długo, że Hiskiasz zaczął się zastanawiać, czy dziadek też nie umarł. Wreszcie Egipcjanin wzięwszy głęboki oddech, powiedział:

- Przepraszam, że wprowadziłem cię w błąd, zgadzając się zdobyć odpowiedź na twoje wczorajsze pytanie. Mogę nauczyć cię czytać i posługiwać się liczbami. Z radością nauczę cię wszystkiego, co wiem, o przyrodzie, historii i geografii. Ale jeśli masz pytanie dotyczące twojej rodziny bądź religii, musisz zapytać ojca.

Ojca.

Na wspomnienie ojca ból Hiskiasza przemienił się w nienawiść. To on spowodował wszystkie te zmiany w życiu Hiskiasza. To jego ojciec rozkazał, by składać ofiary Molochowi. To jego ojciec zbudował w Świątyni Jahwe pogański ołtarz, a Zachariasz poszedł tam, powiedzieć mu, że to źle. Powiedział wtedy: „Twój ojciec jest nieprzewidywalny. Nie jestem pewien, jak na to zareaguje”. To przez ojca Zachariasz nie wrócił.

Hiskiasz znów pochylił głowę, płacząc z rozpacz i bezsilnej wściekłości. Ojciec był przyczyną wszystkich jego cierpień. Ale był królem Judy i Hiskiasz był wobec niego bezradny.

Po dłuższej chwili znów poczuł na ramieniu dłoń Szebny.

- Nie jesteś sam - powiedział cicho guwerner. - Masz we mnie przyjaciela. Jeśli chcesz, możemy porozmawiać. Może to ci pomoże.

Hiskiasz chciał, żeby ustąpił ten straszliwy ból. Nie był w stanie tego znieść. Ból ledwo pozwalał mu oddychać. Ale nie chciał rozmawiać z Szebną.

- Gdy przychodzi pora deszczowa - ciągnął Szebna - wydaje się, że nigdy się nie skończy. Ale któregoś dnia chmury się rozstępują i słońce znów świeci. Tak będzie również z twoim smutkiem. Tak wiele chciałbym cię nauczyć o świetle. A możesz mi wierzyć, że światło wiedzy to wspaniałe lekarstwo. Gdy uczysz się czegoś nowego, na chwilę zapominasz o stracie. Mogę pomóc ci zapomnieć o twoim wielkim smutku, jeśli mi pozwolisz.

Hiskiasz chciał mu wierzyć. Ale właśnie teraz pomyślał o pustej komnacie mamy, o tym, że mama nie żyje i znów zaczął płakać.

- Chcesz pobyć chwilę sam? - zapytał Szebna. - Czy mam zostać?

Hiskiasz pomyślał, że jeśli jeszcze ktoś go opuści, nie zniesie tego.

- Zostań - szepnął.

- Dobrze.

Hiskiasz płakał, aż wypłakał wszystkie łzy. Gdy już ich zabrakło, poczuł się wewnątrznie pusty. Szebna wstał i rozciągnął swoje patykowate ciało.

- Gdy będziesz gotów, Hiskiaszu, pójdziemy do stajni. Już wybrałem ci konia, i nauczyciel jazdy czeka na ciebie. Mam jeszcze jedną niespodziankę. W zbrojowni przygotowują miecz odpowiedni do twojego wzrostu, żebyś mógł nim ćwiczyć.

- Będzie ostry? - zapytał ochrypłym głosem Hiskiasz, podnosząc głowę i ocierając twarz rękawem.

- A chciałbyś? - Szebna uśmiechnął się. Hiskiasz przytaknął.

- To chodź, powiemy im, dobrze? - Podał rękę chłopcu, pomagając mu wstać.

Część Druga

„Achaz (...) Zamknął bramy świątyni Pańskiej, a wystawił sobie ołtarze we wszystkich zakątkach Jerozolimy. W każdym też judzkim mieście ustanawiał wyżyny, aby składać ofiary kadzielne dla obcych bogów, przez co rozgniewał Pana, Boga swych przodków”.

2 Księga Kronik 28,24-25

13.

Hiskiasz spojrział na wieżę zegarową stojącą na dziedzińcu pałacu, za oknem jego gabinetu. Nadszedł czas jego rozmowy z królem Achazem. Wstał i wygładził szaty, po czym palcami ułożył brodę. Wolałby uniknąć tego spotkania.

- Jestem już dorosły, Szebno. Dlaczego to, że jestem wzywany przez ojca, sprawia, że czuję się jak dziecko?

- Jest królem - odparł Szebna, który siedział obok miejsca, które przed chwilą zajmował książę i zwijał teraz zwój, który obaj studiowali. - Królewska to rzecz upokarzać innych.

- Nie, w tym jest coś więcej. Niezależnie od tego co robię, on daje mi odczuć, że nie spełniam jego oczekiwań. Nigdy też nie wiem, czego się spodziewać, gdy mnie wzywa, bo nigdy nie mówi mi wcześniej, dlaczego chce mnie widzieć.

Szebna odłożył zwój i odchylił się na swym siedzisku. Dobiał już pięćdziesiątki, na ciemnych włosach pojawiały się siwe pasemka. Jego patykowate ciało było coraz chudsze, tak jakby każdy spożyty kęs napędzał jego umysł, który wciąż pracował, analizował, rozważał.

- Czy król wezwał cię do sali tronowej, czy do komnat prywatnych? - zapytał. - To powinno wskazać jakiś trop.

- Do komnat prywatnych. Przypuszczam, że sprawa jest osobista.

- Hmm. Relacje ojców z synami mogą być notorycznie trudne, szczególnie w przypadku, tak różnych osobowości, jak wasze.

- Tak. A do tego jest królem. Co czyni naszą relację niemożliwą. - Hiskiasz odwrócił się do drzwi, ale Szebna zatrzymał go dotknięciem rękawa.

- Jeśli mogę coś poradzić. Bądź ostrożny. Król Achaz ma nieprzewidywalny temperament. Cokolwiek by się nie działo, nie rozniewaj go. - Niepokój na twarzy Szebny zaskoczył Hiskiasza. Nie zdawał sobie dotąd sprawy, że jego guwerner aż tak się boi Achaza. Ale teraz nie czas by pytać o przyczynę lęku.

- Dzięki za radę - odrzekł Hiskiasz i pospieszył stawić czoła niespodziankom.

Król Achaz wzbudzał w Hiskiaszu szerokie spektrum emocji, od lęku i nienawiści po politowanie i obrzydzenie. Jednakże wśród tych uczuć rzadko pojawiał się szacunek, nigdy zaś, o ile mógł sobie przypomnieć, miłość. Odkąd sięgał pamięcią, była gorycz, choć dawno już zapomniał, jaki był jej konkretny motyw. Unikał Achaza jak tylko mógł, a gdy bywał przez niego wzywany, odczuwał dziwny niepokój.

Sługa otworzył mu drzwi do urządzonych z wielkim przepychem komnat ojca. Grube kobierce chroniły przed zimnem ciągnącym od podłóg, ściany zdobiły asyryjskie kobierce. Każdy zakątek komnaty wypełniał zapach kadzidła, który nieustannie dusił. Hiskiasz, mając w pamięci radę Szebny, skłonił się, zbierając się na odwagę przed ewentualną konfrontacją. Niezależnie od wszystkiego nie będzie działał Achazowi na nerwy.

- Chciałeś mnie widzieć, Wasza Wysokość?

- Tak. Chciałem ci przekazać wiadomość, która może cię zainteresować - odrzekł Achaz, wyciągając się na otomanie wśród leżących w nieładzie poduszek. Jego twarz wyrażała znudzenie. Hiskiasz pomyślał, czy nie został czasem wezwany dla rozrywki. Achaz nie poprosił go, by usiadł, kazał mu stać,

czekając, aż przejdzie do sedna. - Nalej mojemu synowi nieco wina - polecił słudze.

- Nie, dziękuję - odparł Hiskiasz, podnosząc dłoń. Miał nadzieję, że nie zirytuje ojca swoją odmową, ale jeszcze nawet nie minęło południe. Zobaczył, że Achaz przygląda mu się spod przymkniętych powiek.

- Ile ty masz lat? - spytał w końcu.

- Dwadzieścia pięć, panie.

- Dwadzieścia pięć... naprawdę? Cóż, jestem bardzo zadowolony z twojej dotychczasowej edukacji. Świetnie ci szło z nauką i ćwiczeniami wojskowymi. - Wstał ciężko i zaczął przechadzać się po komnacie. Po chwili, wzięwszy do ręki jakiś bibelot, przyjrzał mu się badawczo. - Powiedz mi, czy Szebna nauczył cię zachowania podczas uroczystości?

Hiskiasz zastanawiał się, jak ma odpowiedzieć. Wiedział, że jego ojciec na ołtarzach poustawianych w całym mieście zapamiętał odprawiał ofiary, co jego samego napawało wstrętem.

- Jeśli chodzi o udział w formalnych obrzędach religijnych, to niezbyt jestem zainteresowany...

- Nie, nie - przerwał Achaz niecierpliwie. - Nie chodzi mi o rytuały ofiarne. Wiem, że w nich nie uczestniczysz.

Prawda była taka, że Achaz rzadko kiedy pozwalał na udział Hiskiasza w uroczystościach publicznych czy nawet w liturgii w Świątyni. Dysproporcja fizyczna ojca i syna była olbrzymia i wyglądało to właściwie tak, jakby Achaz nie chciał z nim rywalizować w sferze publicznej. Trzymał Hiskiasza jak najbardziej w cieniu.

- Nie. Chodziło mi o twoją wiedzę z zakresu protokołu dyplomatycznego.

- Znam biegle kilka języków. - Hiskiasz starał się, by jego głos brzmiał cierpliwie. Gierki ojca już zdążyły go zmęczyć. Zastanawiał się, dokąd mają prowadzić. - Uczyłem się też

zwyczajów panujących w stosunkach międzynarodowych, jeśli o to chodzi.

- Tak. Chodzi mi właśnie o to. A podróżować lubisz?

- Zjeździłem prawie cały obszar naszego kraju i nawet mi się podobało. - Perspektywa wyjazdu poza ciasne mury Jerozolimy była kusząca, ale Hiskiasz wolał udawać obojętność, by nie pozwolić ojcu na zdobycie przewagi nad sobą.

- Dobrze, dobrze - odrzekł Achaz i roześmiał się bez wyraźnego powodu. Śmiech ten spowodował atak kaszlu; król zaczął rząść i zrobił się cały czerwony

Hiskiasz wahał się, jak powinien zareagować. Czy okazać troskę? Czy też współczucie odebrano by raczej jako podkreślenie słabości króla? W końcu nic nie odpowiedział, a sługa Achaza pomógł królowi wrócić na otomanę i dolał mu wina. Achaz wypił kilka łyków.

- Każ podczasemu przynieść coś mocniejszego - polecił. Gdy sługa wyszedł, Achaz znów spojrzał na Hiskiasza.

- Czas cię wyswatać. Chciałbyś?

Protekcjonalne zachowanie ojca przyprawiało Hiskiasza o wściekłość, którą trudno mu było ukryć. Ojciec bawił się nim, najpierw napomynał o podróży, potem rzucał coś o małżeństwie. Wiedział, że sprzeciwianie się ojcu może być groźne, ale nie mógł powstrzymać się, by nie powiedzieć:

- Mam już kilka nałożnic, panie. Nie jestem zainteresowany oficjalnym małżeństwem.

- To lepiej, żebyś był - warknął Achaz. - Mój minister handlu negocjuje pewne porozumienie. Postanowiłem, że jeśli mu się uda, jego córka wyjdzie za ciebie.

Myśl, że ma zostać wykorzystany jako nagroda, jako zapłata za przysługę uczynioną Achazowi, przyprawiła go o wściekłość. Przez chwilę nie mógł wręcz rozmawiać.

- Dziewczyna ma na imię Chefsiba - ciągnął Achaz - to chyba ci się spodoba, co? - Roześmiał się z własnego żartu, kalamburu nawiązującego do jej imienia, które oznacza „moje upodobanie w niej”. Hiskiasz skinął milcząco głową, wiedząc, że jego opinia nie ma tu żadnego znaczenia. Achaz już zdecydował. Ożenek będzie poleceniem.

- Ojciec Chefsiby negocjuje umowę handlową z Tyrem. Chciałbyś pojechać z nim jako poseł?

- Tak, oczywiście. Ale z Tyrem? Dlaczego... - Hiskiasz przerwał gwałtownie, powstrzymując się przed dokończeniem zdania. Tak jak myśl o podróży bardzo mu się podobała, tak umowa handlowa wydawała się pozbawiona sensu.

- Ale... co? - spytał Achaz niecierpliwie.

Hiskiasz wahał się świadom ryzyka, jakie wiązało się z kwestionowaniem decyzji ojca. Ale Szebna nauczył go logicznego myślenia i książę nie mógł nie mówić, co myśli.

- Po co nam umowa handlowa z Tyrem, skoro nie mamy bezpośredniego dostępu do ich terytorium?

- O czym ty mówisz? - Achaz popatrzył na syna osłupiałym wzrokiem.

- Gdy Filistyni odebrali nam tereny na przedgórzu, zyskali kontrolę nad wszystkimi przełęczami na północy, które zapewniają nam dostęp do szlaku nadmorskiego. Handel z Tyrem będzie wymagał korzystania z ich terytorium, co wiąże się z płaceniem cła, lub ze szlaków położonych dalej na północ i... - Przerwał na widok czerwieniejącej się twarzy ojca. Za późno zorientował się, że wykazanie, iż dysponuje większą wiedzą niż Achaz było błędem. - Ale ty, panie, z pewnością jesteś tego świadomy - mruknął, choć wyraz twarzy ojca wskazywał, że Achaz nie miał pojęcia o tych realiach. - Nie chciałem przez to sugerować...

- Ty chyba na wszystko masz odpowiedź? - Król zerwał się z otomany i podszedł do syna. - A może uważasz, że byłbyś lepszym królem niż ja?

- Nie chciałem...

- Nie przerywaj! To ja rządę tym krajem, a nie ty! Chociaż na pewno skorzystałbyś z okazji do przejęcia władzy, prawda?

Hiskiasz nie odpowiadał.

- Prawda?! - Achaz patrzył na niego wyzywająco.

- Nie, panie. Nie chcę przejmować władzy. Myślę jednak, że jestem na tyle kompetentny, by objąć odpowiedzialne stanowisko w twoim rządzie i gotów jestem służyć w każdy...

- Z pewnością jesteś gotów służyć, tak jak Absalom swojemu ojcu Dawidowi, przeciw któremu wszczął bunt. - Achaz patrzył na syna oskarżycielsko, tak, jakby Hiskiasz z własnej woli, na złość otyłemu ojcu, był wysoki, szczupły i umięśniony - Znam zmienność ludu. Przekonanie go, że byłbyś lepszym władcą niż ja to ostatnie, czego mi trzeba.

Oskarżenia ojca rozgniewały Hiskiasza, który wbrew swemu stanowczemu postanowieniu, w odruchu samoobrony stracił panowanie nad sobą.

- Nie powiedziałem, że chciałbym przejąć władzę! Ale skoro i tak kiedyś mam zostać królem, pozwól mi przynajmniej uczestniczyć czasem w zebraniach Rady Królewskiej, bym się zaznajomił z tym, jak państwo...

- Nie! Jak śmiesz? - Achaz obrócił się plecami i sztywnym krokiem przemaszerował dumnie przez komnatę. - A potem otrujesz mnie we śnie.

-Co??

- Milcz!

Wściekłość, jaką Hiskiasz ujrział w oczach ojca, uciszyła go skuteczniej niż polecenie. Achaz łyknął nieco wina i to go chyba trochę uspokoiło. Hiskiasz czekał.

- Nie jesteś jeszcze gotów do podjęcia takiej odpowiedzialności - rzekł Achaz wreszcie. - Może, gdy ustatkujesz się po ślubie, będę miał dla ciebie poważniejsze zadania. Oczywiście jeśli zasłużysz. A teraz precz!

Hiskiasz wychodząc musnął podczaszego i kroczył korytarzami pałacu wściekły na Achaza. A jeszcze bardziej niż na ojca był zły na siebie o to, że stracił nad sobą panowanie. Straci przez to prawdopodobnie możliwość udziału w misjach handlowych, choćby i bezsensownych. Jeśli Achaz ma zmienić zdanie, niech zmieni również odnośnie małżeństwa.

- Rozumiem, że ojciec nie miał dla ciebie dobrych wieści? - Westchnął Szebna na widok zagniewanej twarzy Hiskiasza, gdy księżę dotarł do swego gabinetu.

Hiskiasz jęknął i siadł na stosie poduszek przy oknie.

- Sam nie wiem. Mogłyby być dobre, gdybym zachował zimną krew. Ojciec chciał wysłać mnie z misją handlową. I to akurat do Tyru! Ale gdy wskazałem bezcelowość podpisywania umowy handlowej w sytuacji braku szlaków handlowych, wściekł się, że lepiej od niego znam geografę.

- Ojoj... - Szebna skrzywił się.

- To nie koniec. Poprosiłem go, żeby dał mi możliwość nauki rządzenia państwem, na co on zareagował oskarżeniem mnie o spiskowanie w celu jego obalenia.

- Spiskowanie... - Szebna powoli usiadł na ławce. Jego twarz pobladła.

- Tak. Wtedy się zdenerwowałem, a on mnie wyrzucił. A, i byłbym zapomniany. Ojciec chce mnie swatać.

- Mam nadzieję, że się zgodziłeś?

- Szebno, on chce mnie użyć jak... jakąś nagrodę. Mam być zapłatą dla jakiegoś ministra handlu czy kogoś. Wolałbym pełnić w królestwie nieco pożyteczniejszą rolę.

Szebna pokręcił głową z niepokojem.

- Czy zdajesz sobie, panie, sprawę z tego, jak niebezpieczny może być jego gniew? Gdybyś tylko w jego towarzystwie powściągnął swój gorący temperament, był cierpliwy, słuchał go bez komentarzy.

- Naprawdę tym razem się starałem, ale to było takie kretyńskie. Umowa handlowa z Tyrem!

- Kretyńskie, czy nie, była szansa się wykazać, a...

- ... a ja ją zmarnowałem?

- Będziesz musiał, panie, z powrotem wkraść się w jego łaski. Może warto byłoby okazać zainteresowanie wskazanej wybrance.

- Nie chcę żony, którą wybrał mi ojciec.

- Widzisz? Upór zawsze wpędza cię w kłopoty. Spojrzawszy na Szebnę, Hiskiasz uśmiechnął się wymuszenie.

- Masz rację, jak zwykle. Co jeszcze mi możesz doradzić?

- Jeśli o mnie chodzi, zakończyłeś już swoją edukację. Wiesz więcej niż ja. Gdyby król miał mnie pytać, zaproponowałbym, by pozwolił ci nabyć praktycznego doświadczenia w rządzeniu. Mógłby mianować cię sędzią niższej instancji lub gubernatorem. A już jako zupełnie minimum powinienes zasiadać na posiedzeniach rady królewskiej, by wiedzieć, co dzieje się w kraju.

- Zgadzam się z tobą Szebno, niestety nie zgadza się z tym mój ojciec. W istocie właśnie poprosiłem go o stanowisko w radzie królewskiej i to wtedy oskarżył mnie o spiskowanie przeciw niemu.

- Zatem nie jest teraz czas, by to z nim omawiać. Mądrze będzie z naszej strony, jeśli poczekamy.

Hiskiasz słyszał w głosie guwernera odcień lęku. Drugi raz tego ranka uświadomił sobie, że Szebna bardzo się boi Achaza.

- Ja też się go boję - wyznał cicho. - Jest zbyt porywczy.

Daje się opanować emocjom. I nie musi czynić mnie swoim następcą. Nie brak mu dziedziców, co chętnie mi przypomina. Godoliasz ma z nim znacznie lepsze stosunki.

- Ale mówisz, że ciebie wyznaczył na posła? - spytał Szebna z namysłem.

- Powiedział „może”. A dawniej wspominał coś o stanowisku w rządzie i też nic z tego nie wyszło. Więc i tym razem trzeba czekać. Ojciec nie jest starcem, Szebno. Być może jeszcze wiele lat dzieli mnie od objęcia tronu.

- To prawda, panie - westchnął guwerner.

- Może powinieneś zacząć udzielać mi lekcji cierpliwości?

14.

Chefsiba leżała na poduszkach pod drzewem figowym na dziedzińcu rodzinnego domu, marząc o przyszłym mężu. Ojciec powiedział, że jest kilku konkurentów, ona zaś przeprowadzała w myślach ich inspekcję, patrząc na lśniące, zielone liście, jakby każdy z nich reprezentował kandydata na męża. Oczywiście jej opinia nie miała realnego znaczenia, ale Chefsiba uwielbiała marzyć.

Wiedziała, że ojciec uzyska za nią w negocjacjach wysoką cenę, nie tylko dlatego, że sam jest wysoko postawionym urzędnikiem, ale również dlatego, że ona jest bardzo piękna. Całe życie jej to mówiono, ale ostatnio uświadomiła sobie, jaki ma to wpływ na mężczyzn, nawet jeśli dyskretnie zasłaniała twarz. Była drobnej, delikatnej, kruchej budowy, co wzbudzało w mężczyznach gorące pragnienie, by ją posiąść i chronić. Miała ponadto wiele naturalnego wdzięku i elegancji, które świadczyły o jej pozycji społecznej wśród judzkich dostojników.

Popołudniowe słońce ogrzewało ją, przeświecając przez drzewa i kładąc na ziemi cętki światła. Spokój i cichy szmer owadów wywoływał senność. Zamknęła oczy. Przebudziwszy się, zobaczyła, że ojciec stoi nad nią i się uśmiecha.

- Czy tak powinna spędzać popołudnia narzeczona księcia?

Ojciec był ubrany w zdobne szaty, które zakładał, gdy szedł do króla. Domyśliła się więc, że właśnie wraca z pałacu.

Czoło miał zwilżone kropelkami potu, a rumieniec na twarzy był efektem nie tylko gorąca, ale i emocji. Chefsiba usiadła szybko, nie była pewna, czy nie śni.

- Co powiedziałaś, Abba?

- Możliwe, że nie powinienem ci o tym mówić, zanim nie zapadną ostateczne ustalenia, ale nie jestem w stanie utrzymać tak wielkiej sprawy w tajemnicy.

- Jakiej, Abba? Proszę, powtórz. - Złapała ojca za obydwie dłonie i pociągnęła go za sobą, zmuszając, by usiadł na poduszkach.

- Od kilku miesięcy pracowałem razem z królem nad pewnym ważnym projektem. Achaz jest bardzo zadowolony z tego, co udało mi się osiągnąć. Dziś rano powiedział mi, że jeśli uda mi się sfinalizować porozumienie handlowe, które przygotowuję, wyjdiesz za jego syna, księcia Hiskiasza.

Nowina ją szczerze zdumiała.

- Och, Abba! To znaczy, że zamieszkam w pałacu? Ja? Jako żona księcia?

- Tak, kochanie. A twój przyszły mąż jest do tego następcą tronu. Będzie kiedyś królem Judy!

To już zupełnie ją przytłoczyło. Wstrząs i upał sprawiły, że zakręciło się jej w głowie. To musi być sen. To nie może być prawda.

- Och, Abba - szepnęła.

- Co się dzieje? Myślałem, że się ucieszysz, a ty wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha Azariasza.

Chefsiba wiedziała, że powinna się nie posiadać z radości, ale zamiast tego poczuła lęk.

- Nigdy nie marzyłam... nigdy nie myślałam... Abba, nie wiem, czego się wymaga od żony króla?

- By rodziła mu synów. - Roześmiał się. - Wielu, wielu synów. Tego oczekuje od żony każdy mężczyzna, od króla po niewolnika.

Wiedziała, że ojciec ma rację. W miarę jak lęk ustępował miejsca radości z nieoczekiwanych zaręczyn, w jej umyśle zaczęły mnożyć się pytania:

- Jak on wygląda, Abba? Czy już go kiedyś widziałam? Ile ma lat?

- Powoli, po jednym pytaniu - odparł, znów się śmiejąc. - Poza tym, czy to ważne, jak wygląda? Kiedyś będzie królem.

Chefsiba widywała Achaza podczas przemarszów królewskiego orszaku i podczas uroczystości. Zapamiętała go jako potwornego tłuściocha. Wzdrygnęła się na myśl o ewentualnym wyjściu za niego, o przytulaniu się do jego ciastowatego brzucha. Znów się wystraszyła.

- Tak, Abba. Oczywiście, że to ważne. Czy księżę Hiskiasz jest tak samo błądy i gruby jak jego ojciec?

- Chefsibo!

Zatkała usta dłonią. Jej szczerłość najwyraźniej była dla ojca wstrząsem.

- Mówisz o królu Judy! Jak możesz wyrażać się tak lekceważąco?

- Przepraszam, Abba. - Spojrzała w dół i starała się okazać skruchę, ale na myśl o wyjściu za kogoś takiego jak Achaz, choćby był i królem, dostawała drgawek.

- O, nic się nie stało. Przed zaręczynami masz prawo być nieco stremowana. - Z miłością odgarnął z jej twarzy ciemne włosy. - Prawdę mówiąc, to nie za wiele wiem o twoim przyszłym mężu. Widziałem kilku książąt, ale nie wiem, który z nich to Hiskiasz. Nigdy nie przychodzi na zebrania rady królewskiej. Słyszałem, że studiuje pod kierunkiem pewnego egipskiego guwernera, podobno geniusz z niego. I dużo czasu poświęca na ćwiczenia wojskowe pod okiem kapitana straży pałacowej. Obiecuję ci, że po zaręczynach spróbuję się dowiedzieć czegoś więcej, zgoda?

- Tak, Abba - odparła cicho.

Przez resztę wieczoru Chefsiba na przemian pograżała się w radości bądź strachu, myśląc cały czas o tym, że ma wyjść za nieznanego sobie księcia. Życie pełne przyjemności, eleganckie stroje, biżuteria i setki sług - to było kuszące. Ale jej wymarzony mężczyzna miał przecież być przystojny i silny a nie blady jak jakiś słabeusz. Jeśli książę Hiskiasz jest podobny do ojca, co ona pocznie? Jak ukryje odrazę za każdym razem, gdy będzie ją przytulał, gdy będzie przyciskał swoje nabrzmiałe policzki do jej policzków?

Przewracała się i kręciła w łóżku, nie mogąc zasnąć, choć cały dom spał już od dawna. Ojciec powiedział, że do ostatecznych zaręczyn mogą upłynąć jeszcze tygodnie. Chefsiba doszła do wniosku, że nie wytrzyma tak długiego lęku przed nieznanym. Musi dowiedzieć się, za kogo ma wyjść i ewentualnie powstrzymać zaręczyny, zanim będzie za późno.

Całą noc patrzyła na przesuwające się za oknem gwiazdy, na srebrny księżyc, który zdążył wzejść i zająć. Gdy opracowała plan, już prawie świtało. Wstała z łóżka, pozostawiając je w nieładzie i wśliznęła się do pokoju młodszej siostry.

- Miriam, wstawaj - szepnęła, szarpiąc ją.

- Chefsiba? Co tu robisz? - zapytała Miriam sennym głosem.

- Ćśś. Posłuchaj. Musisz mi pomóc. Oszaleję jak mi nie pomożesz.

- Co się dzieje?

- Abba chce mnie zaręczyć z księciem.

- No przecież wiem - odpowiedziała nerwowo Miriam. - Budzisz mnie, żeby powiedzieć mi to, co i tak już wiem?

- Ćśś. Posłuchaj mnie. Muszę się dowiedzieć jak on wygląda, zanim będzie za późno. Bo jakby się okazało, że jest okropny? Co wtedy?

- I tak za niego wyjdiesz, jako posłuszna córka. Daj mi spać. - Siostra zamknęła oczy i odwróciła się plecami do Chefsiby.

- Proszę, wysłuchaj mnie. Jeśli naprawdę mi się zupełnie nie spodoba, mogłabym modlić się do wszystkich bogów o odwołanie zaręczyn albo... albo złożyć śluby, albo nie wiem... Proszę, Miriam. Pomyśl, jakby to były twoje zaręczyny? Nie chciałabyś wiedzieć, jak wygląda? Musisz mi pomóc.

Chefsiba nie musiała grać rozpaczki. Wystarczyło wyobrazić sobie, że siedzi obok grubego, nadętego króla, by ogarnęła ją bezradna panika. Miriam odwróciła się z powrotem w stronę siostry.

- To zależy. Co byś ode mnie chciała?

- Mam plan. Ułożymy poduszki na łóżkach tak, żeby wydawało się, że śpimy. Wyślizgniemy się i spróbujemy podejrzeć Hiskiasza.

- Oszalałaś!?! - Miriam usiadła na łóżku wyprostowana. - Nie możemy same iść na miasto. Jeśli Abba nas przyłapie, każe nas ukamienować.

- Cśś... przeberzemy się za służki, będziemy udawać, że idziemy po wodę do źródła. Słuchaj, wszystko przemyślałam. Abba mówił, że księżę spędza sporo czasu na ćwiczeniach z kapitanem straży pałacowej. Wiem, gdzie są koszary. Blisko Bramy Wodnej. Oni tam co rano ćwiczą.

- Zwariowałaś do reszty. - Miriam pokręciła głową z niedowierzaniem. - Wracaj do łóżka.

- Miriam, powiedz, co za to chcesz? Zrobię dla ciebie wszystko, tylko mi pomóż. - Chefsiba błagalnie chwyciła dłonie siostry.

- Ty mówisz poważnie? - Miriam popatrzyła na Chefsibę, jakby pierwszy raz widziała ją na oczy.

- Oczywiście. Dam ci, co zechcesz.

- Naprawdę mam nadzieję, że mi tak nie odbije, jak przyjdzie moja kolej. - Uwolniła dłonie z uścisku i zsunęła stopy na podłogę.

- To pomożesz mi? Ojej, dziękuję, dziękuję! - Chefsiba uścisnęła siostrę.

- Coś za coś, pamiętaj! - Miriam podniosła dłoń ostrzegawczo. - Przede wszystkim przysięgnij mi, że mnie też pomożesz znaleźć męża z królewskiego rodu.

- Przysięgam.

- I oddasz mi te złote kolczyki, które Abba kupił ci w Beer Szewie. Chefsiba wahała się nieco.

- No... dobrze. Oddam. -I...

- Nie bądź tylko za chciwa, Miriam. Myślę, że dostałaś już dość, prawda?

- Nie. Przysięgnij mi, że jeśli wpadniemy w kłopoty, powiesz, że jestem niewinna, że mnie zmusiłaś.

- Nie wpadniemy w żadne kłopoty.

- Przysięgasz?

- No dobrze, przysięgam. Na Aszerę i Baala. Zmusiłam cię. Ale teraz proszę. Pospieszmy się.

Wyścielały łóżka poduszkami i wysliznęły się na dół do kuchni, gdzie Chefsiba przekupiła dwie służki, by pożyczyły im swoje ubrania. Po czym osłoniwszy twarze, mniej uczęszczanymi zaułkami, z dzbanami na wodę na głowach, zeszły rażno do Bramy Wodnej.

Słońce nie doszło jeszcze do szczytu Góry Oliwnej, zalewało jednak ulice złoto-różowym blaskiem. W lekkiej, służebnej sukni Chefsiba drżała. Ręce Miriam, które trzymała, ciągnąc siostrę ulicami, były lodowate. Ciekawość pchała Chefsibę naprzód, ale Miriam, która nie podzielała jej moty-

wacji, ciągnęła się noga za nogą tak, jakby żałowała, że poszły.

Gdy zbliżały się do Bramy Wodnej, z dziedzińca obok strażnicy Chefsiba usłyszała głośne okrzyki i metaliczny brzęk miecza uderzającego o miecz.

- Widzisz? Mówiłam ci, że codziennie rano ćwiczą - szepnęła do siostry.

Szły wzdłuż muru otaczającego dziedzińiec, aż dotarły do otwartej bramy i zajrzały do środka. Wokół dziedzińca stały dziesiątki mężczyzn dopingujących dwóch pojedynkujących się strażników. Niektórzy z obserwujących mieli na sobie tuniki straży pałacowej, inni zwykłe ubrania, a kilku miało na sobie wyszywane szaty, jakie noszą dostojnicy.

- Świetnie. To jak się dowiemy, który z nich jest twoim księciem i przyszłym mężem? - spytała Miriam.

- Posłuchajmy chwilę. Może się zorientujemy.

- Nie podoba mi się to - stwierdziła nerwowo młodsza siostra.

- Ćśś...

Chefsiba patrzyła po kolei na wszystkie twarze młodych dostojników, szukając takiej, która przypominałaby twarz króla. Zadanie okazało się nierealne, więc przeniosła swoją uwagę na pojedynek. Wydawało się, że wygrywa starszy z potykających się zawodników i gdy jego przewaga stawała się coraz bardziej przytłaczająca, jego młodszy przeciwnik wreszcie rzucił miecz, uznając porażkę.

- Wygrałeś, kapitanie Jonadab - oświadczył. Widzowie zaczęli wiwatować.

- Psst. Nie możemy tu ciągle stać - szepnęła Miriam. - Złapią nas.

- Proszę. Jeszcze chwileczkę.

- Kto teraz stawia mi czoła? - zapytał zwycięzca, rozglądając się po tłumie widzów. - Może ty, księżę?

Chefsiba znieruchomiła. Kapitan skinął głową w stronę młodego, może nieco ponad dwudziestoletniego, ciemnowłosego mężczyzny. Księżę poruszył ramionami, tak, by wyszywana szata, w którą był ubrany, zsunęła się, i rzucił ją na bok. Wystąpił naprzód wśród okrzyków i wiwatów. Serce Chefsiby забиło mocniej, nie z radości a ze strachu. Był wysportowany, dobrze zbudowany, co całkowicie odróżniało go od króla Achaza, ale było coś niesamowitego w jego nadmiernej pewności siebie, w jego oczach - jakaś nutka arogancji czy okrucieństwa, co ją przerażało.

Och, Aszero, pani, proszę, niech to nie będzie on - pomyślała.

Zadufanie młodego księcia wydawało się górować nad jego umiejętnościami; kapitan raz po raz niweczył jego próby popisania się przed widownią. Księżę szybko zorientował się, że sam z siebie robi głupca i ze złością schował miecz do pochwy.

- Nie mam nastroju na prawdziwą walkę - stwierdził z niebezpiecznym błyskiem w oku.- Zatem innym razem. - Kapitan skłonił się z szacunkiem.

- To księżę Hiskiasz? - Szepnęła Miriam.

- Nie wiem.

- Chodź już. Za długo nas nie ma. Chodźmy po wodę i wracajmy. - Miriam szarpała siostrę za ramię, aż ta odwróciła się z wahaniem.

Chefsiba ruszyła zirytowana i rozczarowana w stronę źródła. Przed nim oczekiwała już długa kolejka służek i niewolnic, które umiły sobie czas pogaduszkami. Woda była zimna, praca cięższa, niż się spodziewała, ledwo była w stanie unieść nawet pół dzbana wody.

- Wystarczy tyle, Miriam, chodźmy - szepnęła.

Ruszyły pod górę, do miasta. Gdy zbliżyły się do placu broni, Chefsiba postanowiła, że spróbuje jeszcze raz zobaczyć Hiskiasza.

- Tylko chwilkę - powiedziała błagalnie do siostry. - Obiecuję.

Zajrzawszy przez otwartą bramę dostrzegły, że kapitan ma nowego rywala - kolejnego dostojnika. Był on wysoki i mocno zbudowany, a przy tym zdumiewająco, jak na swoje rozmiary, zwinny. Na atak kapitana reagował szybkim unikiem, po którym natychmiast kontratakował pchnięciem. Jego umiejętności szermiercze zapierały dech w piersiach, Chefsibie na ten widok krew zaczęła szybciej krążyć.

Mężczyzna był opanowany, pewny siebie, przystojny. Brązowe, kędzierzawe włosy i broda lśniły w porannym słońcu niczym miedź. Chefsiba zaczęła się modlić do wszystkich bogów, jacy jej przyszli do głowy, by okazało się, że ten właśnie dostojnik to ksiązę Hiskiasz. To oczywiście zbyt wiele, by żywić co to tego jakąś nadzieję. Ale gdyby udało się dowiedzieć, kto to jest, może ojciec zaaranżowałby zaręczyny właśnie z nim.

Nagle usłyszała krzyk Miriam i chlapnięcie lodowatej wody po nogach. Dzban jej siostry rozbił się o ziemię. Na ramieniu Chefsiby zacisnęła się silna dłoń, która obróciła dziewczynę. Czterech strażników niepostrzeżenie zaszło ją i siostrę od tyłu i teraz otaczali je, odcinając im drogę ucieczki.

- Nigdy was jeszcze nie widziałem - powiedział jeden z nich, łapiąc za chustę zakrywającą twarz Chefsiby. - Popatrzmy.

- Tak, chcę zobaczyć, za co płacę - rzekł inny, wyjmując jej z rąk dzban.

- Nie! Zostawcie nas! - krzyknęła Chefsiba. Wywinęła się żołnierzowi, ale wtedy chusta częściowo odsłoniła jej twarz.

- Ej! Ta jest ładna. - Oceniał żołnierz. - Pamiętajcie, że to ja ją pierwszy zobaczyłem. - Stanął za nią i przycisnął jej ramiona do ciała tak mocno, że dostała siniaków.

- Nie, proszę! Puść mnie! - błagała, próbując się mu wyrwać. - Przestań!

Krąg mężczyzn zacieśniał się wokół nich, Miriam zaczęła krzyczeć. Któryś żołnierz złapał ją i zatkał dłonią usta. Chefsiba, wrzeszcząc z przerażenia, walczyła z całych sił, ale przewaga żołnierzy była zbyt wielka.

- Puśćcie je.

Rozkaz brzmiał władczo. Kłęb żołnierzy rozstał się, Chefsiba ujrzała przed sobą właśnie tego przystojnego dostojnika. Po walce brakowało mu jeszcze powietrza, przód tuniki był przepocony.

- Te dziewczyny są przerażone, nie widzicie? - zapytał, chowając miecz do pochwy.

- Ależ panie, to zwykłe służki - odparł jeden z żołnierzy. -Przychodzą tu tylko z jednego powodu. Dla żołnierzy.

- Opór to część ich gry, panie - dodał ten, który trzymał Chefsibę.

- N... nie... proszę... - wyjąkała. - Nie gramy żadnej gry, nie chcieliśmy przychodzić dla żołnierzy...

Dostojnik przyglądał się badawczo odkrytej twarzy Chefsiby, jakby starał się stwierdzić, czy mówi ona prawdę. Jego głębokie, brązowe oczy były posępne, niemal melancholiczne. Intensywność tego spojrzenia niepokoiła ją.

- Żołnierze pod moim dowództwem nigdy nie będą nadużywać swojej siły wobec bezbronnych ludzi - oświadczył, zwracając się wreszcie do czterech mężczyzn. - Czy to jasne?

- Tak, panie - mruknęli, a ten, który trzymał Chefsibę, zwolnił uścisk. Dostojnik odebrał jej dzban temu, który go chwycił i jej oddał.

- Wracajcie do siebie. I więcej tu się nie kręćcie - polecił.

Chefsiba skłoniła głowę i złapała siostrę za rękę. Gdy zaczęła iść, ulica zdała się uciekać spod jej drżących nóg. Zupełnie zapomniała o zaręczynach i o swoim księciu, ale nagle usłyszała z tłumu jakiś głos.

- Książę Hiskiaszu! Wyzywam cię!

Stała jak słup soli. Następnie zaryzykowała i spojrzała przez ramię. Jakby we śnie zobaczyła, że propozycję przyjmuje właśnie wysoki dostojnik.

- Przyjmuję wyzwanie - odpowiedział, a przez poważną twarz przemknął mu uśmiech.

Chefsiba zamknęła oczy, bojąc się, że zemdleje. Wtedy poczuła, jak Miriam ze złością szarpie ją za rękę i znów odwróciła się w stronę domu, przytrzymując dzban.

- To wszystko twoja wina - powiedziała Miriam, nie przestając płakać, gdy podchodziły pod górę. - Nie powinnam była z tobą iść.

- Miriam, przepraszam. Ale już jest w porządku. Nic się nie stało.

- O mało co nas nie zgwałcili!

- Ćśś, nie tak głośno. I przestań się mazać, zaraz będziemy w domu. Gdyby Abba dowiedział się, co się stało, obie popadłybyśmy w niełaskę. I obie umarłybyśmy w staropanieństwie.

Gdy dotarły do tylnych drzwi przeznaczonych dla służby, Miriam zdążyła się już opanować. Natomiast Chefsiba, gdy tylko dotarła bezpiecznie do swojej sypialni, poddała się tłumionemu wciąż lękowi i jednocześnie podnieceniu. Opadła na łóżko i rozplakała się.

- A z tobą co się dzieje? - Miriam potrząsnęła nią gniewnie. - Udało się wrócić do domu bezpiecznie. Widziałaś swojego głupiego księcia. I co tak beczysz?

- Tak. Widziałam. I teraz najbardziej czego chcę na świecie, to wyjść za niego. Jeśli Abbie nie uda się mnie z nim zaręczyć, to na pewno umrę.

Następnego popołudnia Chefsiba wybrała się do świętego gaju Aszery, znajdującego się na wzgórzu poza murami Jerozolimy. Gdy dotarła na górę, zatrzymała się, by nieco odetchnąć. Panował skwar. Słudzy, którzy prowadzili młodego byczka, a także nieśli zboże i wino na ofiarę, spocili się z wysiłku, jakim było podejście pod górę z takim obciążeniem. Gdy doszli na szczyt, patrzyli na nią wyczekująco, jak gdyby mieli nadzieję, że zaprosi ich na ucztę po złożonej ofierze.

Uświadamiając sobie wielkość swojej misji i jej znaczenie dla jej własnej przyszłości, Chefsiba poczuła się nieco niesamowicie. Musi się przypodobać bogini, musi znaleźć sposób, by zyskać przychylność Aszery i zapewnić sobie zaręczyny z Hiskiaszem. Pozostali konkurenci już jej nie interesowali, nie zadowoliliby się również pozostawieniem swego losu w rękach innych. Postanowiła odwołać się do ostatecznej instancji - do bogini miłości i płodności.

Obfitość daru, jaki nieśli słudzy Chefsiby, wywarła na najwyższym kapłanie Aszery spore wrażenie. Szybko podszedł do niej, by ją przywitać i lekko się uklonił. Jego szaty wskazywały, że jest jednym z tych cudzoziemskich kapłanów, jakich wielu Achaz sprowadził do Jerozolimy. Wydawało się, że mnożą się w całym kraju, coraz liczniejsi i coraz śmielsi.

- W czym mogę pomóc? - zapytał.

- Chciałabym złożyć bogini ofiarę. Rozlać napój ofiarny i spalić kadzidło.

- Bogini będzie bardzo zadowolona z takiego aktu pobożności. Masz jakąś intencję?

- Tak, i chciałam złożyć ślub.

- Świetnie. - Uśmiechnął się blado i poprowadził ich w głąb gaju. Wewnątrz kamiennego ogrodzenia stał ołtarz i kilka kadzielnic. Słup Aszery ustawiono za nimi, w głębi gaju.

Kapłan podpalił kadzidło Chefsiby i przygotowywał się do zabicia byka, ona zaś uklękła przed złotym wizerunkiem bogini i zamknęła oczy.

- Królowo nieba - modliła się w ciszy. - Składam ci ofiarę i proszę o spełnienie mojej prośby. Proszę, pozwól mi wyjść za księcia Hiskiasza.

Przypomniała sobie jego połyskujący w słońcu miecz, lśniące krople potu na ogorzałych ramionach i nogach, poblask miedzi w ciemnych włosach i brodzie. Wyobraziła sobie, jak ją trzyma w ramionach, jako żonę.

- Jeśli odpowiesz, pani, na moją modlitwę i sprawisz, że się pobierzemy, ślubuję ci dziś, że oddam ci pierwszą córkę, jaka urodzi się z naszego związku.

Ani trochę nie wątpiła w to, że będzie mogła spełnić ślub. Królów interesowali tylko synowie. Córka będzie należała do niej i zrobi z dziewczynką, co zechce.

Ucałowała ze czcią posąg i poczuła, jak nagle opanowują ją emocje. Pośpiesznie wróciła do przyjaciół i krewnych, by przewodniczyć uroczystej uczcie.

15.

- Chiefsibo, kochanie, ależ pięknie wyglądasz! W sam raz dla króla! -
Oczy jej ojca lśniły dumą.

- Och, Abba, naprawdę tak myślisz? Uważasz, że księżę będzie chciał mnie za żonę?

- Jak cię zobaczy, to zemdleje z radości. Obróć się, niech na ciebie popatrzę.

Haftowaną suknię ślubną szyli najlepsi jerozolimscy rzemieślnicy. Na rękach dziewczyna miała złote bransoletki, w uszach złote obręcze, na szyi złoty łańcuch z rubinowym wisiorkiem wielkości jej paznokcia u kciuka. Były to prezenty zaręczynowe przysłane z pałacu. Służki jeszcze nie upięły jej ciemnych, falujących włosów, spływały one luźno na jej plecy. Chiefsiba wykonała piruecik na środku izby, a ojciec tylko westchnął w niemym podziwieniu, biorąc się pod boki.

- Za piękna jesteś, żeby cię zakrywać. Całe królestwo powinno zobaczyć uroczą oblubienicę księcia Hiskiasza.

- Abba, żartujesz.

- Mam prawo być dumnym z mojej ślicznej córeczki - odparł, całując ją w czoło.

- Chiefsibo, no co tak stoisz? - zapytała matka, wbiegając do pokoju. - Układaj włosy. Zakładaj welon. Powinnaś już czekać na dziedzińcu z drużnami. Księżę może lada chwila po ciebie przyjechać.

- Mamo, mam jeszcze mnóstwo czasu. Usłyszemy orszak pana młodego. Jeszcze wcześniej. - Czują niespodziewany

spokój i szczęście większe niż kiedykolwiek w życiu. Od miesiący śniła o Hiskiaszu, modliła się do Aszery, składała jej ofiary i śluby, by nadszedł ten dzień, aż wreszcie bogini wysłuchała tych modlitw. Dziś księżę pojmie ją za żonę.

- A Miriam? Gotowa? Widziałaś ją gdzieś? - Niepokoiliła się matka. - Co jej zajmuje tyle czasu? Idę do tej twojej siostry. Ty - zwróciła się do męża - pilnuj, czy orszak nie nadjeżdża.

- Lepiej robić, co każą. - Ojciec uśmiechnął się krzywo, ale gdy patrzył na wybiegającą za drzwi żonę, jego oczy były pełne miłości.

Chefsiba poczuła dreszczyk podniecenia. Jej mąż też będzie na nią patrzył z miłością.

- Dziękuję, Abba! Dziękuję za ten cudowny dzień! -krzyknęła i uścisnęła ojca.

- Niech bogini obdarzy cię wieloma synami - odparł cicho. Gdy odwracał się w stronę wyjścia, zobaczyła w jego oku łzę.

Wiedziała, że powinna zejść, by upięto jej włosy, potem usiąść w obsypanym kwieciami krześle pod figowcem, ale jej serce było za bardzo przepełnione radością, by tak siedzieć spokojnie i czekać. Chciała tańczyć, skakać i śpiewać. Podbiegła do okna, nasłuchiwać muzyki orszaku pana młodego, ale usłyszała jedynie zwykły, miejski hałas. Słudzy, niewolnicy i kupcy robili swoje, jakby to był zwykły dzień. Czyżby nie wiedzieli, że dzisiejszy dzień oznacza początek miłości tak głębokiej i mocnej, że przyćmi ona miłość Salomona do Szulamitki?

Z uśmiechem sięgnęła po lutnię i zaśpiewała sama sobie piękną pieśń Salomona:

- Cicho! Ukochany mój! Oto on! Oto nadchodzi! Biegnie przez góry, skacze po pagórkach (...). Miły mój odzywa się i mówi do mnie: „Powstań, przyjaciółko ma, piękna ma, i pójdz!”²⁰.

²⁰ Cytat pochodzi z Pieśni nad Pieśniami, rozdział 2 [przyp. red.].

Hiskiasz stał przed wysokim brązowym zwierciadłem. Słudzy ubierali go w ślubne szaty i nałożyli na jego głowę niewielką, złotą koronę. Zobaczył w lustrze odbicie Szebny, który z aprobatą kiwał głową.

- Jesteś z siebie zadowolony, co? Mam nadzieję, że jesteś świadom, że to wszystko twoja wina. Żenię się tylko dlatego, że powiedziałeś, iż to powinno ułagodzić ojca.

- Wspaniale wyglądasz, panie. - Szebna uśmiechnął się szeroko. - Jak król.

- Ale nie czuję się jak król. Raczej jak ktoś w pułapce. Moim życiem rządzi człowiek, którym gardzę.

- Mimo wszystko staraj się uśmiechać. Dziś się żenisz.

Ślub. Wiedział, że powinien starać się wyglądać na zadowolonego, ale ciągle nie dawało mu spokoju, że mijają miesiące, a Achaz ani słowem nie wspomina więcej o stanowisku w strukturach władzy. Hiskiasz wciąż żałował, że stracił panowanie i wygarnął, co sądzi o umowie handlowej, ale może Szebna ma rację. Może po ślubie odzyska przychylność ojca.

Wreszcie wszystko było gotowe. Z wyjątkiem jego samego. Podążył za tancerzami i muzykantami. Orszak pana młodego ruszył spod pałacu. Ulice wypełniły się tłumem, chcącym dołączyć do szalonej zabawy, wiwatującym na jego cześć, rzucającym mu pod stopy gałązki i kwiaty. Czuł się, jakby był na wystawie, jak jakiś produkt na targowisku, wyłożony pod markizą w jaskrawe pasy. Wolałby zasłużyć na wiwaty czymś innym niż ożenek. Miał wrażenie, że ślubny strój go dusi.

Tyle dobrego, że minister finansów mieszkał blisko pałacu, więc nie trzeba było paradować przez całe miasto. Or-

szak zatrzymał się, a on z Godoliaszem, jako swoim družbą, weszli do środka.

Panna młoda czekała na niego na dziedzińcu domu swego ojca, siedząc pod drzewem figowym otoczona przez druhny. Nie widział osłoniętej welonem twarzy, ale widział, że wygląda jak dziecko, zbyt młode, by oddawać je za żonę. Była ubrana w kilka warstw tkanego lnu i przez chwilę zastanawiał się, czy jest jej tak samo gorąco jak jemu, czy tak samo nędznie się czuje. Ale gdy ujął jej dłoń, ta była zimna. Poczł przyptyw współczucia. Chyba tak samo nie miała ochoty brać udziału w tej farsie jak i on.

Wypowiedział przysięgę małżeńską, nie zwracając uwagi na treść. Marzył, by ten dzień się już skończył, wiedział jednak, że to dopiero początek. Po złożeniu przysięgi małżeńskiej razem z panną młodą wrócą do pałacu, by przewodniczyć wystawnej uczcie weselnej wyprawionej przez Achaza.

Ucztowano i pito cały wieczór i sporą część nocy. Król był pijany na długo przed wschodem księżyca, a jego ryczący śmiech słycać było w każdym zakątku sali bankietowej. Bez pomocy prawie nie mógł chodzić. Krążył tak między gośćmi ze szklistymi, zamglonymi oczyma. W Hiskiaszu, który ledwie tknął wina, jego zachowanie wzbudzało odrazę. Przez większość wieczoru udało mu się unikać ojca, ale około północy Achaz zataczając się, podszedł do niego i odciągnął go na bok.

- Zabawisz się dziś chyba tym moim rozkosznym prezencikiem? Osobiście ją dla ciebie wybrałem. Delikatne dziecko, nie?

W Hiskiaszu wzbierał tłumiony gniew i nienawiść. Nie chciał przyjmować żadnych prezentów od Achaza, a skoro to ojciec osobiście wybierał Chefsibę, to nie chciał i jej. Zmuszał się, by nie rzucić się na króla, tymczasem Achaz mówił:

- Nie zmęcz się za bardzo, bo postanowiłem, gdy skończy się tydzień poślubny, posłać cię do Tyru z twoim teściem.

Poczuł, że nienawidzi Achaza tak, że wydawało się to niemal niemożliwe. Nawet więcej, nienawidził własnej bezradności i władzy, jaką ojciec miał nad jego życiem. Już miał powiedzieć Achazowi, żeby schował sobie swój prezencik i tę nic nie wartą podróż, gdy Szebna chwyciwszy go za ramię ścisnął je tak, że księżę aż skrzywił się z bólu.

- Twój syn zaniemówił z wdzięczności, Wasza Wysokość - powiedział łagodnie. - Ja ci dziękuję w jego imieniu.

Hiskiasz milczał, pragnąc, by Achaz odszedł, zanim on straci nad sobą panowanie, tymczasem jednak ojciec przybliżył się do niego jeszcze bardziej i trącił konspiracyjnie łokciem.

- Może wolałbyś nie zostawiać tego ślicznego dziecka samego po tygodniu? Powinienem był ją zatrzymać sobie na nałożnicę.

Hiskiasz znów poczuł wściekłość. Już miał powiedzieć Achazowi, żeby wziął sobie swój prezent z powrotem, ale zanim zdążył, Szebna znów go złapał za ramię i odpowiedział za niego.

- Dziękujemy Waszej Wysokości za tak hojną rezygnację z tak pięknej kobiety. Czy twój syn może odejść? Ma jeszcze pewne obowiązki.

- Tak, może odejść.

Hiskiasz przedostał się przez tłum gości i wyszedł z pałacu na dziedziniec, gdzie chłodne, wieczorne powietrze ukoło jego furie.

Chefsibie zdawało się, że długi dzień uroczystości ślubnych nie ma końca. Czekala, aż Hiskiasz zabierze ją do komnaty przygotowanej na noc poślubną. Tańce, muzyka, ciągle

nowe potrawy dla biesiadników i wygłoszona przez Achaza bez ładu i składu przemowa, która zapewne miała uhonorować jej ojca. A po niej znów muzyka, znów tańce, znów jedzenie. Przepych pałacu olśniewał ją, atencja, z jaką traktowali ją wszyscy, oprócz jej męża, zdumiewała. Cały dzień była w stanie takiej ekscytacji, że ją to w końcu wyczerpało.

I nagle obok niej pojawił się Hiskiasz. Ujął jej dłoń i pociągnął, by wstała. Gdy tylko goście to zauważyli, cała komnata w jednej chwili ucichła, by zaraz rozbrzmieć oklaskami i wiwatami. Chefsiba poczuła gorąco na twarzy. Cieszyła się, że ma welon.

Hiskiasz, patrząc cały czas przed siebie, wyprowadził ją z gwarne go pomieszczenia, poprowadził na górę przez labirynt pałacowych korytarzy. Czowała dotyk jego dłoni na ramieniu, ale nie odczuwała zupełnie tego, by jej stopy dotykały podłogi. Wreszcie wprowadził ją do komnaty poślubnej i zamknął drzwi. Puls jej serca w uszach zagłuszał dobiegające z dołu odgłosy wesela.

Gdy Hiskiasz odwiązywał welon, by po raz pierwszy ją zobaczyć, żadne z nich się nie odzywało. Miała nadzieję, że mu się spodoba, tak jak mówił ojciec. Ale gdy zobaczył jej twarz, zaczął się jej przyglądać badawczo. Zmarszczył brwi, jakby się głęboko nad czymś zastanawiał, po czym uniósł, jakby coś go zaskoczyło.

- Czy twój ojciec aż tak mało zarabia, że musisz codziennie nosić wodę?

Serce Chefsiby stanęło w miejscu. Nie pomyślała, że może ją zapamiętać, czy rozpoznać. Ale stało się. I co ma powiedzieć? Małżeństwo nieskonsumowane jest nieważne. On wciąż jeszcze może zmienić zdanie. Zaczęła drżeć, a on patrzył na nią, czekając, aż odpowie.

- Nie zarabia źle, panie.

- Tak myślałem. To może wytłumaczysz mi, po co wtedy stałaś pod wieżą strażników z dzbanem? A może się mylę, że to byłaś ty?

- Nie, panie. Nie mylisz się.

Jej serce biło tak głośno, że z pewnością je słyszał. Czy unieważni małżeństwo i ujawni jej hańbę przed weselnikami? Poczula, jak z głębi jej wnętrza wzbiera okrzyk rozpacz, stłumiła go jednak - podobnie jak łyzy. Spuściła wzrok, bojąc się, że w jego twarzy wyczyta odrzucenie, ale on dotknął od spodu jej podbródka i łagodnie podniósł jej głowę tak, że musiała znów spojrzeć na niego.

- Musiałaś mieć poważny powód, by odważyć się wyjść tak na miasto niepilnowana.

Chefsiba zauważyła, że w jego oczach nie było gniewu, jedynie ciekawość. Czekał, co dziewczyna odpowie.

- Gdy ojciec powiedział mi, że wyjdę za księcia - zaczęła wyrzucać pospiesznie słowa - przestraszyłam się. Nie wiedziałam, jak wyglądasz, musiałam więc sprawdzić, zanim będzie za późno, bo bałam się, że mógłbyś wyglądać, jak twój...

Przerwała przerażona tym, czego o mało co nie powiedziała.

- Jak mój ojciec? - dokończył za nią.

Chefsiba poczuła, jak krew napływa jej do twarzy i uświadomiła sobie, że zdradza w ten sposób swoją winę. A tyle razy Abba ganił ją za zbytnią szczerość. Tyle razy mówił, że dystyngowane damy się tak nie zachowują. Obraziła króla. Co z nią teraz będzie?

Wydawało się, że cisza, która zapadła między nimi, będzie już trwała bez końca. Wtem Hiskiasz roześmiał się w głos. Dla Chefsiby śmiech ten zabrzmiał jak coś najbardziej oczekiwanego w życiu. Mimo to wiedziała, że musi przeprosić.

- Przepraszam, panie. Nie chciałam tak powiedzieć. Nie chciałam obrażać króla.

Uśmiechnął się i pokręcił przecząco głową, odrzucając jej protesty.

- Podoba mi się twoja szczerłość, Chefsibo. Jest taka inna, nowa. Powiedz mi jednak, teraz, skoro mnie już widzisz - czy przypominam ojca?

Stanął przed nią, wzięwszy się pod boki, uśmiechając się najszerzej jak mógł, jakby czekając na pochwałę. Był tak przystojny, że Chefsibie aż ścisnęło pierś, każdy oddech wręcz wywoływał ból.

- Nie, panie. Nie przypominasz króla.

- Rozumiem. A gdybyś tamtego dnia, gdy przyszedł pod wieżę, odkryła podobieństwo? Sprawiłoby ci to różnicę?

Ogarnęła ją panika. Nie umiała znaleźć takiej odpowiedzi, która nie obrażałaby albo Hiskiasza, albo jego ojca. Świadoma, że cokolwiek musi odpowiedzieć, próbowała znaleźć właściwe słowa.

- Postąpiłam bardzo głupio, panie. Nie powinnam była wychodzić z domu mego ojca. Dziękuję, że mnie uratowałeś.

Jego uśmiech zbladł, wzrok spoważniał.

- Przepraszam cię, Chefsibo. To nieuczciwe z mojej strony, tak cię brać z zaskoczenia. Chciałem tylko zrozumieć, co mogło popchnąć tak piękną kobietę do podjęcia takiego ryzyka. Przekonanie, że ślub z księciem, niezależnie od tego jak wygląda, byłby zaszczytem dla każdej kobiety w kraju, było chyba z mojej strony próżnością.

- Ależ tak, panie! To prawda! Dla większości byłby to zaszczyt.

- Ale nie dla ciebie. - Uśmiech powrócił na jego twarz, teraz i Chefsiba lekko się uśmiechnęła.

- Wyszłabym za każdego, kogo wskazałby mi mój ojciec, panie. - Choć bardzo trudno było przestać na niego patrzeć, Chefsiba znów spojrzała na swoje stopy.

- Twoja szczerota jest ozywca, twoja odwaga tez, choc sadze, ze gdyby twój ojciec się o tym dowiedzial, byłby oburzony.

- Tak, panie.

- I mam nadzieje, ze teraz juz jako mezatka nie bedziesz chodzic po wode?

Poczula promyk nadziei.

- Obiecuję, panie - odrzekla, podnoszac znów wzrok na niego.

Wyciagnal ku niej ramiona i przysunawszy ja do siebie, objal. Czubek jej glowy ledwo dosiagal jego podbródka. Poczula silę jego ramion, cieplo jego ciala i przylgnela do niego, nie mogac wciąz uwierzyc, ze to dzieje się naprawde, ze jej modlitwy zostaly wysluchane. Hiskiasz, wciąz trzymajac ja w ramionach, westchnal ciezko.

- Córka dostojnika ma chyba wiele wspólnego z synem króla. Żadne z nas nie ma nic do powiedzenia w sprawie kandydata na małzonka.

Usilujac dociec znaczenia tych slow, znów poczula panike. Byl niezadowolony z decyzji swojego ojca? Moze byla jakaś inna, która pragnal poslubic? Pragnela doczekac dnia, gdy zacznie go w pełni rozumiec i gdy nauczy się odczytywac z jego oczu, co czuje jego serce. Nauczy się znaczenia kazdego westchnienia i gestu, zrozumie na wpol wypowiedziane myśli i bedzie się z nim porozumiewac bez slow, jak czesto to czynili jej rodzice. Pragnela nade wszystko, byc naprawde jego zona, jego kochanka, jego przyjaciolka.

Jego broda musnela jej policzek. Pochytil się, by ja po raz pierwszy pocałowac. Gdy odpowiadala pocałunkiem na jego pocałunek, modlila się do bogini Aszery, by zdobyć całkowite oddanie, zaufanie i miłość Hiskiasza, której z nikim by nie dzielila.

Ale gdy po wspólnym tygodniu Hiskiasz opuscil komnatę nowozenców, wiecej juz do Chefsiby nie wrócił.

Król Achaz siedział zgarbiony na tronie, przeglądając stos dokumentów. Uriasz powiedział, że do podniesienia podatków, w celu spełnienia żądania Asyryjczyków odnośnie daniny, brakuje tylko jego pieczęci. Były jednak napisane tak trudnym urzędowym językiem, że nie był w stanie ich pojąć. Sztwywny, ciasny zwój zwijał mu się w rękach, nadwerężając jego ograniczoną cierpliwość. Rzucił je wreszcie na stojący obok tronu stół.

Nużąca poranna rutyna podpisywania dokumentów i przyjmowania wniosków zniechęciła go. Wypił łyk wina i pozwolił myślom, skierować się ku przyjemniejszym czynnościom, które zaplanował na resztę dnia.

Jego zadumę przerwało jakieś poruszenie u wejścia do sali tronowej. Spojrzał w tamtą stronę. To Uriasz kłócił się z jednym z szambelanów. Achaz się uśmiechnął. Dobra sprzeczka to zawsze ciekawa rozrywka.

- Każ Uriaszowi i szambelanowi przyjść tutaj - polecił słudze.

Patrząc, jak wyklócający się mężczyźni podchodzą i kłaniają się przed nim, opróżnił kielich.

- W czym problem, Uriaszu? - zapytał.

- Nie ma żadnego problemu, Wasza Wysokość. Oznajmiłem szambelanowi moją decyzję, a on mi się sprzeciwił - odparł Uriasz, ignorując niknięcie szambelana, który próbował protestować. - Wezwałbym innego szambelana.

Przepraszam, jeśli ci przeszkadziliśmy. Dokończymy rozmowę za drzwiami. - Uriasz wyraźnie pragnął wyjść jak najszybciej. Skłonił się i zaczął się powoli cofać. Jakby miał coś do ukrycia.

- Chwileczkę. Dlaczego sprzeciwiłeś się mojemu zarządcy pałacowemu? - Achaz zwrócił się do szambelana. Ten spojrzał niepewnie na Uriasza, a potem znów na króla.

- Próbowałem przekazać ci wiadomość, Wasza Wysokość, ale Uriasz mi nie pozwolił.

- Ponieważ wszelkie wiadomości i petycje muszą być przekazywane przeze mnie - rzucił gniewnie Uriasz.

- Ależ właśnie o to chodzi. - Szambelan nie dawał za wygraną. - Tobie tej wiadomości nie przekażą. Poprosili o bezpośrednią rozmowę z królem i jeśli im nie pozwolisz, nawet nie będziemy wiedzieli, czego chcą.

Uriasz spojrzał na szambelana tak, jakby chciał nakazać mu milczenie. Kapłan z pewnością coś ukrywał. Król już nie czuł się znudzony. Wstał.

- Kto chce się ze mną widzieć? Powiedzcie mi, o co chodzi? - polecił.

- Wasza Wysokość. Do Jerozolimy przybyło poselstwo z północnego królestwa Izraela. Poprosili o audiencję, by przekazać ci prośbę od swojego króla.

- Nie mogą otrzymać audiencji u króla Achaza, jeśli nie omówią tej prośby ze mną. - Przerwał Uriasz. - To standard protokołu dyplomatycznego.

Achaz był coraz bardziej zaintrygowany tą sprawą. Od wielu lat nie przyjmował żadnych zagranicznych poselstw, nie licząc asyryjskich, które z kolei przybywały rokrocznie jedynie po odbiór daniny. Ożywiony poprawił się na tronie, po czym pochylił się, by oznajmić swoją decyzję.

- Przeprowadźcie posłów. Powiedzcie, że ich wysłucham.

- Nie, Wasza Wysokość, poczekaj - błagał Uriasz. - Musimy mieć czas, by zastanowić się nad wszystkim, co z tego wynika. Doradzałbym przesunięcie audiencji na jutro. I wykorzystanie tego czasu na to, by rozważyć...

- Nie chcę czekać. Chcę się dowiedzieć, z czym przybyli.

- Przyjęcie przedstawicieli dyplomatycznych innego państwa to bardzo poważna decyzja, Wasza Wysokość. Jeśli wieść o tym dotrze do Asyrii, może zostać odczytana jako akt buntu. Mogą pomyśleć, że spiskujemy w celu nawiązania sojuszu z Izraelem.

- To śmieszne. Chcę wiedzieć, po co przybyli, i to teraz. - Odprawił gestem Uriasza i skinął na szambelana. - Przyrowadź ich.

- Chwileczkę! - Uriasz powstrzymał szambelana, chwytając go za ramię. - Wasza Wysokość, muszę ostrzec, że Asy-ryjczycy...

- Wiem, przed czym mnie ostrzegasz. Mówiłeś już. To bzdurna przestroga. Poza tym Tiglat-Pileser nie jest już groźny, bo nie żyje.

Wieść o śmierci asyryjskiego imperatora dotarła do Achaza miesiąc temu. Wiele lat żył w śmiertelnym strachu przed tym człowiekiem, wciąż pamiętając jego brutalną bezwzględność i tortury, jakim poddał przywódców Damaszku. Ale wreszcie Achaz uwolnił się od tego lęku. Władca, który nawiedzał go w nocnych koszmarach, zmarł.

- Tak, Wasza Wysokość. Nie żyje. I tym bardziej powinniśmy zachować ostrożność - tłumaczył z uporem Uriasz. - Jego śmierć nie oznacza, że przestaliśmy być wasalami Asyrii. Zapewne jego zastępca właśnie, by potwierdzić swoją władzę, będzie chciał szybko stłumić wszelkie ogniska buntu.

- Już podjąłem decyzję - odparł Achaz. - Przyjmę poselstwo natychmiast.

Ramiona Uriasza opadły bezsilnie. Puścił szambelana i usiadł na swoim miejscu obok króla.

- Mam nadzieję, że nie skończy się to katastrofą - mruknął. Szambelan po chwili wrócił w towarzystwie posłów króla

Ozeasza i tuzina niewolników, którzy nieśli dary dla Achaza. Wkroczyli do wyłożonej kobiercami komnaty i skłonili się nisko, wzbudzając u Achaza poczucie władzy i siły, jakiego od dawna nie doświadczał. Pamiętał jakim upokorzeniem była dla niego konieczność oddania pokłonu władcy Asyrii i w duchu poprzysiął sobie, że nigdy już nie odda pokłonu żadnemu człowiekowi.

- Wasza Wysokość, królu Achazie, synu Jotama, Wielki i Potężny Królu Judy, jesteśmy twoimi pokornymi sługami. - Ponownie skłonili się nisko, dotykając czołami podłogi. Achaz pozwolił im trwać tak kilka chwil, po czym wyciągnął berło na znak przyjęcia ich hołdu.

- Możecie powstać i wyrazić swoją prośbę.

- Dziękujemy, Wasza Wysokość - odrzekł przewodniczący poselstwa. - Przynosimy ci dary i wiadomość od naszego pana, Ozeasza, króla Izraela.

- Ostatnimi wysłannikami z Izraela byli żołnierze, którzy szturmowali moje miasto - przypomniał Achaz. - Cieszę się, że wasz nowy król postanowił, że będzie mnie traktował z szacunkiem. Powiedzcie, z czym przybywacie.

- Wasza Wysokość, nasz pan, król Ozeasz chciałby się spotkać z twoimi przedstawicielami na konferencji w Samarii. Chce omówić możliwość wypracowania wspólnej polityki w stosunkach z nowym władcą Asyrii, Salmanasarem.

- Zdajecie sobie sprawę, co to za propozycja? - Uriasz zerwał się z krzesła. - Czy wasz król oszalał? Wasza Wysokość - zwrócił się błagalnie do Achaza - trzeba ich odprawić natychmiast, by było wiadomo, że Juda nigdy nie będzie

rozważać udziału w takim spisku. Asyryjczycy wszędzie mają szpiegów!

- Siadaj, tam. - Achaz potwierdził polecenie machnięciem ręki. - Gdy będę potrzebował twojej rady, poproszę. Możesz mówić dalej - zwrócił się do posła.

- Jak wiesz, Asyryjczycy przed czternastu laty zagarnęli nasze ziemie na północy, czyniąc z nich swoje prowincje. Ale ostatnio zaczęli napadać na wiele naszych miast i wsi na pograniczu. Uprawdają ludzi, plądrują nasze terytorium. Mimo, że jednocześnie żądają wysokiej daniny. Teraz, po śmierci Ti-glat-Pilesera, nasz król postanowił zrzucić ciężkie, asyryjskie jarzmo, pod którym tak długo jęczymy. Wysłał również poselstwo do faraona Egiptu, prosząc go o przyłączenie się do naszego dzieła ukrócenia asyryjskiego panowania.

- Czy wasz król zapomniał już, co się stało po poprzedniej próbie zmontowania sojuszu przeciw Asyrii? - Uriasz ponownie zerwał się z krzesła. - Wasza Wysokość - zwrócił się do Achaza - proszę. Widziałeś, co się stało z Damaszkiem. Chcesz takiej samej kary dla Jerozolimy?

Achaz znów pomyślał o cierpieniu i zniszczeniu, jakich był świadkiem. Ale tamten przeciwnik już nie żył. Nie było powodu, by się bać. Perspektywa spotkania z faraonem i królami innych państw podniecała go. Znów wyrastał na światowego przywódcę.

- Wasza propozycja jest bardzo ciekawa - odpowiedział wysłannikowi. - Potrzebuję nieco czasu, by ją przemyśleć.

- Nad czym tu myśleć - odparł Uriasz. - Proponują zdradę i samobójstwo! Proszę, zakończ tę rozmowę, zanim zabrzniemy za daleko...

- Dość! - Achaz krzykiem uciszył kapłana. - Zrobię to, co mi się podoba! Jak mówiłem - odezwał się spokojnie do posła - będziecie korzystać z mojej gościny, a jutro wieczó-

rem zapraszam was na wieczerzę. Do tego czasu przygotuję odpowiedź dla króla Ozeasza. Możecie odejść.

Achaz patrzył, jak pozostawiwszy u jego stóp wyłożone dary, wychodzili dostojnie z komnaty. Potem zwrócił się do siedzącego sztywno obok niego Uriasza.

- Chcę, byś zebrał ludzi, którzy byli członkami mojej misji handlowej do Tyru. Każ im przybyć do mnie dziś na wieczerzę. Wyślemy ich z tą delegacją do Samarii. Zadbaj, żeby włączyć w skład delegacji Hiskiasza. Będzie moim osobistym przedstawicielem. Teraz wracam do siebie.

Achaz wiedział, że Uriasz, z niezadowoleniem a nawet z rozpaczą na twarzy, idzie za nim przez pałacowy dziedziniec. Jego udręka wzbudzała u Achaza rzadkie uczucie władzy nad kapłanem, który zwykle go onieśmiała. Uczucie to bardzo mu się podobało. Miał nadzieję, że Uriasz nadal będzie go błagał, dzięki czemu Achaz będzie miał przyjemność odmawiania mu. Kapłan rzeczywiście spełnił pragnienie króla, gdy ten dochodził już do swoich komnat.

- Wasza Wysokość, proszę, wysłuchaj mnie, błagam o to! Ryzykujesz bezpieczeństwem całego państwa. Nalegam, byś kazał natychmiast tych posłów obnażyć, ubiczować i odesłać ich do Ozeasza pohańbionych. Asyryjczycy z pewnością korzystnie to zinterpretują.

- Nie obchodzą mnie Asyryjczycy. Postanowiłem wspólnie z Izraelem i Egiptem wybić się na niepodległość.

- Ależ nie będziemy w stanie uwolnić się od Asyrii, nawet z pomocą Egiptu, nie rozumiesz? Jerozolima skończy jak Damaszek.

Im rozpaczliwiej Uriasz błagał, tym bardziej bawiło to Achaza, wkrótce jednak zabawa ta go zmęczyła. Potrzebował odpoczynku.

- Uriasz, dość mam tej gadaniny. Jeśli nie jesteś w stanie popierać mojej polityki, może powinienem poszukać innego zarządcy - stwierdził z uśmiechem i zamknął drzwi do swojej komnaty przed nosem Uriasza.

Ten wrócił do siebie zszokowany i półprzytomny. Dlaczego król, będący od tylu lat posłuszną marionetką, zatracił nagle wszelki zmysł i popełnia polityczne samobójstwo? Bo przecież to właśnie w swej głupocie czyni. Swą jedną, pochopną decyzją Achaz wydał wyrok śmierci na cały naród. Jutrzejszą wieczera będzie ostatnim węzłem pętli, którą Achaz już wsunął na szyję Judy.

Uriasz chodził po swoich komnatach niczym w potrzasku, w jamie zbyt głębokiej by się z niej wydostać o własnych siłach, przeklinając Achaza i jego nieprzemyślane decyzje. Jak to się stało, że nagle stracił nad nim kontrolę? I jak ma ją odzyskać? Od lat rządził krajem bez żadnej ingerencji ze strony Achaza, a życie pod władzą Asyryjczyków było bezpieczne i przewidywalne, mimo że finansowo obciążające. Dlaczego król wybrał właśnie ten moment, by nagle przejąć kontrolę nad krajem?

Król nie chciał wysłuchać rozsądnych argumentów. Uriasz miał świadomość, że dalsze błagalne naleganie o to, spowodowałoby z pewnością jedynie utratę własnej pozycji na dworze. Ale jeżeli z kolei nie przekona go do rezygnacji z wejścia w ten sojusz, udział w buncie będzie miał straszliwe konsekwencje dla całego kraju. Asyryjski odwet będzie szybki i bezwzględny. Achaza i jego dostojników zamęczą na śmierć, a Jerozolimę zniszczą. Dlaczego król tego nie widzi? Trzeba ochronić kraj przed wymazaniem z mapy świata. Ale jak?

Resztę poranka zajęło mu drobiazgowo rozważanie każdego potencjalnego rozwiązania problemu włącznie z wszystkimi wynikającymi z nich konsekwencjami. Mógłby zdobyć

wsparcie ze strony innych doradców Achaza, a także być może dowódców wojskowych - ryzykując jednak oskarżenie o spisek. Mógł za plecami Achaza odesłać poselstwo w niełasce na własną rękę - i zginąć skazany za zdradę. Ale żadnego z tych zagrożeń nie można było porównywać z tym, co mogą z nim zrobić Asyryjczycy. Tak czy inaczej czekał go wyrok śmierci. A dlaczego to on miał ginąć, skoro to Achaz był tym głupcem, który sprowadza na naród tak straszne niebezpieczeństwo?

Wreszcie doszedł do wniosku, że rozwiązanie jest tylko jedno: musi wprowadzić na tron nowego króla Judy, takiego, który odmówi udziału w izraelskim spisku, który uspokoi Asyrię zanim będzie za późno. Achaza trzeba usunąć. Na zawsze.

Uriasz był pewien, że jeśli książę Hiskiasz natychmiast przejąłby władzę, pozostawiłby go na stanowisku zarządcy pałacowego. Wtedy mógłby wpłynąć na Hiskiasza, by ten odrzucił izraelską propozycję. Ale najpierw trzeba się pozbyć Achaza.

Decyzja była z racjonalnego punktu widzenia sensowna, ale coś w nim cofało się na myśl o tym strasznym pomysle. Przez ponad godzinę chodził nerwowo po komnacie, tocząc bój między głosem rozsądku a resztkami sumienia. Była to walka między jego dwiema rolami: zarządcy i, niemal zapomnianą, najwyższego kapłana Jahwe.

Myślał o morderstwie. Jego sumienie wzdragało się przed tym czynem. Jak mógł upaść tak nisko, by o tym myśleć? Kiedy ten proces się zaczął? Czy wtedy, gdy udał, że nie widzi bałwochwalstwa Achaza? Czy gdy wziął udział w złożeniu dzieci w ofierze Molochowi? Czy tamto morderstwo ułatwiło mu zaplanowanie tego?

Ale przecież wtedy nie było wyboru. Achaz zdecydował, że zabije swoje dzieci, a on uczestniczył w tym tylko po to, by zyskać zaufanie króla. I warto było to zrobić, ponieważ dzięki

temu przez wszystkie te lata mógł uczynić dla kraju wiele dobra. A teraz też nie ma wyboru. Sojusz z Egiptem doprowadzi do katastrofy. Asyria z pewnością odpowie odwetem. Achaz ryzykował wszystkim, nad czym Uriasz pracował; kapłan musiał działać, zanim zostanie podjęty kolejny krok w kierunku zawarcia sprzymierzenia. Tylko on mógł uratować naród.

A Jahwe? Czyż los narodu nie był w Jego rękach? Czy może to Uriasz przestał już w to wierzyć? Tak czy inaczej, jego wierzenia nie mają tu nic do rzeczy. Achaz nie nabierze nagle, po tylu latach, zaufania do Jahwe. Ufał w ten nowy sojusz, podobnie jak wcześniej, głupio, zaufał Asyrii.

Może więc Zachariasz miał przed laty rację? Ostrzegał wówczas Uriasza, że jeśli wyrzeknie się wiary, zmieni się. I w głębi serca Uriasz był świadomy, że rzeczywiście się zmienił. Chciał powstrzymać bałwochwalstwo króla, a stał się jego dobrowolnym uczestnikiem.

Nerwowym potrząśnięciem głowy oddalił od siebie tę myśl. Zachariasz był zgorzkniałym, przegranym alkoholikiem, sam nie wiedział, co mówi. A król nieodpowiedzialnym głupcem. Gdyby nie Uriasz, dawno doprowadziłby kraj do zniszczenia. I to on, Uriasz, musiał teraz powstrzymać Achaza.

Ale czy jedynym sposobem było zabójstwo? Napisane jest w Torze „Nie będziesz zabijał”. Ale czy nie wspomina również Tora czegoś o tym, że dopuszczalne jest odebranie życia, by uratować życie? Uriasz ocaliłby miliony ludzi, wszystkich mieszkańców Judy. To Tora z pewnością dopuszcza. Można wręcz rozpatrywać ten czyn w kategoriach samoobrony.

Bądź też w kategoriach kary, na którą Achaz zasługiwał za wszystkie popełnione morderstwa. Bezbronne dzieci. Niewinna żona. Achaz zamordował Abbiję i w oczach Boga - a także w oczach Uriasza - już samo to było wystarcza-

jącym powodem, by wykonać na nim karę śmierci. Oko za oko, życie za życie.

Stopniowo spowalniał swoje nerwowe kroki, stawały się one coraz bardziej pewne. Jego zmartwienie przerodziło się w ciche postanowienie: król Achaz musi umrzeć.

Pozostało tylko zdecydować, jak. Król powinien umrzeć w taki sposób, by nie kierowało to w jego stronę najmniejszych podejrzeń. Uriasz musi pozostać u władzy, by przeprowadzić kraj przez ten kryzys. Ponadto Achaz musi umrzeć natychmiast. Jutrzejsza wieczerza z Izraelitami nie ma prawa się odbyć.

Zastanowił się nad każdym punktem porządku dnia Achaza, szukając takiej pory i miejsca, w których król stawałby się najłatwiejszym celem. Poprzez tkaninę codziennego życia przewijał się z niezmienną konsekwencją jeden wątek - uzależnienie od wina doprawionego asyryjskimi narkotykami. Rzadko kiedy król nie miał przy sobie pełnego kielicha. Uriasz, jako jego kapłan, miał dostęp do tych specyfików. I wiedział, że przedawkowanie mogłoby spowodować śmierć.

Wiedząc już, co należy zrobić, wyszedł poszukać królewskiego poddaszego.

17.

Hiskiasz bębnił palcami po stole. Ojciec często spóźniał się na posiłki, czasem wchodził już chwiejnym, pijackim krokiem, ale dziś przeszedł samego siebie. Zaprosił wszystkich uczestników misji handlowej na wieczerzę i kazał im na siebie czekać już ponad godzinę. Księżę obserwował z niesmakiem, jak parujące na tacach mięso stygło, a plamy krwistego tłuszczu na talerzach tężały. Słudzy, którzy wnieśli obfite potrawy, oczekiwali teraz rozstawieni równo wokół stołu niczym nieme posągi.

Hiskiaszowi wydawało się, że przez ostatnie miesiące wiecznie czeka na ojca. Po podróży z teściem do Tyru, od której upłynęło już kilka miesięcy, na próżno czekał na propozycję objęcia jakiegoś rządowego stanowiska. Umowa okazała się nie mieć znaczenia, tak jak przewidywał, i Achaz nie posyłał już po niego, aż do zaproszenia na dzisiejszą tajemniczą wieczerzę.

Kurtuazyjna rozmowa przy stole ucichła, ustępując niememu oczekiwaniu. Goście nerwowo patrzyli na jedzenie i na siebie nawzajem, ale nikt nie śmiał tknąć posiłku bez króla. Hiskiasz przestał bębnić palcami. Uderzył otwartą dłoń w blat i zwrócił się do najbliższego sługi.

- Dlaczego każe nam się czekać? Gdzie jest król?
- Nie wiem, panie.
- Dobrze, a komuś przyszło w ogóle do głowy to sprawdzić?
- Wiemy, że jest w swojej sypialni. Pukaliśmy do drzwi Jego Wysokości kilkakrotnie, ale nie reagował. Boimy się mu przeszkadzać.

- Na pewno się zapił i leży nieprzytomny - mruknął Hiskiasz do Szebny. Miał nadzieję, że rzeczywiście tak jest, mógłby wtedy wrócić do siebie i dać sobie spokój z kolacją. I tak już mu ją zepsuto, podobnie jak apetyt.

- Król nigdy się tyle nie spóźniał - zgodził się Szebna, zmieniając nieco pozycję i poruszając nogami.

- Może ty wiesz, co mogło zatrzymać mojego ojca? -Księżę zwrócił się do siedzącego naprzeciw Uriasza, który teraz milczał jak kamień, nie okazując ani namiastki niecierpliwości, gładząc tylko swą poszarzałą brodę.

- Od rana go nie widziałem. - Kapłan wzruszył ramionami. - Po zakończeniu sesji rady królewskiej wrócił do siebie i obiad też chyba jadł w swoich komnatach.

W sali jadalnej znów zapadła cisza. Hiskiasz usłyszał, jak komuś zaburczało w brzuchu z głodu. Rozejrzał się i zobaczył, że Jonadab, dowódca straży pałacowej, zakłopotany czerwienieje.

- Przepraszam - powiedział cicho. Szebna podał mu tacę z ciastkami daktyłowymi, ale oficer pokręcił głową. - Nie dziękuję. Poczekam na króla.

- To śmieszne. Poślij osobistego lokaja króla do jego komnaty - polecił Hiskiasz słudze. - Każ mu sprawdzić, co go zatrzymało. Biorę na siebie winę za przeszkadzanie mu.

- Sądziś, że to rozsądne? - zapytał zaniepokojony Szebna.

- Nie obchodzi mnie to. Mam dość czekania. Idź - powiedział do sługi.

Mężczyzna wyśliznął się z pomieszczenia. Mijały minuty, ciszę mąciło tylko bębnienie palców Hiskiasza i burczący brzuch Jonadaba. Nagle do sali wpadł, blady i drżący, lokaj.

- Chodźcie, szybko! Król... król...

Uriasz zaskakująco szybko zerwał się na równe nogi i wy-maszerował z sali. Pozostali goście przez dłuższą chwilę trwali na swoich miejscach, jakby skamieniali. Gdy przerażony lokaj chciał wybiec za Uriaszem, Hiskiasz wstał i powstrzymał go.

- Co się dzieje z królem? - Zapytał. Lokaj pokręcił głową. Wyglądało na to, że nie jest w stanie mówić. - Więc pokaż mi. - Poleciał, chwytając drżącego mężczyznę za ramię.

Idąc krytym korytarzem w stronę komnat ojca, Hiskiasz zastanawiał się, co może tam zobaczyć. Lokaj był tak wstrząśnięty, że nerwy księcia aż drżały ze strachu. Gdy doszli do sypialni króla, Uriasz był już w środku. Szybko wyszedł, zatrzymując Hiskiasza w drzwiach.

- Nie wchodź tam, panie.

Hiskiasz wepchnął się do komnaty. Nie był przygotowany na widok, jaki ujrzął.

Król Achaz leżał rozciągnięty na ziemi, jego plecy pozostały wygięte niczym w agonii, kończyny miał groteskowo powykręcane. Usta otwarte, jakby krzyczał z bólu. Hiskiasz chciał odwrócić wzrok, ale nie mógł się ruszyć.

- Król nie żyje.

Hiskiasz usłyszał głos Uriasza skierowany do pozostałych, jakby dochodził z bardzo daleka. Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Ukucnął i dotknął dłoni ojca zaciskającej się na dywanie. Dotyk zimnego ciała przyprowadził go o nudności. To prawda. Achaz nie żył.

Hiskiasz wstał, wydawało mu się, że komnata zmniejsza się coraz bardziej i zaczyna wirować tak zawrotnie, że musiał zamknąć oczy. Szarpnął się, jakby chciał się wybudzić z koszmaru i odetchnął głęboko. Gdy oszołomienie minęło, otworzył oczy.

Przed nim stał Uriasz. Kapłan po chwili ukląkł i oddał mu pokłon.

- Niech żyje król Hiskiasz!

Hiskiasz spojrział wokół. Kapitan Jonadab i inni obecni za przykładem Uriasza uklękawszy, dotknęli czołami podłogi, mówiąc:

- Niech żyje król Hiskiasz!

Patrzył na nich, starając się pojąć ich słowa.

Ojciec nie żył. Teraz to on był królem.

Znów spojrzał na Achaza. Nie czuł żadnego żalu z powodu jego śmierci, był jedynie wstrząśnięty i zaskoczony. Do dziś jego życie było starannie uporządkowane i zorganizowane, niewiele było w nim zmian, a niespodzianek bardzo mało. Nie śmiał mieć nadziei na tron wcześniej niż po wielu latach. Jednak Achaz umarł. I teraz on jest królem.

Wiadomość szybko rozeszła się po pałacu, szmer na korytarzach świadczył o pewnej dezorientacji. Ale Hiskiasz pozostawał w bezruchu. Patrzył na ciało ojca, tak, jakby miało mu to pomóc zrozumieć zupełną ostateczność jego śmierci. Uriasz wstał i chwycił Hiskiasza za ramię ściskając je dotąd, aż ból przełamał działanie szoku. Następnie pociągnął go ku drzwiom.

- Wasza Wysokość, tutaj już nic nie zdziałasz. Powinieneś wyjść. - Tłumaczył, prowadząc Hiskiasza aż na korytarz i zamykając za nim drzwi. - Wiem, że jesteś bardzo wstrząśnięty tą tragedią, Wasza Wysokość, ale mamy kilka pilnych spraw wagi państwowej, którymi musimy się zająć natychmiast. By zapewnić ciągłość sprawowania władzy proszę o pozwolenie ich poprowadzenia.

- Pozwolenie? - Powtórzył Hiskiasz.

Zastanawiał się, jak to możliwe, że godzinę temu jego najważniejszym zmartwieniem był posiłek, a teraz kieruje całym państwem. Czuł badawczy wzrok Uriasza, zuchwały i wyzywający. Musiał walczyć z odruchem spojrzenia w inną stronę. Kapłan wiedział o rządzeniu królestwem dużo więcej od niego, ale Hiskiasz, sam nie widząc czemu, nigdy go nie lubił. Być może z tego powodu, że Uriasz, którego osoba zawsze wywierała na Hiskiaszu wielkie wrażenie, stale krążył wokół ojca. Jednak wbrew tej intuicji postanowił póki co pozostawić go przy władzy. Dla dobra kraju. Będzie potrzebował czasu, by nauczyć się być królem.

- Możesz dalej wykonywać swoje obowiązki, tak jak za panowania mojego ojca - powiedział wreszcie.

- Dziękuję, Wasza Wysokość.

Kamienna twarz Uriasza nie poruszyła się. Hiskiasz wyczuwał, że kapłan charakteryzuje się silną wolą, tak odmienną od Achaza, i domyślał się, kto tak naprawdę rządził krajem.

- Pierwsza sprawa to posłowie. Trzeba ich koniecznie odesłać do siebie, natychmiast.

Hiskiasz nie miał pojęcia, o co chodzi. Już samo zrozumienie sensu słów Uriasza wymagało wielkiego wysiłku, a co dopiero ocena ich znaczenia. Gdy skinieniem głowy potwierdził swoją zgodę, poczuł, jakby korytarz się zachwiał.

- Muszę zaufać twojej ocenie sytuacji, Uriaszu, dopóki sam się z nią nie zaznajomię.

- Dobrze. Z pewnością chcesz jak najszybciej spotkać się z doradcami ojca. Czy jutrzejszy ranek to zbyt wczesny termin?

- Nie, w porządku. - Przynajmniej tyle czasu potrzebował, by się otrząsnąć.

- Muszę też się zająć pogrzebem Achaza. Wspomnienie imienia ojca przypomniało Hiskiaszowi o pewnej kwestii.

- Uriaszu, jak on umarł?

- Był sam, Wasza Wysokość. Być może nigdy się nie dowiemy.

- Ja mimo to spróbuję. Chcę przesłuchać wszystkich służących, wszystkie jego nałożnice. Wyraźnie widać, że cierpiał umierając. Trudno uwierzyć, że nikt go nie usłyszał. A tym bardziej, że nikt nie pospieszył mu z pomocą.

Rysy twarzy Uriasza stężały. Odciągnął Hiskiasza od drzwi tak, jakby obawiał się, że Jonadab czy ktokolwiek inny mógłby go usłyszeć.

- Grzebanie zbyt głęboko tylko splamiłoby pamięć króla. Wiem, co mógłbyś odkryć - przerwał, jego głos stał

się delikatniejszy - wiesz doskonale, że twój ojciec za dużo pił. Być może jednak nie wiesz, że nadużywał również asyryjskich narkotyków obrzędowych. Próbowałem go zniechęcić, ale żądał ich coraz więcej. Był królem. Kto by mu śmiał odmówić?

- Twierdzisz, że niechcący zażył śmiertelną dawkę?

- Jestem pewien, że dojdiesz do tego samego wniosku, ale jeśli sobie życzysz, zbadam okoliczności jego śmierci. -Wzrok Uriasza znów stał się wyzywający. Hiskiasz ponownie uświadomił sobie, jak głęboko nie ufa temu człowiekowi.

- Chyba nie ma większego sensu - odpowiedział po chwili.

- Jeśli zatem mogę odejść, chciałbym zająć się tymi pozostałymi sprawami, a także rozpocząć przygotowania do twojej koronacji.

- Możesz odejść - mruknął. Uriasz zniknął, jakby się rozplątał w powietrzu.

Hiskiasz ruszył wolnym krokiem przez korytarz, nieświadomy poruszenia wokół niego. Królowanie Achaza dobiegło końca. Hiskiasz zrozumiał, że jego własne życie w ukryciu, jedyne jakie wiódł dotychczas, również dobiegło końca. Od teraz to on odpowiada za cały naród. Miał świadomość, że Achaz nieraz usiłował unikać tej odpowiedzialności i przez chwilę wydawało mu się, że rozumie motywy ojca. Żałował, że nie wiedział o tym wcześniej, że nie miał czasu, by przygotować się do nowej roli. Ale przyszedł czas zostać królem, niezależnie od przygotowania.

Z początku Chefsiba sądziła, że wieść o śmierci Achaza to jedynie plotka; różnych pogłosek po pałacu krążyło mnóstwo. Gdy jednak usłyszała przeraźliwe żałobne zawodzenia dochodzące z komnat żon i nałożnic króla, gdy zobaczyła je

w czerni, przekonała się, że to prawda. Achaz nie żył. A ona była żoną nowego króla Judy.

Słudzy po kilku dniach byli gotowi, do przeprowadzki Chefsiby i wszystkich nałożnic Hiskiasza z ciasnych pomieszczeń przy komnatach księżęcych do luksusowych komnat przeznaczonych dla kobiet króla.

- Niedługo zobaczysz, pani, swój nowy apartament - powiedziała jej osobista służąca, Merab. - To najwspanialsze po królewskich komnaty w całym pałacu. Wysokie okna z jednej strony wychodzą na dziedziniec, po przeciwnej stronie masz widok z balkonu na całe miasto.

Odkąd pamiętała, Merab zajmowała się nią jak matka. Tuliła ją na kolanach i nosiła na swoich szerokich biodrach. Jej dłonie kołysły łzy Chefsiby, jej uśmiech witał Chefsibę każdego ranka. Teraz przybyła z nią do pałacu jako wiano od jej ojca. Merab kochała Chefsibę jak własną córkę, a w nowym domu była jej jedyną przyjaciółką i towarzyszką.

Nałożnice Hiskiasza nie zaakceptowały Chefsiby. Z początku dlatego, że czuły się urażone jej wyższą pozycją jako jego jedynej żony. Z czasem, gdy mijały miesiące, a Hiskiasz noc po nocy zamiast Chefsiby wzywał którąś z nich, zaczęły z niej drwić dbając, by zawsze wiedziała, że spał z jedną z nich. Merab robiła, co mogła, by chronić Chefsibę przed ich szyderstwami i podnosić ją na duchu. Chefsiba miała świadomość, że również teraz stara się robić to samo.

- Nałożnice przeniosą się do komnat dla kobiet, ale ty, pani, otrzymasz najwspanialszy apartament, przeznaczony dla ulubionej żony króla.

Chefsiba uśmiechnęła się, starając się ukryć ból, ale wiedziała, jaka jest prawda. Że jest jedyną żoną Hiskiasza, ale wcale nie ulubioną.

- Weź to, nie chcę tego dawać tym niezdarnym służącym - odezwała się, podając Merab pudełko z kości słoniowej

zawierające jej klejnoty ślubne. - Zanieś do mojego nowego mieszkania.

- Z przyjemnością, pani. - Merab wyszła niosąc pudełeczko jak drogocenny skarb.

Gdy po kilku minutach służby wrócili po kolejną partię rzeczy Chefsiby, zachciało jej się zobaczyć nowe komnaty na własne oczy. Gdy jednak weszła do salonu przechodniego, usłyszała głos Merab, która kłóciła się z kimś w sypialni.

- Moja pani nie będzie mieszkała z nałożnicami! Jest żoną króla! Będzie mieszkała tutaj, w komnatach dla królowych

- To ja odpowiadam za komnaty dla kobiet i już podjąłem decyzję - odparł eunuch, zajmujący się tą częścią pałacu. - Komnaty dla królowych są przeznaczone tylko dla ulubionych żon króla, tych, z których król Hiskiasz jest zadowolony. Twoja pani będzie mieszkała razem z pozostałymi nałożnicami.

Chefsiba poczuła się, jakby została spoliczkowana. Stłumiła krzyk i oparła się o ścianę, żeby nie upaść.

- Jak śmiesz obrażać moją panią? - krzyknęła Merab.

- Księżę spędził z twoją panią poślubny tydzień i odtąd nie posyłał po nią. Już od ponad pół roku. Czy to sugeruje, że jest ona jego ulubioną żoną?

Chefsiba zakryła twarz dłońmi, miała ochotę schować się przed straszliwą prawdą. Słowa eunucha, który wyklócał się w sąsiedniej komnacie z Merab, były dla Chefsiby niczym uderzenia bicia.

- Nigdy jej nie wzywa. Mnie tyle wystarczy. Poza tym nie udało się jej począć mu dziecka. Będzie mieszkała w komnatach dla wszystkich kobiet, dopóki jej nie wezwie. Nie będę zagracał najpiękniejszego apartamentu niechcianą żoną. Hiskiasz jest teraz królem i może sobie wziąć za żonę każdą kobietę w kraju. I zamieszka tu właśnie ta, którą wybierze.

Chefsiba, płacząc, upadła na podłogę. Eunuch, który wy-maszerował z godnością z sypialni, minął ją jak powietrze,

ale po chwili poczuła ramiona Merab, które objęły ją kojąco. Głos służącej drżał, z pewnością również płakała.

- Nie płacz dziecko. Wszystko jest dobrze.

- Nie, nie jest, Merab. Mąż mnie nie chce. Nie kocha mnie.

- Ćśś... nie słuchaj tego nienawistnika. On kłamie. Chefsiba wiedziała jednak, że eunuch nie kłamie. Nie

spodobała się Hiskiaszowi i odrzucił ją. Nieważne, w której komnacie przyjdzie jej mieszkać, resztę życia spędzi w skrzydle pałacu przeznaczonym dla kobiet króla, sama, bez męża i bez dzieci. Jej życie nie będzie miało żadnego innego celu, poza pełnieniem funkcji ozdoby uczt i uroczystości. Miała ledwie osiemnaście lat, a jej życie już się skończyło.

- Co mam robić, Merab? Nie chcę być do śmierci więźniem pałacu. Dlaczego mąż mnie nie kocha?

- Nie wiem, dziecko - odparła służąca, kołysząc ją w ramionach. - Poznawał cię tylko przez tydzień. To niesprawiedliwe.

- Dlaczego Hiskiasz jest królem, a nie zwyczajnym człowiekiem? Mogłabym być dla niego wsparciem każdego ranka i ukojeniem wieczorami. Zawsze byłabym u jego boku, by się nim opiekować, zabawiać ważnych gości wychowywać jego dzieci. Chcę kochać go jak prawdziwa żona i w zamian otrzymywać jego miłość. Dlaczego nie może tak być?

- Wróćmy do domu dziecko. Do domu twojego ojca. To była potworna pomyłka.

- Nie. - Chefsiba się rozplakała. - Nie możemy wrócić do domu!

- Ależ dlaczego? Twój ojciec cię kocha. Wolałby umrzeć, niż wiedzieć, że jest ci tak źle.

- Nie mogę wrócić. Nikt nie może dowiedzieć się, że jestem do niczego.

- Ależ nie jesteś do niczego.

- Merab, słyszałam, co właśnie powiedział eunuch. Mój

mąż nie był ze mnie zadowolony. Dlatego już więcej nie posyłał po mnie.

- Tylko że właściwie nie dał ci nawet szansy.

- Ponadto, jeśli powrócę do domu w niełasce, tato nie będzie mógł znaleźć męża dla Miriam. No i co mam zrobić? Nie mogę tak spędzić reszty życia.

Merab przytuliła ją mocniej. Płakały razem, Chefsiba długo wylewała swój ból w ramiona Merab. Kochała służącą jak własną matkę, ale była jedna rzecz, której nie mogłaby jej nigdy wyznać. Którą nie mogła podzielić się z nikim. Kochała Hiskiasza. Kochała nad życie. Pozostanie w komnatach kobiet do dnia swojej śmierci, dopóki będzie miała nadzieję, że kiedyś sobie o niej przypomni i po nią pośle. Nigdy nie mogłaby pokochać innego mężczyzny tak bardzo, jak kochała jego.

Przypominała sobie, jak się rozciągał wstawszy rano z małżeńskiego łóża, jak wyglądał przez okno na otaczające Jerozolimę wzgórza, jak sycił się ich widokiem. Uwielbiała sposób, w jaki trzymał w dłoniach jej twarz, gdy ją całował, jak zanurzał palce w jej włosy. Co noc, gdy spał obok niej, przyglądała mu się w świetle księżyca, teraz z pamięci potrafiła odtworzyć każdą linię i płaszczyznę jego twarzy. Umiała sobie przypomnieć jego zachowanie w każdej chwili, każdy gest, każde słowo, jakie wypowiedział do niej w trakcie tego wspólnego, krótkiego tygodnia. Musiała. Zostały jej po nim tylko wspomnienia.

Słońce już zaszło, gdy Micheasz wraz z innymi uczniami wcisnął się do domu Izajasza ciekaw, po co prorok zwołał dzisiejsze spotkanie. Izajasza i pozostałych nie widział od wiosny, odkąd wrócił do siebie, do Moszeret, zając się gospodarstwem. Przez chwilę witał się z innymi prorokami, ściskając się z nimi serdecznie.

- Dziękuję wszystkim za przybycie. - Izajasz zaczął dość głośno, by uciszyć zebranych. - Wiem, że wielu z was przebyło długą drogę, by tu dotrzeć. I jestem wam za to wdzięczny. Rozgośćcie się, proszę, byśmy mogli przejść do rzeczy.

Prorok stał przy palenisku, za nim jego żona gotowała posiłek. Powietrze było przesycone aromatem cebuli skwierczącej na oliwie. Jednoizbowe domostwo służyło Izajaszowi za kuchnię, sypialnię, gabinet oraz salę wykładową. Było skromnie umeblowane. Micheasz znalazł sobie miejsce na kamiennej podłodze, usiadł i pochylił się do przodu, pilnie słuchając.

- Wieści z Jerozolimy zapewne dotarły do większości z was. Achaz nie żyje, jego następcą na tronie królewskim jest jego syn, Hiskiasz.

- Nie, Rabbi - rzekł zaskoczony Micheasz. - Nie słyszałem o tym. Wieści dochodzą do Moreshet z opóźnieniem. Jak umarł?

- Nagle i niespodziewanie. - Izajasz wzruszył ramionami. - Nikt tak naprawdę nie wie, co się stało.

- To sąd Jahwe nad złym królem - stwierdził ktoś inny. Micheasz pokiwał twierdząco głową.

- Kilka najbliższych tygodni to będzie kluczowy czas dla naszego kraju - ciągnął Izajasz. - O nowym królu, Hiskia-szu, nie wiemy nic. Nie wiemy, czy czci bożki jak jego ojciec, czy nie. Ale jutro wyruszę z powrotem do Jerozolimy i proszę o waszą modlitwę. Wierzę, że Jahwe chce, by znów słyszano Jego głos.

- Zgadzam się, Rabbi - powiedział ktoś z zebranych - ale może warto się wstrzymać? Jeśli się okaże, że nowy król jest tak samo zły jak Achaz? Ryzykujesz aresztowanie.

Inni chrząknęli twierdząco.

- Rozumiem wasze obawy. Ale cały czas modlę się o duchową odnowę naszego narodu i może rozpocznie się ona za panowania nowego króla. Muszę wykorzystać szansę, by głosić Hiskiaszowi proroctwo Jahwe.

Micheasz podzielał entuzjazm Izajasza. Rabbi miał rację. Wszyscy oni modlili się o to, by naród wydobył się z moralnego upadku, a nowy król mógł oznaczać zmianę. Gdyby tylko komuś udało się przekonać go, by zaczął słuchać Słowa Bożego.

- Uważam, że to dla ciebie zbyt niebezpieczne - rzekł mężczyzna siedzący obok Micheasza - król Achaz wydał rozkaz aresztowania cię, gdybyś znów prorokował. Poza tym, potrzebny jesteś tutaj, wśród nas.

- Nie boję się...

- Nie kwestionujemy twojej odwagi, Rabbi, ale co z Uriaszem? Nadal jest arcykapłanem i z tego, co wiemy, prawdopodobnie również zarządcą pałacu. Wie kim jesteś, wie że jesteś jego przeciwnikiem. Nigdy nie pozwoli ci mówić z królem.

- To okazja, z której będę musiał skorzystać - odparł Izajasz - słowo Jahwe należy głosić teraz, gdy następuje zmiana władzy.

- Ja zatem pójdę zamiast ciebie - powiedział Micheasz, wstając z podłogi. - Mnie nikt w Jerozolimie nie zna, ja będę głosił proroctwo królowi.

Izajasz przez chwilę zastanawiał się nad jego propozycją, patrząc na niego z głębokim szacunkiem.

- Ani trochę nie wątpię w to, że jesteś w stanie to uczynić, Micheaszu. Widziałem, że masz powołanie, gdy tylko się poznaliśmy. I choć tak bardzo się różnimy, jesteś dla mnie jak brat. Ale to ja mam dostęp do pałacu i do króla, ja jestem członkiem królewskiego rodu...

- I właśnie dlatego nie powinieneś iść - przerwał mu Micheasz. - Za bardzo jesteś znany. Zostaniesz rozpoznany, gdy tylko przekroczyś bramy miasta. Ale jeśli ja pójdę, będę wyglądał na zwykłego rolnika z Moreszet, który tak jak setki innych, przybywa na koronację.

- On ma rację, Rabbi - powiedział jeden z zebranych. - Niech Micheasz idzie za ciebie.

Izajasz popatrzył po zgromadzonych, Micheasz w ślad za nim uczynił to samo. Po ich twarzach widział, że ma ich poparcie. I że będą o nim pamiętać w modlitwach.

- Pozwól mi iść - powtórzył.

- Czy jesteś pewien, że rozumiesz, jakie wiąże się z tym ryzyko? Nie wiemy, jak Hiskiasz zareaguje na proroctwo Jahwe.

Micheasz skinął twierdząco.

- Mogą mnie aresztować, nawet zabić. Mimo to chcę iść - oświadczył, siadając z powrotem na podłodze.

- No nie wiem. - Izajasz się wahał, siadając na taborecie obok paleniska. - Musielibyśmy się zastanowić jak mógłbyś dotrzeć do króla z proroctwem. Jak ominąć Uriasza, jeśli to on jest ciągle zarządcą. Nie porozmawiasz z nim, wchodząc tak po prostu do pałacu. Prorokowanie publicznie, na ulicach, również może nie wchodzić w grę. Otoczyłby cię tłum ludzi, a król pewnie i tak będzie dobrze pilnowany.

- Rabbi, a nie mógłby pomóc ktoś z twoich krewnych w pałacu? - Spytał któryś spośród zgromadzonych.

- Nie - odpowiedział Izajasz po dłuższym namyśle, kręcąc przecząco głową. - Za długo nie miałem z nimi kontaktu. Zmiana władzy oznacza intrygi, a większość dostojników wstrzymuje się z poparciem jakiegokolwiek strony, dopóki nie będzie wiadomo, kto tak naprawdę dzierży władzę. Obawiam się, że nie mogę liczyć na to, by ktokolwiek z moich krewnych zechciał ryzykować życiem za proroka Jahwe.

- A kapłani albo Lewici? Może oni by pomogli?

- Może... Mój przyjaciel, Zachariasz, odważył się wystąpić przeciw Achazowi i został przez to uwięziony. Hiskiasz jest jego wnukiem. Mógłbyś z nim nawiązać kontakt. O ile jeszcze żyje.

Micheasz znów skinął głową, choć wydawało mu się to mało prawdopodobne, by Achaz zachował przy życiu któregokolwiek ze swoich przeciwników.

- A strażnicy w pałacu? - spytał jeden z młodszych proroków. - Czy któryś z nich nie mógłby pomóc Micheaszowi, dostać się do króla?

- Mój wuj służy w straży pałacowej. - Zgłosił się inny. - Ale ma wyznaczony posterunek na warcie w Bramie Wodnej, nie wchodzi do pałacu.

- Hmm... można by było... - Izajasz z namysłem pogłaskał brodę.

- A słudzy w pałacu? Może Micheasz mógłby zamienić się z którymś na jeden dzień i w ten sposób dostać się do króla? Na przykład podczas posiłku.

- Czy ktoś ma jakiś kontakt ze sługami w pałacu? - zapytał Izajasz. Nikt nie odpowiedział.

- A gdyby Micheasz zaczął sprzedawać swoje produkty do kuchni pałacowej i w ten sposób sam nawiązał kontakt? Może z jakąś miłą służką?

- To dobry pomysł - odparł Izajasz. - Ale obawiam się, że jego realizacja trwałaby zbyt długo. Micheasz będzie musiał działać szybko, dostać się do króla w ciągu kilku dni, o ile to możliwe. Sądzę, że nowy monarcha będzie najbardziej otwarty

- o ile w ogóle jest otwarty - w czasie, gdy będzie kompletował sztab swoich doradców i podejmował decyzje o tym, od czego zacząć swoje panowanie. W chwili, gdy Uriaszowi i jego stronnikom uda się zdobyć zaufanie króla, będzie za późno.

W izbie zapadła cisza, którą mącił jedynie trzask płomieni i dźwięk drewnianej łyżki, którą żona Izajasza mieszała zawartość glinianego garnka. Gdy próbowali opracować plan, Micheasz przeżywał pełne spektrum uczuć, od nadziei po rozpacz. Boże proroctwo mogłoby zwrócić serce króla -i serca narodu - ku Bogu. Ale czy uda się w ogóle dotrzeć do władcy? Próbował wyobrazić sobie, że wspina się stromą dróżką do Jerozolimy, potem przez miasto do pałacu, staje przed królem - i naraz znalazł rozwiązanie.

- Wiem, co robić - powiedział cicho, wstając z miejsca. Spojrzenia wszystkich obecnych skierowały się w jego stronę.

- Izajasz powiedział to na samym początku. Wejdę tak po prostu do pałacu i porozmawiam z królem.

Zapadła pełna zdumienia cisza.

- Słuchajcie - ciągnął - król z pewnością ogłosi święto z okazji koronacji, prawda? Poczekam do wieczora, żeby wszyscy już dobrze pojedli, popili, rozluźnili się nieco. Wtedy pójdę do pałacu nie kryjąc się, tak jakbym szedł do siebie i porozmawiam z królem. Izajasz mógłby narysować plan dojścia do sali bankietowej. Potem wszystko w rękach Jahwe.

Izajasz patrzył na niego, marszcząc brwi. Micheasz poczuł na sobie wzrok wszystkich zebranych. Jego plan był prosty, ale szokująco zuchwały. Czekał.

- Nie możesz chyba się podjąć realizacji tak lekkomyślnego zamiaru - odezwał się w końcu jeden z proroków.

- Dawida też pewnie byś nazwał lekkomyślnym - Micheasz aż się zagotował ze złości - gdy szedł na Goliata zbrojny jedynie w procę. Może Jozue był głupcem sądząc, że zdobędzie Jerycho obchodząc je wokół i dmiać w trąby? Nie mogę poddawać w wątpliwość sposobów działania, które wybiera Jahwe. Jestem mu po prostu posłuszny. Czuję się w obowiązku iść do Jerozolimy, do pałacu i prorokować królowi. A jeśli się mylę, jeśli głupio postępuję, to może przede wszystkim w ogóle nie zostałem powołany, by być Jego prorokiem?

Izajasz wstał, by uścisnąć Micheasza.

- Niech Jahwe cię błogosławi, przyjacielu - rzekł, patrząc na niego z uszanowaniem. - Za twoją odwagę i wiarę. A nam czas się modlić.

Przed wschodem słońca Micheasz wyruszył krętą drogą, wijącą się przez Wzgórza Judzkie ku Jerozolimie. Gdy dotarł do Bramy nad Doliną, znajdującą się w południowym odcinku murów miejskich, był już zgrzany i zmęczony. Od wysiłku, jaki stanowiło pokonanie stromego podejścia, rozboleły go nogi.

Zatrzymał się, by odpocząć przy Sadzawce Siloe. Złożywszy dłonie zaczerpnął zimnej, źródlanej wody. W tym gwarnym mieście, gdzie wszystko pędziło w zawrotnym tempie czuł się obco. Przyglądał się pędzącym w pośpiechu twarzom bez uśmiechu, pragnąc dostrzec jakąkolwiek znajomą, ale

nikt nie odpowiadał na jego pozdrowienia. Bogaty czy ubogi, kapłan czy niewolnik, wszyscy patrzyli na prosty chłopski strój Micheasza z tą samą wzgardą, lub w ogóle go nie zauważali. On zaś doszedł do wniosku, że podobnie odnosili się do Jahwe. Albo żyli w pośpiechu ignorując Go, albo też odnosili się do Niego i do Jego przykazań ze wzgardą.

Spojrząwszy ku zachodowi, w głąb doliny, Micheasz zobaczył urwiste zbocza znaczące wejście do Doliny Hinnom. Izajasz opowiadał, jakie składano tam ofiary Molochowi, ale Micheasz nie mógł uwierzyć, że rodzice poświęcali swoje dzieci bożkom. Wiedział, że pobliska kępa rozłożystych drzew to święty gaj Aszery, a podczas swojej podróży na każdej polanie i każdym szczycie w Judzie widział ołtarze Baala. Jak to się stało w tak krótkim czasie? Kilka lat temu Micheasz udał się na północ, do Izraela, i tam prorokował przeciw bałwochwalstwu, ale wierzył, że dla jego kraju wciąż jest jeszcze nadzieja. Teraz widział, że i tu choroba stała się już nieuleczalna. Plaga bałwochwalstwa dotarła do Judy, pod same strzechy ludu, aż do samej Jerozolimy.

Micheasz zrozumiał beznadziejność swej misji. Opanowało go znużenie i przygnębienie. Dla tego kraju było już za późno. Jego głos jest jeden przeciw tysiącom innych. Co niby chce osiągnąć? Ubogiego chłopca nikt nie posłucha. Król też nie. Izajasz był wykształcony, miał królewskie pochodzenie, a władca i tak go nie słuchał. Więc co on, Micheasz, chce tu zdziałać? Nie będzie z niego żadnego pożytku. Próbować zatrzymać to zło, to tak jak próbować zatrzymać morskie fale.

Stał przekonany, że powinien powrócić do siebie, do gospodarstwa w Moreszet, nie próbując nawet wejść do miasta. I wtedy przypomniał sobie, jak żarliwie Izajasz i pozostali modlili się za niego przez całą noc. Wiedział, że będą się za niego modlić do jego powrotu. Liczyli na niego, na to, że będzie

ich rzecznikiem wobec króla Hiskiasza, że przypomni mu o przymierzu Jahwe z narodem. Jeśli król się opamięta, być może naród również to uczyni. Możliwe, że jest za późno, ale trzeba chociaż spróbować. Zapominając o znużeniu i przygnębieniu, wszedł przez zatłoczoną bramę do miasta.

Słońce stało dokładnie w zenicie, cień u stóp Micheasza idącego jerozolimskimi ulicami, był niemal niewidoczny. Za kilka godzin prorok będzie świadkiem koronacji w Świątyni, potem oficjalnie rozpocznie się święto. Wówczas poczeka, aż wszyscy wypiją dość wina, wejdzie do pałacu i wypowie wobec króla Słowo Jahwe.

Skręcając w kierunku Świątyni Jahwe, zobaczył górujący nad miastem, błyszczący od złota jej dach. Od lat nie pielgrzymował do Jerozolimy - dokładnie od momentu, gdy dowiedział się, że Achaz zamknął drzwi Przybytku i zbudował w nim asyryjski ołtarz. Już prawie zapomniał o czasach uroczystych obchodów Paschy czy Święta Namiotów.

Przed laty, gdy był dzieckiem, za czasów panowania króla Jotama, miasto wydawało mu się piękne, ale teraz, idąc wąskimi, stromymi uliczkami, widział brud, upadek i wszechobecną nędzę. Wiedział, jak ciężko on i inni rolnicy cierpieli pod brzemieniem asyryjskich danin, a teraz widział na własne oczy, że podobnie cierpieli również mieszkańcy miast. Kiedyś Jerozolima była wspaniała, teraz jej domy i mury niemal się rozpadały, wiele sklepów zabito deskami. Żebracy - od dzieci po starców - siedzieli w pyle, błagając wszystkich przechodniów o datek. Na wsi można było przynajmniej sobie wyhodować jedzenie.

Gdy dotarł do położonego poniżej Wzgórza Świątynnego pałacu, zobaczył, że choć do koronacji zostały jeszcze dobre trzy godziny, na zewnętrznym dziedzińcu zgromadziły się już tysiące ludzi. Zastanawiał się, co mogło ich tu przyznać. Mieli

nadzieję, że nowy król zapewni im lepsze życie, pokój, dobrobyt? On sam też pragnął tych rzeczy, ale wiedział, że nie da ich żaden ziemski król. Dać im to może jedynie Bóg.

Przyglądał się tysiącom mijanych w tłumie twarzy, ale choć ludzie pili i śmiali się, nikt nie wyglądał na szczęśliwego. Przez krótką chwilę widział ich takimi, jakimi widział ich Jahwe -jako owce nie mające pasterza - i wtedy zrozumiał Izajasza. Nadszedł czas, by prorocy Jahwe znów głosili Jego przesłanie. Bóg miłuje ten lud i chce, by powrócił on do Niego. Ale choć tak bardzo pragnął głosić im Słowo Boże, wiedział, że jeszcze nie nadszedł jego czas. Należało poczekać do koronacji.

Westchnął, oparłszy się o parkan dziedzińca, z dala od ścisłu, i wyjął szkic pałacu, który narysował mu Izajasz. Uczył się go na pamięć w każdej wolnej chwili w drodze do Jerozolimy, a teraz porównywał rysunek z terenem, zastanawiając się, którędy dostać się do sali bankietowej. Nie wiedział jeszcze, co dokładnie powie królowi Hiskiaszowi, ale wiedział, że Jahwe natchnie go, gdy przyjdzie czas.

Gdy tak obserwował, oddział straży pałacowej odepchnął tłum, po czym sformował szpaler wokół schodów pałacu. Micheasz nie wziął wcześniej pod uwagę faktu, że strażników będzie aż tylu i zastanawiał się teraz, jak się przez nich przedostanie. Poza tym zastanawiał się, co z nim będzie po ogłoszeniu proroctwa - czy pozwolą mu spokojnie odejść i wrócić do siebie do Moreszet, czy też zostanie uwięziony, a może zamordowany? Ku własnemu zaskoczeniu nie czuł strachu. Wysłucha głosu Jahwe i wygłosi słowa, które On mu przekaże - nieważne, co będzie potem.

Gdy zniecierpliwiony tłum coraz bardziej napierał na Micheasza, prorok postanowił poszukać miejsca, w którym będzie mógł pobyć sam na sam z Bogiem i przygotować się do swojego zadania. Złożył plan z powrotem i przedostał

się przez bramę na zewnątrz, sprawdzając przez fałdy okrycia, czy ma srebrne monety, które dał mu Izajasz. Za część z nich chciał kupić gołębia na całopalną ofiarę oczyszczenia. Ruszył po stromych stopniach w kierunku Wzgórza Świątynnego - mieszkania Boga.

Ale gdy tylko wszedł na dziedziniec mężczyzn i ujrzał wielki, asyryjski ołtarz, stanął jak wryty. Izajasz wprawdzie ostrzegł go, że Achaz wznosił pogański ołtarz w świątyni Jahwe, ale Micheasz nie spodziewał się tak dojmującego wrażenia profanacji. Bożki wyrzeźbione wokół podstawy ołtarza zdawały się szydzić z Boga w samej Jego Świątyni. Ołtarz Jahwe przeznaczony na ofiary całopalne został odsunięty, podobnie jak On sam został zepchnięty na bok w sercach ludzi, by uczynić miejsce dla fałszywych bogów. Micheasz miał ochotę krzyknąć z oburzenia na widok tego gwałtu, tymczasem jednak obrócił się i uciekł ze Świątyni. Nigdy w życiu nie mógłby złożyć ofiary Jahwe w takim miejscu. Bóg już tu nie mieszka. Nic dziwnego, że Jego naród tak cierpi.

Micheasz przeciskał się przez zatłoczone ulice, nie patrząc, dokąd go prowadzą. Tłoczący się ludzie potracali go i poszturchiwali, jednak gniew i żal ogłuszyły go tak mocno, że niczego nie zauważał. Schodził na ślepo, aż znalazł się na targu, gdzie hałas i gwar sprawiły, że ochłonął. Ze wszystkich stron atakowały go głosy sprzedawców oferujących swoje towary i konkurujących o klientów. Wciąż jednak był nieco oszołomiony, gdy drogę zastąpił mu sprzedawca figurek bożków.

- Podejdz tu, zobacz. - Zapraszał, pokazując na swoje stoisko. - Sprzedaję najlepszych bogów domowych w tym mieście. Widzisz? Z drewna oliwnego, złota, z kości słoniowej... Którego bierzesz, przyjacielu? Baala, żeby zboże obrodziło? Tylko trzydzieści szekli.

- Daj mi spokój. - Micheasz próbował go minąć, ale kupiec chwycił go za ramię.

- Lepszych bogów nigdzie nie znajdziesz. Tylko dwadzieścia pięć szekli.

- Nie chcę twoich plugawych bożków. - Micheasz wyrwał się i odepchnął kupca nieco silniej, niż zamierzał. Tamten stracił równowagę i zatoczył się, potracając bożki na swoim stoisku.

- Hej! Wracaj tu! Nie wolno mną tak pomiatać! Micheasz przepychał się łokciami przez tłum w nadziei,

że tamten nie będzie za nim szedł. Nie miał pojęcia, jak dostał się do dzielnicy handlowej. Pragnął się stąd jak najszybciej wydostać. Rozglądał się, szukając ulicy, która prowadziła do Bramy nad Doliną, ale rozpychający się tłum zasłaniał cały widok.

Nagle ktoś złapał go za ramię. Micheasz odwrócił się sądząc, że ujrzy handlarza bożkami, ale zamiast tego zobaczył jakiegoś starszego mężczyznę.

- Nietutejszy, co? Przybyłeś do miasta na koronację? Słuchaj, mam dla ciebie świetną ofertę na kadzidło dla bogów. Towar z importu. Tylko dziesięć szekli.

- Nie oddaję czci bożkom - odparł Micheasz zdejmując jego dłoń ze swojego ramienia. Chciał odejść, ale drogę zwinnie zastąpiła mu jakaś kobieta. Nie miała chusty, ani żadnego okrycia głowy, ale podeszła zupełnie bezczelnie, stając twarzą w twarz. Oczy miała umalowane kholem.

- Nęka cię ta gadzina? - zapytała Micheasza, pokazując na handlarza kadzidlami. - Chcesz, żebym rzuciła na niego urok?

Micheasz nie był w stanie rozmawiać z taką bezwstydnicą. Nie wypadało.

- A może ktoś, kogo kochałeś, odszedł? - zapytała z uśmiechem. - Chodź ze mną, mój drogi, a wyczaruję ci

króla Achaza. - Odrzuciła swe długie, czarne włosy za ramię i roześmiała się.

Micheasz odwrócił się i zanurzył się w tłum, spychając ludzi ze swej drogi. Był wstrząśnięty, czuł się unurzany w rynsztoku bałwochwalstwa. Ale śpiesząc się, by wydostać się z rynku, mimowolnie znalazł się wśród zgromadzenia czcicieli Aszery. Nierządnicze sakralne stały na niewielkim podwyższeniu, a grupa niecierpliwych mężczyzn targowała się o ich usługi. Micheasz gwałtownie wybiegł na otwartą przestrzeń przed podwyższeniem. Wówczas negocjacje gwałtownie ucichły. Wszyscy spojrzeli na niego, jakby oczekiwali, aż wyjaśni powód, dla którego im przerwano.

Prorok poczuł, że przepływa przez niego moc Jahwe. Raz jeszcze ujrzał tych ludzi oczami Boga - zobaczył, że Jego łaskawość jest na granicy wyczerpania. Gniew Jahwe i Jego sprawiedliwy wyrok ciążyły nad całym ludem z powodu jego grzechów, ale lud ten był ślepy. Trzeba było go ostrzec. Musieli wiedzieć. Wskoczył więc na podwyższenie spychając kobiety na ulicę.

- Słuchajcie mnie! - krzyknął. - Słuchajcie, wszyscy! Bóg przeciw wam będzie świadkiem, Pan z pałacu swego świętego! - Gdy głos Micheasza niósł się przez targ, gwar cichł, przerywano negocjacje. Tłum oniemiał i ucichł. - Bo oto Pan wychodzi ze swego przybytku, zstąpi i deptać będzie po wyniosłościach ziemi. Stopnieją pod Nim góry, rozdziela się doliny jak wosk przed ogniem. Wszystko to za twoje grzechy. I w owym dniu - wyrocznia Pana -wyniszczę konie twoje spośród ciebie i zniszczę twe rydwany. Wytracę miasta twego kraju i zburzę wszystkie twoje twierdze. Odejme czarodziejstwa z twej ręki i wieszczbiarzy już w tobie nie będzie. Wytracę spośród ciebie rzeźby twoje i stele i już nie będziesz oddawać pokłonu dziełom swoich rąk. Powyrywam spośród

ciebie twe aszery i wyniszczę twoje posągi. Tak w gniewie i w uniesieniu dokonam pomsty nad narodami, które nie były posłuszne. Przeto z powodu was Syjon będzie jak pole zorany, Jeruzalem rumowiskiem się stanie, a góra świątyni - szczytem zalesionym²¹.

Zeskoczywszy z podestu przewrócił stół z rzeźbami bożków, strącając je na ziemię i rozbijając wszystkie wizerunki, jakie znalazł na swojej drodze.

- Kamienie Jerozolimy stoczę w dolinę i obnażę jej fundamenty. Wszystkie jej bożki będą potłuczone!

Przerwawszy dla złapania oddechu, rozejrzał się wokół, patrząc, czy lud usłucha jego przestrogi i nawróci się. Zanim jednak mógł wrócić do przerwanej prorocztwa, banda pijanej młodzieży postanowiwszy pójść za jego przykładem zaczęła wywracać stoły z owocami i warzywami, rozbijać dzbany z oliwą i rozdzierać worki z ziarnem. Szaleństwo udzieliło się pozostałym, ludzie zaczęli przepychać się, plądrując rozwalane stoiska. Rynek zmienił się w plac bitwy.

- Nie, czekajcie! Przestańcie - krzyczał Micheasz. - Nie rozumiecie! - Nie taki efekt zamierzał osiągnąć. Patrzył na rozgrywające się wokół szaleństwo gwałtu, czując, jakby wpadł w jakiś koszmar.

Nagle wyrósł przed nim sprzedawca bożków, który wymachiwał jakąś pałką. Chcąc się wycofać, Micheasz zorientował się, że z każdej strony wokół niego roило się od wściekłych kupców, uzbrojonych w pałki i kije. Serce zabiło mu mocniej ze strachu. To nie może się dziać. Przecież ma dziś wygłosić prorocztwo wobec króla. Próbował uciekać, ale nie było dokąd.

Kupiec zamachnął się na niego. Micheasz uchylił się od

²¹ Cytat ten (i kolejne), parafrazowany, pochodzi z Księgi Micheasza, rozdział 1 [przyp. red.].

ciosu, ale za chwilę otrzymał uderzenie z tyłu. Usiłował się obronić, jednak ich agresja była nie do powstrzymania. Kije uderzały go ze wszystkich stron, bezlitośnie wzbudzając ból. Uniósł ramiona, by osłonić głowę i poczuł chrupnięcie, które przyprawiło go o mdłości. Złamanie kości lewego ramienia uczyniło tę kończynę bezwładną i bezużyteczną. Oni chcieli go zabić...

- Ratuj mnie, Jahwe... pomocy! - krzyczał, próbując się wydostać, próbując nie upaść. Potężny cios trafił w jego czoło, ból zdawał się rozrywać czaszkę. Zataczał się naprzód, ale krew zalewała mu oczy, oślepiając go. Kolejne uderzenie powaliło go na ziemię, a wściekli kupcy okrążywszy go, kopali go i bili. Prorok zanurzył się w nieświadomości.

Chilkiasz z przerażeniem patrzył ze swojego stoiska na targu, jak rozjuszeni kupcy okrążyli proroka Jahwe i zaczęli go bić. Wcześniej wydawało mu się, że ciemnobrody to jeden z wielu wieśniaków, którzy przybyli do miasta na uroczystości. Miał zrogowaciałe dłonie i muskularne ręce człowieka, który władał pługiem zaprzężonym w parę wołów. Jednak, gdy mężczyzna zaczął prorokować, Chilkiasz usłyszał w jego słowach potężny głos Jahwe, który tak długo milczał. Tylko, że później wydarzenia zaczęły rozgrywać się o wiele za szybko. W jednej chwili Chilkiasz jak urzeczony słuchał prorockich ostrzeżeń, a w kolejnej już widział, jak kupcy napadają na tego człowieka.

- Przestańcie! Przestańcie, zabijecie go - krzyknął. Wybiegł zza swojego stoiska na pomoc prorokowi, ale zanim zdążył do niego dotrzeć, od tyłu złapał go Eliakim.

- Abba, nie. Nie idź do nich.

- Puść mnie, Eliakimie! Muszę go ratować! Zabijają go! Zabijają Bożego proroka. - Usiłował się wyrwać, ale syn był wyższy i silniejszy. I nie puszczał ojca.

- Ciebie też zabijają, Abba. Nie mieszaj się do tego. To nie twoja sprawa.

- Puść mnie! Boże Abrahama! Niech ktoś mu pomoże!

Chilkiasz czuł każdy cios, jaki za sprawą oburzonych spadał na Micheasza, ale nie mógł się uwolnić z uścisku Eliakima, który prowadził go z powrotem do stoiska. Wtem

usłyszał tętent koni. Na targowisko z hukiem wjechał oddział straży pałacowej.

- Och, dzięki Bogu. Dzięki Bogu. - Odetchnął Chilkiasz.

- Dość - zawołał dowódca, przekrzykując harmider. - Nie ruszać się, niech wszyscy pozostaną tam, gdzie są.

Tłum szybko odsunął się od Micheasza, porzucając kije. Nikt już nigdzie na całym targowisku nie niszczył i nie plądrował stoisk, ludzie próbowali rozproszyć się, by uniknąć aresztowania.

- Rozdzielić się! - rozkazał dowódca, stojąc z wyciągniętym mieczem. - Aresztować każdego, kto się ruszy. Co tu się dzieje? Kto za to odpowiada? - zapytał, patrząc na całe zniszczenie wokół siebie.

- Puść mnie! - błagał Chilkiasz. - Daj mi wytłumaczyć mu, co się tu stało.

- Nie, Abba. - Eliakim ścisnął ojca jeszcze mocniej. - Nie mieszaj się do tego.

- To on zaczął - oświadczył jeden z kupców, wskazując na bezwładne ciało proroka. - Zniszczył moje stoisko i musi za to zapłacić.

- Czy są oprócz ciebie dwaj świadkowie, którzy mogą potwierdzić twoje zeznanie? - spytał Jonadab.

- Tak, ja jestem świadkiem - odezwał się inny kupiec. - Ten mężczyzna podawał się za proroka Jahwe.

- Proroka? - powtórzył kapitan, przyglądając się zakrwawionemu, chłopskiemu ubraniu mężczyzny.

- Tak, tak! Za męża Bożego!

Chilkiasz usiłował wystąpić przed tłum, ale Eliakim odciągnął go od wejścia.

- Ćśś, Abba, proszę! Nie miej z tym nic wspólnego.

- Puść mnie. Pozwól mi, bym im wszystko wytłumaczył. - Od chwytu Eliakima bolały go już ramiona.

Kapitan Jonadab kroczył wzdłuż ulicy, oceniając uszkodzenia na stoiskach. Towarzyszyły mu pomruki tłumu. Następnie dowódca powrócił do miejsca, gdzie leżał prorok.

- Kto chce wnieść oskarżenie, powinien przedstawić swoich świadków przed sędziami. Jeśli prorok żyje, będzie musiał zapłacić za szkody. Tymczasem zarządzam pozostawienie go pod aresztem w wieży strażniczej. Pozostali niech wracają do swoich spraw, bo inaczej ich też będę musiał zaaresztować! - Skinął na żołnierzy, którzy chwycili proroka pod ramiona i odciągnęli go.

Chilkiasz oparł się o syna i patrzył na oddalających się żołnierzy. Eliakim zwolnił ucisk.

- Co z tobą? - spytał Chilkiasz gniewnie. - Ten człowiek był prorokiem Boga. Powinieneś być mi pomóc zamiast mnie powstrzymywać.

- Abba, pomogłem ci najlepiej jak umiałem. Nie pozwoliłem ci się w to wplątać. Ta tłuszcza była nieopanowana. Zabiliby każdego, kto by mu pomógł, nawet ciebie.

- Nie rozumiem, jak możesz nie podzielać mojego oburzenia. Czy ty w ogóle widzisz to całe zło wokół nas, czy też tak się do niego przyzwyczaiłeś, że już ci nie przeszkadza.

- Abba, powstrzymałem cię, bo inaczej zabiliby i ciebie, a...

- Jak to wszystko się zaczynało, byłeś chyba za mały, żeby pamiętać czasy, gdy nasz lud czcił Boga Jedyne i Prawdziwego. Zastanawiam się, czy są jeszcze na świecie jacyś dobrzy ludzie, czy też ty, ja i ten prorok jesteśmy jedynymi wiernymi wyznawcami Jahwe. - Westchnął z rezygnacją. - Tak dawno słyszałem ostatnio proroków Przedwiecznego. Ty ich pewnie nawet nie pamiętasz.

- Pamiętam, Abba - odparł cicho Eliakim, kładąc dłoń na ramieniu ojca. - Byłem kiedyś u Rabbi Izajasza. Pamiętasz? Przekazać mu ostrzeżenie od twojego przyjaciela, Zachariasza.

- Prorocy są jedyną nadzieją tego ludu - stwierdził smutno Chilkiasz. - Są naszą jedyną nadzieją.

- Mamy nowego króla, Abba. Może coś się zmieni.

- Nie sędzę. - Chilkiasz pokręcił przecząco głową, patrząc na kupców sprzątających z ulicy resztki swoich zniszczonych stoisk. - Każdy kolejny król był gorszy od poprzedniego. Azariasz, Jotam, Achaz... O, Boże Abrahama, cóż mamy zrobić?

- Pomogę ci zamknąć stoisko, na dziś już chyba koniec pracy. Niedługo koronacja.

- Tak, możemy chyba kończyć.

- Przynajmniej tobie nie zniszczyli stoiska.

Chilkiasz wstał i zaczął zwijać wystawione na sprzedaż bele kolorowego sukna, by wstawić je na noc do wnętrza sklepu. Im dłużej myślał o proroku Jahwe, o tym, ile wycierpiał on za wiarę, tym bardziej nagliła go pewność co do jego własnej powinności. Poszedł do syna, który ustawiał akurat belę sukna i odebrał mu ją, starając się ukryć swe zniecierpliwienie.

- Uroczystości rozpoczną się niebawem, Eliakimie. Idź już i zajmij dobre miejsce do oglądania. Ja zamknę sklep i zaraz do ciebie dołączę.

- Szybciej skończysz, jeśli ci pomogę.

- Nie, nie, nie. Idź, synu. Ja też za chwilę przyjdę.

- Na pewno?

- Tak, tak. Pyta, czy na pewno. No na pewno! Idź już! -Potwierdził polecenie gestem, po czym odwróciwszy się tyłem do Eliakima, udając cierpliwość, zabrał się za zwijanie sukna i ustawianie go. Gdy był już pewien, że Eliakim go nie widzi, poszedł co prędzej do sprzedawcy bożków.

- Szalom, przyjacielu - pozdrowił go radośnie, pochylając się, by pomóc mu sprzątać resztki stoiska. - Co za bałagan.

- Nienawidzę tych parszywych fanatyków - burknął tamten. - Psują interes.

- Tak, widzę - potwierdził Chilkiasz, modląc się jednocześnie do Boga o przebaczenie, gdy zbierał porozrzucone bożki. Pomógł uprzątnąć śmieci i nareperować nieco uszkodzeń, po czym cofnął się nieco, by ocenić wspólne dzieło. - To jak sądzisz, ile będzie cię kosztowało odtworzenie stoiska do poprzedniego stanu? - zapytał go, leniwie brzęcząc wiszącą mu u pasa sakiewką ze srebrem. Kupiec spojrział podejrzliwie na niego.

- Czemu pytasz?

- Mamy święto, sporo dziś sprzedałem, miałem szczęście, że nic mi nie zniszczyli, więc chcę ci trochę pomóc. W ten sposób obaj będziemy mogli zapomnieć o całym tym nieprzyjemnym zajściu i jak najszybciej wrócić do pracy.

- Co tobie z tego przyjdzie?

- Pyta, co mi z tego przyjdzie - roześmiał się Chilkiasz. - Patrz, jaki tu rozgardiasz. Aż oczy bołą. To szkodzi interesom. Twoim, ale i moim. A proces? Jeszcze gorzej.

- Ale co ci przyjdzie z pomagania temu parszywemu biedakowi.

- Nie jemu pomagam, tylko tobie. Poza tym chyba ten nędzny żebrak dość już oberwał, nie sądzisz?

- Taaak - uśmiechnął się sprzedawca bożków. - Nieźle mu wkroiliśmy.

- No właśnie. Już masz większą satysfakcję, niż mógłbyś przy najlepszych wiatrach oczekiwać od sędziów. Po co się procesować? Do tego założę się, że facet nie ma szekła przy duszy.

- Pewnie masz rację.

- Na pewno mam rację - potwierdził Chilkiasz, klepiąc kupca po ramieniu. - To co, tościk za odbudowanie twojego stoiska? - zapytał, pokazując nieodległą gospodę. - Ja stawiam. Możemy zabrać jeszcze paru kupców ze sobą.

Gdy Chilkiasz płacił za trzecią kolejkę dla sprzedawcy bożków i jego popieczników, dawno już zapomniano o proroku. A nawet, gdyby któryś z nich nagle sobie o nim przypomniał, był zbyt pijany, żeby zeznawać jako świadek przed starszymi. Uśmiechnął się do siebie zadowolony ze swojego dzieła i po cichu wymknął się z gospody.

Patrząc, jak słudzy przygotowywali kąpiel, Uriasz po raz pierwszy od kilku dni się odprężył. Pozbywając się Achaza podjął wielkie ryzyko, ale się opłaciło. Wysłanników odprawiono do Izraela, unikając w ten sposób katastrofy, która doprowadziłaby do zniszczenia kraju. A Hiskiasz jak dotąd nie badał przyczyny śmierci Achaza.

Nowy król nie tylko pozostawił go na stanowisku zarządcy pałacu. Za kilka godzin Uriasz, w zawoju i efodzie arcykapłana, będzie przewodniczył koronacji. Kryzys się zakończył, a on pozostał przy władzy.

- Kąpiel gotowa, panie - oświadczył sługa.

Ale zanim zdążył się rozebrać, w drzwiach stanął kapitan Jonadab.

- Wybacz, panie, że przeszkadzam, ale chciałeś, by informowano cię o wszelkich sprawach dotyczących bezpieczeństwa w kontekście koronacji.

- Zafrasowana twarz dowódcy zaniepokoiła Uriasza.

- Tak. A co się stało?

- A więc niedawno ja i moi żołnierze uspokoiliśmy rozruchy na targowisku. To oczywiście nic niezwykłego, biorąc pod uwagę, że mamy uroczystość, ludzie zaczynają, że tak powiem, świętować. Do miasta ściągają mieszkańcy całej okolicy, świętują i piją już na dobre i...

- Do rzeczy - przerwał Uriasz.

- No cóż, panie. Wiem, ile kłopotów jemu podobni powodowali ci w przeszłości. - Jonadab spojrział na niego nerwowo, jakby obawiał się, że Uriasz obwini go za przyniesienie niedobrych wieści. - Widzisz, człowiek, który wszczął zamieszki twierdził, że jest prorokiem Jahwe.

Uriasz zaklął głośno. Mógł to przewidzieć. Powinien był się spodziewać, że Izajasz powróci - i się do tego przygotować. Mógł posłać ludzi, by pilnowali bram i aresztować go, zanim wejdzie do miasta.

- To był Izajasz? - zapytał.

- Nie, panie. Był młodszy od Izajasza, miał ciemne włosy. Wieśniak, sądząc po stroju.

Uriasz domyślił się, że jeśli prorok Jahwe przebywa w Jerozolimie, to będzie się chciał dostać do Hiskiasza, być może zakłócając przy tym ceremonię koronacji. Na to w żadnym wypadku nie można pozwolić.

- Gdzie on teraz jest?

- Aresztowałem go i zabrałem do wieży strażniczej. Podczas zamieszek tłuszcza obita go dość mocno. Kiedy dotarłem tam, żeby zrobić porządek, o mało co nie zdążyli go już zabić. Wciąż jest bez ducha.

Ulga, jaką odczuł Uriasz, była niewielka. Wiedział, że nie powinien bagatelizować tego incydentu.

- Chcę, by przysłano do mnie tego proroka, gdy tylko odzyska przytomność, bym mógł go przesłuchać. A ponieważ może być ich więcej, chcę też, byś podwoił liczbę strażników służących podczas uroczystości koronacji.

- Tak jest. Zaraz się tym zajmę.

- Weź sobie do serca - powiedział Uriasz, machając palcem przed nosem Jonadaba - że ci ludzie są wielkim zagrożeniem dla króla Hiskiasza.

Skłoniwszy się Jonadab wyszedł z komnaty.

Wiadomość była wstrząsająca. Prorocy Jahwe milczeli od tylu lat, że Uriasz śmiał sądzić, że odszedł już ostatni z nich. Jeśli teraz znów się pojawili, by walczyć z nim o zaufanie Hiskiasza, groziło to załamaniem się całej konstrukcji, nad którą pracował tyle lat. Był dumny z przeprowadzonej reformy surowej religii żydowskiej. Reformy, którą Izajasz i jego zwolennicy określiliby mianem zbyt liberalnej. Zcentralizował państwową religię świątynną wokół swojej osoby jako arcykapłana. Ci ograniczeni prorocy o wąskich horyzontach i niedzisiejszych poglądach stanowili zagrożenie dla całej jego pracy. I dla niego samego. Ich zdaniem stosowana przez Uriasza tolerancja religijna zasługiwała na wyrok śmierci.

- Chcesz się wykapać, panie? - zapytał sługa.

Uriasz skinął głową, ale choć zanurzył się w ciepłej wodzie perfumowanej wonnościami, nie mógł się odprężyć. Odtwarzał sobie całą opracowaną przez siebie koncepcję koronacji, starając się zidentyfikować ewentualne błędy z punktu widzenia bezpieczeństwa. Nie mógł ryzykować tego, że prorocy zdobędą wpływ na młodego króla. Musiał uniemożliwić im dotarcie do Hiskiasza.

Zachariasz osłonił oczy przed oślepiającym, popołudniowym słońcem, mrużąc je. Wraz z innymi Lewitami stał pod portykiem Świątyni, czekając na rozpoczęcie ceremonii koronacji. Ale nawet wyciągając szyję, nie mógł sięgnąć wzrokiem do podwyższenia dla króla. Gdy dowiedział się, że koronacja Hiskiasza odbędzie się w Świątyni, ubłagał jednego z bardziej sprzyjających mu strażników, by pozwolił mu zasiąść w chórze Lewitów i oglądać ceremonię objęcia przez

wnuka królewskiego tronu. Gdy zagrzmiały wiwaty nieprzeliczonego tłumu zgromadzonego na dziedzińcu, Zachariasz przepchnął się do przodu, by lepiej widzieć. Strażnik położył dłoń na jego ramieniu i cofnął go.

- Zachariaszu, proszę. Obiecałeś mi być cicho. Tylko dlatego pozwoliłem ci oglądać ceremonię.

- Ale nic nie widzę. Proszę, pozwól podejść mi nieco bliżej. Nie będę przeszkadzał w uroczystościach.

- Pozwól mu zamienić się ze mną na miejsca - zaproponował jego przyjaciel, Szimej, który stał bliżej - to w końcu jego wnuk. Jeszcze nic nie straciłeś, Zachariaszu. Teraz wchodzi dostojnicy i królewscy doradcy.

- Świetnie, idź więc - zgodził się strażnik. - Ale pamiętaj, że jeśli sprowadzisz jakikolwiek kłopot, Uriasz straci nas obu.

- Będę cicho. Słowo daję.

Szimej szybko zamienił się miejscami z Zachariaszem, dzięki czemu starcowi nic nie przesłaniało widoku na podwyższenie dla króla ustawione na środku dziedzińca Świątyni. Dostojnicy i doradcy, którzy otwierali orszak, zajęli swoje miejsca przy ołtarzu asyryjskim. Za chwilę miał nadejść Hiskiasz, który zostanie namaszczonego na króla Judy. Zachariasz nie marzył nawet, że dożyje takiego dnia. Trębacze, stojący na okalającym Świątynię murze, zadęli w trąby. Bramy dziedzińca otworzyły się z wolna. Zachariasz wstrzymał oddech. Gdy tylko tłum zobaczył nowego króla, wiwaty prawie że zagłuszyły trąby.

Hiskiasz po żołniersku wkroczył na podest. U pasa, którym przewiązana była jego królewska szata, miał przypasany miecz. Był wysoki, szeroki w barkach, a kędzierzawe, brązowe włosy i broda połyskiwały kasztanowo w słońcu. Zachariaszowi napłynęły do oczu łzy, zamazując jednocześnie widok. Dla niego Hiskiasz wciąż wyglądał tak samo. Był starszy i wyż-

szy, ale taki sam. Zachariasz wspominał tego kędzierzawego chłopca, który biegł do Świątyni przez zalane deszczem ulice, rozbryzgując stopami wszystkie kałuże i zapragnął znów, jak niegdyś, wziąć go w objęcia.

Pozdrowiwszy wiwatujący szaleńczo tłum, Hiskiasz gestem dłoni nakazał ciszę. Druga dłoń luźno spoczywała na rękojeści miecza. Gwar cichł stopniowo.

- Mężowie Judy i Jerozolimy! - krzyknął Hiskiasz. - Jestem Hiskiasz ben Achaz, prawowity dziedzic królewskiego domu Dawidowego. Dnia dzisiejszego zgłaszam swoje prawo do tronu mojego ojca, Achaza ben Jotama.

Jego niski, władczy głos przypominał Zachariaszowi Azariasza.

- Panowanie moje będzie sprawiedliwe i godziwe. I nieograniczone - ciągnął Hiskiasz. - Gdy będę sprawował sądy nad tym królestwem, możecie oczekiwać bezstronnych decyzji. W zamian wymagał będę czci i daniny stosownej do mojego stanowiska, jako króla i dziedzica tronu Judy.

Tłum odpowiedział rykiem wyrażającym aprobatę. Ponownie zagrzmiął dźwięk trąb. Wystąpił Uriasz, ubrany w arcykapłański zawój i efod. Hiskiasz przyklęknął na jedno kolano, a Uriasz namaścił jego głowę olejem.

- Niech panowanie twoje pobłogosławią dobrobytem i pokojem wszyscy bogowie Judy.

- Nie! - sapnął Zachariasz. Słowa kapłana uderzyły go niczym pięść w brzuch. „Wszyscy bogowie?”. Hiskiasz wiedział, że jest tylko jeden Bóg. Czemu pozwolił Uriaszowi na taką modlitwę?

A jednak na oczach Zachariasza kapłani zabijali zwierzęta składane przez króla w ofierze, wnosili je na asyryjski ołtarz i ofiarowali pogańskim bożkom. Tyle lat oczekiwania, tyle lat modlitw poszło na próżno. Hiskiasz nie wierzy w Jahwe. Nadzieja umierała, Zachariasz próbował powstrzymać łzy...

A gdzie jest Izajasz? Gdzie wszyscy prorocy Jahwe? Gdyby choć jeden z nich wygłosił proroctwo wobec Hiskiasza, może król usłuchałby, może by sobie przypomniał. Zachariasz obserwował tłum, mając jeszcze nadzieję, że zobaczy Izajaszę przepychającego się naprzód, by prorokować, jak czynił to za panowania Jotama i Achaza. Nikt jednak nie próbował przedostać się przez podwójny pierścień strażników stojących u podstawy podwyższenia dla króla.

Może trzeba pójść samemu? Hiskiasz z pewnością pamięta dziadka. Zachariasz obejrzał się przez ramię i zobaczył, że strażnik uważnie go obserwuje. A on dał słowo.

Uriasz zakończył modlitwę, a spośród Lewitów wystąpił skryba, niosąc zwój rękopisu zawierający Boże Prawo. Gdyby tylko Hiskiasz je przeczytał. Może dzięki temu przypomniałby sobie wszystko, czego go uczył Zachariasz. Ale teraz Uriasz zapewne zmienił Boże Prawo tak, by uczynić je zgodnym z wszystkimi innymi zmianami, jakie wprowadził do Tory.

Naprzód wystąpił kolejny kapłan, który niósł królewską koronę Judy. Gdy Uriasz wkładał ją na głowę Hiskiasza, Zachariasz odczuwał jednocześnie dumę i ból. Dopiero co koronowany król powstał i uniósł podbródek, a tłum krzyknął:

- Niech żyje król Hiskiasz!

Zachariasz wpatrywał się w ukochanego wnuka - okazującego swoją postawą siłę i godność, stojącego w koronie królestwa Judy - i wspominał królów, których znał: Azaria-sza, Jotama, Achaza. Wszyscy stali niegdyś w tym miejscu. Z wszystkimi, jak teraz z Hiskiaszem, wiązano określone nadzieje. A teraz nie żyją. I jego nadzieje wobec Hiskiasza również umierają. Czuł, jak serce mu pęka.

- O Panie. On w ciebie nie wierzy - szepnął, patrząc na wnuka. - Nie wierzy...

Nie umiał już powstrzymać łez. Gdy Hiskiasz położył dłoń na kolejnym zwierzęciu, które miało zostać złożone w bałwochwalczej ofierze, starzec ukrył twarz w dłoniach.

- Chodź, przyjacielu - rzekł Szimei, chwytając Zachariasza za rękę. - Schronimy się przed tym palącym słońcem. Już po koronacji. Wejźmy do środka.

- Tak, już po koronacji - odparł Zachariasz. Wrócił do swojej izby, nie oglądając się nawet za siebie.

Uriasz odprawił wszystkich służących i z uczuciem wielkiej ulgi, ale i wyczerpania, usiadł na otomanie. Koronacja przebiegła gładko, bez żadnych komplikacji. Prorok z targowiska był chyba ostatnim, jaki jeszcze istniał. Teraz, patrząc wstecz, mógł się delektować ceremonią. Hiskiasz wywarł nadzwyczaj pozytywne wrażenie; tłum był wyraźnie zachwycony nowym królem. Uriasz uśmiechnął się do siebie, czuł, że wraca mu dobry humor. Ale gdy tylko zaczął się odprężyć, przybył Jonadab. Sam i jeszcze bardziej zaniepokojony niż poprzednio.

- Co się stało? - zapytał Uriasz. - Gdzie prorok? Nie żyje?

- Nie, panie. Żyje... jeszcze. Ale go nie przyprowadziłem.

- Dlaczego? Czy nie wydałem ci rozkazu? Jonadab odchrząknął.

- Gdy wróciłem do turmy, już go nie było. Strażnicy zwolnili go wtedy, gdy zająłem się kwestią tych dodatkowych środków bezpieczeństwa, jakie nakazałeś panie na czas koronacji.

- Co zrobili?

- Żaden kupiec nie pojawił się, by wnieść oskarżenie. -Jonadab rozłożył bezradnie ręce. - Przyszedł jakiś człowiek, uścił grzywnę za proroka i odszkodowanie za spowodowane

przez niego straty, więc musieliśmy go zwolnić. Gdy wróciłem do wieży, już go nie było.

- Głupcy!

- Nie mogliśmy trzymać go w areszcie bez aktu oskarżenia.

- Kto zapłacił grzywnę za proroka?

- Nie wiem. Moi ludzie nie pytali go o nazwisko.

- Głupcy! - powtórzył Uriasz. Miał nadzieję, że okazując gniew, ukryje przed Jonadabem swój lęk. Ktoś wykupił proroka z celi. A zatem nie działał on sam. Było ich więcej i zapewne będą chcieli dotrzeć do króla, jeśli się ich nie powstrzyma.

- Ty chyba nie rozumiesz, jak bardzo ci ludzie mogą być niebezpieczni - odezwał się do dowódcy.

- Z całym należnym szacunkiem, panie, w istocie nie rozumiem, jak ten prorok mógłby stanowić zagrożenie względem kogokolwiek. W trakcie rozruchów zatłukli go prawie na śmierć, w momencie zwolnienia z wieży wciąż jeszcze nie odzyskał przytomności. Będzie cud, jeśli w ogóle przeżyje... - Jonadab przerwał na chwilę po czym dodał. - Jeśli sobie życzysz, panie, złożę dymisję.

- Nie chcę twojej dymisji. Chcę, żebyś odnalazł proroka i zidentyfikował osoby, które mu pomagają. Teraz!

- W mieście pełnym przyjezdnych? Żądasz niemożliwego, panie.

- To dokonaj niemożliwego. Oni są niebezpieczni dla króla Hiskiasza. Gdy tylko ich aresztujesz, poinformuj mnie o tym natychmiast. I tym razem dobrze ich pilnuj. Jasne? Nie zepsuj wszystkiego ponownie.

- Tak, panie. Rozumiem. - Potwierdził Jonadab, unosząc podbródek.

Hiskiasz siedział na ławie w swoim dawnym gabinecie, z którego korzystał przez wiele lat nauki pod kierunkiem Szebny. Od zakończenia uroczystości koronacji minęło kilka godzin, a on wciąż miał na sobie szaty koronacyjne. Był jednak zbyt zamyślony, by się przebrać. Zrozpaczony ślęczał nad stołem, na którym w nieładzie leżały zwoje i robiło mu się niedobrze ze strachu.

Gdybyż tylko miał czas się przygotować, stopniowo nauczyć się władać sterem królestwa, nie zaś dostać go do rąk bez ostrzeżenia. Czuł się jak pasażer w łodzi bez sternika, który płynie bezwładnie po wzburzonym morzu.

Wziął ze szczytu sterty zwojów jakiś rejestr i odczytał tytuł: „Doroczna danina asyryjska”. Przejrzał długi spis pozycji i rzucił arkusz na bok. Drugi rejestr zawierał płatności z kolejnego roku. Tu lista była jeszcze dłuższa, wymagania finansowe rosły. Zmiał arkusz w rękę i rzucił go o drzwi. Te nagle otworzyły się, do komnaty wkroczył Szebna.

- Wasza Wysokość! - odezwał się zaskoczony.

- Czego chcesz, Szebno? - Z nieznaney sobie samemu przyczyny po raz pierwszy, odkąd pamiętał, rozgniewał się na guwernera.

- Przepraszam, że ci przeszkodziłem. Wróciłem po swoje rzeczy, ale nie wiedziałem, że tu będziesz. Pomyślałem, że teraz, gdy zostałeś królem, moja praca guwernera dobiegła końca. - Szeroki uśmiech na twarzy Szebny połączony z wyrazem dumy tylko dołączy oliwy do ognia.

- Nie skończyłeś pracy, Szebno. Powiedziałbym wręcz, że moja prawdziwa edukacja dopiero się zaczęła!

- Uczyłem cię od dziecka i przekazałem ci całą moją wiedzę. - Uśmiech na twarzy Szebny zbladł.

- Ale cała wiedza, jaką mi przekazałeś, jest bezwartościowa. - Hiskiasz wstał, przewracając ławę. - Nie ma odniesienia do prawdziwego życia.

- Co masz na myśli? Nie rozumiem.

Całe zdenerwowanie, jakie się nawarstwiało u Hiskiasza, doprowadziło do eksplozji złości.

- Jestem królem zrujnowanego państwa! Królestwo jest jednym wielkim nieładem, moje panowanie to jarzmo. Takie właśnie są fakty. A tyś nigdy mnie nie uczył, co zrobić w takiej sytuacji.

- Dopiero od niedawna jesteś królem, Wasza Wysokość. Prędko się nauczysz tego, co będzie ci potrzebne. Masz bystry, jasny umysł i tak szybko się uczysz...

- O, tak. Bardzo szybko - przerwał Hiskiasz. Wiedział, że dawanie upustu frustracji właśnie wobec Szebny jest niesprawiedliwe, ale nie mógł się powstrzymać. - Wiesz, czego się nauczyłem przez tych kilka dni od śmierci ojca? Miałem dziś pierwszą rozmowę z Uriaszem i innymi doradcami. Powiedzieć ci, czego się dowiedziałem? Przede wszystkim tego, że z doradców ojca nie ma żadnego pożytku! Z całej tej bandy jedynie Uriasz jest inteligentny, a właśnie jego nie lubię. Dowiedziałem się także, że nasz kraj splajtował.

- To nie może być prawda - odparł Szebna, ustawiając przewróconą ławę i siadając na niej.

- Tylko, że to jest prawda. Kiedy my siedzieliśmy w tej komnacie studiując te bezsensowne zwoje, mój ojciec wraz z doradcami sprzedali Judę w asyryjską niewolę. Owszem, uczyłeś mnie, że Juda ma podpisaną umowę z Asyrią, ale tego, że umowa ta czyni nas niewolnikami, to już mi nie powiedziałeś! Spójrz jakich żądają danin! - Hiskiasz wepchnął Szebnie do rąk jeden z rejestrów. - Ten spis co roku jest dłuższy!

Szebna przeczytał listę pozycji. Był wstrząśnięty.

- Przepraszam. Nie wiedziałem...

- Terytorium naszego państwa w stosunku do granic sprzed pięćdziesięciu lat skurczyło się o połowę - ciągnął Hiskiasz -Filistyni, Edomici, Izrael, Aram: każdy sobie wyciął swoje. Nie mamy dostępu do morza, nie mamy ufortyfikowanych miast; nie licząc Jerozolimy, ale te mury wokół nas się rozsypują. Skarb państwa jest pusty. Zapasów w magazynach nie ma. Cokolwiek nasz lud w znoju i pocie czoła wytworzy, trafia do Asyrii.

Chodził z kąta w kąt przed Szebna i szarpał ze zdenerwowania brodę.

- Nie mam prawdziwej władzy. Juda jest jednym z dziesiątek marionetkowych państw w imperium asyryjskim. Nie mam wojska, nie mam oręża dla obrony i nie mam za co wystawić armii, bo jesteśmy bankrutami.

Zatrzymał się i oparłszy się o stół potrząsnął głową.

- Nie marzyłem nawet, że tak szybko zostanę królem. I że odziedziczę taki bałagan! Za chwilę wydaję ucztę, a doprawdy nie mam czego czcić.

- Naprawdę jest mi bardzo przykro, panie - odparł delikatnie Szebna.

- Wiesz, co mnie denerwuje najbardziej? Że gadam, jak mój nędzny ojciec. Nie dziwota, że nie chciał mnie uczyć rządzenia. Zniszczyć państwo do tego stopnia.

- Cóż, to tłumaczy jego pijaństwo.

- Nie chcę uciekać od odpowiedzialności, jak on. Chcę znaleźć rozwiązanie. Pytanie - jak? Im więcej wytwarzamy, tym więcej zabiera Asyria. A kroniki jasno mówią, co dzieje się z każdym krajem, który próbuje buntu. Nikomu się to nie udało. Jak Juda osiągnęła taki stan? I jak mam nas z tego wyprowadzić? Ślęczałem nad tymi wszystkimi zapiskami, próbując coś wymyśleć i nie znalazłem żadnych odpowiedzi.

- Masz przynajmniej poparcie ludu - odpowiedział Szebna po chwili milczenia. - Dziś widać było, jak cię uwielbiają. Nigdy nie widziałem takiego poparcia dla Achaza.

- Ma mi się od tego polepszyć? Mają oczekiwania. Liczą na mnie, że rozwiążę wszystkie problemy, które stworzył mój ojciec. A ja nie mam żadnych rozwiązań. Nie wiem w ogóle od czego zacząć. Jaką popularnością będę się cieszył za rok, jeśli nic się nie zmieni? A jeśli nasza sytuacja się pogorszy? Na wspomnienie wszystkich tych twarzy wpatrujących się w niego z nadzieją zrobiło mu się niedobrze. Pragnął jakoś im pomóc, wynagrodzić ich lojalność i ciężką pracę ponownie zapewniając dobrobyt. Nie wiedział jednak jak. Minęło kilka chwil, w trakcie których żaden z nich się nie odezwał. W końcu Szebna przerwał milczenie.

- Zawiodłem cię, panie. Przepraszam.

- Przepraszam! - krzyknął Hiskiasz. - Przepraszam? Nie potrzebuję twoich przeprosin, potrzebuję twojej rady! - Chwycił stos zwojów ze stołu, pomachał nimi przed Szebną i znów odłożył. - Gdzie są zasady, które powiedzą mi, jak mam rządzić? Gdzie są wskazówki dla króla? Gdzie jakiś ład w tym chaosie?

Sięgnąwszy do półek, zepchnął jednym pociągnięciem ręki stos zwojów. Usiadł na ławie i patrzył na bałagan na podłodze.

- Szebno, zależy mi na ojczyźnie - odezwał się po chwili

- na jej każdej kamienistej, spalonej słońcem mordze. Powierzono mi ją. - Spojrzawszy przez okno na wzgórza okalające miasto, zdał sobie sprawę z tego, jak bardzo kocha swój kraj. Potem schylił się i zaczął powoli zbierać zwoje.

- Nie musisz tego robić, Wasza Wysokość - rzekł Szebna.

- Wezwę sługę.

Hiskiasz nie odpowiedział. Zbierał kolejne zwoje. Gdy wreszcie się odezwał, miał ściśnięte gardło.

- Nie wiem, Szebno, co robić. Ale jestem królem tego pięknego, choć godnego pożałowania kraju. I znajdę rozwiązanie.

Micheasz otworzył oczy. Ból rozrywał mu czaszkę. Jęknął i oparł się pokusie ponownej utraty przytomności, by uciec przed udręką. Próbował się poruszyć, ale nie mógł. Każda część ciała bolała go, miał wrażenie, że na jego klatce piersiowej spoczywał ciężki kamień utrudniający oddychanie.

- Pomocy... potrzebuję pomocy...

Chciał krzyknąć, ale z jego opuchniętych warg wydobyło się jedynie ochryple rżenie. Zobaczył, że migotliwe światło lampki oliwnej zbliżyło się do niego, potem zobaczył, że z góry patrzy na niego kobieta o delikatnych, piwnych oczach. Zniknęła tak samo szybko, jak się pojawiła. Usłyszał, jak woła:

- Panie, panie! Szybko! Obudził się.

Gdy wróciła, postawiła lampkę na stole obok niego. Micheasz znów próbował się odezwać, poruszyć, ale kobieta położyła palce na jego wargach i pokręciła głową.

- Bądź cichutko - poleciała.

Był za słaby, by z nią walczyć. Usłyszał kroki. Pojawił się niski, pulchny mężczyzna o jowialnej twarzy. Siwiejąca głowa okryta była małą jarmułką.

- No, przyjacielu. Cóż, martwiliśmy się o ciebie bardzo - powiedział. - Nie byliśmy pewni, czy przeżyjesz tę noc.

Noc? Zapadła już noc? Ile czasu był nieprzytomny. Boże, żeby nie było jeszcze za późno! Jęknął, próbując usiąść.

- Powoli, przyjacielu. Spokojnie - szepnął niski człowieczek na widok tych prób. - Wszystko w porządku. Jesteś

wśród przyjaciół. Ale zostałeś potwornie obity. W rzeczy samej powiedziałbym, że to cud, że jeszcze żyjesz. Musisz leżeć spokojnie i odpoczywać, aż wydobrzejesz. Każę służącej przygotować mikstury na ukojenie bólu i sen. - Skinął na kobietę, która cicho wyszła z izby.

Micheasza ogarnęła rozpacz. Musiał się dostać do pałacu. Nie mógł pozwolić, by go odurzyli do nieprzytomności.

- Nie - jęknął - nie...

- Ćśś. Nikt cię tu nie skrzywdzi - zapewnił mężczyzna, siadając na skraju łóżka Micheasza. - Pewnie się zastanawiasz, gdzie jesteś i co się stało, co? Leż spokojnie, wszystko ci opowiem. Mam na imię Chilkiasz i również jestem wyznawcą Świętego Izraela, niech Imię Jego będzie błogosławione. Ale w przeciwieństwie do ciebie nie chodzę wzniecać rozruchy po targowiskach. Syn by mi nie pozwolił. - Uśmiechnął się delikatnie. - Jestem w każdym razie kupcem, importuję sukno lniane, również farbowane, i słyszałem dziś twoje proroctwo. Ze swojego stoiska oglądałem cały przebieg tych fatalnych zamieszek. Ależ cię obili. Straszne, straszne - pokręcił głową jakby z niedowierzaniem. - Gdy żołnierze cię stamtąd wynieśli, jak się już trochę uspokoiło, porozmawiałem z kupcami, którym zniszczono stragany. Jeśli o mnie chodzi, ani trochę nie obwiniam cię za to, co zrobiłeś. Zgadzam się, że ich bałwochwalstwo jest obrazą Boga Abrahama, niech będzie błogosławiony. Widzę też, że jesteś prawdziwym prorokiem Jahwe. Pomogłem więc, odrobiną winka, kupcom zapomnieć o ich problemach. Potem poszedłem do turmy, zapłaciłem za ciebie grzywnę, no i jesteś. - Uśmiechnął się. - Jak mówiłem, nie byliśmy nawet pewni, czy przeżyjesz noc.

Noc?? Boże, żeby ta uczta się jeszcze nie skończyła!

- Noc. - Micheasz zebrał wszystkie siły, by wydobyć z siebie głos. - Czy...

- Co takiego? - spytał Chilkiasz, nachylając się nad nim.

- Która... godzi...?
- Chcesz wiedzieć, która jest godzina? Micheasz skinął twierdząco głową.
- Nie wiem. Pewnie dochodzi północ.
- Nie! - Micheasz jęknął i zamknawszy oczy, zaczął się modlić o siłę. Czemuż się odzywał na tym targowisku. Jak można było tak wszystko zepsuć? Gdyby teraz wyszedł, może zdążyłby jeszcze do pałacu. Jeśli nie jest to zbyt daleko. Trzeba spróbować.
- Muszę... iść... - szepnął, próbując wstać, walcząc z bólem i bezwładnością ciała. Bezskutecznie. Czuł pulsujący, trudny do wytrzymania ból w głowie i lewym ramieniu, a przy każdym oddechu coś ostrego kłuło go w pierś. Próby poruszenia się wywołały kaszel.
- Posłuchaj, przyjacielu - rzekł z troską Chilkiasz. - Musisz na siebie uważać. Co to za ważna sprawa? Powinieneś być gdzieś indziej?
- Tak - sapnął Micheasz. - Król...
- Poleż chwilę spokojnie - odrzekł kojąco Chilkiasz, po czym zwrócił się do służącej, która właśnie wróciła do pokoju. - Nasz przyjaciel bardzo potrzebuje gdzieś wyjść i mimo odniesionych ran jest na to zdecydowany. Czy możesz przynieść nieco rosołu na wzmocnienie?
- Służąca skinęła głową i szybko opuściła pomieszczenie, do którego wszedł z kolei młody mężczyzna, w wieku około trzydziestu lat. Był wysoki i szczupły, wyglądał na wykształconego. Miał wysokie czoło, zmierzwiłone, czarne włosy i brodę. Jego głębokie, brązowe oczy emanowały tym samym ciepłem, co oczy Chilkiusza.
- Jak tam, Abba? Prorok ma się lepiej? - zapytał.
- Tak, odzyskał przytomność. To mój syn, Eliakim - dodał, zwracając się do Micheasza. - Ale wciąż nie znamy twojego imienia.

- Abba, pomóżmy mu usiąść - zaproponował Eliakim.

Stanęli po obu stronach wąskiego łóżka i delikatnie unieśli Micheasza do pozycji siedzącej, podpierając go poduszkami. Gdy go podnosili krzyczał z bólu i spluwał krwią, ale gdy już siedział prosto, oddychanie stało się łatwiejsze. Rozmowa również.

- Jestem Micheasz... Z Moreszet - oświadczył.

- Dobrze, Micheaszu. Służąca przyniesie ci nieco rosółu, powinien cię wzmacnić. Potem może będziesz mógł nam powiedzieć, co to za ważna sprawa.

Kobieta wróciła, niosąc miseczkę kurzego bulionu. Usiadłszy na łóżku obok niego, zaczęła go karmić łyżką. Nieco wywaru pociekło przez opuchnięte wargi i po brodzie sprawiając, że poczuł się jak bezradne dziecko. Znów zaczął obwiniać samego siebie. Ale nie jadł od momentu wyjścia wczesnym rankiem od Izajasza i ciepła zupa dodawała mu sił. Zjadł wszystko, co mógł, przerywając kilkakrotnie z powodu kaszlu. Za każdym razem czuł coraz głębiej to przenikliwe ukłucie w klatce piersiowej.

- Ma chyba złamane żebra - stwierdziła służąca, dotykając delikatnie jego torsu. - Możesz ruszyć tą ręką?

Micheasz na próżno próbował unieść bezwładne lewe ramię. Pulsujący ból przybrał na sile, prorok przez zaciśnięte zęby wciągnął powietrze.

- Tak - powiedziała łagodnie, kontynuując oględziny - ręka jest również złamana.

- Ojoj. Możesz mu ją nastawić, Eliakimie? - zapytał Chilkiasz.

- Jestem budowlańcem, Abba, nie lekarzem. Budyunki i drogi umiem naprawiać. Ale ludzi? - Wzruszył bezradnie ramionami. - Jemu trzeba lekarza.

- Będziemy musieli poczekać do rana, żeby po niego posłać - westchnął Chilkiasz. - Możesz poczekać do rana, Micheaszu? Prorok zebrał wszystkie siły, by potrząsnąć przecząco głową.

- Muszę iść... teraz...

- Co to za niezwykle ważne zadanie, przyjacielu?

- Przybywam z misją... od proroka Izajasza.

- Izajasza? On jeszcze żyje? Micheasz potwierdził skinieniem głowy.

- Dzięki, o Boże Abrahama! Baliśmy się, że nie żyje. Zachariasz, to mój przyjaciel, przez wszystkie te lata trzymają go pod kluczem, za wypowiedanie się przeciw Achazowi. Ucieszy się, że Izajaszowi nic się nie stało.

- Zachariasz żyje? Dziadek króla?

- Tak, przebywa w areszcie domowym w Świątyni, ale jeden ze strażników to mój znajomy. Pozwala mi go czasem odwiedzać.

Micheasz zamknawszy oczy, dziękował Bogu za to, że ma w Jerozolimie przynajmniej jeszcze jednego sprzymierzeńca. Ale nie mógł marnować ani chwili dłużej, niezależnie od tego, jak bardzo bolało go poruszanie się i oddychanie.

- Dziś muszę iść do pałacu. Muszę ogłosić proroctwo... królowi Hiskiaszowi.

- Rozumiem więc, czemu się tak niecierpliwisz. - Chilkiasz spojrział na Micheasza z podziwem. - Eliakimie, musimy pomóc naszemu przyjacielowi dotrzeć do pałacu.

- Co, Abba? - Eliakim rozłożył ręce. - Chyba nie mówisz poważnie. On nawet nie usiadzie bez pomocy. Jak chcesz go wysłać do pałacu? Micheaszu, posłuchaj - zwrócił się do obitego starca - musisz nabrać trochę sił. Nie będziesz w stanie głosić proroctwa.

- Nie. - Prorok pokręcił przecząco głową. - To musi być dzisiaj...
Drugiej szansy nie będzie. Pomóżcie.

Eliakim patrzył na niego, nie mogąc zrozumieć tej determinacji.

- Dobrze więc - stwierdził w końcu. - Przygotujmy go do wyjścia.

Micheasz ucieszył się, że Eliakim przejął inicjatywę.

- Nie możesz iść w zakrwawionym ubraniu - powiedział młodzieniec.

- Przebierzemy cię więc w szaty ojca. Trzeba będzie też ścisnąć ci żebra, żeby zmniejszyć ból. Być może uda się również podwiązać ramię.

- Tylko pośpieszcie się, proszę - błagał Micheasz. - Nie zostało wiele czasu.

Służąca sprawnie i delikatnie obwiązała żebra długimi pasami sukna nasączonego aromatyczną miksturą balsamu i aloesu. Gdy razem z Eliakimem nastawiała kości ramienia, Micheasz o mało nie zemdłał, ale kiedy skończyli, a ramię było ciasno owinięte pasami materiału, pulsowanie zelżało. Micheasz z pomocą Eliakima zaczął zakładać na siebie szatę Chilkiasza i właśnie wtedy ktoś załomotał do drzwi wejściowych.

- Kto to może być tak późno? - zdziwił się Eliakim, zwracając się do ojca. Micheasz poczuł, jak strach ściska mu żołądek.

-Kto?

- Do końca nie wiem, ale prawdopodobnie dowiedzieli się o moim proroctwie na targowisku. Nie mogę tu zostać. Muszę dotrzeć do pałacu. - Micheasz wciąż nie mógł sobie wybaczyć, że spartaczył wykonanie zadania powierzonego mu przez Izajasza.

Ktoś powtórnie zastukał do drzwi.

- Otworzyć, bo wyłamiemy - zawołał gniewny głos.

- Błagam. Muszę iść.

Cierpliwość stojącego za drzwiami kapitana Jonadaba niknęła z sekundy na sekundę. Był gotów naprawdę wyrwać drzwi z zawiasów, jeśli nikt ich zaraz nie otworzy. Był zmęczony i głodny i z upływem dnia coraz bardziej zaniepokojony i poirytowany. Wciąż nie odszukano proroka. A skoro był on groźny dla króla Hiskiasza, to odnaleźć go należało.

Jonadab odtworzył każdy krok proroka od chwili, gdy rankiem przekroczył on bramy miasta. Przesłuchał każdego świadka zajścia na targowisku i zmusił żołnierzy, by przekazali wszelkie szczegóły związane z osobnikiem, który opłacił zwolnienie proroka.

Z każdą godziną trwającego święta, w miarę, jak pito coraz więcej, zeznania świadków były coraz bardziej niespójne. Coraz bardziej też narastały obawy Jonadaba na myśl, że stanie przed Uriaszem bez proroka. Nie było szans wytłumaczyć mu trudności, jakie związane były z odnalezieniem jakiegoś wieśniaka w mieście, w którym roiło się od wieśniaków.

I gdy już był w zasadzie gotów się poddać, jeden z kupców przypomniał sobie imię człowieka, który pokrył straty, jakie kupiec ów poniósł w związku ze zniszczeniem stoiska. Był to Chilkiasz. Przypomniał też sobie, że Chilkiasz był kupcem bławatnym, który również handlował na targu. Jonadab ze swoimi ludźmi sumiennie szukali domu Chilkiasza i teraz, krótko przed północą, wreszcie go znaleźli. Lepiej, żeby prorok był tam.

Kapitan nie mógł dłużej czekać.

- Wywazać drzwi - rozkazał.

Tymczasem w środku Eliakim brał sprawy w swoje ręce.

- Abba, weź ze sobą kilkoro sług do pomocy Micheaszowi. Wyjdźcie od tyłu. Ja zatrzymam ich tak długo, jak tylko się da. Pośpieszcie się!

- Jak ci się odwdzięczę? - spytał Micheasz.

Eliakim spojrział na opuchniętą twarz proroka i wykręcone lewe ramię. Wydawało się, że gdyby nie słudzy, którzy go podtrzymywali, Micheasz upadłby na podłogę. Potrzebowałby cudu, żeby wygłosić proroctwo.

- Dziękuj Abba, ale nie mnie. A teraz pospieszcie się. I niech Bóg was prowadzi. Już idę! - krzyknął do drzwi, gdy stukanie przybrało na sile. Potem, wstrzymując oddech, czekał tyle, na ile starczyło mu odwagi. Ale ludzie na zewnątrz przestali stukać. Chcieli wyłamać drzwi.

- Kto tam? - krzyknął. - Czego chcecie?

- Kapitan Jonadab, Straż Pałacowa. Otwórz drzwi, albo je wyłamiemy.

Młodzieniec uniósł dębowy skobel i uchylił lekko drzwi w nadziei, że zyska jeszcze kilka minut. Ale gdy tylko żołnierze dostrzegli ruch, kopnięciem w drzwi otworzyli je na oścież, uderzając go w głowę i omal nie zwalając z nóg.

- Ty jesteś Chilkiasz, kupiec? - zapytał kapitan.

- Nie, jestem jego synem. Nazywam się Eliakim - odpowiedział mężczyzna, rozcierając guza na czole.

- A gdzie Chilkiasz? I gdzie prorok?

- Ojca nie ma - odpowiedział Eliakim, starając się zachować spokój. - A o żadnym proroku nic nie wiem.

- Kłamca! - krzyknął Jonadab. Nagle uderzył Eliakima w szczękę, obalając go ponownie na podłogę. - Twój ojciec i każdy, kto pomaga temu człowiekowi, jest wrogiem króla!

Eliakim leżał na ziemi i trzymał się za szczękę, mając nadzieję, że nie jest złamana. Bolała bardzo, czuł też smak krwi.

Był wściekły na ojca, że wpakował go w takie kłopoty, za to, że zawsze wtykał nos w sprawy innych ludzi i starał się pomóc. Na widok gniewnej twarzy zdecydowanego na wszystko Jonadaba, poczuł pokusę ujawnienia prawdy. Kochał jednak ojca, a sytuacja stała się poważna. Micheasz go nie obchodził, ale Chilkiaszowi trzeba było jakoś pomóc.

- Przeszukać dom, musi gdzieś tu być! - polecił Jonadab, po czym chwycił Eliakima za ramię i szarpnął go do góry, stawiając na nogi. - Gdzie jest twój ojciec! Mów, albo przysięgam, że ręcznie to z ciebie wydobędę!

Eliakim ani przez chwilę nie pomyślał, że Jonadab ma zamiar to zrobić. Otarł krew z ust próbując grać na zwłokę i wymyślając jednocześnie odpowiedź. Ale zanim zdążył ją wypowiedzieć, z izby, w której wcześniej leżał Micheasz, jeden z żołnierzy przyniósł zakrwawione ubranie.

- Spójrz, kapitanie. Ubranie proroka. Był tu. A to wygląda na jakąś mapę.

Zanim Eliakim zdążył zareagować, Jonadab dobył miecza i jednym, płynnym i zwinnym ruchem chwycił Eliakima od tyłu, po czym przysunął ostrze do gardła mężczyzny.

- Gdzie on jest?

Po czole Eliakima spływał zimny pot.

- To znaczy ten chłop, do którego należały te ubrania? On... nie żyje. Ojciec chciał go ratować, ale za mocno go obili. Umarł kilka godzin temu.

Jonadab przycisnął miecz do szyi Eliakima i przesunął go po jego gardle tak, że po ostrzu popłynęła strużka krwi. Eliakim krzyknął z bólu. Chcieli go zabić...

- Mówisz prawdę? - szepnął groźnie dowódca.

- Tak! To prawda!

Jonadab opuścił miecz i przeklął, odpychając Eliakima.

- Skoro prorok nie żyje, nie jest już groźny dla króla. Ale Uriasz nie będzie zadowolony, póki nie zobaczy jego ciała. I Chilkiasza.

Żołnierze po kolei wracali, nie meldując o żadnych innych śladach pobytu Chilkiasza ani proroka. Eliakim widział już, że po tych poszukiwaniach dom będzie przypominał istne pobożowisko. Dogłębnie wstrząśnięty opadł na ławę u drzwi i starając się zatamować krwawienie przycisnął kraj swej szaty do rany na szyi. O mało co nie poderżnięto mu gardła. Wciąż jeszcze drżał wstrząśnięty, a Jonadab już znów się do niego odwrócił i oparł czubek miecza o jego mostek, naciskając dokładnie z taką siłą, jaka była potrzebna, by Eliakim skrzywił się z bólu.

- Gdzie go pochowaliście i gdzie jest twój ojciec? - zapytał rozkazującym tonem.

- Mój ojciec ma ziemię poza Jerozolimą. Kilka godzin temu poszedł tam, żeby tam właśnie pochować tego człowieka. W grobowcu przodków.

- No to pokażesz nam, gdzie jest ta ziemia - odparł Jonadab, ciągnąc Eliakima. Mężczyzna pożałował, że nie umie lepiej kłamać.

- Ale to długa, trudna droga przez góry, szczególnie nocą. Chętnie was zabiorę o świcie.

- Nie możemy czekać do świtu. Idziemy.

- Do... dokąd mnie zabieracie?

Jonadab nie odpowiedział. Poleciał dwóm żołnierzom stanąć na warcie przed domem Chilkiasza i wypchnął Eliakima na ulicę.

Chefsiba siedziała przy stole dla kobiet, po drugiej stronie sali bankietowej, naprzeciw Hiskiasza, czekając, czy łagodny uśmiech rozjaśni jego twarz. Dziś został koronowany na króla Judy. Było święto, uczta z okazji koronacji. A jednak twarz męża była napięta i posępna. Przez cały wieczór nie uśmiechnął się ani razu. Zastanawiała się, dlaczego. Chciałaby móc podejść do niego i powiedzieć coś, co sprawiłoby, że się uśmiechnie, lub nawet głośno roześmieje. Gdybyż mogła sprawić, że ją pokocha. Ale nie kochał jej. Dziś widziała go po raz pierwszy od momentu ich małżeństwa.

Siedzące przy tym samym stole obok Chefsiby nałożnice ignorowały ją. Piły kolejne kielichy wina. Ona ledwie tknęła jedzenia. Była otoczona przez setki gości na uczcie ku czci męża, a z trudem kryła smutek.

Przez całe życie - aż do teraz - dostawała wszystko, co chciała. A teraz nie miała żadnej możliwości zmiany sytuacji. Merab załatwiła jej możliwość mieszkania w apartamentach królowej do czasu, gdy Hiskiasz wybierze sobie kolejną żonę. Ale zapewne, podobnie jak wszyscy królowie, poślubi wiele kobiet, również księżniczki z zagranicy. Nigdy nie będzie cały jej. Ona nigdy nie będzie miłością jego serca. Królowie nie kochają swoich żon jak inni mężowie. Była tylko jedną z wielu kobiet, które miały za zadanie uprzyjemnić mu życie i urodzić następców tronu.

Wkrótce uczta się skończy, a eunuch zaprowadzi ją z powrotem do skrzydła dla kobiet. Miesiące, o ile nie lata, upłyną, zanim znów ujrzy Hiskiasza. Teraz, gdy został królem, wszelka nadzieja na to, że ją kiedyś pokocha, musiała umrzeć.

Miała ochotę zakryć twarz rękami i płakać z rozpacz. Ale przecież w następnych dniach będzie miała mnóstwo czasu na smutek. Dziś będzie patrzyła na męża, strojnego w królewskie szaty, w każdej danej jej sekundzie. Nie mogła tylko

przestać się zastanawiać, co go tak smuci.

Sługa zbliżył się, by dolać Hiskiaszowi wina, ale król odmówił. Alkohol nie poprawiłby mu humoru. Przez cały wieczór marzył, by wrócić do swoich komnat, ale przewodniczenie ucztie koronacyjnej było jego obowiązkiem. Goście w najmniejszym stopniu nie okazywali zamiaru wyjścia, choć północ dawno już minęła. Może powinien dać im dobry przykład i samemu opuścić salę jako pierwszy?

Bankiet nie sprawiał mu żadnej radości. Rozmowa z Szebną o stanie państwa wprawiła go w przygnębienie. Na wszystkich stołach stały stosy pustych talerzy i półmiski z obgryzionymi kośćmi, tylko on nie miał apetytu. Zbyt świadomy był faktycznej kondycji gospodarki kraju i nędzy, jaką cierpiała większość ludności.

Nachylił się do siedzącego po jego prawicy Uriasza, by powiedzieć mu, że wychodzi. Uriasz najwyraźniej nieźle się znał na rządzeniu państwem. Był też zorientowany co do tego, kto jest kim wśród dostojników i jaką rolę pełnił w rządzie Achaza. Hiskiasz w dużej mierze opierał się właśnie na jego opiniach, choć miał sobie to za złe. Ale właśnie, gdy arcykapłan odwrócił się do niego, muzykanci zaczęli coś grać.

- Już nic, Uriaszu. Chciałem już wyjść, ale chyba posłucham sobie jeszcze muzyki.

- Skoro tak, Wasza Wysokość, napij się jeszcze wina - odparł arcykapłan, przyzywając gestem sługę.

Micheasz zatrzymał się w połowie schodów i oparł się o ścianę, by nie zemdleć.

- Boże, proszę... jeszcze trochę...

Pamiętał z planu Izajasza, którego nauczył się na pamięć, że był to ostatni bieg schodów do pokonania. Właściwie był już u drzwi sali bankietowej.

Gdy kroczyli śmiało z Chilkiaszem, ubrani w drogie szaty kupca, w towarzystwie jego sług, strażnicy przed bramami pałacu nawet ich nie zatrzymali. Wewnątrz pałacu póki co nie natknęli się na żadne straże. Kiedy już Micheasz rozeznał się w sytuacji, przykazał Chilkiaszowi czekać na siebie na dziedzińcu. Wystarczająco już naraził tego człowieka. Prorok niepokoił się również o jego syna, zastanawiając się, co się z nim stało po ich wyjściu. Odmówił modlitwę za Eliakima, po czym zebrał się w sobie, by pokonać schody.

Gdy dotarł na górę, kręciło mu się w głowie z bólu i czuł mdłości. Zmusił się, by iść dalej i skręcił w lewo w głąb korytarza. I gwałtownie się zatrzymał. Dwóch strażników pilnujących drzwi do sali patrzyło wprost na niego. Zamknął oczy, by nie stracić przytomności. Gdy je otworzył, jeden ze strażników już szedł w jego stronę. „Pomóż mi, Jahwe! Pomóż!”.

- Pomóc ci, panie? - spytał z uśmiechem strażnik. - Ostro się świętowało. Winko, widzę, serwują niezłe. Doprowadzić do stołu?

- Tak... dziękuję.

Żołnierz ujął lewe ramię Micheasza. Prorok jęknął z bólu.

- Jutro może być gorzej. - Żołnierz nadal się uśmiechał. Tymczasem jego towarzysz otworzył drzwi. Micheasz przebiegł wzrokiem po setkach ludzi obecnych w sali.

- Pamiętasz, panie, przy którym siedziałeś stole? - zapytał ten, który prowadził Micheasza.

Prorok spojrział na stół stojący na podwyższeniu u szczytu Sali. Król Hiskiasz, w królewskich szatach i złotej koronie, nadal tam siedział.

- Możesz już odejść - oświadczył żołnierzowi. - Już wiem, dokąd iść. Strażnik skłonił się lekko i zamknął za sobą drzwi. Micheasz, kuśtykając przez środek sali w stronę stołu, za którym zasiadał król, zapomniał o wszystkich błędach i porażkach minionego dnia. Cel był w zasięgu ręki. Zaczął wysławiać Boga, czuł, jak wzbiera w nim Jego moc i siła. Skupił się na słowach, jakie Jahwe mu podpowiadał i nie pamiętał już o bólu.

Muzykanci przestali śpiewać. Hiskiasz wstał z miejsca, by wyjść, jednak się zatrzymał. Przed podwyższeniem stał jakiś mężczyzna i patrzył na niego. Intensywność tego spojrzenia przyprawiała Hiskiasza o szybsze bicie serca. Był pewien, że nigdy dotąd go nie spotkał, a jednak w jego przeszywającym spojrzeniu było coś znajomego.

- Słuchajcie, proszę, wodzowie Judy! - krzyknął mężczyzna. - Czy nie waszą jest rzeczą znać sprawiedliwość? Wy, którzy macie w nienawiści dobro, a miłujecie zło, którzy zdzieracie skórę z mojego ludu, a ciało jego aż do kości. Ci, którzy tną ciało mego ludu jak w garnku, jak mięso w środku kotła, wołać będą wówczas do Pana, ale im nie odpowie, lecz zakryje wówczas oblicze swe przed nimi za występki, które popełnili²².

- Straże! - krzyknął Uriasz, zrywając się na równe nogi. - Wyprowadzić stąd tego człowieka!

- Stać! - Zaprotestował Hiskiasz, unosząc dłoń. - Niech dokończy!

Ten obcy przybysz nie musiał mu tłumaczyć, jak bardzo cierpi jego naród. A widok sali pełnej resztek po uczcie wzbudzał w nim poczucie winy. Może ten przybysz znał odpowiedzi na dręczące go pytania? Sala cichła, w miarę, jak kolejni

²² Cytat ten, jak i pozostałe, sparafrazowany, pochodzi z Księgi Micheasza, rozdział 3 [przyp. red.].

goście dostrzegali, co się dzieje.

- Po co się tu zjawiłeś? - zapytał Hiskiasz.

- Pełen jestem mocy Ducha Pańskiego, sprawiedliwości i męstwa, abym ogłaszał temu narodowi karę za jego występki.

- Jahwe? - powtórzył Hiskiasz. - Jeden z bogów Izraela? Wszystko to było jak sen, sen, który już kiedyś mu się śnił.

Odczuwał to szczególne wrażenie przeżywania czegoś, co już raz się stało. Było w tym człowieku coś znajomego. Starał się przypomnieć, co, ale nie mógł.

- Słuchajcież tego, wodzowie, którzy brzydzicie się sprawiedliwością. Wy, którzy krwią budujecie Syjon, a nieprawością Jeruzalem. Książęta was osądzą za podarunki, rozstrzygają kapłani wasi za zapłatę, prorocy wasi wieszczą za pieniądze...

- Wasza Wysokość, każ strażom go wyprowadzić - błagał Uriasz. - Ten człowiek jest pijany lub szalony.

Sala bankietowa była słabo oświetlona i chociaż twarz mężczyzny była opuchnięta i posiniaczona, jakby go ktoś pobił, to według Hiskiasza nie wyglądał na pijanego ani szalonego. Odwróciwszy się w stronę Uriasza zauważył, że twarz kapłana pobladła. Patrzył on na przybysza z nienawiścią i lękiem. Hiskiasz miał upiorne poczucie, że Uriasz bierze udział w jego ulotnym śnie.

- Wygłosiłeś poważne oskarżenia. Sądzę, że powinieneś się wytłumaczyć - powiedział do Micheasza.

- To nie są moje własne oceny. Przybyłem tu za sprawą Jahwe.

- Dobrze - odparł Hiskiasz. - Przeprowadzimy zatem formalne przesłuchanie. Możesz przedstawić sprawę Jahwe. -Usiadł, by wysłuchać przybysza. Uriasz niechętnie zajął miejsce obok niego.

- Słuchajcie, góry, sporu Jahwe - krzyknął mężczyzna -nakłońcie uszu, posady ziemi! Oto Jahwe ma spór ze swym

ludem i oskarżać go będzie. Ludu mój, cóżem ci uczynił? Czym ci się uprzykrzyłem? Odpowiedz Mi! Otom cię wywiódł z ziemi egipskiej, z domu niewoli wybawiłem cię i posłałem przed obliczem twoim Mojżesza, Aarona i Miriam. Ludu mój, wspomnij, proszę, co zamierzał Balak, król Moabu, a co mu odpowiedział Balaam, syn Beora? Co było od Szittim do Gilgal - żebyś poznał zbawcze dzieła Pańskie²³.

- Uczyłem się ojczystej historii - przerwał Hiskiasz. Miał nadzieję, że dowie się czegoś pomocnego, ale teraz zaczynał tracić cierpliwość. - Czego chce Jahwe?

Głos przybysza nagle się zmienił, mężczyzna występował teraz w innej roli, bronił sprawy ludu:

- Z czym stanę przed Panem - mówił, uklękawszy - i pokłonię się Bogu wysokiemu? Czy stanę przed Nim z ofiarą całopalną, z cielętami rocznymi? Czy Pan się zadowoli tysiącami baranów, miriadami potoków oliwy? Czy trzeba, bym wydał pierworodnego mego za mój występki, owoc łona mego za grzech mojej duszy?

Bym wydał pierworodnego.

Nagle otworzyły się upusty pamięci, wspomnienia napłynęły niczym powódź do umysłu Hiskiasza. Dudnienie głosów i kroków. „Który to pierworodny?”. I dłoń kapłana na głowie Eliaba.

„Ten.

Przypominał sobie kolumnę dymu w Dolinie Hinnom. Łomot bębnów. Przypominał sobie żar i płomień, otwartą paszczę potwora i jego wyciągnięte ramiona.

Moloch.

Zaczął drżeć.

- Jahwe... - szepnął.

²³ Sparafrazowane cytaty (ten i kolejne) pochodzą z Księgi Micheasza, rozdział 6 [przyp. red.].

Teraz już sobie przypomniał. Przypomniał sobie wszystko. A bardziej niż wszystko przypomniał sobie przerażenie. Koszmar powrócił. I nie był to już koszmar z dziecięcego snu. Molochowi naprawdę wydawano dzieci w ofierze. Eliab i Amariasz rzeczywiście spłonęli żywcem. A gdyby nie Jahwe, spłonąłby i on. Był wstrząśnięty. Nie mógł się odezwać.

Micheasz wstał z klęczek i podszedł do niego.

- Powiedziano ci, człowiecze, co jest dobre - rzekł cichym, kojącym tonem. - I czegoż żąda Pan od ciebie, jeśli nie pełnienia sprawiedliwości, umiłowania życzliwości i pokornego obcowania z Bogiem twoim?

„Jahwe jest Bogiem, Jahwe jedyny!“. Gdy Hiskiasz przypomniał sobie kolejny element układanki, jego serce załomotało głośno.

- Dziadek... - szepnął.

- Żyje - Micheasz skinął twierdząco głową. - Zachariasz, twój dziadek, żyje.

- Tak? - Hiskiasz potrząsnął głową, by poskładać myśli. - To zaprowadź mnie do niego - polecił, wstając z miejsca.

Wszelkie próby zapadnięcia w sen nie miały sensu. Zachariasz tak czy inaczej nie mógł zasnąć. Rzucił na bok zmiętą pościel i po omacku znalazł lampkę oliwną. Zapaliwszy ją, włożył szatę i sandały. Wiele już było takich nocy, jak ta, gdy nie mógł zasnąć. Przez lata nauczył się zwracać się z pytaniami do Boga. Tylko tak umiał odnaleźć pokój serca i duszy. Dziś nie mógł przestać myśleć o koronacji Hiskiasza, przeżywać raz po raz gorzkie rozczarowanie modlitwą Uriasza: „Niech panowanie twoje pobłogosławią wszyscy bogowie Judy”.

Gdyby Hiskiasz wierzył w Boga Jedyne i Prawdziwego, nigdy by nie pozwolił na taką modlitwę. Tyle długich lat oczekiwania, tyle modlitw i nadziei na próżno. Hiskiasz odwrócił się od Jahwe.

Zachariasz pustym korytarzem ruszył do świątynnej biblioteki. Chciał jak Hiob zanieść swoją skargę Bogu, mając nadzieję, że w Jego Słowie znajdzie pocieszenie - i odpowiedzi. Uwielbiał to pomieszczenie, rzędy zwojów na jego półkach. Uwielbiał tu się modlić, czując się bliżej Jahwe, gdy był otoczony Jego Słowem. Zapalił umieszczone na ścianach lampki oliwne, potem rozejrzał się po półkach, zastanawiając się, co przeczytać. Wreszcie wybrał piątą księgę Mojżeszową - zwój, który czytał, odkąd przyprowadził tu Hiskiasza - i usiadł ociężale przy jednym ze stołów. Ale łyzy sprawiły, że niewiele widział. Był zbyt załamany, by móc rozwinąć pismo.

Hiskiasz wiedział, że nie ma Boga oprócz Jahwe. Bóg dał, że Zachariasz go tego nauczył. Hiskiasz znał prawdę! Zachariasz przypomniał sobie tamten dzień, gdy szli do źródła i po raz pierwszy razem odmawiali Szema. „Głośniej, dziadku! Niech kozy znów zabeczą!”.

Odchrząknął i na głos wyrecytował:

- Słuchaj, Izraelu! Jahwe jest naszym Bogiem! Panem jedynym!...

Nie był w stanie dokończyć.

Ale gdzieś za nim, w ciemnościach, jakiś głos dopowiedział:

- Będiesz miłował Jahwe, Boga twojego, całym swoim sercem, całą swoją duszą i ze wszystkich sił swoich!

Zachariasz zerwał się z miejsca. W drzwiach stał Hiskiasz.

W pierwszej chwili starzec pomyślał, że śni, ale już w następnej poczuł, jak ramiona Hiskiasza obejmują jego ciało, ściskają je mocno, i wiedział już, że to prawda. Trzymali się w objęciach, bez słowa, długo.

Hiskiasz pamiętał dziadka jako wysokiego, silnego mężczyznę, ale człowiek, którego teraz trzymał w ramionach wyglądał zupełnie inaczej. Po pewnym czasie zwolnił uścisk i przyjrzał się starcowi. W jego oczach rozpoznał znajomą łagodność i miłość, i poczuł wstyd, że mógł zapomnieć o tym człowieku, którego jako dziecko tak bardzo kochał, o człowieku, który służył mu pociechą i zapewniał o Bożej pomocy.

- Przepraszam, dziadku...

- Nie, dziecko. To nie twoja wina. Wszystko dzieje się zgodnie z wolą Jahwe.

- Przez tyle, tyle lat nie myślałem o Jahwe - odparł cicho król. Czuł potrzebę przeprosin, potrzebę wytłumaczenia się dziadkowi. Na ślepo szukał słów. - Mój ojciec stanowczo uważał, że zapewnił mi najlepszą edukację, najlepszego gu-

wenera. A ja uwielbiałem się uczyć. Nigdy nie miałem dość: języków, historii, literatury. Ale mój guwerner nie wierzył w żadnych bogów, zaś ojciec czcił ich setki.

Dotąd nie rozumiał, dlaczego nienawidził ojca odkąd pamiętał. Ale teraz przypominał sobie i to. Achaz złożył w ofierze dwóch jego braci. Miał też zamiar zabić i jego samego.

- Ojca nienawidziłem. Nienawidziłem bałwochwalstwa, które uprawiał. Nie chciałem brać w tym żadnego udziału. Gdy wprowadził bożki do Świątyni Jahwe, i gdy jednocześnie ty nie powróciłeś, odrzuciłem chyba również Jahwe. Z czasem zapomniałem o wszystkim, czego mnie uczyłeś. W pewnym momencie nawet ofiary Molocha stały się czymś w rodzaju legendy czy koszmaru z dzieciństwa. Od lat nie myślałem o Jahwe. Aż dziś, podczas uczy, pojawił się jego prorok i wygłosił swoją mowę.

- Przebacz mi, Jahwe - szepnął Zachariasz, opierając się o stół. - Przebacz moje niedowiarstwo.

- Wszystko w porządku? - Zaniepokoił się Hiskiasz, sięgając ręką, by go podtrzymać. Pomógł dziadkowi usiąść i przysunąwszy sobie drugą ławkę usiadł naprzeciw. - Co się dzieje?

- Opowiedz mi o tym proroku. To Izajasz?

- Nie. Nazywa się Micheasz i pochodzi z Moreszet.

- Co mówił?

- Mówił, że Jahwe wytoczył proces Judzie i przypomniał mi naszą historię wraz ze wszystkim, czego Jahwe dokonał dla naszego narodu. Gdy zapytałem, czego Jahwe oczekuje w zamian, on zapytał: „Czy trzeba, bym wydał pierworodnego mego?”. I wtedy od razu zrozumiałem, dlaczego wydawał mi się tak znajomy. Przypominał mi proroka, którego widziałem w Dolinie Hinnom. Zdałem sobie wówczas sprawę z tego, że tamto, to nie był sen. - Hiskiasz zamknął na chwilę oczy, przeżywając wspomnienia sprzed lat. - Pamiętam jak bar-

dzo się bałem. Miała być ofiara pierworodnych, a po śmierci Eliaba ja byłem pierworodny. Wiedziałem, że mam umrzeć tak jak on. I wtedy, gdy wydawało się, że nie ma już ucieczki, prorok powiedział: „Gdy przejdiesz przez ogień, nie spalisz się (...). Albowiem Jahwe jest twoim Bogiem”. I zamiast mnie złożyli w ofierze Amariasza - znów musiał przerwać na kilka chwil. - Pamiętam, że bardzo się bałem, że znów do tego dojdzie, że mój ojciec zarządzi złożenie ofiary po raz trzeci. I wtedy ty przyszedłeś i obiecałeś mi, że Jahwe obroni mnie przed Molochem... Ale jednego mi nigdy nie wyjaśniłeś - dodał po chwili milczenia, patrząc dziadkowi w oczy. - Chyba nigdy cię nie pytałem. Dlaczego? Dlaczego Jahwe mnie ocalił?

- Bo cię kocha, Hiskiaszu - odpowiedział starszy mężczyzna, z trudem wydobywając z siebie głos. Hiskiasz pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Ale czemu?

- To samo pytanie zadawał sobie król Dawid: „Gdy patrzę na Twe niebo, dzieło Twych palców, księżyc i gwiazdy, któreś Ty utwierdził: czym jest człowiek, że o nim pamiętasz”²⁴. Nie znam odpowiedzi, dziecko, ale wiem, że nas miłuje.

- Ale ja nie zrobiłem nic, by zasłużyć na jego miłość. Dlaczego miałby chcieć mnie ratować?

- To, czy my zasługujemy na Jego miłość, czy nie, to nie ma znaczenia. Ja jestem najlepszym tego dowodem. Tak bardzo przeciw Niemu zgrzeszyłem... ale On mi przebaczył i wiem, że mnie miłuje.

Hiskiasz wciąż jednak nie mógł pojąć znaczenia tych słów.

- Ale dlaczego właśnie mnie? Dlaczego nie ocalił Eliaba ani Amariasza?

- Bo ciebie wybrał - wtrącił Micheasz. Dotąd czekał na korytarzu z Chilkiaszem, ale teraz wszedł do biblioteki. - Wy-

²⁴ Cytat pochodzi z Księgi Psalmów, rozdział 8 [przyp. red.].

bacz, Wasza Wysokość, ale Jahwe wzywa mnie, bym mówił i nie mogę dłużej milczeć. Jahwe właśnie ciebie wybrał na to, byś poprowadził ten lud z powrotem do Niego.

Umysł Hiskiasza pobudziło kolejne wspomnienie. To samo mówił mu przecież dawno temu w Dolinie Hinnom tamten prorok: „Jahwe cię wykupił, wezwał cię po imieniu; należysz do Jahwe!”.

- Bóg nadal miłuje swój lud - ciągnął Micheasz - i pamięta o przymierzu, jakie z nim zawarł. Ale myśmy złamali to przymierze, złamaliśmy wszystkie Jego przykazania i zaczęliśmy czcić bożki. Więc Jahwe, jako kochający ojciec, karze nas, wydając nas naszym wrogom do czasu, póki nie nawrócimy się do Niego. Wszystko nastąpiło tak, jak mówi Tora: „Ale jeśli swe serce odwrócisz, nie usłuchasz, zbłądzisz i będziesz oddawał pokłon obcym bogom, służąc im - oświadczam wam dzisiaj, że na pewno zginiecie”²⁵.

- Chwileczkę. Chcesz powiedzieć, że nasz naród popadł w niewolę i nędzę, ponieważ złamaliśmy przymierze z Jahwe?

-Tak.

Monarcha spodziewał się długiego wywodu, a tymczasem odpowiedź proroka stanowiło jedno krótkie, jasne stwierdzenie, wygłoszone z przekonaniem. Hiskiasz wziął powoli oddech.

- Przepraszam cię, Micheaszu, ale twoje rozumowanie jest zbyt uproszczone, by je traktować poważnie. Juda nie jest jakimś odizolowanym państewkiem żyjącym sobie spokojnie z Bogiem na uboczu. Imperium Asyryjskie stopniowo podporządkowuje sobie cały świat. I taka jest rzeczywistość, której nie mogę lekceważyć.

- A jednak to prawda, Wasza Wysokość. Mądrość Jahwe często wydaje się głupstwem w oczach ludzkich.

²⁵Cytat pochodzi z Księgi Powtórzonego Prawa, rozdział 30 [przyp. red.].

- Uczyłeś mnie już o tym - zauważył ze zdumieniem, odwracając się do dziadka - przy okazji opowieści o Dawidzie i Goliacie.

Zachariasz uśmiechnął się.

- Wasza Wysokość - ciągnął Micheasz - Jahwe nie ogranicza się do obserwowania ludzkości ze swojego tronu w niebiosach. Czynn timer angażuje się w sprawy ludzkie. W sprawy wszystkich narodów. Posługuje się Asyryjczykami jako narzędziem swojego gniewu, a gdy osądzi nasz naród, przyjdzie czas, by osądzić i ich. Jahwe panuje nad wszystkim.

- Skoro wierzysz, że Jahwe ocalił cię w dzieciństwie, dlaczego tak trudno ci uwierzyć, że może ocalić nasz naród? - spytał Zachariasz.

- Nie wiem - odparł Hiskiasz, przecierając oczy. - Zastanawiając się, jak Juda popadła w te kłopoty, i jak z nich wyjść, myślałem o historii naszego narodu. Ale nie znalazłem sposobu. Więc mówicie, że Jahwe jest tym brakującym elementem układanki?

- Tak - odparł Micheasz. - Czyż za króla Dawida nie osiągnął nasz naród wielkiego znaczenia i dobrobytu? A Dawid miłował Jahwe z całego serca swego.

- Juda nie zaznała pokoju ni dobrobytu od czasów króla Azariasza - rzekł cicho Zachariasz. - A Azariasz także czcił Jahwe. Do czasu, gdy zgubiła go własna pycha. Gdy umarł, lud stopniowo odwracał się od Boga, a Juda upadała.

- Ojciec był z nich wszystkich najgorszym bałwochwalcą - Hiskiasz przypomniał sobie ognisty posąg Molocha. - I to pod jego władzą Juda popadła w biedę i niewolę.

Micheasz i Zachariasz wskazywali mu rozwiązanie, którego tak rozpaczliwie poszukiwał. A jednak wahał się. Racjonalny umysł nie chciał przyjąć nadprzyrodzonej odpowiedzi.

- Możecie to jakoś udowodnić? A może jedni królowie byli lepiej przygotowani do rządzenia niż inni? A może istotna była epoka, w jakiej żyli? Nie mogę kierować losami państwa w oparciu o przesady. Mogę uwierzyć tylko w to, co zostanie namacalnie dowiedzione. Możecie udowodnić, że ten związek między bałwochwalstwem a biedą, nie stanowi jedynie czystego przypadku?

- Dowodu takiego rodzaju, jaki chcesz, nie mam. Dla mnie to kwestia wiary. - Wzruszył ramionami Micheasz.

- Chciałbym, żeby to była prawda. - Westchnął Hiskiasz. - Chciałbym zobaczyć, jak moje królestwo odradza się w cudowny sposób dzięki temu, że odnawiam przymierze z Jahwe, ale... - Potrząsnął głową. Umysł nie chciał w to wierzyć. Czuł się rozdarty między ziarnami wiary w Jahwe, a poczuciem rozsądku. Odwrócił się w stronę dziadka, jakby bez słów prosił o pomoc.

- Wiara w Jahwe, Hiskiaszu, nie rodzi się w umyśle. Lecz w sercu. Wiara tylko w to, co możesz zobaczyć oczami i dotknąć rękami, to bałwochwalstwo.

Słowa Zachariasza zbiły go z tropu.

- Więc ja też jestem bałwochwalcą?

- Wiara w Jahwe, to świadomość, że istnieje przestrzeń duchowa, której nie możemy objąć umysłem. Między wiarą w Molocha, jak u Achaza, a wiarą we własną mądrość i intelekt nie ma różnicy w oczach Bożych. Wszystko to jest bałwochwalstwem.

- Zatem w oczach Boga mam tę samą winę, co mój ojciec? Zachariasz skinął głową.

- Ależ ja bałwochwalstwa nienawidzę! Wszystkie te żalosne posągi, orgie w świętych gajach, palenie żywcem niewinnych dzieci. To wstrętne! - Był wstrząśnięty odkryciem swojej własnej winy. Tym, że w oczach Bożych był takim sa-

mym grzesznikiem, jak Achaz. - Co Jahwe chce, bym uczynił? - zapytał cicho.

- Tora mówi, że jeśli pragniesz odnaleźć Jahwe, Boga twojego, odnajdziesz Go szukając z całego serca i z całej duszy. Gdy jesteś w rozpacz, a powrócisz do Boga i będziesz Mu posłuszny, On okaże miłosierdzie. Nie opuści cię, nie zapomni przymierza, które zawarł z naszymi przodkami.

W izbie zapadła cisza. Hiskiasz toczył wewnętrzny bój. Dziadek mówi, że chodzi o wiarę, ale nic z tego, czego uczył go Szebna, nie przygotowało go do tego. Jediną pewną rzeczą w jego życiu był fakt ocalenia go w dzieciństwie przez Jahwe. Tego przekonania nic nie mogło zmienić. Ta wiara wydawała się mała wobec niewzruszonego przekonania Micheasza, ale może od tego właśnie trzeba zacząć.

- Chcę szukać Boga - powiedział w końcu. - Chcę usunąć wszelkie bałwochwalstwo i odnowić nasze przymierze z Nim. Chcę Go prosić, by uzdrowił ten kraj.

- Któryż Bóg podobny Tobie - wykrzyknął Micheasz, wznosząc zdrową rękę w geście uwielbienia - co oddalasz nieprawość, odpuszczasz występki Reszcie dziedzictwa Twego? Nie żywi On gniewu na zawsze, bo upodobał sobie miłosierdzie. Ulituje się znowu nad nami, zetrze nasze nieprawości i wrzuci w głębokości morskie wszystkie nasze grzechy!²⁶

W sali bankietowej dość długo panowała wywołana zdumieniem cisza. Król z prorokiem wyszli tak nagle, że większość gości nie rozumiała, co się stało. Ale nie Uriasz. On widział wyraz twarzy Hiskiasza słuchającego słów proroka o ofierze

²⁶ Cytat pochodzi z Księgi Micheasza, rozdział 7 [przyp. red.].

pierworodnych. Było tylko kwestią czasu, by monarcha przypomniał sobie, że to on, Uriasz, przewodniczył ofierze.

Myślał, że tu i teraz zostanie aresztowany, ale Hiskiasz zamiast tego chciał zobaczyć Zachariasza. Kapłan żałował teraz, że wówczas, na rozkaz Achaza, nie zabił Zachariasza. Teraz król dowie się, że dziadek był latami więziony. Tak, okres władzy Uriasza, a prawdopodobnie i jego życie, dobiegało końca.

Z początku zamierzał poddać się losowi, ale gdy szok stopniowo mijał, a goście opuszczali salę, otrząsnął się z tej rezygnacji. W jej miejsce pojawił się gniew. Od lat rządził Judą pod panowaniem Achaza. Czemu ma oddawać władzę Hiskiaszowi? Tylko dlatego, że książę pochodzi z Domu Dawidowego? A co to ma za znaczenie? Północnymi plemionami Izraela od wieków nie rządził potomek Dawida. Izraelski tron należał do tego, kto miał dość sił, by po niego sięgnąć.

Zdecydowany walczyć na śmierć i życie o to, co mu się należało, wstał z krzesła. Wielu urzędników nienawidziło Achaza i poczuwało się do większej lojalności wobec niego, niż wobec syna zmarłego monarchy. Jeśli będzie sprytny, łatwo przekona ich do buntu. A Hiskiasz nie miał jeszcze synów. Jeśli się go pozbędzie, nie będzie następcy. Trzeba tylko szybko działać.

Przemaszerował przez salę bankietową, zwalczając chęć biegu. Dwóm strażnikom, stojącym za drzwiami, polecił pójść za sobą. Musieli się spieszyć, by dotrzymać mu kroku.

Wiedział, że nie może zostać w pałacu, ale najpierw musiał zabrać ze sobą ze swoich prywatnych komnat kilka rzeczy. Nie wiedział jeszcze, dokąd się uda i w jaki sposób rozpocznie bunt przeciw Hiskiaszowi, ale wiedział, że za długo i za ciężko pracował na swoją pozycję, by ją teraz oddać bez walki.

Gdy dotarli do jego komnat, kazał strażnikom pozostać na zewnątrz. Mimo, że kraj pogrążał się w nędzy, on sumień

nie odłożył sobie pewną sumkę w złocie wykradanym przez lata z daniny zbieranej na rzecz Asyryjczyków. Kupił za nie wsparcie najważniejszych oficjeli, nie wyłączając Jonadaba. Straż pałacowa będzie jego armią. Hiskiasz pozostanie bez środków obrony.

Zebrał szybko skradzione złoto i owinął je w tłumok. Nie zamierzał pakować zbyt wielu rzeczy osobistych, zakładając, że jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, wróci do pałacu jako król.

Zawiązał mocno zawiniątko i rozejrzał się po komnacie, czy czegoś nie zapomniał. Dostrzegł krótki, ostry sztylet, którego używał jako kapłan do zabijania zwierząt na ofiarę i zatknął go pewnie za pas swojej tuniki, ukrywając pod wierzchnią szatą - na wszelki wypadek.

Nóż pomógł mu w podjęciu decyzji co do tego, dokąd udać się w pierwszej kolejności. Wciąż był arcykapłanem i wiedział, że uzyska poparcie u większości pozostałych kapłanów oraz Lewitów. Trzeba więc udać się do Świątyni i zebrać jak najwięcej stronników. Schował tłumok w ubraniu i wyszedł z komnaty.

- Znajdźcie kapitana Jonadaba - polecił strażnikom -i powiedzcie mu, żeby przyszedł do mnie natychmiast, do sali obrad przy Świątyni.

Po raz pierwszy od śmierci Achaza Hiskiasz naprawdę pragnął objąć rządy. Dzięki Zachariaszowi i Micheaszowi mógł mieć nadzieję na rozwiązanie gigantycznych problemów, w jakich znalazł się naród.

- Musisz mi pomóc - rzekł do Zachariasza. - Powiedzieć, od czego zacząć.

- Od tego - odpowiedział starzec, kierując się ku półkom ze zwojami.
- Od Tory, od Bożego Prawa Jahwe. Niech ono prowadzi cię we wszystkim, co czynisz.

Perspektywa korzystania z nauk udzielanych przez Zachariasza podobała się Hiskiaszowi, ale jednocześnie coś go zaintrygowało.

- Dlaczego przestałeś przychodzić do pałacu, by mnie uczyć?
- Chciałem, ale byłem tu przetrzymywany w areszcie.
- Na rozkaz ojca?
- Twój ojciec chciał mnie zabić, ponieważ głośno sprzeciwiłem się bałwochwalstwu, które uprawiał. Ale zamiast tego uwięził mnie tu Uriasz.

- I trzymał aż tyle lat? - Hiskiasz uzmysłowił sobie, jak długo nie widział dziadka, i aż zadrżał. I wtedy, myśląc o ojcu i o Uriaszu przypomniał sobie coś jeszcze. To Uriasz, w kapłańskich szatach, położył dłoń na głowie jego brata, wskazując na niego jako na pierworodnego. - To Uriasz przewodniczył ofierze składanej Molochowi! To on przyszedł po braci i po mnie!

- Grzechy Uriasza wobec Jahwe są bardzo ciężkie. Jego życie było poświęcone Bogu, był przywódcą i poprowadził wielu... do bałwochwalstwa.

- Jaka jest za to kara? Co mówi Prawo Jahwe? Zachariasz powoli podszedł do półek ze zwojami i wyjął

jeden z nich. Odnalazł szukany fragment i cicho odczytał:

- „Jeśli się znajdzie u ciebie w jednym z miast twoich (...) mężczyzna lub kobieta, ktoś (...), kto będzie przechodzić do bogów obcych, by służyć im i oddawać pokłon (...) zaprowadzisz tego mężczyznę lub kobietę - którzy tej złej rzeczy się dopuścili - do bramy miasta i będziesz tego mężczyznę lub tę kobietę kamienował, aż śmierć nastąpi”²⁷.

²⁷Cytaty pochodzą z Księgi Powtórzonego Prawa, rozdział 17 [przyp. red.].

- Czy jest coś jeszcze? Czytaj wszystko.
- „Ktokolwiek spośród synów Izraela (...), da jedno ze swoich dzieci Molochowi, będzie ukarany śmiercią. Miejskowa ludność ukamieniuje go”²⁸. Ale nie możesz ukamienować wszystkich w Judzie, którzy są winni bałwochwalstwa - dodał, patrząc smutno na Hiskiasza. - Wszyscy byliby winni. Nawet ja.

- Możliwe. Ale Uriasz był arcykapłanem Jahwe. Gdy przewodniczył ofierze Molocha, ludzie szli za nim ślepo. Poza tym cenzurował prawdę. To nie jest kwestia zemsty. Zanim wdrożę jakiegokolwiek reformy, muszę usunąć zło. Uriasz musi umrzeć.

Nie wiedział, ile czasu mogło upłynąć odkąd razem z Micheaszem wyszli z sali bankietowej, ale teraz zdał sobie sprawę, że dał Uriaszowi aż nadto czasu, by kapłan mógł ocenić zagrożenie i umknąć.

- Muszę go znaleźć.

W pośpiechu wyszedł z biblioteki i pędził przez ciemne korytarze, by jak najszybciej dotrzeć do pałacu. Zapomniał zabrać ze sobą lampkę i teraz, próbując odtworzyć drogę, jaką przeszedł od wejścia, niewiele widział. Zanim zorientował się, że chcąc jak najszybciej pochwycić Uriasza, sam się zgubił w labiryncie korytarzy, zdążył przebyć już spory dystans. Zły postanowił zawrócić i znaleźć kogoś, kto go stąd wyprowadzi.

Gdy doszedł do końca jednego z korytarzy, usłyszał jakieś stłumione głosy i ujrzał w ciemności snop światła prześwitujący przez zamknięte drzwi. Już miał do nich zapukać z prośbą o pomoc, gdy usłyszał głos Uriasza. Arcykapłan krzyczał, dyskutował, ktoś chyba mu odpowiadał po cichu. Ale nie dało się zrozumieć, o czym mówią.

Hiskiasz stanął przed dylematem. Znalazł Uriasza, ale nie miał przy sobie straży, by go aresztować. Wiedział, że ktoś jest

²⁸ Cytat pochodzi z Księgi Kapłańskiej, rozdział 20 [przyp. red.].

z nim, ale nie wiedział ilu ich jest i czy są jego stronnikami. Nie mógł nawet pójść po pomoc, bo zgubił się w tej plątaninie. Po karku spłynęła mu strużka potu. Trzeba było wziąć miecz na ucztę.

Nagle drzwi się otworzyły i stanął z Uriaszem twarzą w twarz. Kapłan wyglądał na tak samo zaskoczonego, jak sam Hiskiasz. Przez moment stali w bezruchu patrząc na siebie wzajemnie. Po chwili Hiskiasz oświadczył

- Jesteś aresztowany, Uriaszu. Złożyłeś mojego brata w ofierze Molochowi. Tora przewiduje za to karę śmierci.

- Tora mówi również, że Świątynia jest miejscem schronienia. Nikt mnie nie może tu tknąć - odparł Uriasz, patrząc lodowato na króla.

Hiskiasz nie miał pojęcia, czy to prawda. Zawahał się, nie chcąc złamać przykazań Tory. Przez ten czas Uriasz zdążył sięgnąć między fałdy swoich szat i wyjąć sztylet.

Hiskiasz dostrzegł błysk metalu i wytrenowany latami ćwiczeń z Jonadabem, szybko zareagował. Chwycił oburącz prawe ramię Uriasza, by uniemożliwić mu pchnięcie i rzucił się na niego całą masą swojego ciała, pozbawiając go równowagi. Uriasz jednak szybko ją odzyskał, by zacisnąć lewe ramię na szyi Hiskiasza, stopniowo pozbawiając go możliwości oddychania.

Hiskiasz obracał się, próbując wyrwać się z uścisku kapłana i jednocześnie starał się go kopnąć. Jednak z każdym ruchem uścisk kapłana przybierał na sile. Król jedną ręką usiłował podważyć ramię Uriasza, by zapobiec śmierci przez uduszenie, drugą zaś odsuwał nóż. W miarę, jak coraz bardziej brakowało mu powietrza, na skraju pola widzenia zaczynała się pojawiać ciemność. Powietrza! Nie miał pojęcia, że Uriasz jest tak silny. Jego ręce dygotały z wysiłku. Sztylet, odległy teraz zaledwie o kilka cali od jego serca, coraz bardziej

się zbliżał. Jeśli tylko Uriasz zbierze zapas sił, życie Hiskiasza dobiegnie końca. Wystarczy, że zaciśnie ramię i pchnie.

Pole widzenia króla zawężało się, zaczęły się w nim pojawiać świetliste gwiazdy. Czemu kapłan nie okazuje żadnych oznak zmęczenia? Wręcz zwiększa siłę uścisku i przysuwa sztylet. Hiskiasz miał wrażenie, że zaraz eksplodują mu płuca. Czemu nikt mu nie pomoże?

Jeszcze kilka sekund, a zabraknie mu powietrza i sił. Uriasz go zabije. A on nie chce umierać. Chce mieć szansę panowania, szansę odnowienia przymierza narodu z Jahwe. W ostatniej chwili, zanim przykryje go ciemność, pomodlił się w myśli: „Jahwe, pomóż mi!”.

Uriasz niespodziewanie krzyknął z bólu i zwolnił uścisk. Sztylet wypadł mu z ręki i z brzękiem uderzył o podłogę. Kapłan zatoczył się i upadł na Hiskiasza, przewracając go.

Król przez kilka sekund leżał pod jego ciałem, chwytając głębokie oddechy i nie wierząc, że żyje. Wreszcie zepchnął Uriasza, by zobaczyć, kto go uratował. Z ciała kapłana wystawał nóż.

Nad nim stał dziadek. Wyciągał rękę, by pomóc mu wstać.

Gdy nadszedł zimny i szary świt, Hiskiasz czuł, że jego wyczerpanym mięśniom wraca siła. Sprawdzając, czy będzie mógł ustać na nogach, powoli wstał z ławki, na której odpoczywał. Nie licząc tępego bólu za oczami, czuł się dobrze. Miał tylko dość tego dusznego budynku, potrzebował świeżego powietrza.

Ciało Uriasza, okryte szatą, leżało w korytarzu tam, gdzie upadło. Po wstrząsających wydarzeniach wieczoru atmosfera wciąż była napięta. Kapłani i Lewici trzymali się w małych grupkach, jakby bali się być sami. Wszyscy sprawiali wrażenie oszołomionych, rozmowy prowadzono szeptem. Tylko Zachariasz wydawał się nieporuszony, jakby to, co zrobił, było po prostu nieuniknione.

- Mógłbyś coś dla mnie zrobić? - zapytał go Hiskiasz -Zbierz wszystkich kapłanów i Lewitów, którzy jeszcze zostali i spotkajmy się na dziedzińcu za kilka minut.

Znalazł drzwi prowadzące na zewnątrz i wyszedł na świeże powietrze. Zadrżał od zimnego, porannego wiatru. Wciąż miał na sobie szaty, które przywdział na ucztę. Teraz były na nich plamy krwi Uriasza.

Niebo na wschodzie jaśniało, ale nad miastem wisiały chmury, które zasłaniały słońce. Wyszedł z lodowatego cienia wschodniego muru Świątyni. Jedynymi dźwiękami jakie słyszał, był szczebiot jaskółek i uderzenia jego butów o kamienny bruk.

Na środku dziedzińca zatrzymał się i rozejrzał wokół tak, jakby widział to miejsce po raz pierwszy. Centralną część

placu zajmował wzniesiony przez Achaza asyryjski ołtarz pokryty bałwochwalczymi wizerunkami. Obok na prowizorycznej podstawie stało „morze” z brązu. Przypomniawszy sobie, że Zachariasz mówił, iż Achaz wysłał oryginalną podstawę do Asyrii. Nieopodal stał wysoki, mosiężny słup wokół którego odłano wijącego się węża.

Nic dziwnego, że Jahwe odwrócił się od tego.

Hiskiasz powoli podszedł pod portyk przybytku i spojrzawszy przez kratę. Drzwi były zabite deskami, które z pewnością umieszczono tam już dawno temu. Piękny niegdyś budynek wydawał się zniszczony, porzucony. Hiskiasz stał między filarami po bokach drzwi Świątyni przypominając sobie ich nazwy, których uczył go Zachariasz. Starając się je sobie odtworzyć, naraz wydało mu się to ważne. Jeden to Boaz - „w Nim moc”. A druga...

Potrząsnął głową. Chciał sobie przypomnieć wygląd Świątyni z czasów, gdy oglądał wraz z Zachariaszem składanie ofiar, ale wszystko wydawało się inne.

Po kilku minutach usłyszał zbliżające się kroki. Kapłani i Lewici wyszedłszy z bocznych drzwi, w ciszy podążali przez dziedziniec w jego stronę. Ku zaskoczeniu stwierdził, że jest ich zaledwie około trzydziestu.

- Czy w pokoleniu Lewiego nie ma więcej mężczyzn? - spytał dziadka.

- Wszyscy stronnicy Uriasza uciekli po jego śmierci. - Wyjaśnił Zachariasz. - Ale większość Lewitów porzuciła służbę w Świątyni już przed laty. Jedni dlatego, że byli przeciwni reformom Uriasza, inni po prostu dlatego, że ze skromnej dziesięciny nie mogli utrzymać rodzin. Ta nasza garstka pozostała z wierności wobec Jahwe oraz dlatego, że chcieliśmy zachować Świątynię i święte księgi.

Hiskiasz popatrzył na zakazane wizerunki wyryte na asy-

ryjskim ołtarzu, potem na garstkę wiernych ludzi stojących przed nim. Czuł się, jakby miał rozpocząć długie podejście pod stromą górę. Przyszedł czas postawić pierwszy krok.

- Posłuchajcie mnie, Lewici! Teraz oczyśćcie siebie i oczyśćcie dom Pana, Boga ojców waszych. Usuńcie to, co nieczyste, z miejsca świętego. Albowiem sprzeniewierzyli się nasi przodkowie i czynili to, co jest złe w oczach Pana, Boga naszego, opuścili Go i odwrócili twarz od przybytku Pańskiego, a tyłem do niego się obrócili. Zamknęli bramy przedsionka i pogasili lampy, nie składali w świątyni ofiar kadzielnych ani całopaleń Bogu Izraela. Dlatego spadł gniew Pana na Judę i na Jerozolimę. I uczynił On z nich przedmiot lęku, zdumienia i drwin w oczach narodów²⁹.

Na dźwięk tych słów Lewici jakby na nowo ożywali. Na ich twarzach malował się zachwyt i radość. Hiskiasz poczuł, że i on zaczyna się uśmiechać.

- Teraz noszę w sercu zamiar zawarcia przymierza z Panem, Bogiem Izraela, aby odwrócił od nas płonący swój gniew. Nie bądźcie teraz niedbali, Lewici, bo wybrał was Pan, abyście byli dla Niego sługami.

Odpowiedział mu okrzyk radości. Mężczyźni ruszyli w jego stronę, by jeden przez drugiego dziękować mu i deklarować swoje wsparcie.

- Jestem Machat, syn Amasaja.

- Joach, syn Zimmy, a to mój syn, Eden.

- Jestem Szimri z potomków Elisafana.

- Mattaniasz z synów Asafa, muzyków Jahwe.

- Szimei z rodu Hemana, a to mój brat Jechiel.

- Jestem Uzzjel. Ostatnim był Zachariasz.

- Roześlemy wieść do kapłanów i Lewitów, którzy się roz-

²⁹ Cytat ten i kolejne, sparafrazowany, pochodzi z drugiej Księgi Kronik, rozdział 29 [przyp. red.].

prószyli, by wracali do Jerozolimy.

- Dobrze. Weźcie też złoto, które miał przy sobie Uriasz, i spożytkujcie je na naprawy w Świątyni.

- Jeszcze dziś rozpoczniemy oczyszczenie.

- Gdy tylko wszystko zostanie oczyszczone, dajcie mi znać. Ofiarą rozpoczniemy obrzędy odnowienia naszego przymierza z Jahwe.

Zachariasz z pozostałymi Lewitami powrócili do budynku. Hiskiasz pozostał na dziedzińcu sam. Podszedł do wielkiego, asyryjskiego ołtarza stojącego tam, gdzie powinien był znajdować się ołtarz Jahwe. Przyglądał się zdobiącym go zakazanym bożkom, dotykając palcami misternych płaskorzeźb. Te bożki można zobaczyć i dotknąć. Ale są tak zimne i martwe jak sam mosiądz, z którego je wykonano. Jahwe, którego nie widać, którego nie można dotknąć, jest Bogiem Żywym - Słuchaj, Izraelu! - zaczął cicho - Jahwe jest naszym Bogiem! Panem jedynym! Będiesz miłował Jahwe, Boga twojego, całym swoim sercem, całą swoją duszą i ze wszystkich sił swoich!

Jahwe wymagał pełnego oddania. Ani trochę mniej. I to właśnie Hiskiasz mu obiecał.

Zaczęło mżyć. Hiskiaszowi wydało się, że ten zimny deszcz obmywa miasto z całej tej hańby. Wyszedł przez główną bramę. Samotnie schodził do pałacu.

Hiskiasz objął rządy mając dwadzieścia pięć lat i panował dwadzieścia dziewięć lat w Jerozolimie. Jego matce było na imię Abbija, córka Zachariasza. Czynił on to, co było słuszne w oczach Pańskich, podobny we wszystkim do tego, co czynił jego przodek Dawid. On to w pierwszym roku swego panowania, w miesiącu pierwszym otworzył bramy świątyni Pańskiej i naprawił je.

2 Księga Kronik 29,1-3